

Antoni Marczyński NOWA ATLANTYDA



Antoni Marczyński

NOWA ATLANTYDA



Antoni Marczyński

NOWA ATLANTYDA

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY



2013

Spis treści

- 1 [Nocna przygoda](#)
- 2 [Na pomoc!](#)
- 3 [Niespodzianka](#)
- 4 [Jęczące straszydło](#)
- 5 [Tajemnicze wypadki](#)
- 6 [Straszna wiadomość](#)
- 7 [Pasażerowie na gapie](#)
- 8 [Sygnal tonących okrętów](#)
- 9 [Walka z rekinem](#)
- 10 [Atlantyda](#)
- 11 [Porwanie](#)
- 12 [W dziesięć lat później](#)
[Epilog](#)

Opracowano na podstawie wydania S. A. Krzyżanowskiego, Kraków 1932.

Rozdział I NOCNA PRZYGODA

Przystanął.

— Znowu — mruknął pod nosem.

Znowu poprzez wiatru poszumy dobiegło go żalodne skrzypnięcie deski. Nie byłoby w tym ostatecznie nic nadzwyczajnego, bowiem harcujący wicher budził przeróżne odgłosy, gdyby nie ta okoliczność, że tuż obok leżały sterty dużych skrzyń, które zapewne dzisiaj wyładowano z okrętu lub które miały nazajutrz odejść w świat szeroki.

— Wygląda mi coś na to, iż ktoś się dobiera do tych pak tutaj — podejrzewał Jerzy. Jego słuch, wyszkolony niegdyś na harcerskich wycieczkach, wyłowił z łatwością ów odmienny hałas z odmetu zgiełków burzliwej nocy i wyłapał nawet krótki, metaliczny zgrzyt odrywanego gwoźdźcia.

Od strony miasta nadjeżdżał z donośnym sapaniem parowóz, zagłuszając wszelkie szmery, szelesty, poszumy. Przepędził po sąsiednim torze, gwizdnął przeraźliwie, prychnął w niebo złotym śmiechem iskier, zwolnił biegu, po czym gdzieś przy końcu wysuniętego w morze mola zabrzmiała gama dźwięcznych uderzeń, coraz słabszych, cichszych, ale o coraz to wyższych tonach; to puste wagony całowały się tarczami sprężynowych zderzaków.

— Bawią się w plotki — pomyślał Jerzy z humorem, lecz powtórne, jeszcze głośniejsze skrzypnięcie deski znowu przyciągnęło jego uwagę ku skrzyniom. — Tak, tak, to złodzieje — przypuszczał, zastanawiając się jednocześnie, co począć: czy przyzwać policjanta, czy też samemu rozprawić się z amatorami cudzej własności. Rozsądek nakazywał wybrać to pierwsze, ale należało się wprzód upewnić, czy rzeczywiście ktoś sobie zapomniał o istnieniu siódmego przykazania, boć ścigać policjanta z jego odpowiedzialnego posterunku dla jakiegoś widzimisię także nie wolno.

— Może to skutkiem wiatru tak skrzypi? Jeszcze bym się ośmieszył albo nawet naraził na nieprzyjemność za fałszywy alarm — rozważał młodzieniec niezmiernie rad, iż wszystko przemawia za tym, aby samopas wyruszył naprzeciw przygodzie.

Cicho jak kot skradał się w kierunku źródła tajemniczych odgłosów, owych szczęków metalicznych i jęklivych skrzypnięć odrywanych deszczulek, ale niebawem przystanął ponownie. Musiał przystanąć, gdyż zaszło coś, co niespodzianie utrudniło wykonanie jego zamiarów. Oto silniejszy podmuch wiatru rozdarł powiewny welon obłoków i ze srebrnej bani księżyca lunęła na ziemię struga zimnego światła, przez co u stóp ciemnej sylwetki chłopca wyrósł wydłużony, zdradliwy cień. Chcąc zaskoczyć nocnego ptaszka, Jerzy musiałby obejść z drugiej strony ogromny prostokąt pak, co zajęłoby sporo czasu.

Po krótkim namyśle postanowił wdrzeć się na szczyt sterty i tamtędy puścić się na czworakach w dalszą drogę. Każda skrzynia była obita listwami, które utworzyły wcale wygodną drabinę dla młodego akrobaty, a powrotna jazda parowozu, uwożącego próżne węglarki zagłuszyła znakomicie częste skrzypnięcia drewnianych wiek, po których Jerzy się czołgał. Niebawem też przybliżył się do południowej krawędzi owej sterty; następna zaczynała się już w odległości dwóch metrów i tam właśnie, w owym wąskim tunelu gospodarował ktoś w najlepsze, hałasując coraz głośniej.

Wreszcie osiągnął Jerzy cel drogi, wychylił głowę poza skraj równej ściany skrzyń, spojrzął w

dół i zdumiał się wielce, ale natychmiast zdziwienie ustąpiło miejsca zgorszeniu i... współczuciu. Bo czyż nie zasługiwał przede wszystkim na współczucie taki dzieciuch, smarkacz może czterastoletni, który zamiast spać od dawna o tak późnej porze, wyciągał młode ręce po cudzą własność i z dłutem w dłoni krztał się około rozbicia potężnej paki, z zapalem godnym lepszej sprawy? Jakież smutne warunki sprawiły, że w tak młodym wieku zabrał się do wstrętnego rzemiosła?

Jerzy nie namyślał się długo nad tym. Nie chciał dopuścić, aby wmieszał się w tę sprawę ktoś trzeci, może bardziej surowy sędzia od niego, a to mogło się snadnie przytrafić, gdyż mały drab, nie troszcząc się o nic, walił w upartą deskę, aż dudniło dokoła. Jerzy przysunął się tylko na brzuchu w tamtą stronę, zerwał się nagle, śmiało skoczył w wąską czeluść pomiędzy dwie ściany skrzyń i zanim dotknął stopami piasku, jego dłoń spadła na ramię malca; ów zaś wrzasnął piskliwie, wypuścił z ręki żelazne narzędzie i skulił się przerażony w oczekiwaniu zasłużonej chłosty.

— Nie wstyd ci, urwipolciu jakiś?! — zagrział Jerzy Rawski, starając się przybrać minę możliwie najsroźszą. — Nie wstyd ci kraść?

— Pa-pa-pan myśli, że ja chciałem kraść? — wyjąkał mały przestępca głosem cieniutkim, dziecinnym i tłumionymi łzami nabrzmiałym.

Jerzy parsknął śmiechem, gdyż ta odpowiedź wydała mu się niezmiernie naiwna; zwolnił z uścisku ramię malca i ujął się pod boki.

— Chcesz może, bym uwierzył, żeś tutaj czekał na omnibus, co? — odparł rubasznie. Naszrozył się ponownie, ujął w rękę jedną z trzech oderwanych już deszczulek i pochylił się nad nią. — A to tutaj, to co, he? — spytał. W tej samej chwili dostał pięścią w kark i zoczył plecy urwisa, rzucającego się właśnie do ucieczki. Nie byłby go ścigał z pewnością, gdyby nie ten zdradziecki szturchaniec; och, za to należało się tamtemu kilka siarczystych klapsów w tę okolicę ciała, z której nogi wyrastają! Puścił się więc w pościg, dopadł zbiega przy końcu drewnianego wawozu, przewrócił go skutkiem rozpędu, sam także upadł i rozpoczęło się małe mocowanie. Jerzy górował siłą, tamten bajeczną zwinnością, która pozwoliła mu bronić się przez dobre pięć minut. Wreszcie uległ, przygwożdżony do ziemi przez silniejszego przeciwnika. Zwycięzca zamierzał go właśnie odwrócić twarzą ku ziemi i przystąpić do wykonania zamierzonej egzekucji, kiedy, ku swojemu zgorszeniu, dojrzał lży w oczach pokonanego.

— Mazgaj — rzekł wzgardliwie, podnosząc się z ziemi. Podniósłszy z kolei tamtego, powtórzył raz jeszcze z naciskiem: mazgaj, tchórz i złodziej!

— Nieprawda! Nie jestem złodziejem — oburzył się posądzony. — Ja tylko chciałem... — urwał i spojrział nieufnie na zwycięzcę.

— Chciałeś pewnie zobaczyć, czy w pakach jest czekolada — podpowiedział mu z laskawą żartobliwością. Malec poczytał ją snadź za dokuczliwe kpiny, bo nagle wypalił gniewnie:

— Chciałem uciec w tej pace, oto ma pan całą prawdę!

— Uciec?

Jerzy spojrział niedowierzająco na urwipolcia, jak go w duchu nazywał, ale czyste, szczere spojrzenie tych lśniących od łez oczu rozproszyło jego podejrzenia. — On powiedział prawdę — przemknęło mu przez myśl.

— Dokądże to zamierzałeś uciec? — spytał zaciekawiony.

— To moja rzecz — odburknął zapytany hardo.

— Pewnie, że twoja — przystał Jerzy zgodliwie — ale czyś pomyślał o tym, chłopcze, jakie smartwienie i przestach wywoła ta ucieczka u twoich rodziców?

— Nie mam już rodziców — odparł małe cichutko; szybko zwiesił głowę, jak gdyby się wstydził łez, które nową falą do oczu mu nadbiegły. Nie uciekał teraz, szedł potulnie obok młodego zwycięzcy, dążącego na powrót ku rozbitej skrzyni, jakby tam zamierzał śledztwo prowadzić. A Jerzy, który także był sierotą, poczuł nagle sympatię do tego smyka; wszakże nie był on złodziejem, ale tylko niespokojnym duchem, marzyła mu się romantyczna ucieczka w skrzyni, którą na okręcie wysyłano w świat, i... także nie miał rodziców. Jakże zbliżały ich do siebie te okoliczności.

— No, dobrze, dobrze, mój mały — rzekł po chwili z powagą — ale jeśli ci w domu było tak ciężko...

— Och, strasznie ciężko, panie... strasznie! — westchnął niedoszły mieszkaniec skrzyni i wzdrygnął się. Widać nawiedziło go wspomnienie doznanych przykrości, krzywd, niesprawiedliwych kar i wszystkich tych gorczy, jakie często przynosi z sobą dola sieroca.

— Jeśli ci było tak ciężko — ciągnął dalej Jerzy — i jeżeli już koniecznie musisz zmykać w dalekie kraje, to czemu nie zrobić tego prostą drogą i legalną?

— Ale jak, panie, jak? Skąd wziąć na bilet do Afryki?

— Fiu, aż do Afryki?! Tam się jegomość wybiera? No, proszę, proszę... Wygadałeś się przecież.

— Tam mieszka mój jedyny brat, do niego chcę jechać, — przyznał się mały, ujęty łagodnością niedawnego przeciwnika. — Na bilet nie mam, a do roboty nie chcieli mnie przyjmą na żadnym statku.

— Nie dziwię się wcale — zauważył Rawski, przyszedł marynarz, mierząc krytycznym wzrokiem nikłą postać urwipolcia.

— Nie mam zatem innej drogi, jak skryć się w jednej z tych pak. Wybadałem już, że jutro załaduje się je na statek, który popłynie tam, dokąd ja muszę się dostać. I dlatego błagam pana na wszystko, niech mi pan nie przeszkadza w mej robocie. Przysięgam na pamięć rodziców, że mówię najszczerzą prawdę, że myśl o jakiejś tam kradzieży ani mi do głowy nie przyszła. Chcę tylko uciec od złej macochy, od tego piekła...

Mały smyk mówił to błagalnym, namiętym szeptem, ale bardziej od owych słów wymowna była prośba łzawych spojrzeń jego podłużnych, głębokich oczu; poprzez mgłę smętku przebijała z nich błyskotliwa inteligencja, silna wola, odwaga oraz wrodzona dobroć serca.

— Ej, dzieciaku, dzieciaku. Cóż ty myślisz sobie, że cię nie odnajdą w tej pace? — ozwał się Jerzy. — Jakże potrafisz od wewnątrz zabić te deski na powrót i zatrzeć ślady swego włamania do skrzyni?

— Pan to robi.

— Ach tak, na mnie liczysz! Jeszcze ja mam rękę przykładac? Nie, świat się kończy!

— Ja proszę, gorąco proszę. Niech pan ma litość nade mną, niech pan to uczyni dla mnie!

Jerzy umyślnie odwrócił głowę, aby nie patrzeć na tę smutną, wychudłą twarzyczkę, zadartą w górę i bladą jak opłatek w mlecznej poświacie księżyca. Aby nie dać poznać po sobie, jak bardzo jest wzruszony i bliski spełnienia prośby urwipolcia, odparł ze sztuczną rubasnością:

— Ani mi się śniło. Czy ty masz klepki w porządku, chłopcze? Czy pomyślałeś, że musiałbyś umrzeć z głodu w tym pudle?

— Mam ze sobą żywności na dwa dni.

— Na dwa dni, no proszę! Jegomość coś nietęgi w geografii, skoro liczy, że za dwa dni dotrze z Gdyni do Afryki. Za dwa dni, mój mały przyjacielu — ciągnął dalej Jerzy tonem wykładu — za dwa dni statek, wyruszający w podróż z Gdyni wypłynie zaledwie na Morze Niemieckie.

— Wiem o tym — odparł tamten rezolutnie — ale wiem także, jak trzeba się urządzić. Oto skoro miniemy Kanał Kiloński, wyjdę z kryjówki. Zwymyślają mnie trochę, lecz do wody przecież nie wrzucą, a później brat zapłaci za jedzenie, jakie dostanę na statku... Tak wszyscy robią.

— Wszyscy pasażerowie na gapę — dodał Rawski. — Widzę, że cię już wyuczono tych sztuczek... Tylko powiedz mi teraz, w jaki sposób wyjdiesz ze swojej kryjówki? Gdzie pewność, że ktoś usłyszy twoje wołanie i uwolni cię z zabitej paki? Gdzie pewność, że twej skrzyni nie ustawią w najodleglejszym kącie ładowni i nie przywalą na glucho setkami innych pak, beczek, worków? A jeśli będziesz musiał pozostać w tej skrytce niewygodnej kilka tygodni? Jeśli ci nawet powietrza zabraknie, to co? No, mów teraz, mędrku.

— Nie pomyślałem o tym — przyznał się przyszły podróżnik, i taki zawód odmalował się w jego wyrazistych oczach, że Jerzy orzekł w duchu z głębokim przekonaniem: — No, odechciało mu się nareszcie tej podróży. — Jakoż zmartwiony smyk ani słowem się nie sprzeciwił, kiedy jego rozsądny towarzysz podjął z ziemi obcegi i wyprostowawszy powykrzywiane gwoździe, zaczął przybijać na powrót trzy oderwane deszczułki do listew skrzyni. Przyglądał się tej robocie w milczeniu, ale znać było, że jego myśli są gdzieindziej, daleko stąd w każdym razie.

— Trzeba to położyć tam, gdzie przedtem leżało — rzekł Rawski, wskazując na obcegi i dłuto.

Zanieśli więc te narzędzia do schowka, w którym je sprytny urwis wypatrzył, śledząc z wieczora robotników, kończących pracę, po czym ruszyli razem w dalszą drogę ku miastu. W trakcie rozmowy dowiedział się Jerzy, iż jego przygodny towarzysz nazywa się Marian Ślaski, że mieszkał dotychczas w Krakowie i przyjechał stamtąd przed czterema dniami do Gdyni pospiesznym pociągiem, ale... pod wagonem, czyli znowu *na gapę*.

— Eeee, to z ciebie stary praktyk, widzę — rozśmiał się i poklepał przyjaźnie małego towarzysza, lecz w teże chwili „stary praktyk” osunął się na ziemię. Nie zemdlął jednak. Zesłał tylko i, kiedy Jerzy, zaskoczony wypadkiem, pochylił się nad nim, chcąc mu rozpiąć brudny, zmięty kołnierzyk, odsunął stanowczo jego rękę i wyszeptał zawstydzony:

— Zamroczyło mnie trochę. To pewnie z tego, że nic nie jadłem.

— Nic, nie jadłeś dzisiaj? — zdumiał się Rawski.

— Ani wczoraj. Muszę oszczędzać żywność — odparł.

Żywność, którą tak oszczędzał z uszczerbkiem zdrowia, składała się z kawałka niezbyt świeżej kiełbasy i kilku kromek chleba, zeszlęgo i twardego jak drewno. Toteż Jerzy odrzucił te zapasy pod drogowskaz, aby się nimi jaki pies bezdomny posilił, a potem zaciągnął niefortunnego podróżnika do pierwszej gospody, jaką spotkali po drodze.

Było tam prawie pusto. Za brudnym szynkwasem kiwał się sennie gospodarz, gruba kelnerka drzemała na krześle, a pod ścianą, naprzeciw głównych drzwi, gawędziło nad pustymi kufkami kilku brodatych marynarzy. Wejście dwóch młodych chłopców nie zwróciło niczyjej uwagi. Jerzy musiał kilkakrotnie dzwonić widelcem w talerz, zanim zaspana jejmość raczyła się podnieść ze swego krzesła. Przyczłapała do nich, pozbierała ze stolika talerze i szklanki po poprzednich gościach, zrobiła jaki taki porządek, i spojrzała pytająco na Jerzego, od niego snadź, jako od starszego wiekiem, oczekując zleczeń. Kiedy zapytał, czy nie mógłby dostać gorącego mleka, zachichotała nieprzyjemnym śmiechem.

— Mleka? — powtórzyła. — Piwo można u nas dostać, wódkę albo lemoniadę, ale skądże tutaj mleko? W szynku? Hi, hi, hi...

— A do jedzenia, co macie?

— Jest kielbasa, boczek, są śledzie, można by odgrzać bigos.

Jerzy kręcił nosem; obawiał się częstować Śląskiego na pusty żołądek tak ciężkostrawnymi przysmakami.

— Są także jajka — przypomniała sobie kelnerka.

— O, widzi pani; to coś dla nas — ucieszył się. Zamówił jajecznicę z czterech jaj, dziesięć kromek chleba z masłem i dwie herbaty. Wyczekali się dobrze, tak, że Jerzy nawet wyraził swe obawy, czy kelnerka nie zasnęła w kuchni nad patelnią. Ale w końcu zamówione przysmaki znalazły się na stole i wygłodzony malec zaczął je pałaszować. Jerzy, popijając herbatę, obserwował go spod oka; wiedział, że jedzenie jest sztuką oraz egzaminem wychowania człowieka, i ten mały egzamin wypadł dla Śląskiego bardzo korzystnie. Marian jadł dość szybko, lecz bynajmniej nie żarłocznie, i posługiwał się ze swobodną wytwornością widelcem, łyżeczką czy nożem, przy krajaniu zbyt dużych pająd chleba.

Jerzy, siedząc tyłem do szynkwasu, nie zauważył jednak, że jego mały towarzysz jest równocześnie przedmiotem obserwacji grubej kelnerki; aż nagle posłyszał jej głos nad swoją głową:

— Wygłodzone biedactwo. A ładne to, jak dziewczyna!

Rawski zachnął się srodze. Nie czuł nigdy sympatii do rodu niewieścigo, opowiadanie *urwipolcia* o złej macosze podsycało jeszcze jego niechęć, a już odezwanie się brzydkiej, rozczochranej kelnerki najmniej mogło te uprzedzenia osłabić.

— Niech pani sobie nie przeszkadza w drzemce — rzekł słodziutko, a odwróciwszy lekko głowę, zmierzył natrętą niewiastę tak nieprzyjaznym spojrzeniem, że odmaszerowała natychmiast na swoje miejsce.

— Słyszałeś?

— Tak — wyszeptał Śląski. Zarumienił się przy tym aż po uszy i czym prędzej zwiesił głowę niżej, tak że niemal nosem dotykał brzegu szklanki z herbatą.

— Oburzające! Kobiecie trzeba wybaczyć, ale jak ci kiedy jaki mężczyzna powie taki wątpliwy komplement, to wal w papę bez namysłu. Toż to ciężka obraza! No, niechby tak mnie kto do dziewczyny przyrównał; miałby się z pyszna! — odgrażał się Jerzy, skubiąc zawzięcie górną warzę, ponad którą było mnóstwo miejsca na przyszłe wąsy, ale chwilowo ani śladu zarostu.

— Mówmy o czym innym, choćby o mojej podróży.

— Jak to, jeszcześ jej sobie nie wybił z głowy?

— Cóż wart mężczyzna, który zraza się pierwszym lepszym niepowodzeniem?? — odparł Śląski z zagadkowym uśmiechem. — Postanowiłem odjechać, odszukać mojego brata, i jeszcze tej nocy muszę się wślizgnąć na jeden z tych statków, które odpłyną do portów afykańskich. I dokonam tego, albo zginę!

Jerzego zaswedził język, by wykić ten patetyczny okrzyk, wręcz śmieszny w ustach takiego malca; dojrawszy jednak w jego oczach stalowy błysk niezłomnego postanowienia i kurczowe zaciśnięcie małych ust, pohamował się w porę. I teraz dopiero, niewątpliwie pod wpływem uwagi nieproszonej kelnerki, zauważył istic dziewczęcą urodę dziecinnej twarzyczki Śląskiego, jej klasyczny owal i delikatnie wyrzeźbione rysy. — Rzeczywiście wygląda, jak baba — pomyślał z niezadowolaniem — ale posiada energię prawdziwego mężczyzny — pocieszył się zaraz w duchu i, po krótkim namyśle, postanowił nie odwozić Mariana od powziętego przezeń zamiaru. Uważał, że to utwierdziłoby go tylko w nierozsądnym uporze. — Wślizgnąć się na statek i znaleźć tam pewną kryjówkę, o, to wcale nietatwa sprawa. Skoro się smyk sam o tym przekona, zrezygnuje z pomysłu romantycznej ucieczki — rozumował słusznie.

Stosownie do obranej metody, pozwolił Jerzy Ślaskiemu wygadać się do syta, nie sprzeciwiał się więcej, wysuwał tylko małe i łatwe do zwalczenia trudności, w końcu oświadczył gotowość odprowadzenia go do portu.

— Nie jestem bynajmniej śpiący, chętnie chciałbym zobaczyć, jak morze wygląda w nocy, więc przejdę się z przyjemnością — zapewniał, kiedy Marian zaczął się wymawiać i prosić starszego towarzysza, by sobie z nim nie robił tyle kłopotu. — Pozwolisz też, młody przyjacielu, że uzupełnię nieco twoje zapasy żywności — dodał. Podszedł też zaraz do szynkwasu, kazał sobie zawinąć w papier spore kółko kielbasy, zakupił także bochenek chleba, uregulował cały rachunek, powrócił do stołu, do zadumanego Mariana i niebawem wyszli razem z gospody, odprowadzeni aż do drzwi natrętnymi spojrzzeniami majtków siedzących w głębi zadymionej sali.

— No, i jak wam się wydaje? — spytała gruba kelnerka, skoro drzwi się zamknęły za wychodzącymi. Ona to właśnie, przysiadłszy się przed chwilą do marynarzy, zwróciła ich uwagę na dwóch chłopców. — Niczego nie zauważyliście? — dopytywała niecierpliwie. — Nic wam nie podpadło?

Mężczyźni spojrzeli po sobie pytająco, kolejno wzruszyli ramionami, zaś brodaty bosman oświadczył po głębszym namyśle, że te „raki” wyglądały na skautów, zwłaszcza ów starszy, który zrobił tak wzorowy *wstecz zwrot* przed bufetem i maszerował krokiem pewnym, energicznym, niemal żołnierskim.

— Ale ja tego mniejszego mam na myśli — wtrąciła kelnerka.

— No więc co z tym mniejszym? Gadaj, jeśli wiesz.

— Pewnie, że wiem! Nie jestem ślepa jak wy — odparła chępliwie — i od razu poznałam, że ten mały chłopiec, to nie chłopiec!

Tęgi, puciołowaty rybak, któremu się już nieźle z czupryny kurzyło, wybałuszył swoje wodniste oczy, przeniósł zdumiony wzrok z mówiącej na towarzyszy, podrapał się za uchem i spytał nader wątpliwą polszczyzną:

— Co ona powiedział? Kłopiec, ale nie kłopiec? Czy ja dobrze słyszała, czy pila za dużo? —

— Eee, za dużośmy nie pili dzisiaj, tylko wy, Niemcy macie słabe głowy — zaśmiał się bosman — i dlatego pleciesz od rzeczy.

— Aber, Kamerad — rybak czuł się dotknięty — nie ja pleciesz, ale ona pleciesz. Bo albo była kłopiec, albo...

— ...albo **dziewczyzna!** — dokończyła kelnerka pospiesznie — no a mnie się bardzo wydaje, że to była właśnie przebrana dziewczyna!

Rozdział II *NA POMOC!*

Chłodny wiatr północny dął w stronę łądu od morza i wygrywał tęskne melodie na masztach, antenach i olinowaniu zakotwiczonych okrętów. Potężny, kamienny łamacz fał osłaniał port przed naporem rozkołysanych nurtów, lecz pomimo to, nawet w wewnętrznych basenach czama toń wody nie była spokojna. Ustawiczny plusk, chlupot i ciapkanie rozbrzmiewały dźwięcznie u stóp mola, czyli niskiej, a szerokiej grobli, która długim jęzorem wdarła się w zatokę i z pomocą równoległego do wybrzeży falochronu zabrała morzu pokaźny czworobok przestrzeni, tworząc z niej bezpieczną przystań dla statków.

I nie tylko chłodna, ale i ciemna była ta wiosenna noc. Chmury, niesione na skrzydłach wiatru, pogasiły gwiazdy, a srebrną tarczę księżycza zakryły grubą chustą obłoków. Latarki porozwieszane na okrętach rozwidniały czarny mrok tylko w promieniu kilku lub kilkunastu metrów, podobnie jak i lampy umieszczone na molo, których szklane klosze pył węglowy z dawna już osmalił i poczerzył, zaś krótkich błysków latań morskich, mrugających na siebie porozumiewawczo, w ogóle nie można było dojrzeć z niskiej grobli, bowiem kadłuby przycumowanych statków zasłoniły widok na morze.

Marynarze utrudzeni całodzienną pracą spali już od dawna kamiennym snem, również i robotnicy portowi. Prócz stróżów nocnych, którzy zaszyli się w jakieś kryjówki przed wiatrem, nie było na molo żywego ducha i czarne, milczące parowce wyglądały jak wymarłe okręty, czyli wraki, zapędzone przez prądy morskie i burze do brzegów legendarnej wyspy, która ma pono stanowić kres długich wędrówek dla wszelkich zaginionych statków.

Wśród mroków nocy, wśród posepnych poświstów wzmagającej się wichury, każdy przedmiot, nawet niewinny wagon towarowy, nawet kran wodociągu, przybierał inne kształty, bardziej poczarne, upiorne, straszne, więc co dopiero mówić o olbrzymich żurawiach wagon węgla na raz przenoszących za dnia, a teraz zastygłych w bezruchu, cichych, ale groźnych, przytłaczających zbląkanego wędrowca ogromem swoich rozmiarów. Wsparte na czterech masywnych łapach, z długą, żyrafią szyją wystrzelającą wysoko ponad całe otoczenie, wyglądały jak gdyby gigantyczne polipy, jak potwory, o których czytamy w bajkach, a które, być może, zapełniają niezbadane dżungle dna oceanów. Bo jakże niezmiernie mało wiemy o tych podwodnych pustyniach, puszczach, lasach, wulkanach, górach i dolinach, bo ileż jeszcze tajemnic kryje przed nami Morze!

Było więc zimno, ciemno i strasznie w ową ostatnią noc majową, lecz pomimo to wszystko Jerzy Rawski kroczył śmiało w stronę łamacza fał i z rozkoszą wciągał w płuca rześkie słone powietrze.

Przed dziesięcioma minutami wymienił pożegnalny uścisk dłoni z Marianem Ślaskim, którego uparł się odprowadzić do portu, a teraz, zamiast powrócić do hotelu, maszerował dziarsko w kierunku wręcz przeciwnym, bo w stronę morza. I nic dziwnego zaiste, że tak postąpił. Przecież marzył o morzu od najmłodszych lat, na długo jeszcze przedtem, zanim wpadły mu w rękę książki Jacka Londona, na długo przedtem zanim potrafił zrozumieć tę przepiękną epopeję morską, która się zwie *Tajfun*, i zanim przeczytał inne utwory niedoścignionego piewcy żeglarstwa, Conrada-Korzeniowskiego. Później zaś, pod wpływem tej lektury, budzącej głód dalekich podróży morskich

i żądę nadzwyczajnych przygód, dojrzał w nim zamiar obrania sobie zawodu żeglarsza. I stało się, że ukochał morze, znając je tylko z książek, gdyż ciężkie warunki, wśród jakich przeżywał się przez życie, nie pozwoliły mu dotychczas przyjechać tutaj.

Aż dzisiaj! Dzisiaj dopiero świeżo upieczony maturzysta zawiał do Gdyni i prosto z dworca popędził na plażę. Wynajął łódkę, wiosłował dopóki źle oheblowane wiosła nie przetańczyły mu skóry, potem pływał, kąpał się i pływał w morzu, aż głód przypomniał mu w końcu, iż nie jadł nic od rana; a słońce właśnie zachodziło! Na chybił trafił wszedł do jakiejś taniej restauracji i tutaj spotkał Witolda Bulicza, starszego brata swego kolegi. Razem zjedli kolację, zasiedzieli się do godziny dziesiątej, po czym Jerzy ofiarował się odprowadzić marynarza, mimo jego sprzeciwów i rubasznych uwag, że *żółtodzióbom pora spać...*

Jerzy omal się nie obraził. Ani północ nie była mu dziwną, niezwykłą godziną, nie tylko w okresie wytężonej pracy przed egzaminem dojrzałości, lecz i przedtem. Bo straciwszy bardzo wczesnie rodziców, a nie posiadając ani majątku, ani zamożniejszych krewnych, utrzymywał się z udzielania lekcji mniej zdolnym kolegom, skutkiem czego własne zadania musiał odrabiać późnym wieczorem. A cóż dopiero powiedzieć o ulubionej lekturze Londona i Conrada, na którą za dnia nigdy czasu nie stało.

Więc nie pilno mu było do łóżka w dniu tak uroczystym jak dzisiejszy i bez wahania byłby się ofiarował dotrzymać towarzystwa marynarzowi, nawet, gdyby ten musiał iść pieszo do Okywiu, byle tylko jak najdłużej móc słuchać ciekawych historii o podróżach w dalekie egzotyczne krainy. Zresztą Jerzy Rawski nie tylko dla przyjemności, czy z powodu swej tęsknoty za nigdy niewidzianym morzem przyjechał do Gdyni. Postanowiwszy już z dawną poświęcić się zawodowi żeglarsza, pragnął zawczasu popytać się na miejscu o warunki przyjęcia do Szkoły Marynarki Handlowej, przeniesionej tu z Tczewa, i skorzystał skwapliwie ze sposobności, jakiej mu łaskawy los dostarczył zaraz w pierwszym dniu pobytu w Gdyni, w formie spotkania z Witoldem Buliczem, niegdyś uczniem tej samej szkoły, dziś już „starym”, doświadczonym wilkiem morskim.

A kiedy się nagadali do syta, kiedy rosła sylwetka Bulicza zniknęła w strefie cienia poza burta statku, Jerzy Rawski zapragnął raz jeszcze w tym dniu pamiętnym dłoń spojrzeć na morze. Wabiło go ku sobie poszumem fali chłostanych biczem zimnego wiatru, który przeciętego piecucha byłby właśnie wypłoszył stąd i zapędził do ciepłego łóżka. Był zmęczony całonocną podróżą w wagonie, czuł w nogach odrobione kilometry spacerów i w rękach tysięczne zrywy wiosel, ale tajemniczy magnes silniejszy był ponad to wszystko. Wyruszył więc w drogę, lecz zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, zwróciły jego uwagę owe tajemnicze łoskoty, skrzypnięcia, które doprowadziły do zawarcia znajomości z Marianem Ślaskim. Ta mała nocna przygoda opóźniła o prawie dwie godziny wycieczkę do łamacza fali, podjętą teraz na nowo z młodzieńczym zapałem i uporem, choć wieżowe zegary Gdyni były właśnie dwunastą.

— O, już północ — Jerzy zdziwił się tylko, ale nie zawrócił.

Wreszcie dotarł do celu swej wędrowki i zęcnie wspiął się na sam szczyt falochronu. Musiał usiąść na nim, aby nie stracić równowagi, bowiem wiatr dął tutaj w najlepsze, nie napotykał żadnych przeszkód ani osłon. Ale czymże był ten wiatr, słabszy zresztą od halnego, z którym Jerzy zapoznał się w Tatrach, wobec innego żywiołu, wobec Morza! Było niewidzialne w ciemnościach, niekiedy tylko zajaśniał biały grzebień fali, lecz jakże majestatyczne, potężne, jakże groźne w swoich odgłosach. Z niesłabnącą energią szturmowało kamienną barierę wzniesioną przez ludzi; odparte, wilo się u jej stóp, kąsało je w bezsilnej wściekłości, a otrzymawszy posiłki w dalszej fali, rzucało się do nowego ataku, ponowną zakończoną klęską.

Jerzy miał w myślach wizję tej odwiecznej walki pomiędzy najstraszliwszym żywiołem a dziełami rąk ludzkich i nie mógł się opędzić uczuciu radosnej dumy, że należy do gatunku tych słabych, krótkowiecznych istot, które potrafiły ujarzmić nigdy nie starzejącego się olbrzyma.

Ale nie zawsze!

Znał na pamięć długą listę katastrof okrętowych z ostatniego dziesięciolecia, a przecież była ona niczym wobec nieprzeliczonego szeregu zwycięstw Morza nad ludzkością i wobec takich jego tryumfów jak...

— **Atlantyda!** — wyszeptał zadumany młodzieniec. Pobudliwa wyobraźnia stworzyła mu na poczekaniu łąd olbrzymi, łączący Afykę z Ameryką południową, zamieszkały, być może, przez miliony ludzi, łąd, który pewnego dnia zapadł się w głębiny Atlantyckiego Oceanu. Jego żywa fantazja wyczarowała mu od razu miasta ogromne, ludne, otoczone białymi murami, świątynie marmurowe, lasy pełne zwierząt, jakich dziś nie spotykamy, nie znamy zupełnie, ba, nawet cuda techniki i pomniki kultury, przed którymi i my, dzieci dwudziestego stulecia, musielibyśmy czoła pochylić z szacunkiem.

— To był kąsek godny ciebie, stary rozbójniku — mruknął Jerzy z niechęcią, gdyż współczuł zawsze doli nieszczęśliwych mieszkańców Atlantydy i często o nich rozmyślał. Lecz zaraz pchnął myśli w inne koryto; nie chciał się usposabiać nieprzyjaźnie wobec Morza, które nie tylko tyranem jest dla ludzi i wrogiem podstępny, ale i dobroczyńcą, żywicielem, hojnym chlebowadwą, zwłaszcza dla żeglarzy i rybaków. A przecież on, Jerzy Rawski, zamierzał zostać marynarzem! Odegnął więc precz myśli, przywodzące mu na pamięć różne grzechy Morza, za to całą uwagę poświęcił spostrzeżeniom umysłów.

Słuchał...

U jego stóp przewalało się coś w ciemnościach z piekielnym skowytym, z wyciem, z szumem, z sapaniem, jak gdyby dwie armie mitycznych cyklopów walczyły z sobą na śmierć i życie. Niewypowiedziana groza wionęła chłopcu w twarz z tego pobojuwiska, usłanego trupami zmiażdżonych łał, po których nowe hułce parły z nieustanym rykiem na kamienny szaniec.

Patrzył...

Mdłe błyski światła z odległych latarni morskich ukazywały mu na mgnienie oka, lecz za to w równych odstępach, owo pobojuwisko, niespokojne, ruchliwe, zryte wirującymi lejami, zjeżone milionem pędzących kopców, z których raz po raz wystrzelały szumiące gejzery, wodotryski. Niekiedy znów wzburzona powierzchnia wody układała się tu i ówdzie w maski kamawałowych straszdeł; na czarnym jak smoła tle wykwitwały nagle białe ślepie, rozwierały się potworne gęby, pluły pianą wściekłości i wysuwały z sykiem lepkie jezory ku oślizgłym głazom łałochronu.

Jerzy patrzył i oczom nie wierzył.

Byłoż ono tym samym morzem, które za dnia podziwiał? To cudne, łagodne, szmaragdowe, co złote piaski wybrzeża miłośnicie całowało? Co jego łódkę i tysiące czółen, kutrów, okrętów niosło na grzbiecie pokornie, lekko je tylko kołyszając? Co zdumiewało swą wieczystą młodością i słońcu za zwierzadło służyło, równie pogodne, uśmiechnięte, łaskawe i dobroczynne, jak ta złota kula słoneczna, będąca źródłem życia na naszej planecie?

A jednak to było to samo morze! Tylko zrzuciło maskę i pokazało swoje prawdziwe oblicze, stare, gniewne, pomarszczone oblicze, poryte bruzdami i świadczące wymownie o odwiecznej nienawiści Morza ku Ziemi i jej synom. Tak je Conrad odmalował i takim jest ono naprawdę.

— I takim cię wolę mimo wszystko — wyszeptał Jerzy, wodząc nieustraszonym wzrokiem po wzburzonych odmętach.

Ocknął się z zadumy, bowiem ujrzał w oddali trzy światelka, dwa białe, a poniżej i w środku między nimi, najślabsze, zielone. Lewostronne światło na okrętach jest zawsze czerwone, więc ten statek dążył na wschód, mając wybrzeże po swej prawej stronie.

— Łąd po sterborcie — rzekł Jerzy. Uśmiechnął się na wspomnienie zdziwionej miny porucznika Bulicza, kiedy popisał się przed tym wilkiem morskim znajomością wielu fachowych wyrażań marynarskich.

Widok dalekiego okrętu, żeglującego zwycięsko w ciemną, burzliwą noc, skrzepił w chłopcu odwagę, troszkę zachwianą niesamowitymi odgłosami rozgrzmołu fiał, opryskujących mu nogi fontanną rozbitych kropel, i ponurą ciemnością, i poświstami wichru, usiłującego go zepchnąć z kamiennego muru wprost w objęcia ryczących grzywaczy. Widok okrętu przypomniał mu, że on, Jerzy Rawski, powiększy niebawem grono śmiałych zwycięzców Morza i przeto musi trwożę wygnać z serca raz na zawsze. Podniósł się więc, włożył ręce do kieszeni i spojrział wyzywająco na potężny żywioł, szalejący pod osłoną czarnej nocy, a potem ruszył przed siebie szczytem kamiennego muru, śpiewając co tchu w piersiach starą, znaną powszechnie pieśń: *Wesoło żeglujmy, wesoło*.

Dotarł właśnie do końca owego muru, do żelaznego słupka kolorowej latarni, kiedy cichsze tchnienie wiatru przyniosło mu z morza znajome echo pracującego motoru spalinowego. Po krótkich poszukiwaniach sprawcy tych odgłosów ujrzał słabe, żółte światelko, podskakujące nieustannie ponad wzburzoną powierzchnią wody.

— Kuter? Na taką pogodę? — zdziwił się. Jego zdziwienie było usprawiedliwione, gdyż niewielkie, jednomasztowe stateczki rybackie, zaopatrzone w motorek, a zwane kutrami, nie opuszczają przystani przy takiej pogodzie, jaka była w ową noc, dla Rawskiego przełomową, niezapomnianą poki życia.

— Połów się przeciągnął — rozmyślał — albo zapędzili się zbyt daleko na pełne morze, by w porę uciec przed wihrem.

Jerzy porządnie śpiący i postanowił przed chwilą, że tym razem nieodwołalnie pomaszeruje najkrótszą drogą do hoteliku, w którym sobie zapewnił nocleg. Lecz przyjazd kutra był dlań znowu czymś nowym, niezwykłym, był wydarzeniem, dla którego opłacało się jeszcze kilka czy kilkanaście minut poświęcić.

Naprzeciw latarni, o którą Rawski opierał się plecami, mrugała czerwonym światłem druga, bliźnia siostra tej tutaj, i również na cyplu podobnego muru wzniesiona, a przestrzeń pomiędzy dwiema kamiennymi barierami stanowiła jak gdyby ogromne wrota właściwego portu. Kierowca zbliżającego się kutra miał więc łatwe zadanie, wystarczyło mu wycelować dziób małego stateczku pomiędzy obydwoma kolorowymi światłami, a mógł być pewny, że nie wpadnie na moło, ani nie ugrzęźnie w piasku, ale trafi do przystani.

— Cooo? Już zamyka motor?

Jerzy zdumiał się szczerze. Wiedział, czytał o tym, że każdy statek tak długo może sobie kpić ze wzburzonego morza, jak długo jego śruba pracuje nienagannie. Nie mógł więc zrozumieć, dlaczego tamten nieznaną żeglarz wykonał tak ryzykowny manewr właśnie w momencie, w którym zbliżał się do wrót portu, gdzie przede wszystkim należało panować nad kutrem, aby go fiale nie roztrzaskały o głazy fiałochronu. A słyszał doskonale, że ścichł warkot małego silnika i widział już skutki tego faktu. Oto żółtawe światelko latarki zawieszanej na maszcie kutra, to światelko, podskakujące dotychczas na dół i w górę w mniej więcej miarowych odstępach, zaczęło się chwiać we wszelkich możliwych kierunkach, wykonując równie dzikie pląsy, jak rozkołysane pod nim

czarne nurty morza.

— Co to ma znaczyć?

Rawski był szczerze zaciekawiony, co to za kuter i z jakich powodów zwolnił niemal u progu przystani, ku której zdawał się dążyć pełnym gazem dotychczas, jak gdyby umykał przed wichrem.

— Przemysłowcy? Czy może miny zakładają, aby Gdynię zablokować?

Najbardziej fantastyczne przypuszczenia rodziły mu się w wyobraźni, zawsze niespokojnej, pobudliwej, a w dodatku karmionej obfitymi dawkami awanturniczych powieści i filmów.

— Wrrrr! — zawarczało głośno na kutrze, silnik przemówił znowu, ale tylko przez kilkanaście sekund pracował jako tako; potem zakrzusił się, charknął parę razy i umilkł, tym razem już na dobre.

— Rozumiem — domyślił się Jerzy; — silnik mu się zepsuł. Przed Gdynią, tuż przed portem. A to pech prawdziwy! Ciekawym, jak teraz sobie poradzą. Rozwiną żagiel? E, chyba nie. Wiatr podarłby go na strzępy. Zaczną wiosłować na pewno.

W tej samej chwili mdłe światelko pochyliło się tak niziuteńko, że Rawski wydał okrzyk zgrozy:

— Utonął!

Odetchnął z ulgą.

— Nie dał się! — rzekł ucieszony, zoczywszy znów latarkę, która w dwie sekundy później wykonała drugi ukłon, równie głęboki, jak pierwszy, potem trzeci, czwarty, dziesiąty. — Aha, kuter stanął bokiem do fali. Oj to niebezpieczne!

Wtem... poprzez zgłębienie wicheru i morza dobiegł Jerzego rozdzierający okrzyk trwogi:

— Tone! **NA POMOC!**

Jerzy odlepił się od słupa latarni, postąpił dwa kroki naprzód tak, że stanął na samej krawędzi muru.

— Jezus, Maria, co począć? — jęknął. Pływał zbyt słabo, aby sam siebie potrafił utrzymać na powierzchni przy tak niespokojnym morzu, cóż dopiero mówić o ratowaniu drugiego człowieka. Nic by tamtemu nie pomógł, a sam by utonął po upłynięciu dziesięciu kroków, jeżeli fale pozwoliłyby mu w ogóle odbić od muru.

Ale tylko przez krótką chwilę trwało jego wahanie i bezradność. Posłyszawszy ponowny okrzyk i widząc, iż światelko dalej tańczy, jak tańczyło, postanowił pospieszyć tamtemu z pomocą w sposób bardziej rozumny. Przedtem jednak chciał rozbitkowi rzucić kilka słów zachęty odgadując trafnie, iż głos ludzki i zapowiedź ratunku doda otuchy żeglarzowi.

— Hallo! Hop! Hop! — huknął, co tchu w płucach, złożywszy dłonie w trąbkę przy ustach.

— Słyszycie mnie?

— Tak — dobiegło z ciemności. — Motor się zepsuł, fale ponoszą kuter. **Ratujcie!**

— Trzymaj się, człowieku — wrzasnął Rawski. — Wiosło masz?

— Mam.

— Ustaw kuter dziobem do fali.

— Nie słyszę — odparł głos, ciszej tym razem, bo wiatr silniej zadął.

— Trzymaj się! Ja biegnę po ludzi. **Po ludzi!** Słyszysz?

— Tak. Tylko prędko, na Boga!

To zaklęcie było zbyt skuteczne, gdyż Jerzy, przejęty do głębi swoją misją, popędził jak szalony, nie dbając o to, że może zbroczyć z muru i runąć w morze. Kiedy go to omal nie spotkało, zwolnił biegu, ale odbił to sobie w dwójnasób, skoro znalazł się na szerokim molo. Ściągał się nieraz z

kolegami, na ogół zwyciężał w tych biegach, wyrównując brak treningu właściwą sobie ambicją; rzadko tylko pozwolił się wyprzedzić jakimś lekoatlecie z gimnazjalnej lawy, lecz nigdy jeszcze nie gwał z taką furią jak tej nocy pamiętnej. I nic dziwnego, wszakże stawką było tym razem życie ludzkie!

Potknął się kilkakrotnie na jakichś niewidzialnych w ciemności przeszkodach, raz nawet potłukł się dotkliwie, uwikławszy rozpedzone stopy w blaszanej obręczy, która widać spadła ze źle obitej skrzyni, ale to bynajmniej nie osłabiło jego zapału; przeciwnie, podnieciło go tylko i do zenitu podniosło w nim żądzę zwycięstwa nad ślepym losem, w którego mocy pozostało życie nieznanego żeglarza.

— Żebym tylko spotkał, kogo trzeba... żeby tylko zdążyli na czas — powtarzał sobie w myśli.

— Stać! Kto tam? — zabrzmiał nagle na pół groźny, a na pół zaspany głos i w odległości kilkunastu kroków przed Jerzym wytrysnął snop olśniewająco białego światła.

— Kuter... tonie... przy... łama... czu — wykrztusił Rawski zdyszany głosem, wpadłszy w męskie objęcia jakiegoś jegomościa.

— Kuter? Terefe. Gadaj no prawdę, ptaszku, przed kimżeś tak zmykał, he?

To niedowierzanie oburzyło Jurka do żywego. W innym wypadku powiedziałby zaspanemu jegomościowi *coś do słuchu*, gdyż w świetle latami portowej poznał, iż nie z policjantem sprawa, a tylko policjant ma prawo legitymować spotkanego człowieka. Lecz tutaj chodziło o życie rozbitka i nie wolno było marnować cennego czasu na czupurne odpowiedzi i sprzeczkę. Toteż wręczył nieznanemu swoją legitymację, zaklął się na pamięć rodziców, że mówi prawdę, a znierpliwoyego jego powolnością, rzekł ostro:

— Pan poniesie odpowiedzialność, jeżeli ten kuter zatonie!

— Dobrze, dobrze kotku, ale ty poniesiesz odpowiedzialność, jeżeli się okaże, iż alarm był fałszywy. A teraz chodźmy, koteczku.

Jerzego znowu zaszedł język. Jakim prawem ten człowiek mówił mu na *ty*, nazywał go lekceważąco *kotkiem* i traktował z łaskawą pobłażliwością, jakby dzieciaka? — No, żeby nie ten nieszczęśny rozbitek, już bym ja cię nauczył grzeczności, ty zaspany gburze — mruknął pod nosem, a głośno dodał: — Może by tak szanowny pan troszkę przyspieszył kroku, co? Bo idąc w takim tempie, na rano chyba staniemy u celu, uważam.

Niewiele to jednak pomogło, a raczej zaszkodziło, bowiem gburowaty stróż nocny oświadczył, że nóg sobie zrywać nie myśli, i szedł nadal normalnym krokiem; snadź albo nadal nie wierzył w prawdziwość słów chłopca, albo należał do tych złych ludzi, którzy są nieczuli na niedolę bliźniego, lecz za to powodzenia mu zazdroszczą.

Cierpliwość Rawskiego była wystawiona na ciężką próbę, i wiele razy jeszcze musiał opowiedzieć historię o kutrze, który stał się igraszką fał, wiele czasu upłynęło, zanim portowa motorówka odbiła od molo. Jerzego wzięto na jej pokład, stróż nocny także się tam wkręcił nie wiedzieć po co, dogadując chłopcu ustawicznie, aż ten, znierpliwoyony i rozgniewany, rzekł głośno do brodatego sternika w ceratowym płaszczu:

— Jeżeli przybędziemy za późno, winę ponosi ten człowiek! To wam oświadczam, i powtórzę to w sądzie!

Mówiąc te słowa, wskazał na dokuczliwego gbura, który odburknął coś niegrzecznie, ale usunął się w cień, najwidoczniej zmieszany i przestraszony.

— Odczepił się nareszcie — pomyślał Jerzy. Mógł teraz całą uwagę poświęcić motorówce,

która mknęła jak jaskółka, prując ostrym dziobem zmarszczoną powierzchnię wody oświetloną potężnym reflektorem umieszczonym na daszku budki sterniczej. Zaczęła się kołysać dopiero wtedy, gdy minęła latarnie, u stóp której stał Jerzy, kiedy zabrzmiał ów okrzyk rozdzierający: *Na pomoc!*

— Gdzie pan go widział? — spytał poważny sternik.

Rawski wskazał w lewo i z całej mocy uchwycił się jakiegoś drążka, aby nie wylecieć za burtę, bowiem brodacz obrócił natychmiast koło sterowe, zaś posłuszna motorówka aż się na boku położyła, skutkiem ostrego zwrotu.

— Trzymać się dobrze — upomniął sternik.

— Troszkę spóźniona przestroga — uśmiechnął się Jerzy. — Na szczęście jestem dość przytomny.

Fale były teraz w prawą burtę pędzącej łodzi, opryskując załogę fontannami kropel, i rozpoczęło się boczne kołysanie, nieco mniej dokuczliwe od podłużnych skoków, ale zawsze przykre dla nienawykłych do chwiejby statku. I Jerzemu zrobiło się niebawem jakoś dziwnie nieswojo.

— Czyżby się zanosilo na morską chorobę? — pomyślał z niepokojem. Starał się nie myśleć o tym, wiedząc już od Bulicza, że sugestia sprowadza morską chorobę równie szybko jak niedyspozycja żołądka. — A ja dzisiaj jadłem jeden raz tylko — przypomniał sobie zmartwiony.

Odsunął się w stronę rufy motorówki i spotkał szyderczy wzrok stróża nocnego.

— Gdzież ten kuter, koteczku? — spytał ów słodko, a zjadliwie; potem, dostrzegłszy snadź niewyraźną minę chłopca, powiedział coś do obok stojącego majtka i obaj zarechotali zgrzytliwym śmiechem.

— Chcielibyście, żebym wam dał widowisko, co? Niedoczekanie wasze!

Jerzy zmełł w zębach tę odpowiedź, zacisnął wargi i, nadrabiając miną, powrócił do sternika, ślubując w duchu, że się nie da zmóc chwiejbie.

Motorówka, dzięki swojemu pędowi, zbliżyła się już do portu wojennego w Oksywiu, jej reflektor przeszukał ogromny szmat wzburzonego morza, z wynikiem ujemnym, niestety; kutra nigdzie nie było.

— Zatonął — westchnął Rawski.

— Albo pewien młody pan chciał się przejechać dobrą motorówką, bez kosztów — syknął mu nad uchem stróż nocny.

Jerzy puścił mimo uszu tę nową wstrętą zaczepkę, uważając, iż sam by sobie ubliżył, gdyby się wdawał w dyskusję z takim indywiduum, a tymczasem sternik skierował łódź w prawo.

— Wracamy? — rozczarował się chłopiec, kiedy zatoczyli duży łuk i przed podskakującym nosem motorówki ukazały się dwie kolorowe latarnie, znaczące w mrokach nocy wejście do portu gdyńskiego.

— Wprzód przeszukamy drugą stronę — odparł sternik.

Pędzili teraz wprost na drewniany pomost spacerowy i przycumowane przy nim parowce pasażerskie żeglugi przybrzeżnej, które Jerzy już znał, bowiem oglądał je za dnia; wymieniał je teraz półgłosem, starając się odgadnąć, które światełka należą do *Wandy*, *Jadwigi*, *Hanki*, *Gdyni* czy *Gdańska*.

— Jest!

Rawski obejrzał się, zwrócił wzrok w tę stronę, w którą wskazywał majtek manewrujący reflektorem, i przy końcu olśniewająco białej smugi światła zoczył kuter. Małeńki stateczek rybacki wyglądał jak łupina orzecha, zaś jego maszt zdawał się być cieńszy niż zapalka.

— Gotów — syknął jeden z marynarzy i strzepnął palcami. — Nie zdążymy.

— Jak to? Dlaczego?

— Bo go łała na głazach rozłupiał!

Rzeczywiście, zanosilo się na to. Kuter, którego zniosło silnie w stronę pomostu, znajdował się właśnie koło wschodniego krańca kamiennego wału, niemal u stóp strasliwej bariery, a każda łała przybliżała go do niej i przybliżała równocześnie moment katastrofy, zda się, nieuniknionej. Bo nie ulegało wątpliwości, że drewniana łupina rozsypie się w drzazgi po jednym uderzeniu o głazy, jak również było nieprawdopodobne, by człowiek znajdujący się w kutrze zdołał się wiosłem odepchnąć od muru i przezwyciężyć potężny napór oszalałych łał.

— Gotuj line!

Dwóch majtków pobiegło na dziób motorówki, która pędziła jak strzała w stronę zagrożonego kutra i łała zdawała się prześcigać w biegu.

Jerzy patrzył w niemym podziwieniu na sternika. Ów zaś rzucał słowa komendy głosem tak spokojnym, jak gdyby chodziło o rzecz najprostszą w świecie, zwykłą, codzienną, a równocześnie gnał pełnym gazem wprost na łamacz łał. Kamienna barykada zbliżała się do nich z przerażającą szybkością, rosła w oczach, zdawała się biec im naprzeciw.

— Czy on oszalał? — przemknęło chłopcu przez myśl. — Przecież rozbijemy się na miazgę.

Z wyraźnym przestachem zerknął na brodacza, który zapewne zrozumiał to spojrzenie, bo uśmiechnął się leciuteńko i rzucił przez zęby:

— Trzymaj się, chłopcze... Uwaga!

Rawski zrozumiał, że teraz nastąpi nagły zwrot. Uchwycił się oburącz żelaznej poręczy, a niemal w tym samym momencie motorówka przechyliła się gwałtownie i w dwie sekundy później mknęła już równolegle do kamiennego wału. Turkot jej silnika osłabł, przycichł, snadź sternik zmniejszył jego obroty. W wolniejszym tempie zbliżali się do kutra, który swoją rufą niemal dotykał głazów, wynurzających się z wody i znikających na przemian pod wyjącmi łałami.

Majtek stojący na dziobie motorówki odwrócił się, wykonał ręką okrągły ruch, niezrozumiały dla Jerzego, lecz całkiem jasny dla sternika, który natychmiast poruszył kołem sterowym. Drugi marynarz wyskoczył na blaszane pokrycie przedniej części motorówki i rozkroczywszy się, stał tam pewnie pomimo szalonego kołysania; obaj trzymali w dłoniach linki zwinięte w kilkanaście kótek.

— Jak łało — mruknął Rawski, wspomniawszy sobie książki czytowane w swoich chłopięcych latach o Indianach i cowbojach z amerykańskich prerii.

Kiedy motorówka zbliżyła się na jakie dwanaście metrów do kutra, pierwszy majtek cisnął swój arkan; linka przecięła powietrze ruchem łałistym, wężowym, ale jej koniec nie dotarł do burty kutra i spadł na wodę.

— Trzymaj! — wrzasnął drugi marynarz na rybaka w kutrze, oślepionego trochę jaskrawym światłem reflektora, po czym rzucił swoje łało. Tym razem udało się lepiej. Koliste zakończenie linki spadło dokładnie na wyciągniętą dłoń rozbitka. Pochwycił oburącz zbawczy sznur, rzucił się pospiesznie w stronę dziobu swego kutra, aby go tam przymocować, a tymczasem rozpędzona motorówka przemknęła koło tego miejsca, bowiem sternik, przekonany, że dzieła już dokonali, zwiększył obroty silnika. Odczuli też wszyscy szarpnięcie świadczące, iż motorówka stała się holownikiem i powlecze za sobą tamtego „inwalidę”, kiedy tuż za plecami Jerzego rozległ się jęk bólu i ktoś runął na pokład jak długi. Był to ów stróż nocny portowy, a przypadkowym narzędziem kary za jego gburowatość była linka holownicza, która pękła niespodziewanie i dzięki nagłemu zerwaniu sprężyła się jak tasiemka gumowa.

Musieli nawrócić i powtórzyć poprzedni manewr, co poszło tym łatwiej, że owo niefortunne

szarpnięcie odciągnęło przecież kuter na kilkanaście metrów od niebezpiecznej bariery falochronu. Tym razem użyto do holowania kutra grubszej liny, a powrotna droga do portu przeszła bez wszelkich przygód.

— Poszło jak po maśle — cieszył się sternik i zadziwił Jerzego powiedzeniem, iż niekiedy akcja ratownicza trwa kilka godzin, a bywa i tak, że mimo bohaterskich wysiłków, nie można się w ogóle zbliżyć do statku, który stał się igraszką fali. — Tak, tak, młodzieńcze; morze bardzo niechętnie wypuszcza z morderczych szponów to, co już uznało za swoją zdobycz. Ale nie dbamy o jego widzimisię i robimy, co można — rzekł w zamyśleniu, a po chwili dodał jeszcze: — Tym razem poszło nam rzeczywiście gładko. Inna sprawa, że gdyby nie twój alarm, mój młody przyjacielu, to tamten obywatel byłby sobą wężorze pożywił.

— Wężorze? — Jerzy powtórzył machinalnie, nie zastanawiając się, co mówi...

— A tak. Te paskudne stworzenia zawsze się dobierają do topielców, toteż, choć przepadam za rybami, wężorza nie tknę nigdy.

Stary wilk morski, który przedtem rzucał tylko krótkie słowa komendy, teraz, gdy wyprawa zakończyła się pomyślnie, stał się niezwykle rozmowny. Pochwaliwszy raz jeszcze Jerzego za przytomność umysłu i szybkie zaalarmowanie szalupy ratunkowej, zaczął żartować ze stróża nocnego, któremu na policzku i karku wykwitła szeroka na palec pręga, aż w końcu dobrał się do ocalonego rozbitka. Powierzywszy ster motorówki jednemu z majtków, przeszedł wraz z Jerzym na rufę, skrócił nieco linkę holowniczą i zakrzyknął na jedyne go pasażera kutra.

— Wyście z Helu, widzę — zaczął, rzuciwszy okiem na czarny napis umieszczony po obu stronach dziobu kutra. Znajdowali się już w obrębie portu, gdzie stosunkowo było znacznie ciszej, niż tam, poza łamaczem fali, silnik motorówki szedł na zredukowanym gazie tak, że można było niezgorzej rozmawiać z łodzi do łodzi. — Cóż to, daliście się wichurze zaskoczyć na morzu? — dopytywał.

— Gdzieby zaś, panie. Wypłynąłem umyślnie z Helu, aby tu przybyć jak najprędzej. Żona mojego sąsiada, Palucha, ciężko zaniemogła. Dopraszała się koniecznie, by jej chłopą przywieść, bo może już się z łoża nie zdźwignie nieboraczka. Co miałem robić?

— A kolej? Trzeba było przyjechać pierwszym pociągiem.

— Ba, kiedy pierwszy pociąg odchodzi przed szóstą rano, a na południe dopiero tu przychodzi.

— No, trochę wcześniej — zauważył sternik.

— Ale statku mogłem już nie zastać.

— Jakiego znów statku?

— Ano widzicie, Michał Paluch jest palaczem na *Chrobrym*, a *Chrobry* ma jutro wyjść w morze i wróci do Gdyni za trzy miesiące dopiero.

— Przed południem *Chrobry* na pewno nie wyjdzie w morze — wtrącił Jerzy Rawski. — Wiem to od porucznika Bulicza, drugiego oficera *Chrobrego*, mamy się zresztą zobaczyć o trzeciej południu.

— No widzicie — mruknął sternik.

— A skąd ja to mogłem wiedzieć, panie, że *Chrobry* nie odpłynie przed południem? — odparł rybak. — Zresztą Paluchowa tak prosiła. Może ona naprawdę jutra nie doczeka.

— W porządku; nie musicie się tłumaczyć — przerwał znowu sternik — postąpiliście jak mężczyzna i dobry sąsiad. Tylko jakie licho nie pozwoliło wam dotrzeć do Gdyni, he? Motor się zepsuł?

— Tak i myślałem z początku, jednak to nie to.

— Tylko?

Pocziwy rybak wyznał z pewnym zawstydzeniem, że mu paliwa zabrakło; na wyjeźdym w pośpiechu nie zajął do zbiornika.

— No to jeszcze możecie sobie powinszować, że wam motor nie stanął w połowie drogi.

Bylibyście zgubieni mruwanie.

— Pan Bóg strzegł, widać — westchnął odważny żeglarz.

Tak rozmawiając, przybili do mola. Tu ów ocalony rybak, dowiedziawszy się od sternika, komu zawdzięcza ratunek, podszedł do Jerzego, zdjął czapkę, podrapał się za uchem, chrząknął dwa razy i... nic nie rzekł.

— Nie ma o czym mówić, spełniłem swój najprostsz obowiązek wobec bliźniego — powiedział Rawski, domyśliwszy się z łatwością, z czym przychodzi ten dzielny człowiek, choć kiepski mówca. — I co teraz zamierzacie uczynić? — spytał życzliwie, uściskawszy szorstką dłoń rybaka.

— Ano poszukam tego okrętu, zabiorę Palucha i zaraz odpłyniemy kutrem na Hel.

— Tylko znów nie zapomnijcie benzyny — parsknął sternik.

Jerzy dał rybakowi wskazówkę, gdzie odnajdzie okręt, po czym pożegnał się ze wszystkimi i ruszył rażno w stronę miasta, aby wreszcie odespać tyle godzin bezsennych. Szedł ostro, nie czując ani trochę zmęczenia, bowiem rozpierało go szczęście, że dwukrotnie tej nocy zachował się jak prawdziwy mężczyzna. I, jak nie spodziewał się wczoraj, kiedy zawiał do Gdyni, że zaraz w pierwszym dniu pobytu nad morzeni przeżyje dwie niezwykle przygody, tak i obecnie nie przeczuwał ani trochę, że spotkanie z małym Marianem Ślaskim i sprawa marynarza Michała Palucha są pierwszymi ogniwami w długim łańcuchu jego przyszłych przygód, że te dwa wypadki zaważą przemożnie w jego życiu. A zaważyły rzeczywiście i przyspieszyły spełnienie się najgorętszych życzeń Jerzego...

Rozdział III NIESPODZIANKA

Wichura ucichła nad ranem, ale nie wypogodziło się bynajmniej i nie nastął tym razem dzień tak pogodny jak wczorajszy. Słońce pokazało się tylko na małą godzinę, a potem zakryły je chmury, coraz to niżej opadające, jak gdyby tam, w wyższych regionach, miejsca im zabrakło. Odpowiednio do tego morze, którego toń przybiera kolor podobny do barwy nieba, stało się stalowo-szare i jak stal zimne, groźne, odstrasające. Patrząc na tak zmienioną panoramę, odnosiło się wrażenie, iż wichur nie odbiegł daleko, ale przycił się gdzieś u stóp sosen rosnących na wzgórzach, aby wycząć po nocnej swawoli i nabrać siły przed nowymi harcami.

Po dwóch nocach prawie bezsennych Jerzy Rawski spał znakomicie i aż do południa, co stwierdził ze zgrozą, kiedy ocknął się wreszcie i rzucił okiem na swój zegarek leżący na krześle przy łóżku.

— Zapomniałem wydać polecenie, ażeby mnie zbudzili o ósmej. Tak, a teraz dochodzi pierwsza. To okropne — zrzędził, żałując przespanych godzin rannych, które wczoraj przeznaczył na kąpiel i wiosłowanie. Obecnie było już za późno na te przyjemności, gdyż punktualnie o trzeciej popołudniu miał się stawić u Witolda Bulicza, a na drogę trzeba było odliczyć dobre pół godziny. Porucznik Bulicz przyrzekł wczoraj oprowadzić go po statku, pokazać mu różne urządzenia, maszyny, instrumenty żeglarskie, zaznaczając z góry, że będzie mógł gościowi poświęcić tylko jedną godzinę, bowiem o czwartej obejmuje służbę, a pod wieczór statek wyjdzie w morze.

— Proszę zatem przyjść punktualnie — upominał, niepotrzebnie zresztą, gdyż Jerzy był zawsze punktualny, zaś perspektywa obejrzenia wnętrza parowca stanowiła dlań pokusę tak nieodpartą, że raczej zrezygnowałby ze snu i z obiadu, niżby się miał spóźnić choćby o minutę. Nie było jednak tak źle, zjadł obiad z apetytem, potakując uprzejmie wywodom właściciela hotelu, narzekającego na fatalnie zimne lato w tym roku, i dorzucał niekiedy własne uwagi, nie spuszczać przy tym z oka zegara ściennego. Ach, jakże wolnuteńko posuwały się teraz wskazówki, które po inne razy, na przykład wieczorami, gdy pochłaniał swoją ulubioną lekturę, zdawały się pędzić po tarczy zegara, czyniąc sobie z niej maleńki tor wyścigowy.

Wreszcie wybiła druga. Było więc czasu aż nadto, lecz Jerzy przewidywał słusznie, że tu i ówdzie zatrzyma się po drodze, aby obejrzeć urządzenia portowe, zwłaszcza ogromne żurawie, które tak niesamowicie wyglądały w ciemną, burzliwą noc. Uregulował tedy rachunek za obiad, pocieszył strapionego gospodarza, że pogoda poprawi się zapewne i letników dużo przyjedzie, pobiegł na pierwsze piętro do swojego pokoiku po aparat fotograficzny i w dwie minuty później maszerował już w stronę portu.

— O, teraz tutaj całkiem inaczej wygląda — zauważył od razu, skoro zбочzył na prawo, na główną groblę. Uśmiechnął się, wspomniawszy sobie, że w nocy porównywał to samo molo do cichej, legendarnej wyspy zaginionych okrętów. Bowiem obecnie panował tu ożywiony ruch, wrzała gorączkowa praca, rozbrzmiewał turkot motorów, maszyn, ryki syren okrętowych, gwizdy parowozów przesuwających naładowane pociągi towarowe w miejsce opróżnionych wagonów, zaś ponad wszystkie te łoskoty, metaliczne szczęki, zgrzyty, hałasy wybijał się wielojęzyczny rozgwar głosów ludzkich.

Zwolna oswajał się Jerzy ze zgiełkiem, panującym dokoła i z całokształtu panoramy zaczął wzrokiem wylawiać poszczególne scenki, obrazy:

W jednym miejscu ładowano na okręt węgiel. Olbrzymi żuraw podnosił z szyn piętnastotonowy wagon, przesuwał go w powietrzu poza burtę okrętu, przechylał zawieszoną węglarkę i „czarne diamenty” sypały się z łoskotem do przedniej ładowni statku poprzez luk, czyli przez szeroki prostokątny otwór w pokładzie. Równocześnie inny, nieco mniejszy kran zapełniał węglem tylne ładownie parowca. Ten kran nie posiadał urządzenia do dźwigania całego wagonu naraz; miał za to duży ruchomy, żelazny czerpak w kształcie pudła otwierającego się od spodu. Czerpak ów otwierał się, spadał na pełny wagon, po czym jego dwie połówki zamykały się zwolna; kiedy się szczelnie zawarły, uwięziwszy w pośrodku z półtorej tony węgla, czerpak wznosił się, zataczał półobrót wraz z długim ramieniem żurawia, póki nie zawisł dokładnie ponad otwartym lukiem. Wówczas obie łupiny tego żelaznego orzecha otwierały się ponownie, a ładunek siłą bezwładności spadał do ładowni. Lecz cudem techniki to było, iż obsługę całej maszyny stanowił jeden tylko człowiek, kierujący wszelkimi czynnościami żurawia za pomocą kilku kontaktów elektrycznych.

Na drugi okręt ładowano konie. Manipulacja była całkiem prosta, gdyż pod tułowiem zwierzęcia przeciągano kilka szerokich, skórzanych pasów, których końce, łączące się powyżej, zawieszano na żelaznym haku, przymocowanym do linki zwisającej z kranu, który potem wykonywał swoją zwyczajną robotę. Ale warto było zobaczyć to bezbrzeżne zdumienie rumaka, któremu nagle ziemia zaczęła spod kopyt umykać, jego przestrasz i rozpaczliwe, a daremne wysiłki w celu oswobodzenia się, gdy szybował wysoko w powietrzu, wreszcie zaś jego niezmiernie zadowolony, skoro po takiej napowietrznej przejażdżce znowu dotknął nogami pewnej podstawy, będącej już teraz pokładem okrętu. Konie przeniesione na statek poprzednio parskały radośnie na widok nowego towarzysza przyszłej doli i niedoli żeglarskiej, ów zaś strzygł uszami nieufnie, jeszcze próbował nogą, czy stoi na pewnym gruncie, aż uspokojony całkowicie pozwalał się zaprowadzić ku towarzyszom, rżąc z uciechy i wysuwając ruchliwe nozdrza jakby do powitalnego pocałunku.

Jerzemu, który ogromnie kochał zwierzęta i dłuższy czas się tutaj przyglądał, omal się coś niemilego nie przytrafiło, bowiem młody siwek, w czasie krótkiej podróży napowietrznej złożył namacalne dowody swojego wielkiego przerażenia. Zaniepokojony o wygląd swego ubrania młodzieniec uskokzył w porę, stanął sobie w bezpieczniejszym miejscu, lecz kpiący śmiech świadków tego wydarzenia przepędził go stąd niebawem.

Nieopodal coś innego przykuło jego uwagę. Oto dostawiano do mola duży okręt szwedzki, a dostawiano go w miejscu, gdzie wolna przestrzeń pomiędzy dwoma innymi statkami była mało co większa niż długość „Szweda”.

— Ciekawym, jak sobie poradzą — mruknął Jerzy i postanowił przyjrzeć się tej pracy.

Mała szalupa podjechała do szwedzkiego statku, skąd podano jej koniec bardzo grubej liny. Szalupa przywiozła go do grobli, nawróciła do okrętu po drugą linę, tym razem rzuconą z rufy, po czym odpłynęła, zrobiwszy, co do niej należało. Tymczasem na grobli wsunięto pętlice owych lin na grube betonowe pale zwane pachólkami, dano znak i na statku puszczone w ruch dwie maszyny: na dziobie bratszpil, czyli windę, służącą zasadniczo do podnoszenia z dna kotwicy, a na rufie okrętu kabestan, to jest podobny kołowrót, tylko o wale pionowym. Obie te maszyny, nawijając dokoła swych walców każdą jedną linę, wyprężyły je niebawem, potem zaczęły je skraćć, przysuwając w ten sposób cały okręt do mola. Przysuwały go oczywiście bokiem, ale o to właśnie

chodziło, ze względu na tak wąską przestrzeń przy grobli.

— No tak, to całkiem proste — stwierdził Jerzy — ale pierwszy lepszy szczur lądowy z pewnością zatopiłby przedtem własny okręt i z pół tuzina sąsiadów, zanimby sobie dał radę w takiej sytuacji.

Jakiś wyrostek, uzbrojony w ogromną wędkę, podszedł do Rawskiego i zapytał, która godzina.

— Trzecia za dziesięć minut — odparł, wyjąwszy zegarek. — No, to i na mnie pora — dodał. Wiele rzeczy nowych, nieznanych zaciękawiało go jeszcze, ale obecnie należało pamiętać tylko o jednym, mianowicie, że porucznik Witold Bulicz czeka.

— Obejrzą to sobie w powrotnej drodze — pocieszał się Jerzy, mijając coraz to inne okręty — pozostanie mi dosyć czasu do wieczora.

Czyż mógł przewidzieć, że powrotną drogę odbędzie jakby we śnie, jakby go skrzydła niosły, i że najciekawsze, najbardziej niezwykle wydarzenie nie zdoła go zatrzymać ani na kilka sekund w tym biegu szalonym, nieprzytomnym?!

Z daleka już dojrzał dwa wysokie kominy i kadłub potężny, z daleka też odczytał napis na okrągłej rufie wymalowany dużymi, wyraźnymi literami, a głoszący nazwę okrętu: *Bolesław Chrobry*. Obok stały przycumowane inne parowce, z polskich dwa bliźniaki *Wisła* i *Niemen*, oba należące do tej samej kompanii, mianowicie do *Żeglugi Polskiej*, ale wszystkie one przy tamtym olbrzymie wyglądały jak wiejskie chałupy przy piętrowym dworku.

— Jednakże wczoraj *Bolesław Chrobry* wydawał mi się jeszcze wyższy. Jego komin wznosił się do równego poziomu ze szczytem tego tam żurawia... Czyżby mi się tylko zdawało?

Jerzy nie mylił się, lecz zapomniał, że od wczoraj przybyło *Chrobremu* blisko dwa tysiące ton ładunku, a tak ogromny ciężar musiał statek głębiej zanurzyć.

Z pokładu na molo zwisaly wygodne drewniane schodki zabezpieczone ruchomą barierką.

— Szczur lądowy nazwałby to schodkami, tymczasem jest to najzwyczajniejszy trap.

Rawski, chociaż po raz pierwszy w życiu wstępował na pokład okrętu, uważał się za bliźszego „wilkom morskim”, niż lekceważonym przez nich „lądowym szcziurem”. Z tej przyczyny obrzucił przyjaznym spojrzeniem starego marynarza, dłużejco coś po wewnętrznej stronie burty, jakkolwiek ów wcale niezyczliwym wzrokiem zmierzył młodzieńca; nie rzekł doń ani słowa, za to lypnął znacząco okiem w stronę drewnianej tabliczki z wymownym napisem: *Obcym wstęp wzbroniony*.

— Pan porucznik Bulicz polecił mi przyjść do siebie o godzinie trzeciej — oświadczył Jerzy, wcale niezmiuszony tak milczącym powitaniem. — Gdzie mógłbym go znaleźć?

Stary wilk morski nie lubił snadź strzępić sobie języka, bo znowu nic nie rzekł, tylko machnął ręką w stronę kominów okrętów, jak gdyby w tamtej okolicy należało szukać porucznika Bulicza.

— Ja pana zaprowadzę — wtrącił ktoś trzeci. Jerzy odwrócił się na pięcie i ujrzał tęgiego młodzieńca, którego okrągła twarz wyglądała jak księżyc w pełni. Podziękowawszy, ruszył za nieoczekiwanym przewodnikiem i z ciekawością rozglądał się dokoła. Nie uszło to snadź uwagi młodego grubaska, bowiem zapytał Jerzego: — Pan pierwszy raz na takim okręcie, co? No, to poznać od razu — ciągnął dalej, nie czekając odpowiedzi Rawskiego — inaczej wiedziałby pan, gdzie należy szukać kajut oficerskich... Eeeech, niechże się pan nie rumieni, to nie wstyd przecież. Trudno, nie każdy może być morskim wilkiem jak MY! — Na ostatnim wyrazie spoczął silny nacisk, a sultańska pycha rozszerzyła jeszcze bardziej pucołowate oblicze.

Jerzy spoglądał na nieznanego młodzika z lekką zazdrością. — Ten ci musiał już szmat świata zwiedzić — pomyślał i dodał głośno: — Ja również postanowiłem zostać marynarzem. Może więc kwiedzy będę także morskim wilkiem i...

— A zapewne, zapewne — przerwał tłścioch protekcyjnym tonem — ale nieprędko, młody przyjacielu... Otóż i jesteśmy u celu. Po tej stronie okrętu znajdują się kajuty oficerów pokładowych, po drugiej stronie mieszkania mechaników. Drugie drzwi na prawo wiodą do kabiny porucznika Bulicza.

— A gdzie mieszka załoga? Mam na myśli prostych majtków.

— Majtkowie i palacze mieszkają w kubryku na rufie.

— Aha. A kapitan okrętu?

— My obaj, to znaczy JA i kapitan, mieszkamy tam, gdzie są również kabiny naszych nielicznych pasażerów. O, tam, widzi pan? — Tu machnął ręką za siebie, w stronę przedniej części statku. — Tam znajduje się także kabina naszego radiotelegrafisty, kajuta nawigacyjna, sterówka, mostek komendanta, słowem: mózg i oczy okrętu — dodał z dumą.

Jerzy podziękował za wyjaśnienia, przedstawił się grzecznie i odszedł w stronę wskazanych drzwi, rozmyślając nad tym, jaką rangę piastuje ten grubasek. *My obaj, to znaczy JA i kapitan*. Te słowa brzęczały mu jeszcze w uszach i każyły mu się domyślać, iż korpulentny młodzieniec jest jakimś wyższym dygnitarzem w *Żegludze Polskiej*. — O ile dosłyszałem, to jego nazwisko brzmi: Gajda. Zapytam Bulicza, kto to zacz — postanowił.

Witold Bulicz zerknął przede wszystkim na zegarek.

— Za minutę trzecia. To mi się podoba — krzyknął, wyciągając na powitanie dłoń do Jerzego. Pochwalił jego punktualność, wskazał mu krzesło i umiłkł na chwilę, widząc, że gość pożera wzrokiem jego trofea podróżnicze. A było tu na co patrzeć, w tej małej, skromnej kabinie. Jej białe ściany znikwały zupełnie pod barwną mozaiką kolorowych widokówek z całego świata i fotografii. Na łóżku okrytym pstrokatą tkaniną, leżało kilka arabskich poduszek skórzanych z frędzlami, w maleńkiego stolika spływały na obie strony końce podłużnej makaty wschodniej, ponad biurkiem wisiał luk dziwnego kształtu, kołczan ze strzałami, dziuryt murzyński, meksykańska laska i cała kolekcja fajek. Większość przedmiotów znajdujących się na biurku, takich jak kałamarz, rączki, suszka, przyciski, teczka, popielniczka, nawet ramki fotografii rodziców, była również egzotycznego pochodzenia, a każdy z tych drobiazgów miał swoją historię i był pamiątką z innej podróży.

Jerzy czuł się tutaj doskonale, ale przypomniał sobie w porę, że Bulicz może mu tylko godzinę czasu poświęcić.

— Jeżeli pan porucznik nie ma nic przeciwko temu, to może pójdziemy obejrzeć statek — zaproponował uprzejmie.

Rozpoczęli zwiedzanie okrętu od kotłowni. W dwóch grupach stało tutaj osiem potężnych kotłów, których fundamenty spoczywały bezpośrednio na dnie statku. Przez boczny otwór, wiodący do komory węglowej, syłał się tu czarną strugą bunker, który palacze zgarniali szuffami i rzucali zęcznie w czerwone paszce czterech pieców.

— Już palą? — zdziwił się Jerzy. — Przecież dopiero wieczorem *Bolesław Chrobry* miał wyjść na morze z portu.

— Słusznie — odparł Bulicz — ale żeby zgromadzić potrzebną ilość pary, trzeba zawsze rozpocząć robotę na pięć albo sześć godzin przed chwilą odjazdu statku. Poza tym piece muszą się rozgrzać po tak długiej bezczynności. T oż bez mała tydzień próżnowały.

— Ależ tu gorąco!

— Gorąco? — Największy wzrostem palacz spojrzął na Jerzego pogardliwie. — Zejdź tu pan do nas wtedy, gdy koło równika jest cisza i nawet pod nawiewnikiem zapalka nie gaśnie. Wtedy pan zejdź, młody panie... Dzisiaj tutaj jest prawie zimno! Ubrałbym koszulę, żeby mi jej nie było szkoda. — Powiedziawszy to, rzucił okiem na manometr swojego kotła, westchnął, że tak mało jeszcze ma ciśnienia, splunął w dłonie i zabrał się do roboty.

Bulicz odemknął małe, żelazne drzwiczki i przeszli do właściwego oddziału maszynowego. I tutaj powietrze było przykre, przesiąknięte wonią rozgrzanych smarów, lecz pomimo to oddychało się bez porównania lżej niż w sąsiedniej kotłowni, w tym piekle, w którym zahartowanym palaczom było dzisiaj „prawie zimno”. Hala maszyn wyglądała jak wnętrze sporej fabryczki pokrytej szklanym dachem, bowiem światło dzienne mogło tu wtargnąć tylko z góry, poprzez luki świetlne. Kwatery tych jedynych okien były chwilowo zamknięte, podobnie, jak drzwi oraz iluminatory wszystkich kabin na statku, a to w tym celu, żeby do wnętrza nie przenikał brudzący pył węglowy, którego całe obłoki unosiły się ponad nabrzeżem i przycumowanymi doń okrętami.

— Pozwólcie, kolego, że wam przedstawię pana Jerzego Rawskiego, najlepszego przyjaciela mojego bratiszka, którego znacze — ozwał się Bulicz.

Nowy znajomy Jerzego wyglądał jak kominarz po pracowicie spędzonym dniu, a jego dłoń ociekała tłuszczem, chociaż wytarł ją sobie sumiennie welnianymi pakułami, zanim wymienił powitalny uścisk. Był to inżynier Gąsiorowski, pierwszy mechanik *Bolesława Chrobrego*, przystojny, elegancki mężczyzna, sądząc z fotografii, jaką Jerzy oglądał w kabinie Bulicza; a teraz nie różnił się wyglądem ani strojem od zatłuszczonego smarownika, od umorusanego praktykanta, ani też od któregośkolwiek z palaczy czy węglarzy, zajętych ciężką pracą fizyczną. Przyszło więc Rawskiemu na myśl, że na statku nawet oficer nie ma lekkiego życia, lecz to odkrycie nie ostudziło bynajmniej jego zapału; nie dlatego pragnął zostać marynarzem, by w pięknym granatowym mundurze paradować po kawiarniach, ale żeby poznać dalekie kraje, zwiedzić nowoczesne porty zagraniczne, doki, stocznie, spichrze, i zdobytą w tych podróżach wiedzę oddać na usługi swej ojczyźnie kiedyś w przyszłości.

Gąsiorowski zaczął od ogólnikowego wykładu:

— Z kotłowni przechodzi para do kolektora, po czym, osuszona należycie, dostaje się do cylindrów, w których wykonuje swoją właściwą pracę, poruszając tam i na powrót tłoki. Te zaś, za pośrednictwem całego systemu korb, powodują obrotowy ruch tego potężnego wału, na którego końcu jest osadzona śruba okrętowa... Tak wygląda cała maszyneria w ogólnym zarysie.

— Więc na tym słupie żelaznym jest osadzona śruba? Zatem jesteśmy tu bardzo blisko rufy — przypuszczał Jerzy.

— No, nie tak znów blisko — odparł Gąsiorowski z uśmiechem. — Jeżeli to pana interesuje, możemy zwiedzić tunel.

Przeszli na drugą stronę hali maszyn, gdzie znajdował się wylot owego tunelu. Był to prosty, jak strzełił, ganek wysoki na tyle, że rosły mężczyzna nie musiał w nim schylać głowy, by nie zawadzić o wypukły pułap. Przez całą długość owego korytarza biegł wał korbowy, czyli, jak to Jerzy nazwał, gruby słup żelazny, leżący poziomo i w równych odstępach podparty żelaznymi fundamentami, na których spoczywały pierścienie łożysk.

— Dawniej robiono wały pełne, masywne — mówił Gąsiorowski, idąc na przedzie — ale stwierdzono w końcu, że wały wewnątrz puste są równie silne i wytrzymałe, a za to lżejsze od tamtych.

— Czyli to jest po prostu gruba, potężna rura — wtrącił Jerzy.

— I dosyć sobie długa, jak pan widzi — dorzucił Gąsiorowski.

Przy samym końcu tunelu znajdowała się niewielka komora. Jerzy określił ją mianem pieczary z powodu jej nieregularnych kształtów i z powodu wilgoci; zwłaszcza dolna część tylnej ściany była pokryta kropelkami wody, które ściekały powolutku i tworzyły na dnie komory sporą kałużę.

— W tym miejscu, jak pan widzi, wał przebija ścianę i wychodzi na zewnątrz — objaśniał inżynier Gąsiorowski. — Mimo uszczelnień woda przenika do komory i właśnie w tym celu, by wał ustrzec przed rdzą, obłożono tę jego część brązową blachą. Również i rura, w której wał się kręci jest z brązu... A tam, na zewnątrz wisi trzyskrzydłowa śruba systemu Tomkrafra. Na małych statkach używa się dwuskrzydłowych śrub Griffitha...

— Ależ w takim razie my tutaj znajdujemy się poniżej zwierciadła wody! — krzyknął Jerzy Rawski i to odkrycie ścisnęło mu serce; rozumiał, że gdyby coś przebiło którąkolwiek ścianę komory, wówczas byłiby zgubieni bez ratunku. A ponieważ tunel znajduje się na tym samym poziomie, co hala maszyn, zatem mechanicy stale pracują poniżej powierzchni morza i stale wisi nad nimi groza strasznego niebezpieczeństwa; oficer pokładowy wie, kiedy zbliża się moment jakiejś katastrofy, mechanik nie wie nic do ostatka... Tak rozumował Jerzy i z wzrastającym szacunkiem spoglądał na pierwszego mechanika, który głośko pieszczotliwie nieczule żelaziwo.

W powrotnej drodze Jerzy liczył kroki i ku swojemu zdumieniu stwierdził, że długość tunelu wynosi ponad trzydzieści metrów.

— Tutaj — rzekł Gąsiorowski, kiedy znaleźli się znowu w hali maszyn — tutaj jest serce statku, a tam, w kotłowni jego płuca. Oni — dodał z uśmiechem, wskazując na czekającego Bulicza — te kochane łąziki pokładowe, są oczyma. Bez nich okręt byłby jak ślepiec, błądziłby po morzach, ale żyłby ostatecznie. Lecz skoro serce bić przestanie, to statek gotów. Osądźże teraz sam, młody przyjacielu, co ważniejsze: wzrok, czy serce — zakończył żartobliwie, zwracając się do Jerzego.

— Zapomina kolega, że są statki, które się doskonale mogą obejść bez tego kosztownego serca — rzekł Bulicz tym samym tonem.

— Mianowicie?

— Mianowicie żaglowce, mości kominiarzu.

— Fi! Żaglowce i dyliżanse oddajcie do muzeum, mości łąziku pokładowy. Żyjemy na szczęście w wieku pary, elektryczności, radia i...

— ...i gramofnu — wtrącił Bulicz. — No, innym razem sobie pogawędzimy na ten temat. Mam jeszcze tylko pół godziny czasu i muszę naszemu gościowi pokazać całą górę.

Jerzy pożegnał się z Gąsiorowskim i podążył w ślady Bulicza. Wstępując po żelaznych, bardzo stromych schodkach, liczył przebyte piętra.

— Cztery! — mruknął zdziwiony. W drzwiach odwrócił się raz jeszcze i pożegnalnym spojrzeniem objął halę maszyn. Pierwszy mechanik, smarownik i praktykant z wiecznie przestraszoną miną, wyglądali z tej wysokości jak lalki, w dodatku śmiesznie spłaszczone. Nic dziwnego. Wszakże spoglądał na nich prostopadle z góry i jak gdyby z dachu czteropiętrowej kamienicy, o tyle niezwykłej, że podłogi wszystkich pięter były zbudowane z cienkich żelaznych prętów, były więc niejako przezroczyste. Dzięki temu światło, przenikające tu przez luki świetlne, mogło dotrzeć aż do dna wysokiej hali maszyn, a pełniący służbę mechanik mógł ze swojego posterunku ogarnąć wzrokiem całą przestrzeń i mieć oko na każdego z podwładnych sobie ludzi.

— Panie Dulski! — ryknął ktoś takim głosem, że Jerzy spojrzął z przerażeniem na swojego przewodnika. — Co się stało? — zapytał.

Bulicz uśmiechnął się kącikami ust.

— Prawdopodobnie nic strasznego — odparł — tylko nasz szef ma zwyczaj krzyczeć tak donośnie.

— Kapitan?

— Tak; kapitan Starbała.

— Panie Dulski! Do kroćset tysięcy beczek zepsutych śledzi! — huczał gdzieś w pobliżu srogi bas, a gdy przebrzmiał, zadudniły energiczne kroki, zbliżające się ku drzwiom hali maszyn.

— No, nareszcie mam pana!

— Słucham, panie kapitanie — odparł inny głos, cichy, łagodny, i, jak się Jerzemu wydało, trochę zaspany.

— Dowiaduję się właśnie, że Paluch zszedł ze statku. Dlaczego?

— Żona jego ciężko zaniemogła.

Jerzy bezwiednie skinął głową. Naturalnie. Znał tę historię. Przecież on właśnie zaalarmował portową motorówkę wiadomością, że jakiś kuter znajduje się w niebezpieczeństwie tuż u stóp łamacza fał. Ów dzielny rybak przybywał z Helu po majtką Palucha i omal życiem nie przypłacił swojej odwagi i poświęcenia... Toteż Jerzy pojał od razu, o co chodzi kapitanowi *Bolesława Chrobrego*, nie rozumiał natomiast powodów jego wielkiej irytacji. Wyjaśniły mu to dalsze słowa rozsierdzonego marynarza:

— No dobrze, żona, rozumiem, jest pan w porządku o tyle, że pan Palucha zwolnił. Ale nie jest pan w porządku, panie Dulski, że się pan dotychczas nic wystrzał o zastępcę! Paluch zszedł, Głowacz zszedł, dwóch ludzi ubyło, o szóstej wychodzimy w morze, a pan nic, panie Dulski! Palcem pan nie kiwnął.

— Owszem, panie kapitanie.

— Aha, więc kiwnął pan palcem — rzekł kpiąco wilk morski — ale jaki skutek? Gdzie pan ma chociażby jednego człowieka w miejsce tamtych dwóch? Nie ma pan. Wiem, pytałem bosmana. I siedzi pan w kabinie, zamiast...

— Pan daruje, ale zrobiłem wszystko, co mogłem. Byłem w biurze *Żeglugi*, byłem w *Biurze Pośrednictwa Pracy*, szukałem nawet wśród robotników portowych. I nic. Żaden z robotników nie chce, a bezrobotnych majtków nie ma na lekarstwo.

— Żaden z robotników nie chce? — spytał kapitan niedowierzająco.

— Tak jest. Gdyby chodziło o krótką podróż, nie brakłoby chętnych, lecz na przeszło kwartał nikt się nie chciał wiązać.

Bulicz wołał nie deflować z Jerzym obok zagniewanego zwierzchnika, więc czekali, póki tamci dwaj nie ojedją. Wtem... Jerzy przyskoczył do swojego przewodnika, zaczął mu coś gorączkowo szeptać do ucha, a równocześnie ścisnął mu rękę i błagał wzrokiem o spełnienie swej prośby.

— Czy pan się zastanowił? — spytał Bulicz. — To ciężka służba; przyjemnie się o tym czyta w książkach, lecz w praktyce...

— Wiem, wiem — przerwał Jerzy, drżąc z niecierpliwości — i nie zrobię panu wstydu, poruczniku... Och, proszę się spieszyć. Oni odchodzą.

— Nie — odparł Bulicz — tylko Dulski odchodzi, widać szef wydał mu jakieś polecenie... A zatem, młodzieńcze...

— Niech pan idzie, poruczniku złoty, kochany!

— Ano, dobrze. Sam chciałeś... Powiem kapitanowi, lecz za skutek nie ręczę... Potrzebujemy

ludzi trochę starszych i silniejszych.

Bulicz odszedł, a Jerzy czekał za drzwiami z bijącym sercem. Upłynęła minuta uciążliwej ciszy, snadź kapitan wysunął się z korytarza na pokład, potem znowu zastukały kroki, aż wreszcie zabrzmiało donośnie pytanie, niezbyt uprzejme w brzmieniu, lecz jakież budzące nadzieje:

— Gdzie jest ten szczeniak?

— Rawski, przyjdźcie no tutaj — zawołał Bulicz.

Jerzy wkroczył na korytarz, żołnierskim krokiem pomaszerał naprzeciw oficerom, przystanął w odległości trzech kroków i podniósł dłoń do daszka czapki. Starał się nie okazać zdziwienia, że się dał uwieść pozorom; sądząc po głosie, wyobrażał sobie kapitana Starbałłę jako olbrzyma z długą siwą brodą, tymczasem stał przed nim niski, krępy mężczyzna bez żadnego zarostu i wyglądający na trzydzieści osiem albo na czterdzieści lat najwyżej.

— Ha, więc to jest ten ochotnik? — zahuczał Starbałła. — Podróży się zachciewa, co? Z domu się uciekło, romantyczne pomysły chodzą po studenckiej głowie, różne przygody, odkrycia nieznanych wysp, żywot Robinsona, aż wreszcie matula odgadnie gdzie synalek drapnął, telegramy pójda w świat i policjant odstawi do domu niedoszedłego podróżnika, po czym ojciec sprawi mu lanie. O, znamy takich! I dlatego nie przyjmujemy na statek niepełnoletnich młodzieńców, którzy się nie mogą wykazać pisemnym zezwoleniem rodziców.

Jerzy zaczerwienił się po same uszy, ale odparł śmiało:

— Pan kapitan krzywdzi mnie takim posądzeniem...

Ja... nie mam rodziców, odumarli mnie już dawno. Jeszcze tydzień temu miałem opiekuna, lecz nazajutrz po złożeniu egzaminu dojrzałości Sąd Opiekunczy załatwił przychylnie moje podanie o upelnolenienie przed osiągnięciem dwudziestego pierwszego roku życia... Proszę, oto jest odnośny dekret. — Wyjął portfel, wśród pliku papierów wyszukał potrzebny dokument, wręczył go kapitanowi, i dodał: — Jestem panem swojej woli, niczyjego zezwolenia już nie potrzebuję, prócz pańskiego, panie kapitanie. I o nie właśnie proszę.

— Fi, fi. Gada gładko, jak nieboszczyk Demostenes — rzekł Starbałła z uśmiechem do Bulicza — ale nam tu, na statku, nie mówców potrzeba, ale majtków, ludzi do roboty! Poza tym, mój chłopce — znowu zwrócił się do Jerzego — marynarz musi mieć zdrowe serce, świetny wzrok i słuch wyostrzony.

— Pochlebiam sobie, panie kapitanie, że posiadam te trzy zalety.

— No, może sobie tylko pochlebiasz... Sprawdzimy, sprawdzimy to.

Kapitan Starbałła rozglądał się przez chwilę, wreszcie jego wzrok padł na tylny maszt okrętu, czyli na grotmaszt. Uśmiechając się, ruszył w kierunku rufy statku, a za nim Bulicz i Jerzy Rawski. Jerzy domyślał się, że czeka go jakiś egzamin, od którego będzie zależało spełnienie lub odrzucenie jego prośby, toteż przeżywał powtórnie chwile niepokoju i dziwnego podniecenia, jak w przededniu matury.

Przystanęli. Przed nimi, wysoki niby komin fabryczny, wystrzelał w niebo ze statku żelazny maszt; hen, w górze wisiał na nim maleńki pomościk, zwany marsmem lub bocianim gniazdem. Cały system lin, plecionych ze stalowych drutów, podtrzymywał olbrzyma, tworząc jego takielunek.

— Jak się te liny nazywają, tego oczywiście nie wiesz, młody szczurze ładowy.

— Owszem, wiem, panie kapitanie. Sztagi i wanty. Wantami nazywamy liny boczne, przytwierdzone do burt, zaś sztagi podtrzymują maszty z przodu...

— Celująco! — huknął Starbałła, przyjemnie zdziwiony; — Jeżeli jesteś równie dobrym gimnastykiem, to...

Dalszych słów Jerzy nie dosłyszał. Ujrawszy wymowny ruch ręki kapitana, ruszył biegiem ku burcie okrętu, po drodze odrzucił marynarkę, a czapkę silniej nacisnął, przyskoczył do wskazanej wanty i zaczął się po niej wspinać, posiłkując się wyłącznie rękami.

Z początku szło mu jak po maśle, lecz w połowie drogi natrafił na nieprzewidzianą przeszkodę. Był nią dosyć jeszcze silny wiatr, przed którym zakrywał go dotychczas środkowy kasztel statku. Teraz, gdy zawiśł powyżej mostku kapitańskiego, nic go już nie osłaniało, a złośliwe podmuchy wiatru jęły odpychać jeszcze korpus od skośnie napiętej liny. Rad nie rad, Jerzy musiał zrezygnować z brawury i dopomóc sobie nogami beczczynnymi do tej pory; otoczył nimi wantę i szczęśliwie dotarł do bocianiego gniazda.

Nie przypuszczał nigdy, że jest tutaj tyle miejsca.

— Sześciu chłopu pomieściłoby się wygodnie — mruknął. Stał w pośrodku, plecami oparł się o maszt i spojrzął w dal. Falochron oraz małe parowce, przycumowane pomiędzy nim, a dziobem *Chrobrego* miał u swoich stóp; robotnicy i majtkowie wyglądali z tej wysokości jak mrówki. Tylko morze nie zmalało ani trochę. Żadna odległość, żadna wysokość nie zdołała pomniejszyć starego olbrzyma, który dzisiaj przywdział szatę stalowej barwy.

Kiedy wiatr przycichł na krótką chwilę, dobiegły Jerzego z dołu strzępy rozmowy, jaką prowadzili dwaj oficerowie *Chrobrego*.

— Podoba mi się ten chłopak — mówił kapitan Starbała — dobrze mu patrzy z oczu... Tylko czy on nie jest z tych paniczyków, co to nigdy sobie rąk pracą nie utrudzili? Wygląda mi trochę za delikatnie.

Wiatr znowu zadął, a napięte sztagi i wanty stały się nagle instrumentami muzycznymi; poprzez tęskliwą melodię tych fletów okrętowych przedarły się z trudem oderwane słowa odpowiedzi Witolda Bulicza:

— Sierota... sam się utrzymywał... praca... nie obca... mój brat mówił... chluba gimnazjum... ręczę... zadowolony.

Jerzy spojrzął w dół. Na migi dawano mu znaki, by wracał. Mógł wrócić wygodną drogą po szczeblach żelaznej drabinki, jaką posiada każdy komin i maszt każdy na większym statku, lecz nie chciał sobie w taki sposób upraszczać egzaminu. Z tych samych powodów odrzucił kiedyś propozycję leniwszych kolegów, którzy przed maturą pisemną powypychali sobie kieszenie różnymi notatkami, „brykami”, i jego również takimi „ściągaczkami” częstowali... Przeszedł na drugą stronę marsa i zjechał po wancie na pokład, a wiatr, który mu przedtem przeszkadzał przy wspinaczce, przyciskał go teraz do liny aż nazbyt serdecznie.

Kapitan Starbała ujął chłopca za rękę w przegubie i zbadał puls.

— Bez zarzutu — rzekł — a jak tam ze słuchem?

— Nieźle, panie kapitanie — odparł Jerzy wesoło; przyjaźnie uśmiechnięta twarz Starbały natchnęła go otuchą. — Czy mam powtórzyć, co pan kapitan mówił o paniczykach, którzy sobie nigdy rąk pracą nie utrudzili?

— A to smyk! Słyszał! Stamtąd słyszał, co mówiliśmy na pokładzie — dziwił się kapitan i klepał się dłońmi po muskularnych udach. — Pozostaje mi jeszcze wypróbować twój wzrok i wrażliwość na barwy.

— Proszę bardzo. Mogę pana zapewnić, że na daltonizm nigdy nie cierpiałem.

Pomimo tego zapewnienia Starbała wystawił Jerzego na próbę. Miał świeżo w pamięci katastrofę kolejową, którą spowodowało to, że maszynista, niezłym zresztą wzrokiem obdarzony, wziął czerwony sygnał za zwykle żółtawe światło i nie zatrzymał rozpędzonego pociągu. Po tym

smutnym wypadku poddano w odnośnej Dyrekcji Kolejowej cały personel ponownym badaniom i wykryto jeszcze dwóch daltonistów, czyli ludzi nie odróżniających barw sygnałów, a wynik tego eksperymentu wpłynął na to, że i w marynarce przeprowadzono nowe dokładne poszukiwania osobników dotkniętych tą niebezpieczną wadą wzroku.

Dlatego to właśnie kapitan Starbała wyegzaminował sumiennie Jerzego i w końcu stwierdził ze zdumieniem, że młode oczy chłopca widzą lepiej nawet niż jego własne oczy, przenikliwe, bystre, nawykłe do wypatrywania bardzo odległych przedmiotów, słowem oczy doświadczonego marynarza.

— Przyjmuję cię, młodzieńcze — rzekł z dobrotliwym uśmiechem, który jednak niedługo gościł na energicznym obliczu. — Pływanie na pokładzie *Chrobrego* zaliczą ci na pewno... bo słyszałem, że chcesz potem wstąpić do Szkoły Marynarki Handlowej... Krótko mówiąc, zyskasz dużo na tej podróży... ale jeżeli sądzisz, że pozwolimy ci tu się wylegiwać i leniuchować, to jesteś w błędzie! Robotnik po ukończeniu swojej ośmiogodzinnej pracy może iść spokojnie do domu, majątek zawsze musi być przygotowany na to, że poza ośmiogodzinną służbą przyjdzie mu kogoś wyręczyć, zastąpić, nie mówiąc już o nadzwyczajnych wypadkach, kiedy to trzeba być na nogach dzień i noc bez przerwy... Toteż, jeżeli się nie czujesz na siłach... lepiej jeźdź zaraz ze statku, niż gdybyś nam później miał zrobić zawód.

— Nie żebym nikomu zawodu — odparł Jerzy, a głos jego brzmiał uroczyście, jak gdyby przy składaniu przysięgi.

— Masz jakie stare ubranie?

Odpowiedział, że ma. Rzeczywiście przywiózł z sobą stare, przenicowane już ubranie sportowe, nie przeczuwając, jak bardzo mu się przyda tutaj. Dodał jeszcze, że godzina wystarczy mu aż nadto na uregulowanie rachunku w hotelu, na spakowanie walizki i przyniesienie jej tutaj.

W trakcie tej rozmowy nadszedł porucznik Dulski, pierwszy oficer na *Chrobrym*, w życiu prywatnym najlepszy przyjaciel Starbały, w służbie jego zastępca, ale i kozioł ofiarny, zwłaszcza w chwilach złego humoru, które się zrzedliwemu kapitanowi przytrafiały dość często. I teraz nawet, choć przyczyna niedawnego wybuchu była usunięta, Starbała dobrał się Dulskiemu do skóry:

— Pół dnia pan szukał człowieka i nic. A ja, chociaż nie lażem po żadnych biurach, znalazłem w ciągu dziesięciu minut zastępcę w miejsce Michała Palucha — chełpił się. — Tak, tak, panie Dulski. Dużo się pan jeszcze może nauczyć u swojego kapitana... Bardzo dużo!... Proszę wciągnąć na listę załogi tego młodzieńca w charakterze, hm... hm, powiedzmy w charakterze młodszego marynarza.

— Czy wypłacić mu jaką zaliczkę? — spytał Dulski.

Jerzy Rawski spojrzął ze zdumieniem na oficerów.

— Jak to? — wtrącił gwałtownie. — Panowie jeszcze mi płacić chcecie? Przecież ja nic nie wiem... nie znam roboty.

— Już się z nią zapoznasz, bądź spokojny — odparł Dulski.

Starbała ujął się pod boki.

— Słyszał pan, panie Dulski? Słyszał pan? Takich bezinteresownych majtków potrafi znaleźć tylko jeden człowiek na świecie. Mianowicie kapitan Józef Starbała. Ucz się pan, powtarzam... A ty, młodzieńcze — dodał, zwracając się do Jerzego — nie rób mi tutaj zamętu. Jeżeli masz w bród pieniędzy, to ofiaruj swoją pensję biednym, ale to, co ci się od nas należy, otrzymasz co do grosza. Honorowych i bezpłatnych stanowisk tu nie ma.

— Jemu samemu przyda się trochę grosza — wtrącił Bulicz — chociażby na nowy garnitur, bo za to ręczę, że po trzech miesiącach strzępy pozostaną z jego ubrania.

— No, dosyć tej gawędy — rzekł kapitan Starbąła. — Młodszy marynarz Rawski odmaszeruje teraz do miasta po swoje manatki i o godzinie piątej zamelduje się u swojego bezpośredniego zwierzchnika, porucznika Dulskiego. Wstecz zwrot! Marsz!... Biegiem! — dokończył żartobliwie.

Bulicz odprowadził chłopca do trapu. Tu podał mu rękę i zapytał, czy jest zadowolony z dzisiejszej wizyty na statku.

— Och, jestem uszczęśliwiony — krzyknął Jerzy. — Nie mogła mnie spotkać miłsza niespodzianka. — Zbiegł po trapie na groblę i puścił się pędem w stronę miasta rozgorączkowany, dumny z godności najmłodszego marynarza Polskiej Marynarki Handlowej i na pół przytomny z radości...

Rozdział IV JĘCZĄCE STRASZYDŁO

Jerzy przebrał się w stare, sportowe ubranie jeszcze w hotelu. Dzięki temu po przybyciu na statek stracił tylko minutę na odniesienie swojej walizki do jednej z kajut załogi, po czym stawiał się natychmiast do pracy. Porucznik Dulski, któremu się zameldował, przydzielił go do grupy Jana Kobrynia, okrętowego cieśla, wyjaśniając, że znajdzie Kobrynia w przedniej części okrętu. Jerzy udał się tam i w chwilę później pracował już wraz z innymi majtkami przy nakrywaniu luk towarowych.

Nakrywało się owe duże, prostokątne otwory w pokładach ponumerowanymi deskami, które z powodu swej grubości zasługiwały raczej na miano belek. Każda z nich mierzyła cztery metry długości, a była tak ciężka, że dwóch mężczyzn musiało ją prznosić ze sterty, leżącej tuż koło burty, na miejsce przeznaczenia, odległe zaledwie o dziesięć kroków. Tu kładli ją na kształt mostu czy kładki ponad czeluścią głębokiej ładowni, jedną obok drugiej, aż utworzył się z nich szczytyny dach, który z kolei pokryto olbrzymią płachtą nieprzemakalnego płótna, czyli brezentu. Dopiero na to, poprzecznie w stosunku do kierunku desek, ułożono kilka żelaznych legarów, których końce przyśrubowano „na amen”, jak żądał cieśla Kobryń, zaś krawędzie brezentu umocowano drewnianymi klinami.

Jerzy zachodził w głowę, dlaczego do zamknięcia luków używa się tak solidnych belek, umocowanych od spodu i z wierzchu grubymi legarami, skoro sam brezent wystarczyłby najzupełniej do zabezpieczenia przed deszczem towarów złożonych w ładowniach. Nie śmiał o to zapytać, widząc, jak bardzo są wszyscy zajęci robotą.

— Dowiem się prędzej czy później — myślał.

Dowiedział się już w kilka minut później, gdy skończyli nakrywać luk najbardziej wysunięty w stronę dziobu okrętu. Trzy żelazne trawersy były tutaj lekko wygięte, a czwarty wyglądał tak, jakby go jakaś potężna eksplozja poskręcała.

— Tego połamańca trza wymienić — orzekł Kobryń, po czym wyznaczył czterech najsilniejszych majtków, aby odnieśli *połamańca* do składu znajdującego się tuż obok, niejako w dziobie okrętu, a wynieśli stamtąd nowy legar. Jerzy Rawski pozostał przy cieśli, a korzystając z krótkiej chwili wytchnienia, zapytał, co tak poskręcało tę grubą sztabę żelaza.

— No juści, że nie ja, tylko łała — odburknął cieśla.

— Fala?!

Jerzy krzyknął ze zdumienia, a potem spojrział nieufnie na mówiącego, podejrzewając, że ów naigrawa się z niego.

— Woda? Taka miękka woda potrafiłaby zgiąć żelazo? — mruknął.

— Ano, miękka jest, czemu nie... jeżeli jej w garść nabrać — odparł Kobryń z wyrozumiałym uśmiechem. — Ale jak się taka dziesięciometrowa góra wody zwali na statek, to aż pokłady jęczą pod jej ciężarem. Wtedy, uważasz, chłopcze... wtedy wszystko zależy od wytrzymałości desek i tego żelazniwa, co je trzyma jak w kleszczach. Jeśli woda złamie pokrywy luków, to statek gotów na amen. Żadna moc go nie wyratuje... No, co tu dużo gadać. Sam zobaczysz, skoro wypłyniemy na prawdziwe morze.

— Prawdziwe? — Jerzy uśmiechnął się. — Co pan przez to rozumie?

Kobryń nie zdążył odpowiedzieć, bowiem w tej chwili zabrzmiał tubalny głos z mostka kapitańskiego:

— Hej tam, Kobryń! Jednego człowieka odkomenderować do pomocy radiotelegrafiście. A duchem!

Cieśla wyznaczył Jerzego, który w ten sposób zawarł znajomość z okrętowym telegrafistą i pomógł mu przy podniesieniu anteny, opuszczanej zawsze w porcie, aby jaki dźwиг nie pozywał drutów. Schodził właśnie z komina, gdzie odczepił jeden z najbardziej upartych drutów, kiedy ujrzał na mostku kapitana Starballę. Ów zerknął na zegarek, potem uśmiechnął się życzliwie do najmłodszego członka załogi i zawołał:

— A trzymaj się teraz dobrze, chłopcze.

— Nie ma obawy, panie kapitanie — odkrzyknął Jerzy wesoło — po tej drabince chodzi się wygodnie jak po schodach.

Wbrew temu zapewnieniu omal nie wypuścił z rąk żelaznego szczepła i nie zleciał, przerażony potwornym rykiem, jaki rozległ się nagle tuż nad jego głową. — Syrena — odsapnął — pierwszy sygnał. Ależ szelma głośna — mówił do siebie, nie słysząc własnego głosu, ani warkotu motorówki przepływającej właśnie u jego stóp, ani nawet gwizdu parowozu wlokącego nowy pociąg węgla, bowiem wszystko zagłuszył bez śladu ochryply ryk syreny *Chrobrego*.

Nadeszła chwila pożegnania się dla tych, których ktoś z bliskich odprowadzał na statek. Jerzego nikt nie odprowadzał, nikogo z bliskich nie miał już na świecie, więc oparty o poręcz burty spoglądał smętnie na wzruszające pożegnanie jakiegoś młodego pasażera z matką staruszką. Obok tej pary stał pierwszy oficer, Dulski, otoczony wieńcem dzieci, dalej Gąsiorowski ze swoją młodą małżonką, znowu dwie grupy pasażerów, a na uboczu mrukiwy bosman Miazek opędział się grubej niewieście, która gwałtem wtykała mu w kieszenie małe zawiniątka z jakimiś przysmakami.

— Weźta, bosman. Nie wy, to ja zjem — krzyknął wesoło młody majtek, stojący nieopodal Jerzego i przykucnął czym prędzej za burta.

Miazek zmieszal się wyraźnie, spiesznie uściśnął żonę i odszedł w stronę trapu, nie chcąc się snadź narażać na dalsze słowne zaczepia niewidzialnego wesołka. I znikł gdzieś zaraz, głuchy na żalose nawoływania żony, która potrzasała jakimś podłużnym pakunkiem, zapomnianym przez męża. Wyrczył go skwapliwie ów żartowniś.

— Rzućcie no to, pani Miazkowo — huknął.

Kobieta podeszła bliżej, zamachnęła się, rzuciła pakunek, który odwinął się w powietrzu tak, że na pokład upadła sama kielbasa, zaś papier spłynął falistym lotem na luk.

— Oddaj to mężowi — krzyknęła.

— Naturalnie — zachichotał młokos, wachając z przyjemnością smakowitą maczugę — naturalnie, że oddam panu bosmanowi, ale... papier! Taka tłusta kielbasa mogłaby mu zaszkodzić.

Ostatnich słów pani Miazkowa pewnie nie słyszała, gdyż urwis wypowiedział je znacznie ciszej. Zresztą wszelkie odgłosy pochłoniął znów ryk syreny, dwukrotny tym razem.

— Drugi sygnał — mruknął Jerzy.

Inżynier Gąsiorowski wbiegł na pokład, za nim Dulski zegnany okrzykami licznej dzieciarni, dopraszającej się, by przywiózł z podróży jaką zabawkę, po czym na jego rozkaz podniesiono trap i przymocowano go sznurami do burty. Teraz, gdy podniesiono te schodki, wszelka komunikacja pomiędzy nabrzeżem a okrętem była przerwana; tylko cumy, grube stalowe liny zarzucone na łby żelbetonowych pachółków więziły jeszcze okręt przy grobli. Ale i tam stali już jacyś ludzie, czekając na trzeci i ostatni sygnał syreny.

Oficerowie pokładowi rozbiegli się na swoje zwykłe posterunki, wraz z przydzielonymi im majtkami. Dulski ze swoją czeredą umieścił się na podniesionym dziobie *Chrobrego*, Bulicz objął komendę na rufie okrętu, a nad wszystkim czuwał z wyżyn mostku komendant kapitan Starballa, mając przy boku trzeciego oficera oraz pilota, który miał statek wyprowadzić z portu.

Jerzy, przydzielony do grupy Bulicza, wykonywał w mig każde polecenie, co mu bynajmniej nie przeszkadzało w dalszych obserwacjach. Obecnie przykuł jego uwagę małej stateczek, czarny, osmolony, brzydki, ale w zupełności zasługujący na swoją nazwę. Gdyż zwał się *Tur* i jak tur był silny, skoro mógł uciągnąć na linie *Chrobrego*, a nawet jeszcze większe okręty.

Młody majtek, który przywłaszczył sobie kielbasę bosmana, musiał być jeszcze nowicjuszem w żeglarstwie, gdyż nagle wyrwał się z tak naiwnym powiedzeniem:

— Nie mogę zrozumieć po co nam potrzebny holownik albo pilot. Czyż *Chrobry* nie posiada własnej śruby? Czy kapitan, który zna drogę po dalekich morzach, nie trafi sam do wyjścia z portu? Toć, nie chwalcę się, nawet ja bym trafił. Wystarczy wycelować między tamte dwie latarnie, i już.

— Dobrze to się gada — odparł cieśla Kobryń — tylko sęk w tym, że niewiele jest portów tak zbudowanych jak gdyński. Przeważnie miasta portowe znajdują się przy ujściu większych rzek i kilometrami trzeba płynąć wśród bujaków, mielizn, wyseppek, rzeką lub kanałem, zanim się dotrze na wyznaczone miejsce. Nie pamiętasz to tego jeziora przed Szczecinem?

— Albo kanał przed Tunisem — wtrącił inny marynarz. — Jakże się to jezioro nazywało.

— El Bahira — wtrącił porucznik Bulicz — ale po co szukać tak daleko. Weźmy nasz Gdańsk z labiryntem jego kanałów i odnog Wisły.

— A trudno przecież żądać, żeby każdy kapitan znał wszystkie porty świata — ciągnął dalej Kobryń — nie mówiąc już o tym, że tu się coś zamuli, tam znów pogłębią koryto, gdzie indziej przesuną boje i dojazd się zmienia. A pilot zna swój port jak własną kieszeń, wie o wszelkich zmianach i nawet w ciemną noc przeprowadzi statek... Dlatego to, mój Pawełku, żaden port czy kanał nie może się obejść bez pilotów.

— No, a po co nam holownik? — pytał ów Paweł.

— Po to, że taki mały szczur — tu cieśla Kobryń wskazał na osmolony stateczek, który właśnie tyłem się odwracał do burty *Chrobrego*, tak że na jego niskiej rufie łatwo było odczytać napis *Tur* oraz nazwę macierzystego portu, w tym wypadku: Gdynia — że taki mały szczur jest bardziej zwrotny niż duży statek, i łatwiej nim manewrować. Duży, jak się rozpędzi, potrzebuje z pół kilometra miejsca, nim się zatrzyma albo wykona półobrót. A w porcie ciasno; w dodatku czasem wyskoczy z boku inny statek, zasłonięty przez budynki portowe albo przez wielki okręt zakotwiczony... Ładny byłby bigos, gdyby duże statki poruszały się w portach własną siłą, no!

Syrena ryknęła trzykrotnie. Liny, których pętlice zwolniono z pali, ześlizgnęły się z grobli, chlupnęły w wodę, a wciągane na statek przez obrotowy ruch kabestanów wiły się w brudnych odmętach niby jakieś legendarne węże morskie. Pilot dał znak gwizdkiem. Natychmiast zapieniła się woda za rufą holownika. Mały, czarny *Tur* ruszył z miejsca, odciągając na wyprężonej stalowej linie *Chrobrego* od nabrzeża. Pomiędzy kamienną groblą a burtą okrętu, odsuwającego się dokładnie bokiem, powstała szczylna rozszerzająca się z każdą sekundą; niebawem wyglądała jak rów strzelecki, potem jak wąwóz, na którego dnie przewalały się zmaczone nurty tłustej, nieprzeźroczystej wody, zaśmieconej przeróżnymi odpadkami, jak zawsze bywa w portach.

— Zwijać liny, chłopcy — polecił cieśla Kobryń. — Musimy jeszcze statek umyć z grubsza, zanim noc zapadnie.

Tur odciągnął *Chrobrego* na tyle, aby ten przy zamierzonym zwrocie nie zawadził rufą o

któryś z przycumowanych przy nabrzeżu okrętów, po czym wysunął się przed dziób olbrzyma i zaczął go wlec wprost ku wyjściu z portu. Ludzie, którzy pozostali na grobli i powiewali chusteczkami, maledli w oczach, stawali się liliputami z fantastycznej krainy Guliwera, a okręty zakotwiczone w dalszych basenach portu, krany, dźwigi, pociągi, sterty towarów, skrzyń, beczek, cysterny, wszystko to zatracalo z wolna swoje prawdziwe wymiary i coraz bardziej przypominało Jerzemu wystawy gwiazdkowe wielkich magazynów z zabawkami w Warszawie. Było to tak dziwne, że wypowiedział swoją myśl głośno, korzystając z chwili wytchnienia pomiędzy ukończoną robotą przy zwijaniu lin, a nierozpoczętym jeszcze szorowaniem statku.

— Nic dziwnego — uśmiechnął się Witold Bulicz — odległość pomniejsza wyczyny rąk ludzkich, a nawet ludzkiego geniuszu.

— Ale tylko odległość w przestrzeni, poruczniku — zastrzegł się gorąco Jerzy. — Odległość w czasie, przenigdy! Te budynki maleją szybko, nawet wysoki gmach łuszczarni ryżu będzie niebawem wyglądał jak pudełko zapalek ustawione pionowo, a za godzinę miasto tak skłęśnie, że gołym okiem nie potrafimy go odróżnić od tła niskiego wybrzeża. Lecz nigdy nie zaginie pamięć o tym, że dzięki polskiej energii i pracowitości z maleńkiej, zapadłej osady rybackiej wyrosło w ciągu kilku lat miasto kilkudziesięciotysięczne, Gdynia, najruchliwszy dziś port nad tym szmaragdowym morzem. Póki Bałtyku, póty i polskiej Gdyni! Tego żadna odległość w czasie nie pomniejszy, ani nie przekreśli.

— Brawo — rzekł Bulicz, wyciągając dłoń do Rawskiego. Majtkowie tylko głowami chwiali ze zdziwienia. Urwis Paweł usta otworzył szeroko jak wrota od stodoly, kiedy do niej ma wjechać wóz drabiniasty, lecz prozaiczny cieśla Kobryń ściągnął Jerzego z obłoków patriotycznego uniesienia:

— Mówisz gładko, jakbyś gazetę czytał — rzekł, klepiąc chłopca przyjaźnie po barkach — ale teraz trzeba się brać ostro do roboty.

— Z przyjemnością — odparł. — Po to tu jestem, by pracować.

Holownik *Tur* puścił linę, podjechał do *Chrobrego* z boku, tak że burty obydwóch statków niemal otarły się o siebie, po czym przyjął na swój pokład pilota.

— Do widzenia — huknął z mostku kapitan Starbała.

— Szczęśliwej podróży — odrzyknął pilot, dając znak Kobryniowi, że może już wciągnąć sztormtrap, czyli sznurową drabinkę zwisającą z burty *Chrobrego* ku pokładowi niskiego holownika. — Do widzenia. Kiedy się zobaczymy?

— W drugiej połowie września, myślę.

— Dobrze... Cześć, kapitanie.

Holownik *Tur* zwolniony od ciężkiego zaprzęgu wyprysnął żwawo naprzód, zatoczył małe półkole i pomknął na powrót w stronę wejścia do portu, płując w niebo gęstym, czarnym dymem. Na mostku *Chrobrego* zadźwięczał telegraf maszynowy; to Bulicz, który miał teraz służbę, posłał inżynierowi Gąsiorowskiemu sygnał *CAŁA – NAPRZÓD* i po chwili okręt szedł już o własnych siłach.

Kapitan w towarzystwie trzeciego oficera zstępował właśnie po schodni, kiedy na górnym pokładzie pojawili się Kobryń, Jerzy, Paweł oraz jeszcze trzech majtków, każdy uzbrojony w szcztokę, w miotłę czy wiadro.

— No, chłopcze — przemówił Starbała do Jerzego — *alea iacta*¹, czy jak tam uczyliśmy się w szkole. Nasz okręt idzie już pełną parą i dopiero za dobre trzy miesiące powrócimy w te strony.

Czy mógł przewidzieć ktokolwiek, że *Bolesław Chrobry* nigdy już nie zawita do Gdyni? Że

ten piękny statek odbywa obecnie swoją ostatnią podróż morską?...

Kobryń oznajmił Jerzemu:

— Nasza nowa robota będzie lekka, tylko... mokra. Szkoda butów.

Za przykładem innych, Jerzy zdjął trzewiki, skarpetki, marynarkę, aż w końcu został tylko w spodniach i w koszuli. Z kolei kazano mu dopilnować, aby pasażerowie pozamykali szczerlnie iluminatory w swoich kabinach. — A czemu? — pytał ten i ów za podróżników. Wyjaśniał tedy, że za chwilę rozpocznie się generalne szorowanie pokładów i może wody naciec do wnętrza. Niemal przy każdym iluminatorze musiał powtarzać to samo, wreszcie dotarł do ostatniego w szeregu tych okrągłych okienek. Nie otrzymawszy odpowiedzi na kilkakrotne pukanie, podniósł się na palcach i zajrzał przez iluminator do wnętrza. Na krześle przy biurku siedział jakiś człowiek i spał nad rozłożoną gazetą. Jego biały mundur nie posiadał żadnych odznak, za to płaska, okrągła czapka błyszczała złotem niczym galony świeżo mianowanego admirała.

— Ależ to mój znajomy, pan Gajda — poznał Jerzy, i zaczął wołać na śpiącego, póki go nie obudził. — Bardzo pana przepraszam, ale trzeba iluminator zamknąć — rzekł tonem usprawiedliwienia się.

— A tom sobie zasnął, no, no — dziwił się Gajda, spoglądając na zegarek, stojący na biurku. — Dobrze, zaraz zamknę.

Jerzy cofnął głowę, odwrócił się, by odejść do swoich towarzyszy, gdy z trzaskiem otworzyły się drzwi ostatniej kabiny i z korytarza wszedł do niej kapitan. Tak, to był na pewno Starbała. Jego tubalny głos Jerzy poznałby już i odróżnił wśród całego chóru głosów męskich.

— Pan admirał u mnie? Czemu mam przypisać tak spóźnioną wizytę, hę? — huczał Starbała. — Zaszczyt to nie mały dla mej kabinki, ale...

Jerzy nie podsłuchiwał oczywiście. Nie czynił tego nigdy, poza tym spieszył się do swojej roboty. Ale okrzyk kapitana zabił mu do głowy porządnego ćwieka. — Taki młody i już admirał? — myślał. — Ale to chyba nie z polskiej marynarki. Nie przypomina sobie takiego nazwiska; Gajda, hm, hm... A swoją drogą nasz kapitan dość obcesowo do admirała przemawia.

Nie stało czasu na dalsze dociekania. Kobryń już zalać zaczął gumowego węża do jednego z licznych otworów rury biegnącej u stóp burty wzdłuż całego pokładu, a ściśle biorąc wzdłuż wszystkich pokładów, porucznik Bulicz ryknął do maszyn rozkaz: — Pompa na spardek, przełącz! — i z końca węża trysnęła kaskada wody, zrazu mała, giętka, potem coraz dłuższa, coraz sztywniejsza. Kobryń skierował wylot owej sikawki ukośnie ku deskom pokładu; natomiast wzbil się tam obłoczek czarnego kurzu, a deska pojaśniała w oczach. Teraz przyszła kolej na Jerzego i jego towarzyszy. Miotłami zgamiali gruby osad pyłu węglowego, który w połączeniu z wodą wytworzył rzadkie błotko, spychali te brudy ku burtom, gdzie porwane prądem wody spływały do morza przez specjalne otwory. Druga partia majtków szorowała pokład twardymi szczotkami, trzecia gromada, najliczniejsza, pod wodzą samego bosmana, który nadciągnął właśnie ze swoimi ludźmi, zabrała się do mycia iluminatorów, drzwi i zewnętrznych ścian kabin pasażerskich.

W ten sposób, dzięki wspólnym wysiłkom, załatwili się ze środkową częścią okrętu w ciągu niespełna półtorej godziny.

— Na dzisiaj dosyć — orzekł bosman — przód i ruń pozostawimy sobie na jutro. Teraz do korytka, chłopcy, i spać.

Jerzy poszedł za innymi na ruń statku, ale nie od razu wszedł do kubryku. Chciał wpieryć postać pożegnalne spojrzenie Gdyni i zdziwił się, że jej nie dostrzega. — Może patrzę w złym kierunku? — przypuszczał w pierwszej chwili. Omiótł wzrokiem spory szmat widnokregu, od

Gdańska po Puck i Swarzewo, lecz nie odkrył ani skrawka ładu; dopiero bardziej na północ, po prawej ręce patrzącego wylaniał się z morza pas ziemi, wąski, zalesiony, wybiegający ku lewej burcie *Chrobrego* wyraźnym zgrubieniem. To Helski Półwysep. Jego cypel okrążali właśnie. Że statek zmienia już dotychczasowy kurs poznał Jerzy łatwo, obserwując kilwater, to jest ową brudzę mętnej, spienionej wody, jaka wykwiła zawsze za rufą płynącego statku i przebyłą przez niego drogę znaczy na tle płynnej równiny morza. Owa brudza, do tej pory prosta jak strzelił i wskazująca położenie niewidocznej już Gdyni, zakręcała w lewo łagodnym łukiem, prawie równoległym do zaokrąglonych wybrzeży cypla.

— Co to znaczy? — mruknął Jerzy, zaciekawiony zachowaniem się człowieka, którego dostrzegł w chwili, gdy dziób *Chrobrego* zrównał się z najdalej w morze wysuniętym językiem półwyspu. Człowiek ten stał na małej ławicy piasku, zalewanej z dwóch stron przez fale, i z rękami wyciągniętymi przed siebie, szedł powoli w morze, przystając raz po raz.

— Paweł! Moją lornetkę! — huknął Jerzemu tuż nad uchem znajomy głos. To bosman Miazek, również zaintrygowany widokiem dziwnego samotnika, dawał polecenie młodemu amatorowi cudzej kielbasy. Paweł uwinął się szybko, lecz mimo to, zanim powrócił, liczba widzów na rufie *Chrobrego* zwiększyła się o dalszych trzech majtków. — Chyba jaki wariat — przypuszczano ogólnie. — Bo któżby się tam pchał do wody w ubraniu.

Bosman wytarł o spodnie zakurzone szkła starej lornety, podniósł ją ku oczom i twarz mu spochmurniała, jakby na nią padł cień przelatującego obłoku. — Zaraz tak myślałem — warknął — to Michał Paluch, chłopcy — dodał łagodniej i westchnął. Nikt słowa nie rzekł. W smętnym milczeniu spoglądano na biednego Palucha, któremu nieszczyście rodzinne nie pozwoliło wziąć udziału w tej podróży i który wybiegł na cypel, by z daleka pożegnać kolegów i umiłowany okręt. Ciszę zamać dopiero okrzyk najmłodszego majtka; bowiem Jerzy, dzięki bosmańskiej lornecie zoczył na cyplu tablicę i odczytał ostrzegawczy napis, że w tym miejscu kąpać się jest niebezpiecznie. Dlaczego niebezpiecznie, sam się zaraz domyślił; wszakże tu, za tym cyplem schodziły się fale otwartego morza z nurtami zatoki, zawsze niespokojnymi w tym miejscu dzięki wiślanym prądom, których siła tutaj dopiero się wyczerpuje. Nic tedy dziwnego, że koło cypla roi się od zdradzieckich wirów równie groźnych dla przeciętnego jak i dla bardzo dobrego pływaka. I ku tym wirom posuwał się zropaczony Michał Paluch, wpatrzony w swój okręt i jakby zahipnotyzowany jego widokiem...

— On utonie! — krzyknął Jerzy.

Spojrzeli nań niechętnie, że przerwał ciszę ich rozmyślań, lecz bosman podzielił obawy Rawskiego.

— Jemu woda sięga już do kolan — rzekł — jeszcze parę kroków, potem dno zapada się jak uciął — i głębia. Znam to miejsce.

— Wracaj, Michał — wrzasnął jeden z majtków. Zwinęli dłonie przy ustach i jednocześnie krzyczeli co tchu w płucach, skandując sylaby: — Wra-caj Mi-chał, wra-caj Mi-chał, bo u-to-niesz!

— Na nic — mruknął bosman. — Na taką odległość nie usłyszysz.

— I wiatr w złą stronę dmie.

— Trzeba dać inny sygnał. Podsadźcie no mnie, chłopcy.

Z pomocą majtków wgramolił się bosman na dach lodowni i stanąwszy tam, zaczął wymachiwać koszulą, która suszyła się na jakiejś linie.

— Lornetkę — zawołał po chwili.

Jerzy wspiął się na dach lodowni z kocią zręcznością i wręczył bosmanowi jego lometkę. Wszystkie spojrzenia przyłgnęły do twarzy doświadczonego wilka morskiego. Gdy podnosił szklka ku oczom, troska wyzierała z każdej zmarszczki czoła i z rysów ściętych obawą o życie kolegi. Lecz po chwili to męskie oblicze, wysmagane wichrami, spalone na brąz afrykańskim słońcem, straciło kamienną surowość posągą i zmiękło, zładogniało w uśmiechu.

Jerzy odetchnął z ulgą, zanim z zaciśniętych ust bosmana padło uspokajające — Chwała Bogu. — Znowu dostał do rąk lometkę i sam mógł się przekonać, że niebezpieczeństwo minęło. Palacz Michał Paluch cofnął się aż pod tablicę z ostrzegawczym napisem, czapką posłał ostatnie pożegnanie kolegom, zawrócił na pięcie i ruszył w powrotną drogę ku wsi Hel. Szedł skrajem plaży z głową nisko zwieszoną na piersi, lecz ani razu się już nie obejrzał na statek. Dopiero gdy go wydyma piaszczysta zasłoniła, Jerzy zeskokczył na pokład.

— Nie rozumiem powodów tak wielkiego smutku — odezwał się — niejedną raz odbył tę podróż, nieraz ją znowu odbędzie, więc dlaczego...

— Dlatego — przerwał porywco jakiś piegowaty palacz — że dla każdego z nas tysięcy złotych to majątek. A Paluch ma w dodatku chorą żonę i dzieci. Roboty na lądzie nie znajdzie tak łatwo; choćby zaś znalazł, to wszystko przeje.

— No a tutaj?

— Tutaj mamy wikt darmo, to raz.

— A co ważniejsze — wtrącił bosman z uśmiechem — na statku nie ma okazji do wydawania pieniędzy i marynarz może sporo grosza oszczędzić, jeśli tylko będzie się pilnował w portach... Biedny Michał.

Jerzy nic więcej nie rzekł, ale postanowił sobie w duchu, że przy najbliższej sposobności wyśle do Michała Palucha list, w którym go pocieszy i zapewni solennie, że całą swoją trzymiesięczną pensję przekaże jemu. Wprawdzie palacz zarabia znacznie więcej niż młodszy marynarz, ale zawsze i te paręset złotych przyda się biednemu człowiekowi, obciążonemu liczną rodziną — rozmyślał. Ten dobry uczynek był w tej chwili tylko projektem, niemniej jednak już teraz ogarnęła chłopca niewysłowiona radość...

Patrzył...

Słońce zanurzyło się właśnie w miękką pościel morza. Zorza zachodnia płonęła u wezłowia zasypiającego olbrzyma, któremu wszystko, co żyje, życie zawdzięcza, a mały obłoczek, czuwający nad jego snem, ustroił się w królewską purpurę i pysznił się nią niczym paż jakiś swawolny, który przywdziewa szaty swojego monarchy, korzystając z jego nieobecności.

Dzień dogasał powoli, pogodnie i cicho. Nawet piękne sosny helskie, które szamotały się z wiatrem po tamtej stronie mierzei, po stronie Małego Morza, stały tu nieruchomo, z lekka tylko skłaniając głowy w należnym władcy pokłonie. Noc, przyczajona w dziupli spróchniałej lipy, wysunęła swoje macki niezliczone i motała drzewa jedwabistą przędzą mroków, coraz to czarniejszymi nićmi, coraz to wyżej i wyżej pełznąco zdradziecko ku wspaniałym czubom, za dnia smaragdowym, teraz szarym zaledwie. A dorodne córki nocy, fioletowe i liliowe mgły, płaśady już na złotym wydymie piasków, sływały z plaży na wodę i w lekkich, zwiniętych płasach podchodziły aż do burt okrętu, jak gdyby go zatrzymać pragnęły, jak gdyby przeczuwały, iż nie ujrzą go więcej.

Lecz statek tyle dbał o względy pięknych kusicielek, co o podmuchy wiatru. Mierząc dziobem w sam środek gasnącej zorzy wieczornej, szedł śmiało ku swojemu przeznaczeniu, zostawiając po bakborcie kolejno stację ratowniczą, *Bocianie Gniazdo* i *Szwedzką Górę*. Płynął teraz wzdłuż szerokiej plaży, ciągnącej się niemal do samej Jastarni i niebawem obydwie latarnie morskie

znalazły się na jednej linii.

— Tylko patrzeć, jak ziemia zniknie z oczu — mruknął Jerzy, całując wzrokiem jej kontury i zaczął się zastanawiać nad tym, jak by Półwysep Helski wyglądał z wysoka, z podniebnych szlaków, które dawniej tylko ptakom były dostępne, a dzisiaj, dzięki ludzkiej wynalazczości stały się zwyczajnym gościńcem dla lotników, ba, nawet dla każdego śmiertelnika. — Półwysep musi chyba wyglądać jak wielka maczuga — odgadł, i nagle uroiło mu się, że helska mierzeja to dawna maczuga słowiańskiego bożka, który cisnął ją w morze; umyślnie w tym miejscu ją porzucił, aby po wieczne czasy przypominała Niemcom, iż do tej ziemi im wara! Dość Słowian wytępiłi, odpychając ich od Łaby i Odry, dość ziemi zagrabili, ale na tym koniec! — Ani piędzi więcej! — krzyknął Jerzy i pogroził młodą, silną pięścią w stronę pobliskiej granicy wojowniczego i zachłannego sąsiada Polski.

Zadźwięczały mu w uszach słowa profesora Chowańca, który swoje przemówienie do tegorocznych maturzystów w ich gimnazjum zakończył takim zdaniem: *Cudzego nie pragniemy, lecz potrafimy swoje obronić, potrafimy, gdy zajdzie potrzeba, powtórzyć Grunwald!*

— Potrafimy! — zawołał Jerzy z energią.

— Jeszcze jak! — zdawała się mówić potężna latami morską i z odległego Rozewia mrugała porozumiewawczo i przyjaźnie do najmłodszego majtka Polskiej Marynarki Handlowej...

W jakiś czas potem tenże najmłodszy majtek poczuł wilczy apetyt. Od obiadu, to znaczy prawie od ośmiu godzin, nie miał nic w ustach, a trzykrotny spacer pomiędzy hotelem a portem, później praca na statku i pobyt na świeżym powietrzu, zaostrzyły głód. Zszedł więc do kubryku, odszukał kajutę, służącą majtkom za jadalnię, lecz nic tu nie znalazł. Jego kolacją „zaopiekowali się” nowi koledzy tak serdecznie, że tylko okruchy chleba pozostały obok dokładnie wymiecionego talerza.

— Moja wina — mruknął Jerzy z kwaśnym uśmiechem. Powrócił na pokład, w nadziei, że spotka kogoś i dowie się, czy by nie można było dostać coś do zjedzenia. Po dłuższych poszukiwaniach natknął się na bosmana, któremu z dużym zakłopotaniem powiedział o swoim zmartwieniu.

— Jak to? Nie jadłeś kolacji? — zdziwił się Miazek.

— Nie. Być może, iż kucharz nie wiedział o mnie — odparł.

— Wiedział, sam mu mówiłem... Aha, rozumiem! Spóźniłeś się i te żarłoki wszystko zjadły. — Bosman domyślił się prawdy. — No, trudno. Musisz iść spać z pustym brzuchem, a w przyszłości pilnuj swej godziny. Teraz maszeruj do kubryku. Spać, chłopcze, bo jutro od rana robota.

Rad nie rad zszedł Jerzy do kabiny, w której miał zamieszkać na czas tej podróży. Prócz niego było tu jeszcze siedmiu majtków. Ci poczciwi, ale prości ludzie żywili snadź dziwne uprzedzenie do świeżego powietrza, skoro nie odmykali na noc iluminatorów. Nic tedy dziwnego, że w niskiej, ciasnej kajucie panował nieznośny zaduch.

Jerzy zamierzał rozpakować swój kufer, w tym celu zapalił światło, lecz kazano mu je zgasić natychmiast.

— Za dnia to można załatwić — warknął jeden z majtków zaspanym głosem, usiadł na koi i sam przekręcił taster elektrycznej lampki.

Jerzemu nie pozostało nic innego, jak zamknąć kufer i rozebrać się po ciemku. Uczynił to, wyciągnął się na wyznaczonym legowisku, ale długi czas nie mógł zasnąć w tej dusznej komórcie zatrutej wyziewami siedmiu ludzi, którzy, wnosząc z zapachów, nieczęsto zażywali rozkoszy ciepłej

kąpieli. Jerzy, który dbał wielce o higienę ciała i sypiał nawet w zimie przy otwartym oknie, czuł się fatalnie w ciągu pierwszej godziny i zarzekł się w duszy, że wytepi to niechlujstwo u swoich nowych kolegów. — Nic dziwnego, że mają sen tak niespokojny — rozmyślał, wsłuchując się z nudów w odgłosy jęków, postękiwań i chrapliwego oddechu siedmiu towarzyszy, z których najgorzej wiodło się jego najbliższemu sąsiadowi; ów przewracał się ustawicznie z boku na bok, aż koja pod nim jęczała, a spał właśnie nad Jerzym...

Było już chyba dobrze po dziesiątej, gdy najmłodszy majtek nareszcie zasnął i gdy opadła go zgraja sennych majaków, widm i upiorów. Olbrzymie osmiornice wyciągały ku niemu zabójcze pętlice swoich macek, straszliwe węże, jakieś boa, anakondy, płaśły wokół niego, żarłoczne rekiny kłapały paszczami, usiłując odgryźć mu nogi, które rozpaczliwie podciągał ku sobie.

Obudził się w siódmych potach. W kubryku było względnie jasno. Jakiś człowiek stał przy sąsiednim hamaku i tarmosił energicznie twardo śpiącego marynarza, mówiąc przy tym głosem stłumionym, ale i poirytowanym:

— Wstawajcie, Skowronek. Północ dochodzi. No, żywo, żywo, hop.

— Odczep się pókim dobry — bełkotał ów Skowronek.

— Aha, już. Chciałbyś, żebym wachtę za ciebie odrabiał, co?

— Człowiecze, dopiero zasnął.

— Skowronek, bo wodą obleję, albo bosmana zawołam!

Nie wiadomo, co bardziej przeraziło śpiocha, czy prysznic, czy groźba przywołania bosmana Miazka, dość, że usiadł na koi i, ziewając od ucha do ucha, zaczął się ubierać.

— Sternika zbudziłeś? — spytał.

— Już poszedł na spardek.

— Ołaboga, czemu żeś mnie wcześniej nie zbudził?

Przybyły ujął się pod boki, omiótł wzrokiem całą kajutę, jakby szukał świadka, a zoczywszy, iż Jerzy nie śpi, do niego się zwrócił:

— Słyszałeś? Od dziesięciu minut tarmoszę tego śpiocha, a on jeszcze ma pretensje, że go nie zbudził wcześniej.

— Zamkniesz raz swój dziób?! — huknął inny marynarz.

Tamci dwaj umilkli i niebawem wynieśli się z kajuty, pozostawiając na prośbę Jerzego drzwi uchylone. Rawski domyślił się, iż za kilka minut nastąpi zmiana wachty, jak zawsze dzieje się na statkach we dnie i w nocy, zawsze o tej samej porze, to jest o godzinie dwunastej, czwartej i ósmej.

— Kiedyż to i ja będę sternikiem — westchnął. Nie wiedział na razie, jaką służbę pełni marynarz Skowronek, który przecież nie był sternikiem, i korciło go, by się z nim kiedyś zamienić na role. — Ten śpioch byłby chyba zadowolony z takiej zamiany, — przypuszczał. Postanowił jednak, że w pierw wybada, na czym polega służba tego kolegi i zapyta Bulicza o zdanie.

Ziewnął. Był śpiący. Odczuwał potrzebę wypoczynku, której bynajmniej nie zaspokoiła dotychczasowa dwugodzinna drzemka, a ciemności, jakie znów zapanowały w kabinie po wyjściu Skowronka, i jednostajne dudnienie śruby okrętowej znajdującej się blisko kubryku, działały usypiająco. Pociągając się, iż teraz, skoro drzwi pozostały uchylone i świeże powietrze miało taki dostęp do kabiny, przykre sny nie będą go znowu trapiły, zawarł powieki i po kilku minutach zasnął ponownie...

Wydało mu się, że jest w jakimś mieście dziwnym, niezwykłym, ani trochę niepodobnym do miast współczesnych. I stroje ludzi były jakieś dziwaczne. Mieli na sobie długie, powłóczyste szaty, a on sam był również odziany w toę i wraz z całym tłumem spieszył w stronę placu otoczonego

wspaniałą kolumnadą i zatłoczonego niezliczonymi rzeszami ludzi. W pośrodku, na marmurowym podwyższeniu stał olbrzymi posąg. Olbrzymi był naprawdę, skoro starcy, noszący na głowach zabawne, szpiczaste czaka, sięgali zaledwie do kostek temu marmurowemu wielkoludowi. Jeden z owych starców wołał właśnie głosem spżiwowym, przejmującym: *Módlcie się! Błagajcie w pokorze, aby bogini poskromiła świętą górę ognia...* Wraz z innymi odwrócił Jerzy głowę i hen, za miastem, ujrzał szczyt wulkanu. Słup ognia tryskał z niego ku niebu, które także gorzało krwawą luną pożaru... Wtem... ziemia zadygotała w posadach. Z ogłuszającym hukiem runęło kilkanaście gmachów. Grobowe milczenie zapanowało na placu, a potem, gdy olbrzymi posąg bogini złamał się jak suchy patyczek i spadł w ciżbę, miażdżąc setki osłupiałych ludzi, tłum ogarnęła panika. Tratując się nawzajem, gryząc, wyjąc z przerażenia, biegli wszyscy na oślep przed siebie, byle wydostać się jak najprędzej z walącego się miasta. Ziemia kołysała się jak tratwa na wzburzonym morzu, a gdzieś w oddali huczał głos ponury, smutny, bolesny: *Biada wam, biada miastu, biada całej Atlantydzie!* Rozpędzony tłum stanął w miejscu jak wryty, śmiertelna groza zdusiła w gardzielach ryk przerażenia i rozpaczy. Jerzy podniósł się na palce i ponad głowami swoich sąsiadów ujrzał coś, co mu zmroziło krew w żyłach. Oto przez całą szerokość ulicy waliła na nich góra spienionej wody wysoka jak trzypiętrowy dom. — Uciekać! — wrzasnął rozdzierająco. Szarpnął się wstecz, ale natrafił na nieprzewyciężony opór. Był jakby w kleszczach, zewsząd otoczony zbitym tłumem, który snadź zrozumiał, że nadszedł nieubłagany koniec, bo stał w miejscu nieruchomo z tępą rezygnacją skazańców. — Uciekać! — zawył powtórnie, widząc, że olbrzymia fala zbliża się z chyżością lotu jaskółki, że najdalej wysunięte szeregi tłumu zniknęły już w odmętach. Tuż niedaleko ujrzał otwartą bramę jakiegoś domu. Znał ten gmach dobrze. To pałac jego stryja, arcykapłana, najwyższy po świątyni budynek w białym mieście. Przemknęło mu przez myśl, że tam, na najwyższe piętra powódź nie sięgnie. Zachryplym głosem powiedział to najbliższemu stojącemu i z dziką energią pchnął korpus w stronę bramy. Potknął się. Upadł jak długi. Ukłął, chciał się zerwać. — Uciekaaa!... — Nie dokończył. Woda zalała mu usta, nos gardło i...

Zbudził się na podłodze kajuty *Chrobrego*. Nieprzytomnym wzrokiem ogarnął całą kabinę i zaspane, niektóre gniewne, niektóre uśmiechnięte, twarze marynarzy.

— Uciekaj sobie, jeżeli masz ochotę, ale nas tu nie budź — zabrzmiał czyjś głos, całkiem niepodobny do grobowego głosu arcykapłana, czy kim tam był ów starzec przemawiający u stóp olbrzymiego posągu bogini.

— Więc to był sen? — pomyślał Jerzy i niedowierzająco zachwiał głową. Czuł jeszcze to nieprzyjemne kołysanie się i w ustach miał pełno wody, a koszula na piersiach była mokra, jakby ją co dopiero z balii wyciągnął. Zagadka wyjaśniła się dopiero wtedy, gdy odwrócił głowę w stronę źródła głosu. Majtek, który z jowialnym uśmiechem radził, by Jerzy uciekał, jeśli ma ochotę, byle ich nie budził... trzymał w dłoni odwrócony kubek, z którego ciekły ostatnie kropelki wody. — Ach, więc to on mi sprawił taki prysznic — domyślił się chłopiec.

Powstał, przeprosił kolegów, że ich obudził, tłumacząc się, iż prześnił okropny sen o zagładzie Atlantydę.

— Atlantyda? Co to za jedna?

— Pewnie taka, co gra w filmie — wtrącił Paweł, ów pogromca bosmańskiej kielbasy.

— Ja wam tu zrobię film, jak paska poszukam — huknął jakiś starszy marynarz. — Zgasić lampę i spać, do stu par dziurawych butów! Zaledwie druga — zrzędził, potrząsając zegarkiem.

Jerzy Rawski wciągnął spodnie i chyłkiem wyniósł się z kubryku. Nie mógł dłużej wytrzymać w tym zaduchu teraz, gdy rozpoczęło się kołysanie statku. Ta chwiejba była zupełnie

odmienna od szybkich podskoków i pochyłeń portowej motorówki, z którą Jerzy Rawski zawarł znajomość w poprzednią noc. *Chrobry* pochylał się na bok powoli, majestatycznie, jak przystało takiemu olbrzymowi, równie leniwie dźwigał się do zwykłej pozycji i znowu kładł się na drugą burłę, a ta powolność jego chwiejby w połączeniu z zegarkową regulacją nachyleń była nieopisanie przykra dla nowicjusza, toteż Jerzy niewiele lepiej czuł się na świeżym powietrzu niż przedtem, w dusznej kajucie po gwałtownym powrocie z krainy snów, z ginącej Atlantydy.

— Pójdę w stronę spardecku — postanowił — środek okrętu najmniej się chyba kołysze.

Było to słuszne przypuszczenie, ale tylko jeżeli chodzi o kołysanie kilowe, to jest podłużne. Wówczas ruchy okrętu przypominają wahania najprymitywniejszej huśtawki, jaką często urządzą sobie młodzi chłopcy z długiej deski, wspartej w środku na beczce albo skrzyni... wówczas dziób statku i rufa podskakują na przemian, a środek jest względnie spokojny. Na nieszczęście dla Jerzego, który poszedł spać z pustym żołądkiem i nie oswoił się jeszcze ze zwyczajną chwiejbą okrętu, *Chrobry* przechodził w tę noc kołysanie się boczne, które na ogół jest znacznie mniej przykre od kilowego, o ile ktoś wie, co wtedy robić.

Niestety, Jerzy nie wiedział, co z sobą począć, dokąd się schronić, jaką przybrać pozycję, by jak najmniej odczuwać boczną chwiejbę. Wałęsał się od rufy do spardecku, siadał na lukach, zrywał się, biegał wzdłuż burty, wdychał, zataczał się i potykał w ciemnościach, aż zmęczony, zrezygnowany usiadł na trzecim stopniu schodni wiodącej na środkowy pokład.

— Morska choroba, oczywiście — mruknął z niechęcią, ściskając dłońmi głowę. Rozbolała go nieznośnie nie wiedzieć kiedy, pulszy w skroniach biły mocno, ślina miała słonawy posmak, a dziwna czczość w żołądku wywoływała nieprzyjemne nudności i obwieszczała rychły początek torsji. Przypomniawszy sobie, że ktoś mu zalecał jako najlepsze lekarstwo przeciwko morskiej chorobie... zucie cytryny; ktoś inny twierdził: — Broń Boże podróżować na morzu z pustym żołądkiem. — Przypomniawszy sobie dziesięć innych rad, a świadomość tego, że żadnej z nich nie może usłuchać, że nie posiada ani cytryny, ani koniaku, że nic nie jadł od blisko czterech godzin, że jest tutaj sam i nie może przecież nikogo budzić, by prosić o pomoc, słowem przeświadczenie o własnej bezradności, dobijało go z wolna.

Wtem... usłyszał głos ludzki. Zerwał się żwawo i zaczął się piąć po schodni, bowiem stamtąd, ze środkowego pokładu dochodziły go jakieś odgłosy, niezbyt wyraźne co prawda, lecz świadczące o czyjejs obecności. — Przynajmniej nie będę już taki samotny — myślał z radością.

— Nie wytrzymam!

Jerzy przystanął zdumiony. Nie dlatego się zdziwił, że głos wydał mu się bardzo znajomy, ale z tej przyczyny, iż w tonacji tego krótkiego okrzyku wyczuł beźmiar rozpacz, bólu i przestachu.

— Co tam się dzieje? — wyszeptał zaniepokojony. Ruszył w dalszą drogę szybciej, gotów zawsze pospieszyć z pomocą bliźniemu.

— Nie wytrzymam, ooooooch... eeeep!

Tym razem po żalonym okrzyku zabrzmiał przeciągły jęk, a zakończyła tę smętną symfonię seria nieartykułowanych i wielce nieestetycznych odgłosów. Jerzemu, który pod wpływem nagłej emocji zapomniał chwilowo o dolegliwościach własnego organizmu, ponownie zrobiło się niedobrze, gdy to posłyszał.

— Och, ratuuujcie... ratuuujcie! — zabrzmiało znowu.

Jerzy puścił się pędem. Szybko obiegił spardeck od strony nawierzchni i wreszcie ujrzał autora owych okrzyków i jęków.

— Duch?! — pomyślał w pierwszej chwili, lecz natychmiast uznał to przypuszczenie za

niedorzeczne. Rzekomy duch był co prawda bielusiutki, lecz posiadał zgoła ludzkie kształty, nie mówiąc już o jego stękanii, które nie miało absolutnie nic nadludzkiego w sobie. — Jest tylko w białźnie i, o ile się nie mylę, padł ofiarą morskiej choroby — stwierdził Jerzy w myśli, podchodząc z wolna do jęczącego strasydła. Teraz, gdy przekonał się naocznie, że tantemu nie zagraża jakieś istotne niebezpieczeństwo, szedł powoli, bez wszelkiego pośpiechu. — To pewnie któryś z naszych pasażerów — przypuszczał. — No, oczywiście. Marynarze nie podlegają morskiej chorobie, to jasne.

— Nie wytrzymam! — wrzasnęła biała postać i wychyliła się za burtę.

Jerzy przymknął oczy, a uszy przystąpił sobie dłońmi, wiedząc z opowiadań kolegów, którzy letnie wakacje spędzali na wybrzeżu, jak zaraźliwie działa na otoczenie widok chorującej ofiary tej przykryj dolegliwości.

Dopiero po dłuższej chwili zdecydował się podejść bliżej.

— Czy nie mógłbym być pani w czym pomocny? — spytał niezgrabnie; powiedział: *pani*, gdyż zmylił go piskliwy głos chorego. — Może przynieść szklanek wody? Albo cytrrrr...

Urwał w pół słowa, głos uwiązał mu w krtani; mrugał gwałtownie, nie wierząc oczom i stał w miejscu odstupiały. Bowiem rzekoma pasażerka odwróciła się na pięcie i Jerzy Rawski ujrzał tuż przed sobą pucołowate oblicze pana Gajdy, tego młodego grubaska, który wskazał mu drogę do kabiny Bulicza.

— To paan? — Tyle tylko zdołał Jerzy wykrztusić. Ani rusz nie mógł zrozumieć, jak się to stało, że pan admirał, doświadczony wilk morski, uległ chorobie, będącej wyłącznym przywilejem „ładowych szczurów”. Zaś ów zażywny młodzieniec, jakby się domyślał powodów zdziwienia przypadkowego świadka tego zajścia, zaczął się usprawiedliwiać cienkim dyszkantem:

— Najwięksi marynarze chorują... Sam Nelson, zwycięzca z pod Trafalgaru... sam Nelson, uważa pan... och... eep.

— Uważam — mruknął Jerzy, zagryzając wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem, gdyż niezwykle pocieszny był widok Gajdy, trzymającego się kurczowo poręczy, wychylonego za burtę i... karmiącego szcudrze ryby. Współczuł mu szczerze, lękał się, iż niebawem sam pójdzie w jego ślady, lecz pomimo to wszystko pierwiastek komiczny tego epizodu morskiej podróży działał nań najsilniej w tej chwili. Stał więc w milczeniu, wysiłkiem woli powstrzymywał wybuch żywiołowego śmiechu, a tuż obok pan admirał wymiotował „aż miło”, jakby powiedział Kobryń, cieśla okrętowy, który tego *aż miło* używał w rozmowie równie często, jak powiedzenia *na amen*.

— Och... już nie mogę więcej.

Jerzemu zrobiło się przykro. Rzeczywiście czytał kiedyś, że nawet wielki Nelson chorował na morzu, więc najwidoczniej wszystko zależy w pierwszym rzędzie od odporności organizmu; a jeśli tak, to raczej pomóc należało biednemu Gajdzie, niż śmiać się w duchu z jego wyglądu w nocnym neglizżu, z jego choroby i piskliwego głosu... Dotknął więc delikatnie ramienia grubaska, zamierzając go odprowadzić do jego kabiny i zaczął ciepło, serdecznie:

— Obudzę kapitana. On przecież ma klucz od apteczki okrętowej, jak zawsze bywa na statkach. A tymczasem pan, panie admirał zechce...

— Milcz! — wrzasnęła Gajda. — Jeszcze i ty? Czekaj, ja ci!

— Ależ... ja... panie admirał... — wyjąkał Jerzy, przerażony takim wybuchem.

— Precz!... Kości ci połamię!... Precz, mówię...

Zamierzył się pięścią, lecz ponownie chwyciły go torsje i Jerzy nie otrzymał potężnego ciosu w głowę, przed którym nie byłby się na pewno zasłonił przejęty respektem dla tak wysokiej rangi, a przy tym ogłuszony lawiną przykrych słów. Stał jeszcze przez kilkanaście sekund, potem

zasalutował, odwrócił się na pięcie i odmaszerował, przygnębiony strasznie, że zaraz w pierwszym dniu podróży naraził sobie takiego dostojnika jak admirał.

Nie uszedł jednak ani dziesięciu kroków, gdy okrzyk — Stój! — osadził go w miejscu. Gajda szedł ku niemu, zataczając się arcyzabawnie, dopędził go, oparł mu dłoń na ramieniu i rzekł tonem rozkazu:

— Słuchaj ty; nie powiesz nigdy nikomu, coś tutaj widział.

— Rozkaz.

— Słówka nie piśniesz. Przysięgasz?

— Czy wystarczy, jeżeli dam słowo honoru?

— Wystarczy. Więc dajesz słowo.

— Ręczę słowem honoru, że nikt się nigdy nie dowie — zaczął Jerzy tonem bardzo uroczystym — nie dowie, że pan...

— No mniejsza o resztę — wtrącił szybko Gajda, — Nie wypominaj mi już tego. I pamiętaj, gdybyś komukolwiek na statku o tym powiedz...

Teraz Jerzy przerwał z kolei:

— Dałem słowo honoru — przypomniał butnie — i wiem, co to znaczy honor!

— No, to między nami zgoda. Dawaj łapę. — Chłopak uściśnął z należnym szacunkiem podaną sobie rękę, potem stanął na baczność, przyłożył dłoń do daszka czapki i ze szczerą wdzięcznością spojrział na Gajdę. Czuł, że bezmierny ciężar spadł mu z serca po tak szybkim pojednaniu się, i w myśli zupełnie usprawiedliwiał pana admirała, iż ten żądał od niego dyskrecji. — Musiał to zrobić. Tu chodzi przecież o autorytet admirałski — sądził.

— Czy mogę już odejść, panie admirale? — spytał po chwili.

Zanim ów zdążył odpowiedzieć, zabrzmiał z góry, z mostku komendanta, gniewny głos trzeciego oficera *Chrobrego*:

— Co tam za rozmowy po nocy?

Gajda skurczył się, uskokzył w cień i zniknął w ciemnościach, tylko tętent bosych stóp świadczył o jego dalszej pospiesznej ucieczce.

Jerzego zastanowił w pierwszej chwili tak niepoważny odwrót dygnitarza, lecz natychmiast przypomniał sobie żądanie Gajdy; żądał, by Jerzy słowem nie pisał o zajściu, jakiego był przygodnym świadkiem, więc niewątpliwie z tych samych powodów umykał teraz, nie chcąc, by jeszcze ktoś dowiedział się prawdy. Tak przypuszczał Jerzy, rozmyślając w powrotnej drodze do kubryku nad tym, czy Nelson był równie wstydlivy.

— Odniosłem w każdym razie tę korzyść, że skłonność do torsji przeszła mi bez śladu — stwierdził z wielką radością. Tak też było naprawdę i reszta nocy przeszła mu spokojnie. Emocja wywołana odkryciem jęczącego straszdyła zagłuszyła błędne przeświadczenie, iż nie oprze się napadowi morskiej choroby, a owo błędne przeświadczenie jest stale głównym powodem tej przykrej dolegliwości pasażerów i początkujących marynarzy; niestety, zbyt wielu zapomina o tym w czasie morskiej podróży i myśląc ustawicznie o spodziewanej chorobie, nabawia się jej mimowolnie.

¹ alea iacta (łac.) – kości [zostały] rzucone; klamka zapadła.

Rozdział V TAJEMNICZE WYPADKI

Nazajutrz od wczesnego ranka Jerzy pracował wraz z innymi majtkami przy szorowaniu statku, gdyż poprzedniego dnia uporali się tylko ze spardekiem. Punktualnie o ósmej odwołano ich na śniadanie. Składało się ono ze sporego kubka kawy zabelonej skondensowanym mlekiem, z potężnej pajdy chleba, który można sobie było omaścić marmoladą lub kilkoma plasterkami suchej kielbasy; Jerzy wybrał marmoladę, uważając, iż kielbasą nie można zagryzać białej kawy, wypróżnił szybko swój kubek i porwał się ku drzwiom.

— Dokąd ci tak spieszą, heeę? — ziewnął majtek Skowronek, nawet o tej porze jeszcze śpiący. — Należy się nam pół godziny wytchnienia przy każdym posiłku. Przecież żeś nawet połowy swego chleba nie zjadł.

— Wolałbym go zjeść na świeżym powietrzu, jeśli można.

— Można, można — oświadczył cieśla Kobryń, patrząc na chłopca z życzliwym uśmiechem.

— To i ja wyjdę na pokład. — Pawełek podniósł się z ławy, przyśrubowanej do podłogi podobnie jak stół i wszelkie cięższe sprzęty w kabinach, zgarnął swoją porcję chleba i pospieszył za Jerzym.

A Jerzy Rawski dążył w stronę dziobu statku. Nie tylko dlatego, że tam zaczęli dzisiaj robotę, którą śniadanie przerwało, ale i po to, by dogodzić swoim upodobaniom. Jeszcze w tych czasach, gdy znał morze wyłącznie z książek, dziób statku pociągał go znacznie więcej niż ruń. — Dziób to przednia straż — myślał zawsze — to zwarty klin najdzielniejszych hoplitów¹, to miecz płynącego okrętu, ostry miecz, który rąbie i toruje drogę przez niezliczone hufce *fil*. Tam właśnie odbywa się właściwa bitwa okrętu z morzem, będąca małym epizodem w odwiecznej wojnie człowieka z żywiołem... Poza tym — rozumował w dalszym ciągu — jeżeli chodzi o wrażenia wzrokowe podróżnika... o wrażenia moje osobiste — uśmiechnął się radośnie, że on sam jest teraz podróżnikiem — znowu wolę dziób statku, bo stamtąd widać to, co ma przyjść, co się zbliża; z rufy zaś to, co już mija i odchodzi, i żegna, i staje się przeszłością. Ja tam wolę patrzeć zawsze w przyszłość, iść ku niej śmiało jak ten statek nieustraszony...

Koło oficerskiej jadalni spotkał Bulicza, który o ósmej ukończył swoją ranną czterogodzinną służbę na mostku i szedł właśnie na śniadanie. Musiał być porządnie głodny, gdyż tylko uściśniętą dłoń Jerzemu i zaledwie dwa słowa rzucił mu przez ramię:

— Widać Bornholm.

Jerzy przyspieszył kroku. Minął środkową część okrętu oraz długi pokład przedni z jego dwoma lukami, przy których zamykaniu wczoraj współpracował, po czym wbiegł po żelaznych schodkach na „nos” okrętu, czyli na mały, wysoko wzniesiony pokładzik, którego powierzchnia ma kształt równoramiennego trójkąta o bokach lekko zaokrąglonych.

Wysunął się naprzód jak najdalej było można i, przechylony przez poręcz obiegającą cały ten pokład dookoła, spoglądał w dół z zainteresowaniem. Nareszcie był tutaj, nareszcie mógł patrzeć na rozgrywającą się u jego stóp walkę okrętu z *filami*. Niewysokie były te zielonkawe *file* Bałtyku, ale jakże zażarte. Niezniechęcone klęską tyłu siostrzyc pędziły w bój z sykiem, dźwigały się, pęczniały w oczach i z głuchą zawziętością rzucały się na flegmatycznego przeciwnika. Ów zaś czynił swoją

powinność z biegłością wprawnego rzemieślnika i z zimną obojętnością martwego przedmiotu. Wyższe fale przecinał równie łatwo, jak nóż miękkie masło kraje, a rozdzielone połówki odrzucał na boki. Niskie, którym w chwili natarcia zbrakło odwagi i które skurczyły się na widok stalowego olbrzyma, rozgniatł bez litości, a sam pędził dalej niepowstrzymany, nieustraszony, zwycięski; zawsze zwycięski dziób statku.

— Ty, słuchaj... co to za łąd tam widać?

Jerzy odwrócił się, ujrzał Pawła. Potem spojrzął w kierunku jego wyciągniętej ręki; po sterbencie majaczyły kontury stromych brzegów jakiegoś skrawka ziemi, małego z tej odległości i w zestawieniu z ogromem wodnej pustyni.

— To nie łąd, lecz wyspa — wyjaśnił. — Zwie się Bornholm, a należy do Danii. W średniowieczu gnieździł się tam bałtyccy korsarze, dziś ludność, licząca ledwie czterdzieści jeden tysięcy głów, trudni się rybołówstwem, garniarstwem, hodowlą owiec i świń. Osobliwością Bornholmu są prastare kościoły okrągłe, główne miasto, a raczej miasteczko, nazywa się Rønne — ciągnął dalej gładko, jakby na lekcji geografii.

— Byłeś tam dawno temu?

— Nigdy dotychczas, ale może kiedyś będę.

— Nie byłeś nigdy? — krzyknął Paweł zdumiony. — A skądże wiesz to wszystko, coś mówisz? Na pewno byłeś. Mnie nie nabijesz w butelkę.

Jerzy Rawski uśmiechnął się wyrozumiale. Wskazując na żelazną maszynę znajdującą się tuż obok i solidnie przymocowaną do pokładu, rzekł:

— Ta winda o poziomym wale nazywa się bratrzpil, a służy do wyciągania kotwicy. Prawda? No widzisz. Wiem to, choć pierwszy raz w życiu jestem na okręcie... Ale zacznijmy od ciebie. Czy wiesz, co nas popycha? Co nadaje ten pęd statkowi? Co miele wodę pod rułą okrętu?

— Śruba.

— Widziałeś ją kiedy?

— Czy widziałem? Hm... Prawdę rzekłszy to... to nie.

Bo i jak; jest pod wodą, a rułą statku ją zasłania.

— Krótko mówiąc, wierzysz, że ona tam jest, że statek porusza, chociaż jej nigdy na oczy nie widział... To samo i ja czynię. Wierzę, iż ta maszyna zwie się bratrzpil, że na Bornholmie mieszkali ongiś piraci, a dziś spokojni rybacy, wierzę, że istnieje Ameryka, Afryka, Australia, chociaż tam nigdy nie byłem... Po prostu wierzę innym i na tym polega cała moja wiedza, bardzo szczupła zresztą. Niedaleko świat by zaszedł, Pawle, gdyby jeden człowiek drugiemu nie wierzył, a ufał tylko sobie! Są rzeczy na pozór nieprawdopodobne, jak choćby to, że słońce stoi w miejscu, a ziemia się kręci dokoła niego... jednakże dajemy wiarę odkryciu Kopernika. I tak być musi! Musimy polegać na zapewnieniach innych ludzi, musimy wierzyć astronomom, matematykom, geografom, historykom i wszystkim innym uczonym... I ty nie masz powodu wątpić w prawdziwość tego, co powiedziałem o Bornholmie, jakkolwiek ja tam nigdy nie byłem, a co wiem, wiem tylko z książek.

Paweł spoglądał na mówiącego z wzrastającym podziwem i szacunkiem.

— Chciałbym być taki mądry jak ty — rzekł i dodał z żalnym westchnieniem: — ba, kiedy ja żadnej jeszcze książki w życiu nie czytałem.

— Jak to? Nie umiesz czytać?

— Umieć umiem... tylko z pisaniem jest gorzej, no, ale na książkę nigdy czasu nie było. E, co tam. Podjedźmy sobie lepiej, zamiast gadać. Może chcesz kawałek kielbasy? — Wyjął z kieszeni

spory kawał bardzo tłustej kiełbasy. Jerzy przypomniał sobie od razu wczorajszy epizod, którego bohaterami byli bosman Miazek, jego żona i ten młody urwis. Podziękował więc, wymawiając się, że nie przepada za mięsem i woli marmoladę, po czym, aby wypróbować Pawła, zapytał go z głupia fant, gdzie nabył ten przysmak.

— Świsnąłem — zachichotał zapytany.

— Czyli, ukradłeś — wtrącił Jerzy poważnie i surowo.

— Ukradłem? — Paweł żachnął się oburzony. — Nie jestem złodziejem, mój drogi... Nie oddałem tej kiełbasy komu należało, to prawda, ale to jeszcze nie jest kradzież.

— Tylko sprzeniewierzenie, czyli jeszcze gorszy uczynek, bo nadużyłeś zaufania, którym nikt zwyczajnego złodzieja nie darzy — odparł Rawski i w przekonujących słowach jął towarzyszowi malować ohydę wszelkich poczynań zmierzających do grabieży cudzego mienia. Paweł słuchał w milczeniu, z wzrastającą urazą spozierał na smakowitą kiełbasę, aż nagle cisnął ją za burtę, w morze, gdzie rzuciło się na nią kilka mew.

— Zadowolonyś teraz? — spytał Jerzego. — Bo mnie ulżyło.

— Wolałbym być, gdybyś kiełbasę zwrócił bosmanowi.

— Eeech, za dużo żadasz.

Paweł nachmurzył się nagle, a Jerzemu przyszło na myśl, że lepiej nie przeciągać struny i poprzestać na tym, co już tamtemu powiedział. Rozmowa się urwała. W milczeniu spoglądali ku odległym zarysom Bornholmu, którego południowe wybrzeża defilowały powolnie ku stronie prawej burty *Bolesława Chrobrego*. Statek szedł z szybkością jedenastu węzłów, lecz patrzącemu z pokładu wydawało się, iż okręt stoi nieruchomo w miejscu, a morze wstecz ucieka.

Wtem... pośród owej ciszy, zakłócającej tylko sykiem fali i chluśnięciami wody o burty statku... zabrzmiał okrzyk bólu.

Jerzy zerwał się na równe nogi.

— Słyszałeś? — spytał.

Paweł skinął głową potwierdzająco.

— To mewa, myślę — przypuszczał.

Nie ruszył się z miejsca, za to Jerzy przyskoczył do poręczy i wychylił się przez nią do połowy ciała.

— Nie — rzekł — nie widzę tu ani jednej mewy. Odleciały już wszystkie.

Nie mylił się. Mewy towarzyszą statkom godzinami, lecz trzymają się stale ponad kilwatem, wylapując tam odpadki kuchenne i kąski rzucane do wody przez pasażerów, którzy urozmaicają sobie jednostajność podróży, jak się tylko da. Owe trzy albo cztery mewy, które zaopiekowały się ostatecznie kiełbasą wyrobu pani bosmanowej, musiały właśnie nadlecieć od Bornholmu i znalazły się koło dziobu *Chrobrego* w nader stosownym momencie, ale już przed kilkoma minutami odplynęły ku rufie; nad nią krążyły obecnie wraz z dwoma tuzinami wiecznie zgłodniałych towarzyszek.

— Nie ma żadnej mewy?

— Nie, Pawie... Zresztą wydało mi się od razu, że to był głos ludzki.

— Przecież nikogo tu nie ma prócz nas dwóch.

— A jednak... obydwaj słyszeliśmy. Co tu jest pod spodem?

Paweł wyjaśnił, że pod trójkątnym pokładem „w nosie” statku znajduje się skład narzędzi, lin, zapasowych legarów, bloków, krążków; beczki z cementem, deski i tym podobne materiały uzupełniają zawartość tej rupieciami zwanej kabelgatem.

— Ach, wiem już.

Jerzy przypomniał sobie teraz, że wczoraj widział, jak do tego składu odniesiono żelazny legar pokrzywiony w czasie burzy. Sam tam zajrzał z ciekawości, a przekonawszy się teraz, że drzwi kabełgatu są zamknięte na klucz, odrzucił przypuszczenie, iż ktoś z kolegów zakradł się tam i dla żartu krzyknął, aby ich przestraszyć. Zresztą towarzysze pracy z grupy cieśli Kobrynia nadchodzili dopiero w tę stronę; przeliczył ich, nie brakowało nikogo.

— Więc cóż to było? — zachodził w głowę i jeszcze przez kilkanaście minut snuł przeróżne domysły, lecz w końcu praca pochłonęła całkowicie jego uwagę i zapomniał o tajemniczym okrzyku, który miał zapoczątkować całą serię dziwnych wypadków w czasie tej podróży...

Koło południa ujrzeli północne brzegi Rugii, co nastęczyło Jerzemu sposobność do podzielenia się z Pawłem swoimi wiadomościami o tej dużej wyspie tworzącej ongiś samodzielne księstwo słowiańskie, a dziś będącej zaledwie powiatem rejencji sztralundzkiej w Rzeszy Niemieckiej.

— Dzisiaj całą ludność Rugii wraz z sąsiednimi wyspami oblicza się zaledwie na pięćdziesiąt tysięcy; oto, do czego doprowadzają podboje — dowodził, po czym jął opisywać malownicze jeziora Rugii, opasane wspaniałymi lasami bukowymi i kredowymi skałami dochodzącymi do wysokości stu trzydziestu trzech metrów. Niejeden raz miał przed oczyma wizję tych pięknych okolic zaludnionych tłumami dobrodusznych, jasnowłosych olbrzymów odzianych w skóry zwierząt i składających ofiary bożkom słowiańskim, których na próżno błagali o pomoc w walce z bitnym i chciwym najeźdźcą. I dzisiaj, kiedy po bakborcie statku wychynęły z morza kontury Rugii, nawiedziła go jedna z owych wizji z przedziwną wyrazistością; do tego stopnia, że zapamiętał się w gniewie i wygrażał pięściami odwiecznemu wrogowi słowiańszczyzny, jak zeszłego wieczora, gdy *Chrobry* miał na traswersie latarnię morską w Rozewiu i zbliżał się ku północno-zachodniemu cypłowi dzisiejszej Polski.

Działo się to w czasie obiadu w kajucie jadalnej majtków, którą zwali mesą. Ci prości, niewykształceni ludzie słuchali wywodów Jerzego z równie wielką ciekawością jak i zdziwieniem.

— Pierwsze słyszę - mruknął śpioch Skowronek. - Tośmy aż tu sięgali w dawnych czasach?

— Znacznie dalej! — krzyknął Jerzy, uniesiony zapalem: — Po Elbę² sięgali dziedziny Słowian Połabskich, Lużyczan, Milczan, Wenedów, których Niemcy wytepiłi tak skutecznie, że dzisiaj pozostało ich ledwie trzydzieści tysięcy. I kto wie, dokąd już dziś byliby dotarli najeźdźcy, gdyby nie Polska, która powstrzymywała ich krwawy pochód, ich *Drang nach Osten*³. Dlatego właśnie nas uważają za swoich śmiertelnych wrogów, dlatego nawet dzisiaj, ledwie przyszli do siebie po klęsce, jaką im zadał marszałek Foch, znowu wyciągają szpony po polskie prastare dzielnice i żądają naszego Pomorza.

— No, żądać każdemu wolno, inna rzecz, czy co wskóra — odparł Skowronek na pół żartobliwie, ale złe błyski zapaliły mu się w wiecznie zaspanych oczach.

— Głupiś! — ryknął bosman. Pięścią wielką, jak bochenek chleba huknął w stół, aż naczynia zadźwięczały. — Nawet żądać nie wolno! Spróbuj no żądać mojej chałupy, to cię tak zamaluję w papę, że się nogami nakryjesz, i jeszcze cię potem do sądu podam... Widzicie go! *Żądać każdemu wolno* — przedrzeźniał nosowy głos Skowronka, zaklął siarczyście, wstał i wyszedł srodze rozsierdzony, a Skowronek miał ciężkie popołudnie tego dnia, tak mu dojadł ustawicznie. Rada w radę postanowiono jednomyślnie nie poruszać więcej politycznych tematów w obecności bosmana, żeby go nie irytować...

Koło godziny szóstej pod wieczór minął *Chrobry* pływającą latarnią morską, oznaczoną

napisem *Gjedser Rev.* Latarnia znajdowała się na małym, ale szerokim stateczku, podobnym z wyglądu do dużego kutra rybackiego, i zakotwiczonym raz na zawsze w tym samym miejscu, aby przepływające okręty mogły się łatwiej zorientować w obraniu właściwej drogi wśród przelicznych mielizn, jakie są rozsiane w tej części Bałtyku. Cała załoga pływającej latarni wyległa na pokład, widać nawet rzecz tak powszednia jak okręt była czymś ciekawym, interesującym w preraźliwie monotonnym życiu tych pustelników. Jerzy, który o latami morskiej tego typu nigdy nawet nie słyszał, dziwił się, że można znaleźć marynarzy, którzy wolą całe lata spędzić w takim pływającym więzieniu, niż zwiedzać na statku coraz to nowe morza, porty, kraje.

— Woleć pewnie nie wolą, tylko muszą — przypuszczał Paweł.

— Muszą? Myślisz, że to są więźniowie?

— E, to nie. Zbyt łatwo mogliby drapnąć... Muszą po prostu dla chleba. Człek nie przebiera, jak bieda dokuczy. Nie grymasi.

— Tak, to możliwe. — Ze szczerym współczuciem spoglądał Jerzy na załogę pływającej latarni morskiej i przez dłuższy czas powiewał chusteczką w stronę biednych samotników. Był już wolny, gdyż robotę wyznaczoną na dzisiaj ukończyli jeszcze przed szóstą. Mając świeżo w pamięci przykre wypadki swej pierwszej nocy na statku, rozpoczął zawczasu zręczną agitację za otwieraniem na noc iluminatorów. — Zobaczycie sami, jak was wtedy sen pokrzepi i odświeży — dowodził. Po małym wahaniu przystali, że *na próbę* można okienek nie zamykać dzisiejszej nocy.

Dzięki temu Jerzy zasnął od razu i prawdopodobnie byłby smacznie spał aż do białego rana, gdyby nie... służba. Punktualnie o godzinie pierwszej po północy bosman wkroczył do ich kajuty i ryknął swoim tubalnym głosem:

— Wstawać, chłopcy, a żywo! Zaraz wejdziemy do Kanału.

Jerzy Rawski zebrał się najszybciej i pierwszy wybiegł na pokład. Wyspy Fehmarn, którą opłynęli od północy przez cieśninę Fehmarn-Belt, dawno już nie było widać za rufą, jej światelka przestrzeń zgasiła do ostatniego, za to przed dziobem *Chrobrego* migotał cały rój światel dziwnie mdłych, tak jak gdyby ktoś lampy w żółtawą krepę poowijał.

— Mgła wisi w powietrzu. Będziemy mieli ciężki przejazd przez Kanał — mruknął cieśla Kobryń, podchodząc do Jerzego.

I naprawdę był ciężki. Zaledwie wyruszyli z Holtenu, maleńkiej miejscowości leżącej u wschodnich wrót Kanału Kilońskiego, zapadła gęsta mgła. Stosownie do międzynarodowych przepisów zapobiegających zderzeniu się statków *Chrobry* włókł się powolutku i w odstępach półminutowych dawał długie sygnały syreną. Płynął z zachowaniem wszelkich ostrożności; na dziobie czuwało dwóch marynarzy, na mostku komendanta – prócz dyżurnego oficera i kapitana – odbywało służbę dwóch pilotów, którzy wsiedli na okręt w Holtenu i mieli go odprowadzić aż do Brunsbüttel, to znaczy do zachodnich wrót Kanału.

Po godzinie Jerzy był zupełnie ogłuszony preraźliwym rykiem syreny. Ze zdumieniem spoglądał na białe opary, których zwiewne kosmyki snuły się nawet po statku, zasłaniając widok z jednego pokładu na drugi. Wyglądało to tak, jak gdyby *Chrobry* nie był okrętem, lecz olbrzymim samolotem lub balonem sterowym przedzierającym się przez grube zwały chmur. Jego pęd, choć bardzo umiarkowany, wywoływał niemałe spustoszenie wśród lotnych zastępów mgły, toteż za burtami aż kotłowało się i burzyło w obydwóch wąwozach pomiędzy wysokimi ścianami statku a brzegami Kanału. Światło latarni rozsianych w równych odstępach na brzegach, przedzierało się z trudnością poprzez białe obłoki z nieba strącone na ziemię, zaś dalsze latarnie wyglądały jak mgławice, co potęgowało złudne wrażenie, iż *Chrobry* żegluje w przestworzach...

W pewnej chwili Jerzy poczuł dość silny wstrząs całego statku. Na mostku zadźwięczał ostro telegraf maszynowy i zagrzmiął władczy głos Starbałły, zagłuszony natychmiast przez ponowny ryk syreny. Kiedy przebrzmiało echo tego wycia, dosłyszał Jerzy gwałtowny szum za rufą.

— Co się stało? — spytał ktoś w ciemnościach.

— Zdaje się, że usiedliśmy na mieliźnie. *Cała wstecz* posłali maszynom. Nie słyszysz to śruby? — odparł inny głos.

Na spardecku rozległ się przesywający świst. Ktoś przebiegł tuż obok Jerzego i potracił go w pośpiechu. W pół minuty później zjawił się na rufie Witold Bulicz. Trzech majtków odesłał na spardek, aby pomogli przy spuszczeniu malej szalupy.

— Spuszczamy szalupę? Dlaczego? Co się stało? — zapytał Jerzy, trochę zaniepokojony.

— Dotknęliśmy gruntu prawą burtą — odparł Bulicz. — W tych warunkach żeglować w Kanale nie można. Przycumujemy statek do pali i odczekamy, póki mgła nie zrzednie.

— No, ale po co szalupa?

— Po to, chłopcze, że ktoś musi odebrać i umocować do pali liny, jakie podamy z rufy i z dziubu. Nie jesteśmy w porcie, więc musimy sobie radzić sami. Dlatego właśnie wysyłamy szalupą dwóch ludzi na brzeg.

— Które liny podamy? — spytał Kobryń.

— Dwie stalówki i dwie manile. — W dziesięć minut później *Chrobry* stał na uwięzi, prawą burtą przycumowany do potężnych pali, wbitych w dno kanału w odległości kilku metrów od brzegu; tutaj miał czekać, dopóki łaskawy podmuch wiatru mgły nie zmiecie, chociażby mu przyszło stać aż do rana.

— Czy na morzu także przerywa się żeglugę, jeśli mgła zapadnie nocną porą? — dopytywał Jerzy, bowiem wszystko, co dotyczyło okrętu, interesowało go niezmiernie.

— Ech, na morzu statek gwiżdże sobie aż miło na mgłę, ulewę, czy zamieć śnieżną — odparł Kobryń — ale ciasny kanał to inna para butów.

— Powiedźcie mi jeszcze, panie Kobryń, dlaczego te liny nazywają manilami. Wyglądają mi na zwyczajne liny konopne.

— Są tak samo zwijane, to prawda, ale wyrabia się je z innego materiału.

Z jakiego materiału, tego sam Kobryń nie wiedział, więc Bulicz przyszedł mu z pomocą i zaspokoił ciekawość najmłodszego majtka, wyjaśniając, iż liny manilskie wyrabia się z włókien roślin podzwrotnikowych, na przykład z lnu rosnącego na Nowej Zelandii, zwanego *sun*, albo z włókien bananowych liści, lecz przede wszystkim z dżutu⁴, czyli z konopi manilskich, skąd te doskonale liny wzięły swoją nazwę. Ich największą zaletą jest bajeczna giętkość, miękkość, lekkość oraz to, że w wodzie nie toną.

— No, a teraz, chłopcy, idźcie się przespać, bo kto wie, czy całą dobę nie będziecie na nogach — rzekł, ukończywszy krótki wykład o linach.

Jerzy nawet nie próbował skorzystać z tej rady. Wiedział, że nie potrafi zmużyć oka przy takiej wrzawie. Z obydwóch stron, od dziubu i od rufy, dobiegały ustawicznie echa ryków syren o tonach najrozmaitszych, niskich i wysokich, dźwięcznych i zachrypłych, ale zawsze preraźliwych; to statki, będące jeszcze w ruchu ostrzegały się wzajemnie przed niebezpieczeństwem zderzenia w oparach gęstej mgły. Na okrętach, które, jak *Chrobry*, musiały już przerwać żeglugę, bito w dzwon z półminutowymi przerwami; tym sygnałem, w myśl międzynarodowych przepisów, unieruchomione statki donoszą płynącym okrętom o swej obecności w pobliżu i zabezpieczają się przed najechemaniem z ich strony. Że zaś w tej części Kanału Kilońskiego znajdowało się owej nocy

kilkadziesiąt parowców, nie trudno sobie wyobrazić, jaki piekielny koncert wynił z nieustannego powtarzania sygnałów dźwiękowych.

Po godzinie takiej muzyki Jerzy czuł się ogłuszony i dziwnie rozbitý psychicznie. Początkowo wałęsał się po statku, szukając jakiegoś zacisznego schronu przed rozdzierającym rykiem syren, potem i tego zaniechał. Zrezygnowany usiadł na zwoju lin, wsparł brodę na splecionych dłoniach i wbił tępy, bezmyślny wzrok w tuman mgły, leżącej przed dziobem *Chrobrego*. Zrazu jeszcze próbował zaczepić swoją uwagę na czymkolwiek, lecz każda myśl rwała się niby pajęcza nić, ilekroć posępny a donośny głos syreny targnął powietrzem.

— Nie przypuszczałem nigdy, że hałas może tak rozstroić nerwy — mruknął w pewnej chwili i powstał. Zamierzał powrócić do kubryku. Nie dlatego, iż spodziewał się zasnąć, lecz aby uciec przed chłodem, który zwołna zaczął mu się dawać we znaki. Bowiem oziębiło się mocno, zapewne pod wpływem północnego wiatru, który dał od dwóch godzin, że zaś ubiegły dzień był upalny i tuż nad powierzchnią wody zgromadziło się dużo nagrzanego i wilgocią napojonego powietrza, więc przez nagle zmieszanie się dwóch warstw atmosfery o różnej temperaturze powstała mgła. — A mgła nie różni się niczym od zwyczajnej chmury, prócz wysokości wzniesienia. Jest to po prostu chmura bardzo nisko zawieszona — monologował Jerzy, idąc wzdłuż poręczy okalającej nos statku ku schodkom wiodącym w dół na przedni pokład.

Stał właśnie na najniższym stopniu, gdy poniżej, u swoich stóp, zoczył jakiś niski, podłużny przedmiot, na który omal nie nastąpił. Zaciekawiony pochylił się i wydał okrzyk zdumienia. Tuż koło schodków leżał jakiś człowiek. Ani nie drgnął, kiedy go Jerzy pociągnął za ramię i wezwał do poszukania sobie wygodniejszego legowiska.

— Czyżby zemdlął?

Rawski, były harcerz, wiedział, co począć. Odwrócił go przede wszystkim na wznak, rozpiął mu kurtkę na piersiach i spinę od koszuli pod brodą.

— Krew?!

Jerzy wzdrygnął się mimo woli, zoczywszy ciemną plamę zakrywającą całą środkową część twarzy zemdlonego. Owa plama wyglądała jakby olbrzymi pajak, a podkreślał to podobieństwo szereg promienisto biegnących nitek zakrzepłej krwi, które ludzko przypominały długie odnóża strasliwego pogromcy much. Przemógłszy lęk, pochylił się Jerzy jeszcze niżej i wreszcie poznał, kogo ma przed sobą. To był Gajda!

— Kto tu jest? — zabrzmiał w tej chwili dobrze znajomy głos i z ciemności nocy wynurzyła się kanciasta sylwetka cieśli okrętowego.

— To ja, Rawski. Prędko, panie Kobryń. Stało się nieszczęście!

Kobryń podszedł bez zbyteńgo pośpiechu, przykląkł obok Jerzego, i przyjrzał się uważnie zemdlonemu.

— Ii, jakie tam nieszczęście — mruczał pod nosem. — Ciamajda zjeżdżał pewnie po poręczy, zleciał, nos sobie rozbił aż miło i tyle całego nieszczęścia. Hej, tam, Gajda, beczko łoju. Nie udawaj zemdlonego, albo ci...

— Czy pan nie widzi, że on jest ranny? — wtrącił Jerzy, oburzony zarówno rubasnością Kobrynia, jak i zupełnym brakiem szacunku wobec pana admirała. — Trzeba go przenieść, uważam.

Chwycili go na spółkę, Jerzy za nogi, Kobryń pod pachy, po czym ruszyli w stronę środkowej części okrętu, odpoczywając często, bo korpulentny Gajda ważył chyba ze sto kilo. Dostarczyło to Kobryniowi tematu do dalszych narzekań wypowiedzianych niedźwiedzim pomrukiem:

— Nie mówię przy dużej chwiejbie, ale rozbić sobie nos na przycumowanym statku, to tylko

taki wymoczek, taki szczur łądowy potrafi. A potem dźwigaj tłuszciocha. Już też porucznik Dulski nie mógł większego niedolegi wynaleźć. Różnych stewardów mieliśmy na *Chrobrym*, ale takiego patalacha jeszcze nigdy. Kury takiemu macać, a nie być stewardem na porządnym okręcie... Uff, tom się zasapał.

Jerzy uszom nie wierzył.

— Przepraszam — rzekł — jaką funkcje pełni pan Gajda?

— Czyści buty kapitanowi i pasażerom, sprzęta kabiny i podaje do stołu. Myślałem, że wiesz, jaka robota należy do stewarda.

— Oczywiście, że wiem. Steward, to tyle, co okrętowy kelner. Ale nie wiedziałem tego, iż pan Gajda jest właśnie stewardem.

Kobryń zrzędził w dalszym ciągu i Jerzy, ku swojemu zdumieniu, dowiedział się jeszcze, że Gajda był dotychczas kelnerem w jednym z gdyńskich hoteli, że odbywa dopiero swoją pierwszą podróż morską. Jowialny kapitan Starbała nazwał go żartobliwie admirałem, gdyż Gajda, obejmując coś przed tygodniem obowiązki stewarda na *Chrobrym*, wystąpił w nader strojnym uniformie własnego pomysłu i w czapce z galonami, jakich by się prawdziwy admirał nie powstydział. Był to więc tylko żartobliwy przydomek, a Jerzy, zmylony do reszty przechwałkami młodego grubaska, uwierzył w swej naiwności, iż zawarł znajomość z jakimś admirałem. — Jakie szczęście, że nikt o tym nie wie; byłbym się ośmieszył z kretešem — myślał teraz Rawski, ślubując sobie w duchu, że w przyszłości nie będzie już tak łatwowierny i dziecinny. — Przecież taki młokos nie mógłby być ani kapitanem statku, a co dopiero admirałem — strofował się zawstydzony swoją humorystyczną omyłką.

— A tego, kto tak urządził? — spytał pierwszy oficer, spotkawszy ich koło luków świetlnych oddziału maszynowego.

— Sam się niezdarą urządził — odparł Kobryń — zleciał ze schodni. Ale to nic strasznego. Za godzinę będzie skakał, aż miło.

Optymistyczne przewidywania cieśli okrętowego nie spełniły się jednak, kontuzja stewarda była poważniejsza, niż początkowo przypuszczano. Nie biorąc w rachubę trzech wybitych zębów. Gajda miał ponad prawą skronią płytką, ale bardzo długą ranę, jak gdyby zadaną tępym żelaznym narzędziem. Kapitan Starbała, który miał pieczę nad okrętową apteczką i w takich, jak dzisiejszy, wypadkach pełnił funkcję lekarza, sądził, iż Gajda spadając ze schodów, uderzył głową w kant żelaznego stopnia.

— Lękam się, czy nie doznał wstrząsu — rzekł zmartwiony.

— To znaczy, czy sobie nie nadwyrężył rozumu — wyjaśnił Kobryń majątkom podtrzymującym rannego.

— Jak sobie mógł nadwyrężyć, kiedy go nigdy nie miał — wtrącił półgłosem Skowronek, za co kapitan zmył mu głowę porządnie.

Wreszcie, po długich zabiegach, Gajda otworzył oczy. Malował się w nich ogromny przestrach, który pierzchnął po chwili, snadź steward poznał, że otaczają go tylko zwierzchnicy i koledzy, słowem same życziwe dusze.

— Napadł mnie — wykrztusił zmienionym głosem.

— Napadł cię? Kto taki?! — spytał Starbała, marszcząc brwi.

— Nie wiem... Było ciemno... Klucze... Och, boooli — jęknął, podniósł dłoń do ust, z których znów struga krwi wyciekła.

Nic więcej nie dowiedzieli się od niego. Krzywił się niemilosernie, dawał znać na migi, że

mówienie sprawia mu dolegliwy ból, jęczał, raz po raz rzucał trwożne spojrzenia w stronę drzwi, a po chwili omdlał ponownie.

— On tu coś trzyma w garści — zauważył cieśla Kobryń. Zbiegiem okoliczności nie spostrzeżono dotychczas, że Gajda coś trzyma w kurczowo zaciśniętych palcach prawej dłoni.

— To strzép materii wydarty z ubrania w czasie bójki. Z ubrania jego przeciwnika — rzekł Starbała, przymierzając mały, nieforemny skrawek niebieskiej szmatki do jasnego garnituru stewarda. — Ułatwi on panu niezmiernie wyśledzenie sprawy — zwrócił się do pierwszego oficera i wręczył mu *corpus delicti*.⁵ — Za godzinę, sądzę, będziemy go mieli.

Nie sprawdziły się te przypuszczenia. Pod osobistym nadzorem porucznika Dulskiego przeszukano wszystkie kajuty załogi, lecz nie znaleziono takiego ubrania, które posiadałoby dziurę odpowiadającą strzépowi materiału, jaki pozostał w dłoni stewarda Gajdy. Nie obeszło się naturalnie bez małego starcia pomiędzy „pokładem” a „maszynami” i bez wzajemnych docinków:

— Napastnikiem musiał być któryś z pałaczy - twierdził Dulski — z moich ludzi nikt nie posiada niebieskiego kombinezonu.

— Moi ludzie — odparł inżynier Gąsiorowski — nie łazikują po pokładach. Jeśli nie są na służbie, to śpią, jak po ciężkiej pracy.

— Jednakże nie zaprzeczy pan, drogi kolego, że najgorszym żywiołem w marynarce są właśnie pałace. Weźmy choćby ostatnią awanturę w Gdyni, tę gorszącą bijatykę z majtkami szwedzkimi. Wie pan chyba najlepiej, jaką rolę w tym zajściu odegrali pańscy pałace, Nowocień i Słomicki.

— Pobili się trochę, przyznaję. Ale w Gdyni! U siebie! Gorzej, jeżeli ktoś „wslawia się” za granicą. A jeśli mnie pamięć nie myli, to w Genui schwymano na gorącym uczynku pańskich ludzi, Skowronka i Tkaczyka, w chwili gdy szmuglowali tytoń, prawda?

— Pański Nowocień także niezgorszy przemytnik, a przy tym bolszewik. On właśnie buntował majtków, on był autorem zażalenia do dyrekcji *Żegluga*, że ludzi karmi się marmoladą.

— I słusznie. Marmoladę dajcie na śniadanie pokładowym łazikom. Ludzie przy kotłach powinni stale dostawać kielbasę. Tylko mięso daje siłę. Cieszę się, że zażalenie Nowocienia odniosło skutek.

Dulski poczerwieniał jak rak.

— Ciesz się pan dalej — syknął zjadliwie — ciesz się pan i chwal tego draba, a doczekasz się strajku w maszynach.

— Strajku? — Teraz Gąsiorowski stanął w pąsach. — Póki ja tu jestem, póty strajku nie będzie nigdy! Chyba u pana, na gorze.

Zimno skinęli sobie głowami i rozeszli się w różne strony; Gąsiorowski na dół, do hali maszyn, Dulski na spardek, by zameldować kapitanowi, że sprawcy napadu na stewarda nie wykrył, mimo usilnych starań. A Witold Bulicz, rozmawiający z Jerzym nieopodał, wyjaśnił mu z uśmiechem:

— Nie gorsz się tym, coś słyszał, mój młody przyjacielu. Podobnych scen ujrzysz więcej w czasie podróży. Bo widzisz, odkąd wynaleziono parowce, odtąd istnieje taka bezkrwawa wojna między pokładem, a maszynami.

— No, a kto ma słuszność?

— Między nami mówią, *wart Pac pałaca, a pałac Paca*, czyli obie strony rzadko mają rację. Zawsze jedni na drugich winę spychają, kłócą się, ale wiadomo: *kto się lubi, ten się czubi*. Nikt jeszcze z tego nie umarł, przeciwnie, te wesołe spory urozmaicają jednostajność służby i

świetnie zaostarzają apetyt. Zjrzyj w południe do naszej masy, a sam się przekonasz, w jakiej komitywie będą pałaszowali obiad: pierwszy oficer i pierwszy mechanik, co nie przeszkadza, że popołudniu znowu się posprzeczą.

— I to tak na wszystkich statkach?

— Na wszystkich parowcach wszystkich flot świata!

Bulicz odchrząknął, gotując się snadź do dłuższego przemówienia, lecz w tej chwili rozdarł powietrze ostry głos gwizdka. To kapitan Starbälla zzywał swoich oficerów na ich zwykle posterunki, bowiem mgła zrzędała na tyle, że można było podjąć przerwana żegluga. Szybko odcumowano statek od pali, wciągnięto na pokład małą szalupę i *Chrobry* ruszył w drogę z umiarkowaną szybkością, prowadzony przez jednego z dwóch pilotów, którzy wsiedli na okręt w Holtenau. Cztery podwójne uderzenia w dzwon, *cztery szklanki*, jak to nazywają marynarze, obwieściły zmianę wachty. Bulicz zajął miejsce trzeciego oficera, zmienili się stemicy i wachtowi, z głębin okrętu wynurzyła się na pokład garstka zasmolonych ludzi, to palacze, węglarz, smarownik, asystent i, również na Murzyna wyglądający, inżynier Gąsiorowski; ociężałym krokiem powlekli się do łazienek, by użyć kąpeli przed dobrze zasłużonym spoczynkiem. Za ich przykładem poszedł i Jerzy.

Pozwolono mu spać zaledwie trzy godziny. Punktualnie o siódmej bosman Miazek spędził go z twardej koi, która po dwóch, a raczej po trzech niemal bezsensnych nocach, wydawała się być królewskim łóżem wysłanym puchami.

Tym razem oddano majtków pod komendę *Kominiarza*, mianowicie trzeciego mechanika, młodziutkiego oficera, który wyglądał na lat najwyżej dwadzieścia, choć był niewątpliwie starszy. Jan Dumania, syn Wincentego, słynnego konstruktora polskich okrętów handlowych i dyrektora stoczni gdyńskiej, posiadał najwyższy wzrost z całej załogi *Chrobrego* i z tego powodu jeszcze w Szkole Marynarki nadano mu przydomek *Nawiewnik*. Wiadomo zaś że, skoro jakiś przydomek raz przylgnie do marynarza, to go ani śmierć nie odlepi. Dobrze jeszcze, jeżeli taki „herb” posiada jakie takie uzasadnienie, ale bywa gorzej; tak na przykład sam Dulski nie potrafił nigdy wyjaśnić, dlaczego od blisko dwudziestu lat nazywają go powszechnie *Ciotką*.

Pod osobistym nadzorem Dumani marynarze rozkręcali windy, czyścili ich części składowe, smarowali tryby, łożyska, przekładnie, zmieniali na blokach niepewne linki, zdrapywali rdzę z żelaza i zagrożone rdzą miejsca pociągali ceglastą farbą, którą Jerzy poznał na pierwszy rzut oka.

— To jest minia, czyli czerwień ołowiowa — wyjaśnił pytającemu o to Pawłowi.

— Ho, ho, co ja słyszę — rzekł Dumania, kręcąc głową. Podpadła mu od razu żywa inteligencja, malująca się w oczach Jerzego, obserwował go od początku dzisiejszej roboty, zauważył jego zręczność i szybką orientację, więc nie omieszkiał skorzystać ze sposobności, by młodziutkiego majtkę pozyskać dla swojej sprawy. — Szkoda cię na pokładowego łazika, mój chłopcze; przy swej bystrości mógłbyś zostać mechanikiem — zaczął protekcyjnym tonem, po czym w dłuższym przemówieniu usiłował przekonać Jerzego, że każdy oficer pokładowy to damozjad, który nie wiedzieć po co sterczy na mostku, gdyż losy statku są wyłącznie w rękach mechaników.

— Tere ęre kuku — mruknął pod nosem Kobryń. — Niedaleko byście ujechali, gdyby nie my z pokładu.

Jerzy pozwolił się wygadać dzisiejszemu zwierzchnikowi, aż kiedy tamten wyczerpał zapas swoich argumentów, odparł krótko i szczerze:

— Pomimo to wszystko, co pan mówi, poruczniku, nie zmienię pierwotnego zamiaru. Do

zawodu okrętowego mechanika jakoś nie czuję powołania.

— To znak, żeś łujara — odparł urażony Dumania — i żałuję, że sobie język strzepiłem bezpotrzebnie.

Praca przy oliwieniu machin pokładowych nie przeszkadzała bynajmniej w dorywczym obserwowaniu mijanej okolicy. Krajobraz był wybitnie nizinny. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola, łąki, pastwiska, poprzecinane kanałami i rowami, które łączyły się z główną strugą wody, z Kanałem Kilońskim. Tu i ówdzie rozsiane domki, murowane, kryte dachówką, czyste, jakby świeżo bielone, ale bliźniaczo podobne jeden do drugiego, podkreślały nużącą jednostajność oblicza krajobrazu, którego pewnym urozmaicheniem były wiatraki porozrzucane na nielicznych pagórkach. Wiatraki i olbrzymie mosty kolejowe przeskakujące Kanał w śmiałych łukach, tak wysokich, że żaden okręt nie potrzebuje składać swoich masztów, a szczyt bram-stengi od przęsła mostu dzieli jeszcze spora przestrzeń. Tych mostów naliczył Jerzy pięć w czasie przeprawy przez Kanał Kiloński. Drugie urozmaicenie stanowiły okręty, płynące w stronę Bałtyku, więc naprzeciw *Chrobrego*. Nie mówiąc już o parostatkach, które różniły się między sobą raczej rozmiarami niż budową, spotykali bardzo wiele żaglowców najrozmaitszych typów.

Najczęściej miały ich szkunery, średniej wielkości statki o dwóch masztach „suchych”, czyli pozbawionych rej. Kobryń, który znał wszystkie łądy i oceany, twierdził, iż Amerykanie szczególnie kochają się w szkunerach i używają ich najchętniej w wyprawach na wieloryby.

— Ja tam wolę taki tender — wtrącił bosman, wskazując przepływający właśnie szlup jednomasztowy, lawirujący zręcznie wśród tłoku okrętów.

Jerzy, nieznamy się na rzeczy, wyraził powątpiewanie, czy taki mały stateczek nadaje się do dłuższych podróży.

— Chyba tylko do żeglugi przybrzeżnej — przypuszczał.

— Bagatela — parsknął bosman — podróż z Norwegii do Ameryki to dla dobrodzieja tylko przybrzeżna żegluga? Chciałbym mieć tyle złotych, ile tysięcy ton suszonego szkofisza odbyło tę drogę wyłącznie na szlupach.

— A na Oceanie Północnym — dorzucił Kobryń — ilekroć się wynurzy statek z pomiędzy lodów, to możesz być pewien, że szlup.

Dla odmiany przesunęły się koło burty *Chrobrego* trzy brzydkie berlinki holowane na linie przez mały parowczyk, przewinęło się kilka kutrów rybackich, aż na zakręcie ukazał się śliczny, smukły statek jednomasztowy, za oko podobny do zwykłego szlupu, lecz zgrabniejszy i mknący znacznie szybciej, zapewne dzięki lżejszej budowie, a większym żaglom.

— To także tender? — spytał Jerzy.

— To jacht spacerowy — odpowiedziano mu.

Jacht śmignął, jak strzała koło *Chrobrego* i znikł zasłonięty kadłubem pasażerskiego okrętu, który ich właśnie dopędzał.

— Widziałem już jacht, tender i szkuner — wliczał Jerzy. — Gdybyśmy jeszcze jaki bryg spotkali, to byłby komplet, co?

— Ho, ho, daleko do kompletu żaglowych statków. Prócz brygu trafiają się brygantyny. Dalej bark.

— Który może być trój- albo czteromasztowy — wtrącił bosman.

— Dalej barkentyna i fegata, fegatony i... no, jakże się nazywają te pudła o niskim omasztowaniu, na których najczęściej przewożą herbatę...

— Klipry.

— Aha, więc kliper. Dalej nie widziałeś jeszcze szkunerów rejowych ani trójmasztowych. No, a zwykły bat? A pinka?

— Słowem, jest jeszcze niezmiernie dużo do poznania — rzekł Jerzy z uśmiechem.

— *Ciotka* idzie w naszą stronę — mruknął Skowronek tonem ostrzeżenia, które chyba do niego samego mogło się odnosić, bo poza nim nikt nie ociągał się w pracy.

Porucznik Dulski przystanął koło Pawła i kazał mu przerwać robotę.

— Dopóki Gajda nie wyzdrowieje, ty będziesz pełnił obowiązki stewarda — rozkazał. Krytycznym wzrokiem obrzucił dłonie chłopaka zabrudzone sadzami, tłuste od smarów i od oliwy, i dodał rubasznie: — Ręce sobie wyszoruj w sodzie. Z takimi łapami nie można podawać do stołu. No, jazda!

— A to szelma szczęśliwa — westchnął zazdrośnie starszy marynarz Tkaczyk, kresowiak albo Rusin, sądząc z wymowy.

— Dlaczego? — spytał Jerzy. — Czy uważacie to za awans? Jeżeli chodzi o mnie, to wolałbym nawet ciężką robotę palacza, niż zawód stewarda; myć talerze, podawać do stołu, ścielić łóżka, wszystko to pachnie mi babskim zajęciem, niegodnym prawdziwego mężczyzny. Nie ma czego zazdrościć Pawłowi.

— Jak to, nie ma czego zazdrościć. Będzie się łobuz napychał przysmakami, ile dusza zapragnie, i najlepsze kaski z półmisków wybierał.

Rzekłszy to, Tkaczyk obliznął się nieapetycznie, zaś Skowronek ziewnął od ucha do ucha i dorzucił melancholijnie:

— A co najważniejsze, może się wypaść za czterech. Lekki jest chleb stewarda, nie ma gadania, i ja bym się chętnie z Pawiem pomieniał.

— No tak — przypomniał sobie Jerzy — *de gustibus non est disputandum*.

— Po jakiemu to i co znaczy? — spytał ostro Skowronek, przypuszczając, że wykształcony kolega rzucił nań Bóg wie jaką obelgę.

— Po łacinie. A znaczy tyle mniej więcej, że trudno się spierać z kimś o jego upodobania. *Są gusta i guściki*, mówi się po polsku.

Koło południa przepłynął *Chrobry* obok marmurowej tablicy, wmurowanej w umocnioną kamieniami skarpe kanału. W napisu, wrytego na tablicy dowiedział się Jerzy, że Kanał Kiloński liczy 93 kilometry długości, że jego budowa trwała sześć lat i została ukończona tuż przed wojną światową, bo w maju roku 1914.

Po godzinie drugiej *Chrobry* przybył do Brunsbüttelkoog. Na ląd wysiadł porucznik Dulski, aby załatwić zwykłe formalności w kapitanacie portu i sprowadzić lekarza dla rannego Gajdy. Wysiedli również obydwaj piloci, na ich miejsce przyszedł inny retman, który miał przeprowadzić statek wśród mielizn, od jakich roi się szeroka delta rzeki Elby. Za pilotem wtargnęła na statek hurma agentów handlowych, ofiarujących na sprzedaż różne artykuły spożywcze a także wódki, wina, cygara i papierosy.

— Dziękuję, mamy wszystko, czego nam trzeba — odpowiadał na wszystkie strony Witold Bulicz, do którego obowiązków należało między innymi zaprowiantowanie statku.

Nie tak łatwo jednak było pozbyć się natrętnych pośredników. Otoczywszy zwartym pierścieniem Bulicza, wyliczali nazwy różnych towarów, sądząc, że młody oficer przypomni sobie w końcu, czego mu brakuje na statku, podsuwali mu pod nos próbki, cenniki, licytowali się wzajemnie, a chcąc sobie widać ująć twardego marynarza, posługiwali się często gęsto łamaną polszczyzną:

- Taka mąka wy nie mieć wasza Gdynia.
- Jaszyna... szweża jaszyna, pan kapitan palcy lizacz.
- Może oliwa potrzebny?
- A kondensowana mleka? A konserwy? Szuszone mienso?
- Te cygara akurat pasować do Herr kapitan.

— Daleko mi jeszcze do kapitana — odparł z uśmiechem Bulicz, nieczuły na te pochlebstwa. Zniecierpliwiał się w końcu i, gdy jeden z nudziarzy zaczął głośno narzekać, że polskie statki teraz nie kupują w Brunsbüttel, rzekł z tajemniczą miną: — Ależ owszem, wezmę tu kilkadziesiąt ton...

- W powrotnej podróży, co? — wtrącił ktoś domyślnie.
- Dzisiaj! — odpowiedział z naciskiem.

Na takie dictum zawrzało wśród agentów. Dziesięć wypchanych papierosnic wysunęło się zapraszająco do Bulicza i opadł go brzęczący rój słów, komplementów i gorączkowych pytań, jakiego to towaru potrzebuje *sympatyczny i kochany* porucznik aż kilkadziesiąt ton.

— Tu chodzi o bunker — twierdził agent składu węgla, odpychając dostawców artykułów spożywczych. — Co się pchasz? — wsiadł ostro na jednego z kolegów. — Słyszalesz przecież: kilkadziesiąt ton! Rozumie się, że nie twojej czekolady, tylko węgla. Prawda, panie poruczniku? — zwrócił się do Bulicza z najmiłszym uśmiechem.

— Nie. Bunker mamy w dostatecznej ilości.

— Nieee? — Agentowi wydłużyło się oblicze. — Czegóż pan tedy chce wziąć kilkadziesiąt ton? — spytał ironicznie.

— Słodkiej wody — odparł drugi oficer *Chrobrego*, precyzyjnie się wśród tłumu zawiedzionych natrętów i dał znak bosmanowi. Natychmiast podano przez burtę coś, co wyglądało na grubą, idealnie okrągłą linę, a było gumowym węzłem i niebawem świeża woda z portowego wodociągu zaczęła napełniać tank ukryty w głębinach okrętu. Jak się Jerzy dowiedział, posiadał *Chrobry* cztery takie tanki i przeciętnie zabierał w podróż około trzystu ton słodkiej wody. — Bagatela — mruknął z uznaniem — trzysta ton, to odpowiada ładunkowi dwudziestu wagonów, tak zwanych *piętnastek*.

Ze zrozumiałym zaciekawieniem oczekiwała cała załoga diagnozy starego lekarza, który przybył na pokład i w towarzystwie kapitana Starbałły udał się do rannego stewarda. Pesymista Tkaczyk twierdził, że Gajdę zabiorą ze statku do szpitala, Kobryń, wyraźny optymista, dowodził głośno, iż „łazikowi” nic się nie stało, tylko udaje, żeby się móc wylegiwać. Orzeczenie lekarza wypadło najzgodniej z trzecią opinią, mianowicie bosmana, który oświadczył sentencjonalnie, że ani Kobryń, ani Tkaczyk nie mają racji, bo prawda „leży” zazwyczaj w pośrodku. Jakoż gruchnęło wnet wśród załogi, że Gajda pozostanie na statku, lecz przez jakie trzy albo cztery dni musi być zwolniony od wszelkiej roboty i odpoczywać.

— Ma pan tutaj jakiegoś zdolnego fclczera — rzekł głośno lekarz, wychodząc na pokład z kapitanem.

- Z czego pan to wnosi? — zdziwił się Starbałła.
- Sądzę po opatrunku, który był założony mistrzowsko!

Kapitan Starbałła napuszył się i dumnym wzrokiem omiółł twarze podwładnych majtków. — Słyszeliście, gamonie? — zdawał się ich pytać oczyma. Czyż mógł przewidzieć, że ten drobny epizod obdarzy i jego kapitańską osobę żartobliwym przydomkiem? Że od tego dnia po wszystkie czasy będą go marynarze zaocznie przezywać *Felczere*m?...

Bulicz wysłał Jerzego z jakimś poleceniem na mostek. Chłopiec skorzystał z tego skwapliwie, aby z wyzyna mostka ogarnąć wzrokiem okolice, chociażby najbliższą, bo to było najciekawsze.

Chrobry stał w prawej śluzie, a wraz z nim trzy inne parowce. W sąsiednim basenie czekało aż sześć okrętów, ale wszystkie były dziobami zwrócone ku wschodowi, snadź odbywały podróż w przeciwnym kierunku i przeprawa przez Kanał Kiloński dopiero je czekała. Obydwa te zbiorniki, zamknięte każdy parą potężnych wrót, oddzielała kamienna grobla, na której stało kilka niewielkich budynków. Z jednego z nich wyszedł właśnie Dulski i szybko maszerował w stronę swojego okrętu, ściskając w dłoni plik papierów.

— Wkrótce ruszymy — domyślił się Jerzy i co prędzej skierował wzrok na zachód, aby obejrzeć, co się da jeszcze. Poza wrotami śluzy, których *Chrobry* niemal dotykał dziobem, otwierał się szeroki widok na deltę Elby, ogromną strugę wody, usianej mieliznami, jak można się było domyślić po mnóstwie pływaków i pływających latarni morskich wskazujących okrętom bezpieczną drogę. Uderzyło Jerzego to dziwne na pozór zjawisko, że poziom wody w Kanale oraz w ich śluzie był znacznie wyższy, niż poziom mętnych nurtów Elby, a również drugiej śluzy.

— Nie rozumiem.

— Czego nie rozumiesz? — spytał trzeci oficer, który wyszedł właśnie z kabiny nawigacyjnej i posłyszał te słowa.

Jerzy nie zmieszał się bynajmniej i, nie wstydząc się swej nieświadomości, poprosił o wyjaśnienie mu przyczyn niezrozumiałego dlań zjawiska.

— Przecież główną cechą cieczy tak płynnej jak woda jest to, że zawsze dąży do wyrównania swej powierzchni — dodał jeszcze. — Woda w Kanale jest zamknięta śluzami, to wiem. Ale Morze Północne łączy się z Bałtykiem przez Skagerrak, Kattegatt i Sund. Tamtędy więc powinna woda z morza wyżej położonego spłynąć do morza niższego, uważam.

— Całkiem słusznie. Tylko zapominasz o innym zjawisku, któremu podlegają przede wszystkim największe na kuli ziemskiej zbiorniki wody, to znaczy oceany. Czyś nigdy nie słyszał o przyptywie i odpływie morza?

— Ależ owszem. Więc to jest odpływ.

— Oczywiście. Odpływ, który Morze Północne znacznie silniej odczuwa niż daleki i zamknięty półwyspami Bałtyk.

— Zatem, gdyby nie odpływ i przyptyw, Kanał Kiloński mógłby się doskonale obejść bez swoich śluz, prawda?

Zanim trzeci oficer zdążył odpowiedzieć na to pytanie, zabrzmiał u stóp schodni energiczny głos Starbałły.

— Zmykaj, chłopcze tamtędy — doradził szeptem trzeci oficer i wskazał Jerzemu góry wylot drugiej schodni. — Kapitan bardzo nie lubi, jeżeli się ktoś spoza wachty płąta po mostku.

Jerzy nie dał sobie tej rady dwa razy powtarzać, zjechał zgrabnie po poręczy i wpadł niemal w objęcia kapitana, który, nie wiedząc z jakiego powodu, przeszedł na drugą stronę spardecku.

— A dobrze, że cię widzę, nadziejo marynarki handlowej — powitał chłopca wesoło. — Właśnie kazałem cię odszukać.

— Mnie? Ja... ja... — jękał się, zmieszany, że go szukano.

— Właśnie chodzi o jaja — parsknął Starbałła — o świeże jaja, które mieliśmy dostać na miękkko, a z których ten niezdarą Paweł zrobił jajecznicę na podłodze. Nie ma innej rady, chłopcze, tylko ty musisz zostać zastępcą Gajdy, aż do jego wyzdrowienia. Myślę, że z ciebie będzie

zgrabniejszy steward. Skoro miniemy służę, porucznik Dulski objaśni ci, na czym polegają twoje nowe obowiązki, a resztę potrzebnej wiedzy zdobędziesz na wykładach naszego kucharza. Tylko nie wdawaj się z nim w żadne konszachty, pamiętaj.

— Rozkaz, panie kapitanie — odparł Jerzy i odmaszerował, nie dając poznać po sobie, jak bardzo jest zmartwiony tym poleceniem. Pocięszal się w duchu tym tylko, że te cztery dni zlecą szybko, po czym Gajda obejmie na powrót funkcje stewarda, a on wróci do zajęć prawdziwego marynarza.

Powierzchnia wody w basenie, w którym prócz *Chrobrego* znajdowały się jeszcze trzy parowce, zaczęła się obniżać w szybkim tempie. Kiedy zrównała się z poziomem mętnych wód Elby, potężne wrota zachodniej służy rozwarły się na dwie strony w taki sposób, w jaki otwierają się drzwi przedziałów w wagonach lub w tramwajach. Natychmiast zdjęto cumy i szpringi, *Chrobry* odsunął się bokiem od kamiennego mola i wpłynął na brudne nurty delty Elby. Prąd tej potężnej rzeki sięgał tu jeszcze i borykał się z odpływem morza w niezliczonych wirach, niebezpiecznych dla kajaków i maleńkich łódek, lecz dla parostatku będących taką samą przeszkodą w drodze jak pudełko od zapalek na gościńcu dla rozpędzonego samochodu.

Okrętów było tu wszędzie mnóstwo. Nie licząc trzech, które wyszły ze służy razem z *Chrobrym* i natychmiast wyścig z nim rozpoczęły, nie licząc długiego szeregu statków, czekających na opróżnienie się służy w ogonku, niczym ludzie przed piekarnią podczas wojny, wszędzie, jak okiem sięgnąć, czerniły się sylwetki parostatków, jaśniały żagle, i nawet hen, na skraju horyzontu, wykwitwały ku niebu miotłki dymu zdradzające obecność innych, odległych jeszcze okrętów. I nic dziwnego. *Chrobry* mijał właśnie Cuxhaven, przystań wielkich okrętów transoceanicznych, a zarazem port niemieckiej marynarki wojennej, a sto kilometrów zaledwie dzieliło ich od Hamburga, jednego z największych portów Europy.

— Jesteśmy na często uczęszczanym szlaku żeglarskim — pomyślał sobie Jerzy, maszerując ze swoimi manatkami przez pokład. Bowiem przeprowadzał się właśnie z kubryku na nowe mieszkanie, znajdujące się o dwa piętra pod spardeckiem, w środkowej części okrętu i w sąsiedztwie kabin kapitana, pierwszego oficera oraz pasażerów *Chrobrego*.

— Smarujemy teraz z chyżością co najmniej czternastu mil morskich na godzinę — rzekł Kobryń.

— Jakże? — odparł Jerzy powątpiewająco. — Któryś z mechaników mówił mi kiedyś, że *Chrobry* może najwyżej dwanaście wyciągnąć.

— Ba, ale dolicz siłę prądu. Spójrz, jak się boje kładą.

Cieśla okrętowy wskazał chłopcu dwa najbliższe pływaki. Istotnie były pochylone pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tak je ciągnął przepięty nurt odpływu; gdyby nie kotwice, do których były przywiązane, popłynęłyby na zachód wraz z *Chrobrym* i jego trzema współzawodnikami.

Jerzy zgłosił się do kucharza i wraz z nim udał się do jadalni. Tu mistrz rondla, sympatyczny pan Bronisław Kliglich pokazał chłopcu, gdzie zasiądzie kapitan, gdzie który z pasażerów, pouczył go, jak należy porozkładać szklanki, talerze, łyżki, noże, widelce i serwetki, a wreszcie, jak się podaje do stołu, od kogo należy zacząć, a na kim skończyć.

— To się będzie zawsze samemu robiło — zaznaczył. Pocziwy Kliglich wahał się, czy ma Jerzemu mówić na ty, panem znów nigdy żadnego stewarda nie tytułował, więc wybrał pośrednią drogę i mówił bezosobowo: *to się ma robić, naczynia trzeba umyć, półmisek należy tak trzymać, aby czyjś palec nie zanurzył się w sosie* itp. Zakończył swój wykład przypomnieniem, że obiad podaje się o szóstej, więc na dwadzieścia minut przedtem należy się zgłosić do kuchni z wagą po

zupeł.

Jerzy wybrał się z wagą trochę wcześniej i dobrze zrobił, bo *Chrobry* przepływał właśnie na wysokości Helgolandu. Ta mała, trójkątna wyspa, w roku 1890 odstąpiona Niemcom przez Anglię i stanowiąca aż do wojny ważną bazę operacyjną wojennej floty niemieckiej, znajdowała się od nich w odległości co najmniej trzydziestu kilometrów, ale dzięki pomyślnym warunkom atmosferycznym widać było jej kontury, zwłaszcza charakterystyczną skałę w zachodniej stronie wyspy.

— Byłem tam raz przed wojną — rzekł wszystkowiedzący Kobryń, składając przed kuchnią kosz heblowin przyniesionych na „całopalenie” z jego warsztatu ciesielskiego — i zaraz sobie pomyślałem, że nawet Anglicy nie pokuszają się o walkę z fortami helgolandzkimi. Nie darmo się szwaby pyszniły tą fortecą.

— I pycha została ukarana — dorzucił Jerzy — gdyż nie zwycięzca, ale sami Niemcy musieli w czerwcu roku 1921 poburzyć wszelkie fortyfikacje na Helgolandzie. Zmusił ich do tego pokój wersalski.

— Musieli zburzyć? Nic nie wiedziałem o tym. No proszę.

— Odechce się Niemcom na przyszłość wojenki — dorzucił kucharz Kliglich, wymachując chochlą wojowniczo.

Ledwie wyrzekł te słowa, zadudniło coś głucho raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Skądś od północy, jak gdyby spoza Helgolandu, dobiegały echa gwałtownej kanonady.

— Ciężkie działa morskie, albo nie nazywam się Kobryń — mruknął cieśla. — Co to znaczy, u licha?

— Co to znaczy? — powtórzył Kliglich wyraźnie zaniepokojony, a chochla, którą przed chwilą potrząsał tak groźnie, wypadła mu z dłoni.

— To znaczy — odparł Jerzy — że kłęska nie nauczyła naszych sąsiadów niczego. Ich nowa flota wojenna trenuje się do przyszłej rozprawy, do wojny odwetowej, jak to sami nazywają.

— Tak, to mi wygląda na morskie manewry — bąknął Kobryń.

Nadsłuchiwali w dalszym ciągu, aż przerwał im tę audycję Paweł, który wpadł pomiędzy nich jak bomba.

— Dokąd lecisz?

Paweł wyślizgnął się zrećnie z rąk Kobrynia.

— Idę szwabom powiedzieć *moje uszanowanie panom* — odparł zdyszczonym głosem i popędził dalej w stronę rufy statku.

— Aha, salut banderą — domyślił się cieśla — ale komu?

Patrzącemu z przed drzwi kuchni zasłaniały widok nadbudówki okrętu, więc wszyscy trzej pobiegli do najbliższej burty.

— Tam — krzyknął Jerzy, trącając w łokieć kucharza, który gapił się w przeciwną stronę.

W stronę Helgolandu pędziły całą parą dwa niemieckie okręty wojenne, przecinając na ukos kurs *Chrobrego*, który dostał się jak gdyby w kleszcze pomiędzy dwa stalowe kolosy. Jeden z nich śmignął przed dziobem polskiego statku, drugi miał go wyminąć od rufy i zbliżał się już do spienionej drogi kilwateru. Kiedy ją przeciął, bandera powiewająca na rufie *Chrobrego* obniżyła się mniej więcej do połowy swojego masztu; to Pawełek „mówił” właśnie Niemcom *moje uszanowanie panom*.

— A czy oni też salut oddadzą? — bąknął Jerzy.

— Na pewno — uspokoił go Kobryń. Istotnie w tej chwili niemiecka bandera obniżyła się w podobny sposób i obydwie statki, pozdrowiwszy się grzecznie nawzajem, popędziły każdy w swoją

stronę. — Oto, co znaczy pokój. Podczas wojny taki krążownik jak ten inaczej by nas przywitał.

— Podczas wojny, panie Kobryń, nie płynęlibyśmy tędy bez opieki naszej podwodnej łodzi albo torpedowca — dorzucił Jerzy czupurnie, ale w głębi duszy powątpiewał mocno, czy nawet pod taką strażą byłoby bezpiecznie leżeć wrogowi w samą paszczę. Przecież Kanał Kiloński byłby wtedy zamknięty dla polskich okrętów i płynęłoby się z Bałtyku dłuższą, ale bezpieczniejszą drogą, przez Sund, Kattegat i Skagerrak.

Długo stali przy burcie, obserwując szare cielska tych pływających fortec, które dzięki swym potężnym maszynom i czterem śrubom oddalały się z szaloną szybkością. Kobryń twierdził, że krążowniki tego typu potrafią wyciągnąć do trzydziestu węzłów, że zatem za niecałą godzinę będą mogły wziąć udział w manewrach odbywających się koło Helgolandu. Zgadali się na ten temat i kto wie jak długo byłiby sobie przyjemnie gawędzili, gdyby nie rozpaczliwy okrzyk kucharza: — O rety, zapomniałem o mojej zupie.

Pierwszy występ Jerzego w roli stewarda wypadł całkiem pomyślnie. Rawski nie rozbił ani jednego talerza, nie wylał nikomu sosu na spodnie, co się nawet Gajdzie przytrafiło w pierwszym dniu podróży; podawał półmiski w należyтым porządku, zaczynając od pań, którym kapitan raz na zawsze pierwszeństwa ustąpił, potem pobierał naczynia i umył je, ale nie wszystkie. Ku jego utrapieniu czterech pasażerów uwzięło się grać w karty aż do północy, że zaś grali w głównym salonie, a nie w swojej kabinie, musiał zaczekać, póki się stamtąd nie wynieśli. Dopiero wtedy mógł uprzątnąć salon. Załatwiwszy się z tą robotą, wyniósł zebrane na tacy kieliszki od wina, filiżanki z czarnej kawy, łyżeczki, spodeczki... do podręcznej kuchenki, która wraz z małą filiżanką, ale miłą kabiną stanowiła jego nowe królestwo. W tej małej kuchence odgrzewało się niekiedy potrawy wypitraszone przez mistrza Kliglicha w głównej kuchni, a gotowało się tutaj tylko kawę i herbatę. Tu również przechowywało się zastawę przeznaczoną na użytek pasażerów, kapitana oraz pierwszego oficera.

— Och, jak mi się okropnie nie chce nic robić — westchnął Jerzy, spoglądając z jawną urazą na tacę z całym tym kramem przyniesionym z salonu. Był przeraźliwie śpiący, zasypiał w stojącej pozycji i, po krótkiej walce z sobą, przeszedł do kabiny. Położył się spać, odkładając do jutra umycie pozostałych naczyń. Za to przygotował sobie wszystko, co miało mu być najajutrz potrzebne do śniadania dla kapitana i Dulskiego, którzy wstawali znacznie wcześniej niż przeciętny śpioch-pasażer.

Obudził się o szóstej rano. Ziąbł na kość, bowiem, zgodnie ze swym zamiłowaniem, pozostawił na noc otwarte zarówno iluminatory jak i drzwi, ale był znakomicie wyczępęty. Dla rozgrzewki postanowił się trochę pogimnastykować. Szybko zeskoczył z łóżka i przy tej sposobności stracił na podłogę coś, czego dotychczas nie zauważył, a czego tu wieczorem na pewno nie było, mianowicie bukiet. Bukiet kwiatów, przywędłych co prawda, lecz pomimo to wnoszących dziwny urok w surowe ściany celi, jaką była ta skromna, ciasna kabina.

— Któż to mógł tutaj przynieść? I skąd? I w jakim celu?

Chwiejąc głową ze zdziwienia, Jerzy pchnął drzwi od kuchenki. Pamiętał że zostawił je otwarte na oścież, ale nie głowił się zbytnio nad pytaniem, kto je mógł zamknąć. — Oczywiście wiatr — przypuszczał. Pamiętał również, że musi pomyć naczynia i tym razem nie powstrzymał już okrzyku zdumienia, zoczywszy pustą tacę, a wszystkie kieliszki, spodki, filiżanki wzorowo pomyte i poustawiane na odpowiednich półkach. — Tu się dzieją cuda — rzekł rozweselony tym nowym tajemniczym wypadkiem. — Jakiś bardzo uczynny czarodziej — dodał jeszcze i nagle zdrętwiał. Nowa puszcza skondensowanego mleka, bochenek chleba, talerz marmolady i spory kawałek suchej

kielbasy, słowem wszystkie zapasy, jakie mu Bulicz wydał z szafarni... zniknęły bez śladu!

¹ hoplici – ciężkozbrojna piechota grecka i macedońska, walcząca w zwartym czworobocznym szyku zwanym falangą.

² Elbe – niemiecka nazwa Łaby.

³ *Drang nach Osten* (niem.) – parcie na wschód.

⁴ dżut (ang. *jute*) – juta.

⁵ *corpus delicti* (łac. przedmiot przestępstwa) – dowód rzeczowy.

Rozdział VI STRASZNA WIADOMOŚĆ

Jerzy nie wątpił ani trochę, że sprawcą tej kradzieży jest ów *bardzo uczynny czarownik*, który za niego pomył naczynia i kwiaty mu przyniósł.

— Ale kto to jest? — zachodził w głowę na próżno.

Przeszukał uważnie wszystkie kąty kuchni i swojej kabiny, gdyż przyszło mu na myśl, iż tajemniczy osobnik nie zabrał z sobą tych zapasów żywności, lecz ukrył je tylko, ot tak, dla swawoli. Niestety nie znalazł, czego szukał. Nie była to więc jakaś psota, ale zwykła kradzież, niestety.

— Trudno. Muszę o tym zawiadomić Bulicza — postanowił.

Na pokładzie spotkał kucharza, któremu oczywiście powiedział, co zaszło. Kliglich pobiegł z tą wiadomością do bosmana i zanim Jerzy wyszedł z kabiny Bulicza, już cała załoga wiedziała o tajemniczej kradzieży. Nie obeszło się naturalnie bez wzajemnych podejrzeń i dogadywań; jak zwykle, majtkowie posądzali palaczy, a ci tamtych nawzajem.

— Rękę dam sobie uciąć, że to sprawka Nowocienia — twierdził Dulski, na co inżynier Gąsiorowski replikował z miejsca:

— Przeszukajcie kuferki Skowronka i Tkaczyka, a znajdziecie zgubę.

— Przeszukać mi cały statek — zagrzmiał kapitan Starbała, i wydał nader złośliwe polecenie, że Dulski ma być obecny przy przetrząsaniu kajut palaczy, a Gąsiorowski ma dopilnować rewizji u majtków. Ale i to nie pomogło, choć obydwaj wyznaczeni oficerowie prześcigali się w gorliwości. Z kolei gniew kapitana zwrócił się przeciwko zastępcy stewarda: — Dlaczego nie zamknąłeś na klucz drzwi, chłopcze?

— Czyż mogłem przypuszczać, że w naszym gronie są złodzieje? — odpowiedział Jerzy pytaniem na pytanie.

— Hm, tak, to prawda — mruknął z cicha Starbała do Bulicza — nigdy się nam coś podobnego nie wydarzyło dotychczas... A teraz prowadź nas do siebie — zwrócił się do Jerzego. Widząc, że chłopcu lży w oczach stanęły, dodał łagodniej: — Zbadajmy, czy złodziej nie zostawił jakichś śladów. To tylko miałem na myśli. — Poklepał przyjaźnie niefortunnego stewarda i poszedł z nim do małej kuchenki, dobrawszy sobie do towarzystwa Bulicza.

Nie znaleźli oczywiście żadnego śladu. Jerzy był pewien, że nie znajdą; przecież sam przeszukał tużaj każdy kąt, sądząc początkowo, iż ktoś tylko ukrył owe zapasy żywności, aby sobie zażartować z nowego stewarda. Nie wykryto więc sprawcy i ta nowa nierozwiązana zagadka powiększyła serię tajemniczych wypadków, do której należał ów jęk, a potem zdraziecki napad na stewarda Gajdę.

Witold Bulicz wydał z magazynu odpowiednią ilość prowiantu, i kapitan Starbała, na czczo okropny zręda, dostał nareszcie swoje śniadanie.

Uporawszy się ze śniadaniem, Jerzy posprzątałabinę Starbały i podobną do niej jak dwie krople wody kabinę Dulskiego. Pomagał mu przy tym Piotr Lewiński, chłopiec okrętowy przeznaczony do obsługi pozostałych oficerów *Chrobrego* oraz wszystkich trzech mechaników, a w wolnych chwilach praktykujący u mistrza Kliglicha w głównej kuchni.

— Tylko dzisiaj tu jestem, żeby ci pokazać robotę — zastrzegł się od razu ów Lewiński — od jutra będziesz sobie radzić sam.

— Postaram się. Inna rzecz, że tak szybko mi nie pójdzie, jak tobie — odparł Jerzy, podziwiając zręczność chłopca, któremu robota paliła się w rękach. — Będziesz kiedyś znakomitym stewardem — dodał.

— Stewardem? — Pietrek skrzywił się wzgardliwie. — Mój ojciec był bosmanem, moi bracia są dzielnymi rybakami, a ja miałbym zostać kelnerem? O, niedoczekanie!

Jerzy, choć podzielał te upodobania i uprzedzenia, nie mógł się powstrzymać od uwagi, że niejeden majtek marzy tylko o tym, by awansować na stewarda; na przykład taki Skowronek albo Tkaczyk.

— Jeden śpioch, drugi żarłok — odparł lekceważąco Lewiński, i zaczął sobie pogwizdywać, uważając snadź rozmowę na ten temat za ukończoną.

Kabin pasażerskich było tylko sześć, bowiem *Chrobry* był statkiem towarowym w całym tego słowa znaczeniu, ale nawet tych sześciu Starbała długi czas nie mógł strawić, skoro po poświęceniu *Chrobrego* został jego pierwszym komendantem. Bowiem, pływając uprzednio przez długie lata wyłącznie na statkach towarowych, gdzie nie było ani jednej kabiny pasażerskiej, przyzwyczał się do rubasnej gwary marynarskiej, którą nie wypadało się posługiwać w obecności pasażerów posiadających „delikatne uszy szczurów lądowych”. W końcu jednak polubił towarzystwo pasażerów, „wypolerował” (jak powiadał) swój sztywny język marynarski i „dawał szkołę” temu z załogi, któremu się głośno wypsnęło jakieś przekleństwo lub wyzwisko.

Dzięki czasowemu pełnieniu funkcji stewarda, Jerzy zawarł bliższą znajomość z obecnymi pasażerami *Chrobrego* już w czwartym dniu podróży. Było ich dziesięć, w czym dwie kobiety. W pierwszej kabinie mieszkał z żoną inżynier Roman Polański, który wyjeżdżał na stałe do Angoli, gdzie miał pracować przy budowie nowej linii kolejowej. Kabinę numer 2 zajmował zamożny kupiec Aron Tintenfass z czternastoletnim synem, a numer 3 dwóch inspektorów z Urzędu Emigracyjnego. Po drugiej stronie krótkiego korytarza, pod numerem czwartym jechał do Angoli ksiądz Bzowiecki, misjonarz i znany działacz na wychodźstwie. W piątej kabinie gnieździło się dwóch wesołych pasażerów, łysy jak kolano pan Wójcicki, spensjonowany dyrektor banku, oraz dziennikarz Wiktor Stanisławski, zwany popularnie *królem polskich reporterów*. Wreszcie w ostatniej odbywała podróż panna Agnieszka Szczotkówna, znana malarka, osoba bardzo egzaltowana i krzykliwa.

Z nią to właśnie Pietrek Lewiński popadł od razu w ostry konflikt z powodu... kwiatów.

— Dlaczego zabrał kwiaty? — natarła nań z miejsca.

— Kto?

— No, on, mówię wyraźnie.

— Jaki on?

Niech nie udaje głupiego. O nim mówię — zaperzyła się i wskazała na Pietrka, którego już rozmaicie nazywano w życiu, lecz w trzeciej osobie, przez *on*, jeszcze nigdy. Połapał się wreszcie i, urażony nieco takim sposobem przemawiania, oświadczył, że nic stąd nie zabrał, w ogóle pierwszy raz jest w tej kabinie, a pierwszy i ostatni raz tutaj sprząta.

— Zresztą skąd by się kwiaty wzięły na okręcie — mruknął na zakończenie.

— On wątpi w prawdziwość moich słów? — pisnęła cienkim głosikiem. — Więc niech się dowie, że te kwiaty kupiłam w Gdyni.

— W Gdyni? E, to dawno zwiędły. Nic dziwnego, że je ktoś szmyrgnął w morze, zwłaszcza,

jeśli je pani wystawiła na noc z kabiny.

— Cooo? Wyrzucono mój bukiet?

Panna Agnieszka zaczęła wykrzykiwać tak donośnie, że echa tej wrzawy wtargnęły do sąsiedniej kabiny, gdzie Jerzy Rawski jeszcze ścierał kurze. Obecni tam panowie Wójcicki i Stanisławski przerwali rozmowę, nadsłuchiwali przez chwilę, porozumieli się znaczącym spojrzeniem i wybuchnęli śmiechem.

— Warto by ją oduczyć od tych krzyków — mruknął Wójcicki. Porwał stojącą przy drzwiach miotłę, a swojemu towarzyszowi wskazał parasol oparty o leżak. — Powiem, że przybiegliśmy jej na ratunek.

— Doskonale — przystał Stanisławski, i obydwaj wybiegli na korytarz, a za nimi Jerzy, zaciekawiony, co z tego wyniknie.

— Co to znaczy? — zdumiała się malarka, gdy dwaj mężczyźni wtargnęli do jej kabiny bez pukania.

— Ekspedycja ratunkowa — odparł Wójcicki z najpoważniejszą miną i potrząsnął wojowniczo swym niezwykłym orężem. — Posłyszeliśmy rozpaczliwe okrzyki pani i sądziliśmy, że znajduje się pani w straszliwym niebezpieczeństwie. — Tu zwrócił się do Pietrka: — Ach, więc to ty, drapichruście, jesteś sprawcą zająścia — rzekł z udaną srogością.

Pietrek, który uważał siebie za starego wilka morskiego, a pasażerów za zło konieczne na statku, wzruszył ramionami lekceważąco.

— Nikt tu nic nie przeszkrobał — bąknął pod nosem — tylko ta pani krzyczy, jakby ją zabijali.

— Wolalabym, żeby mnie zabijali — wtrąciła porywczó panna Szczotkówna — niestety ohydny zbrodniarz zamordował moje dzieło! — Tu patetycznym gestem wskazała na sztalugi, na których wisiał rozpięty jakiś ledwie zaczęty obrazek, przedstawiający bukiet kwiatów w wazoniku. — I jak teraz dokończę roboty, gdy ukradziono mi model? — białała.

Z kolei Jerzy wmieszał się do rozmowy. Wyraziwszy przypuszczenie, że kwiaty, którymi ktoś obsypał w czasie snu, pochodzą zapewne z tej kabiny, odniósł nieszczęsny bukiet i wręczył go malarce.

— Ach, więc ty mi go zabrałaś, niegodziwy chłopcze — zawołała panna Szczotkówna, patrząc na chłopca z wyrzutem.

— Myli się pani — wtrącił redaktor Stanisławski — gdyby on go był zabrał, nie byłby się przyznał; to jasne. Zresztą — dodał, spoglądając życzliwie na Jerzego — jemu dobrze patrzy z oczu.

I na tym zakończył się ten drobny epizod podróży, a niebawem miało się wyjaśnić, kto był sprawcą krótkotrwałego zmartwienia malarki i autorem innych tajemniczych wypadków na okręcie...

W ciągu całego dnia nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Żeglując po lekko zmarszczonej toni Morza Północnego, zwanego także Niemieckim, opływał *Chrobry* łagodnym łukiem wybrzeża Holandii, niewidoczne z tej odległości nawet przez szkła lornety. Jedynym urozmaicheniem były spotkania z innymi okrętami lub wyjść z nimi, o ile płynęły w tym samym kierunku; w tym wypadku marynarze nazywali statek *przyjacielem*, podczas gdy okręt nadpływający z przeciwną wabił się, nie wiedzieć dlaczego, *nieprzyjacielem*.

Bliskość Niderlandów nastąpiła Jerzemu okazję podzielenia się z Pawłem swoją wiedzą o pracowitych Holendrach, znakomitych ogrodnikach i niestrudzonych pogromcach Morza, któremu z pomocą olbrzymich tam raz po raz wydzierają rozległe połacie przestrzeni, by je potem osuszyć i pod uprawę przeznaczyć.

Spośród licznych statków, jakie w tym dniu spotkali, przykuł Jerzego uwagę specjalnie jeden, zarówno z powodu swojej niezwykłej budowy, jak i nazwy brzmiącej dość egzotycznie, bo *Mambika*.

— Ciekawym, jakie towary on przewozi — zastanawiał się, obserwując wypukłości dziwnego okrętu wyglądające na potężne zbiorniki.

— To nałciarz — mruknął stojący obok telegrafista i skrzywił się pociesznie, jak gdyby na odległość tych kilkuset metrów poczuł zapach ropy stanowiącej fracht *Mambiki*.

Z kolei zgadali się o burzach morskich, gdyż wiatr dął coraz silniej i Jerzy wyraził przypuszczenie, że zanosi się na dobry orkan.

— Orkan? — Telegrafista parsknął śmiechem. — Chyba w zimie można by się go doczekać w tych stronach.

— Jednakże burze często szaleją u brzegów Anglii; nieraz o tern czytałem w dziennikach — odparł Jerzy, czerwieniąc się z lekka.

— Burze, tak; za to zgoda. Ale burza to jeszcze nie orkan... I burzy także dziś nie będzie, ani jutro.

— Skąd pan to wie?

— Stąd, że dwa razy dziennie odbieram przez radio komunikat najbliższej stacji meteorologicznej. Wczorajszy komunikat wieczorny przepowiadał na dzisiaj: *Sicht gut, Wind West-Nord-West, frische Brise*. I zgadza się wszystko; mgły nie ma, widok dobry, wiatr zachodnio-północno-zachodni i bryza sobie rześka, aż miło. Może nie?

— Hm, zapewne. Ale dlaczego używa pan języka niemieckiego?

— Bo niemiecka stacja komunikat nadawała. Od jutra będę łapał angielskie stacje, potem francuskie, portugalskie i tak dalej, stosownie do położenia okrętu w danej chwili.

— Ho, ho, to pan zna dużo obcych języków — zdziwił się Jerzy.

Telegrafista wyszczerzył wszystkie zęby w szczerym uśmiechu.

— Żadnego nie znam — przyznał się — lecz jeśli chodzi o wyrażenia z dziedziny meteorologii, to rozumiem nawet chińszczyznę... No, ale pora mi odmaszerować do swojej roboty. Za to proszę zająć do mnie wieczorem, posłuchamy koncertu z Warszawy.

— Bardzo dziękuję za zaproszenie — odparł Jerzy, naprawdę ucieszony, bo ogromnie lubił radio i słusznie przewidywał, że na statku audycja będzie czysta, wyraźna, wolna od wszelkich zgrzytów i gwizdów, które psują humor radioamatorom po miastach... słowem: doskonała.

Do kuchni wybrał się wcześniej, niż należało, zamierzając wstąpić po drodze do Bulicza i jego zapytać, jaka to różnica zachodzi pomiędzy zwyczajną burzą a orkanem.

— Obawiam się, czy panu nie przeszkadzam — zaczął niepewnie, zastawszy drugiego oficera przy biurku zasłanym stertami rachunków.

— Owszem, nawet bardzo, szczerze mówiąc — odparł Bulicz wesoło. Jerzy cofnął się natychmiast ku drzwiom.

— W takim razie — bąknął zmieszany — bardzo przepraszam...

— W takim razie mów, przyjacielu, skoroś już przyszedł.

W krótkich słowach Jerzy wyjaśnił, o co mu chodzi. Bulicz skinął głową wysunął ostatnią szufladę swojego biurka, wyjął z niej jakąś książkę i podał ją gościowi.

— W wolnych chwilach przeglądaj sobie to dziełko, a będziesz miał, jak znalazł, kiedy wstąpisz do Szkoły Marynarki — rzekł. — Ja sam uczyłem się z tego podręcznika... A to, o coś mnie pytał, znajdziesz w spisie pod nazwą *Skala Beauforta*... I nie gniewaj się, że cię już

wypędzam, ale jestem bardzo zajęty. Za to wieczorami jak w dym tu do mnie; zgoda?

Skala wiatrów Beauforta, którą Jerzy dzięki wskazówce Bulicza szybko odnalazł, wyglądała następująco:

Stopień wg skali	Nazwa wiatru	Rodzaj fali	Wysokość fali w m
0	Cisza	Morze zwierciadlane	0
1	Powiew	Morze spokojne	do 1
2	Wiatr b. słaby	Morze pomarszczone	1 – 2
3	Wiatr słaby	Morze pośladowane	2 – 3
4	Wiatr dość słaby	Morze rozigrane	3 – 4
5	Wiatr umiarkow.	Morze rozfalowane	4 – 5
6	Wiatr dość silny	Morze wzburzone	6 – 7
7	Wiatr silny	Fala spiętrzona	8 – 9
8	Wiatr b. silny	— — —	— — —
9	Burza	Bałwany spiętrzone	10 – 12
10	Silna burza	— — —	— — —
11	Burza gwałtowna	Morze rozszalałe	ponad 12
12	Orkan	— — —	— — —

Jerzy przeczytał tę tabelę jednym tchem, potem jeszcze dwukrotnie prześlizgnął się wyrokiem po nazwach wiatru i już je znał na pamięć, wszystkie dwanaście. Zaciekawilo go też od razu, do jakiej kategorii należałoby zaliczyć dzisiejszy wiatr i falę dzisiejszą.

— Moim zdaniem jest *SILNY*; murowana *siódemka* — przypuszczał, ale na wszelki wypadek postanowił skontrolować trafność tych domysłów. Jakby na zawołanie nawinął mu się pod rękę bosman Miazek, pierwszorzędny autorytet w tych sprawach.

— Jaki dziś wiatr? — Miazek powtórzył pytanie raczej z przyzwyczajenia, nie zaś po to, by zyskać czas do namysłu. Tu nie miał się co namyślać; dla takiego, jak on, marynarza morze było otwartą księgą. — Ano, trzy.

— Jak to; tylko trzy? — zdziwił się Jerzy.

— Trzy, mówię wyraźnie — obruszył się brodaty autorytet.

— A po czym pan bosman poznaje, że właśnie trzy?

— Ano po gęsiach.

Jerzy spojrział bystro na mówiącego, sądząc, że to kpiny.

— Gęsi? Wybacz pan bosman, ale nie rozumiem, o jakich gęsiach tu mowa.

Bosman wyciągnął za burtę swoją muskulamą dłoń i omiół nią pół horyzontu.

— Jeśli grzbiety fal zaczynają się pienić, to to są **gęsi** w naszej gwarze. I wtedy wiatr musi być co najmniej trzy — wyjaśnił.

— Trzy, według skali Beauforta — dopowiedział sobie Jerzy w myśli. — Ba, ale skoro takie wicherzysko nazwał pan Beaufort *SLABYM WIATREM*, to jak dopiero musi wyglądać *WIATR BARDZO SILNY*? A *BURZA*? Albo *ORKAN*? No, z nim się chyba nie spotkamy — westchnął. Westchnął, bo nienasycona żądza przygód parła go ku wszelkim niebezpieczeństwom. Pragnął więc

gorąco spotkania z najgroźniejszymi cyklonami, nie zdając sobie sprawy z tego, jaką klęską dla rybaków i słabszych statków jest orkan. Pragnął go, nie wierzył już teraz po rozmowie z telegrafistą, że jakaś „uczciwa” burza ich zaskoczy, i nie przeczuwał ani trochę, iż jego skryte, a lekkomyślne życzenia spełnią się tak rychło i wśród tak dramatycznych okoliczności.

Głos dzwonka oderwał go od lektury książki, pożyczonej od Bulicza.

— Z kabiny numer sześć — mruknął, spojrzawszy na tablicę z numerami, i pobiegł czym prędzej, wiedząc, że z wojowniczą malarką nie ma żartów.

— Proszę mi to gdzieś wylać — rzekła panna Szczotkówna, kiedy młody steward wkroczył do jej kabiny. Zaimek *to* oznaczał tym razem miseczkę z wodą, w której malarka maczała swoje pędzle.

Jerzy powstrzymał się oczywiście od uwagi, że tę prostą czynność mogła była panna Szczotkówna sama wykonać. Odemknął iluminator i wysunąwszy rękę na zewnątrz wylał brudną ciecz w morze.

— A teraz proszę mi odpowiedzieć na kilka pytań.

— Słucham, proszę pani.

— Jak się nazywa nasz kapitan?

— Józef Starbała.

— Żonaty?

Zdziwienie podniosło Jerzemu brwi w górę.

— O ile wiem, to nie, proszę pani.

— Pierwszy oficer?

— Stanisław Dulski.

— Żonaty? — spytała znowu, notując szybko odpowiedzi Jerzego.

— Owszem. Nie widziała pani, jak się żegnał w Gdyni z rodziną?

— Nie. Drugi oficer?

— Witold Bulicz.

— Żonaty?

— Nie... Przepraszam bardzo, ale ja naprawdę nie mam czasu. Najlepiej będzie, uważam, jeśli powiem panu Buliczowi, aby pani dał listę załogi.

— Nie, nie. Proszę nic nie mówić nikomu! — zaprotestowała żywo panna Szczotkówna. — Nie chcę, by ktoś wiedział, że ja tu sobie piszę dziennik podróży.

— No, ja już wiem o tym — Jerzy uśmiechnął się filuternie — pani mi sama powiedziała teraz.

— Wygadałam się niechący — bąknęła, patrząc w okno. — A trzeci oficer jak się nazywa?

— Michał Ciuńdziewicki. Nieżonaty, proszę pani — dodał z humorem, odgadując, że panna Szczotkówna miałaby ochotę wydać się za żonę, i że to właśnie jest główną przyczyną tych pytań.

— Czy to jest jaki krewny drugiego dyrektora *Żeglugi*?

— Rodzony syn dyrektora Stefana Ciuńdziewickiego.

— Myślę, że na dziś będzie dosyć — rzekła, odkładając pióro.

— I ja też tak myślę, proszę pani — zgodził się Jerzy i szybko opuścił kabinę. — Jejmość się nudzi, więc rada gawędzi z każdym. Ale ja na to nie mam czasu — zrzedził, wracając do siebie. — Żeby sobie samemu nie wylać kubka wody w morze, nno... na to trzeba być kobietą! — Jego zastarzałe uprzedzenie do cór Ewy objawiło się naraz w dziękczynnym westchnieniu: — O, dzięki Ci, Boże, żeś mnie stworzył mężczyzną!... Biedny ten Maryś Ślaski.

Bodajże po raz pierwszy przypomniał sobie małego urwipolcia, chociaż go tak polubił od pierwszego wejrzenia. Ale nic dziwnego ostatecznie. Życie na statku, praca, setki nowych, choć małych wydarzeń, tysiące widoków, zlewających się w jeden barwny, przepiękny film, podróż morską, będąca nagłym urzeczywistnieniem tyloletnich tęsknot, pragnień i marzeń... wszystko to razem wzięte przysłoniło mu wspomnienie przelotnej znajomości z sympatycznym urwisem Ślaskim. Aż teraz dopiero przyszedł mu na myśl.

— Gdzież on może być teraz, nieborak — westchnął Jerzy współczująco. Był bowiem głęboko przekonany, że Ślaskiemu nie udało się zakraść na jeden z przycumowanych statków, że go schwytano i odesłano zlej macosze do Krakowa.

— Hallo, steward — zabrzmiało na pokładzie — dlaczego się nie przychodzi do kuchni? — Kliglich przemawiał w dalszym ciągu bezosobowo, utyskując, że *powinno się* pamiętać, o której godzinie na kolację wydaje, że przez taką niepunktualność *robi się* zamieszanie itd., itd.

— Już się idzie - krzyknął Jerzy, ubawiony sposobem mówienia zawsze punktualnego mistrza rondla. — I nie mówi się *steward*, tylko *stiuard*, panie Kliglich. Podobnie mówi się *Niu Jork*, choć pisze się *New York*.

Ostatnie dwa zdania powiedział już zniżonym głosem.

— Trudno żądać, by wszyscy znali angielski język — mruknął.

Przy stole toczyła się tym razem jakaś poważna rozmowa. Nawet para *wesołych pasażerów*, jak nazywano tu panów Wójcickiego i Stanisławskiego, nawet oni byli dziś niezwykle skupieni czy zafasowani.

Jerzy nie potrafiłby się nigdy zdobyć na to, by podsłuchiwać, poza tym musiał się uwijać z wawo z podawaniem półmisków, niemniej jednak oderwane strzępy rozmowy pchały mu się same do uszu.

— Wszystkie sejsmografy, powiada pan?

— Czy tę wiadomość otrzymał pan kapitan przez radio? — pytał ktoś inny.

— A jakżeby inaczej; gazet tu przecież nie mamy — rubaszenie odparł zapytany.

— Szkoda, że nie mamy — westchnął dziennikarz Stanisławski — w dzisiejszych wieczornych wydaniach będą z pewnością bliższe szczegóły.

— Dowiemy się ich jeszcze wcześniej. Nasz Kołodko czuwa przy swoim aparacie i na pewno do świtu będzie wylapywał wszelkie depesze. Znam go.

— Ale gdzie się to wydarzyło, panie kapitanie?

— Prawdopodobnie na południowej półkuli. Zresztą...

Dalszych słów Jerzy nie słyszał, gdyż musiał opuścić kajutę jadalną i znowu pospieszyć do kuchni. Domyślił się tyle tylko, że chodzi o jakieś nowe trzęsienie ziemi.

— Była przecież mowa o sejsmografach — myślał głośno, a pamiętał ze szkoły, że sejsmograf jest to przyrząd do notowania ruchów powierzchni ziemi i do wskazania kierunku, siły oraz czasu trwania wstrząśnień. — A bliższych szczegółów dowiem się u naszego telegrafisty. Zaprosił mnie przecież na dzisiejszy wieczór — pocieszał się.

Niestety Jerzy nie mógł skorzystać z zaproszenia tym razem. Niemal wszyscy pasażerowie zgromadzili się w stosunkowo niewielkiej kabinie radiotelegrafisty, nie mówiąc już o „korpucie” oficerskim, z kapitanem na czele. A w pośrodku, ze słuchawkami na uszach siedział spocony imię Kołodko i pracowicie manipulował przy aparacie odbiorczym, wylapując alarmujące depesze, krzyżujące się w eterze we wszystkich możliwych kierunkach.

Jerzy odstąpił więc od okienka i postanowił zajrzeć do Kołodki za jakąś godzinę, a na razie

powrócił do swojej kabiny. Tu zabrał się oczywiście do czytania książki, pożyczonej mu dzisiaj przez porucznika Bulicza. Był to *Streszczony kurs morskiej praktyki*, ot zwyczajny sobie szkolny podręcznik, zbiór suchych wykładów o różnych rodzajach lin, węzłów, spleceń, linobloków, o żurawiach przymasztowych, kotwicach, łańcuchach kotwicznych, o żaglach, o sterze, o manewrowaniu statkiem itd., itd., itd. Lecz dla Jerzego była to jakby najciekawsza powieść.

Nic tedy dziwnego, że gdy po raz pierwszy oderwał wzrok od zajmującej lektury i przeniósł go na zegarek, obie wskazówki muskały rzymską dwunastkę.

— Północ! A tom się zasiedział, no — zawołał zdumiony.

Pomimo tak późnej pory postanowił zajrzeć do kabiny radiotelegrafisty. Przecież sam kapitan powiedział, że Kołodko będzie niewątpliwie czuwał aż do świtu.

Wyszedł tedy, wspiął się po schodni na wyższy pokład, a mijając iluminator kabiny telegrafisty, zajrzał do środka. Pasażerów już tam nie było, ale obecność kilku oficerów, w tej liczbie Starbałły, onieśmieliła chłopca. Postanowił zaczekać, aż któryś z nich wyjdzie i wtedy go zapytać o nowiny.

Niedługo czekał. Witold Bulicz zerknął właśnie na zegarek, ziewnął dyskretnie i zaczął się żegnać z kolegami.

— O, ty jeszcze nie śpisz, młody przyjacielu? — zdziwił się, kiedy Jerzy zastąpił mu drogę na pokładzie. — A ja ledwie się trzymam na nogach... I pomyśleć, że za niespełna cztery godziny mam wachtę. Brrr — otrząsnął się.

— Czy już wiadomo, gdzie było to trzęsienie ziemi? — spytał Jerzy.

— U-hum — mruknął Bulicz, walcząc zawzięcie z chętką serdecznego ziewania. — Koło bieguna południowego.

— No, to możemy spać spokojnie. Nikt z bliźnich życia nie straci.

— Nie zapominaj o wyprawie Allana Brandthona.

— Prawda, prawda — zafrasował się Jerzy. — Miejmy jednak nadzieję, że ci dzielni podróżnicy wyjdą cało. Antarktyda jest znacznie większa niż nasza Europa. Trzeba by więc, sędzę, wyjątkowego pecha, żeby Allan Brandthon przeżywał właśnie w tych okolicach tego olbrzymiego ładu, gdzie nastąpiło trzęsienie ziemi — podtrzymywał niekłęjącą się rozmowę i szedł dalej obok Bulicza, zamierzając go odprowadzić aż do jego kabiny.

— Sęk w tym — wymamrotał zaspany oficer — że, jak wynika z przejętych depesz, chodzi tu o stokroć większy kataklizm niż jakieś tam lokalne trzęsienie ziemi.

— Mianowicie?

— Mianowicie, o ile naturalnie można wierzyć tym nieprawdopodobnym wiadomościom, cały ten ład dokoła bieguna południowego...

— Czyli Antarktyda — wtrącił niecierpliwie Jerzy, przemieniając się w słuch cały.

— Cały ten ład zaczął się dzisiaj po południu, aaa-aaa... ale też mnie śpiączka ogamęła...

Ziewam i ziewam bez końca.

— ...dzisiaj popołudniu — powtórzył Jerzy, stojąc jakby na rozżarzonych węglach...

— ...zapadać się w morze... No, dobranoc ci — dokończył Bulicz i zniknął w swojej kabine.

Jerzy stał długo w miejscu, choć mu drzwi zatrzęsiano przed nosem.

— Antarktyda zapada się w morze! — wyszeptał ze zgrozą, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, jakie ta nowina nań wywarła.

Podszedł do burty, wsparł łokiec o poręcz i zamyślił się głęboko.

— Czy to jest w ogóle możliwe? — Takie pytanie postawił sobie przede wszystkim. Odpowiedź musiała wypaść twierdząco. — Ten sam los spotkał ongiś Atlantydę i Bóg jeden wie, ile innych łądów przed nią. Oczywiście, że taki potworny kataklizm nie przytrafia się co kilka wieków, raczej co kilka lub kilkanaście tysięcy lat, lecz cóż znaczy chociażby sto tysięcy lat w życiu planet?

Zrobiło mu się trochę nieswojo na skutek tych rozmyślań. Wydało mu się, że jest śmiesznym, nic nieznaczącym pyłem wobec tych olbrzymów, których byt trwa miliony lat.

Lecz natychmiast przyszła do głosu młodzieńcza buta:

— Jesteśmy krótkowieczni, zgoda. Ale mimo to ujarzmiłmy łądy i morza, i powietrze. A niebawem w raketowych samolotach wyruszymy na podbój innych planet!

Wiatr zachichotał szyderczo wśród olinowania masztów.

— A potraficie ujarzmić szalejący wulkan? Lub cyklon okiełzać? Albo uspokoić trzęsienie ziemi? Potraficie teraz ocalić Antarktydę? — zdawał się pytać i, gwizdnawszy urągliwie, umilkł na kilka sekund.

Za całą odpowiedź Jerzy westchnął melancholijnie.

— Prawdziwe szczęście, że chodzi o Antarktydę — mruknął po chwili — że zapadną się w morze te nieużytki, skały i lodowe pustynie... Ale gdyby ten sam los spotkał był Europę?

Wzdrygnął się cały. Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak potworną katastrofą byłaby zagłada Europy, z jej czterystu dziewięćdziesięcioma pięcioma milionami mieszkańców, z jej pomnikami kultury, z jej arcydziełami dawnej i współczesnej techniki. To przekraczało niebotycznie krańcową strefę zasięgu jego bujnej fantazji.

— A jednak przyjdzie kiedyś koniec świata — wyrwało mu się głośno.

— Przyjdzie, przyjdzie, ale na razie idź spać, smyku — zabrzmiał mu nad uchem głos Starbałły. Kapitan, który swoim zwyczajem obchodził wszystkie pokłady, zanim się udał na spoczynek, wypatrzył Jerzego w ciemnościach, podszedł doń cichutko dzięki gumowym obcasom trzewików i zapędził chłopca do łóżka, odgrając się żartobliwie, iż jeśli go znowu kiedyś zastanie o tak późnej porze na pokładzie, to mu taki koniec świata sprawi, że no... popamięta!

Nazajutrz wypadła niedziela. Różniła się od zwyczajnych dni roboczych chyba tym, że pasażerowie ubrali się odświętnie, a palacze zgolili brody, upodabniające ich do zbójców Ali-Baby. No i tym jeszcze, że kuchmistrz Kliglich wypitrasił lepszy obiad, a do zwykłego śniadania dodał każdemu po dwa jajka na miękko. Poza tym robota szła swoim trybem, tylko na pogawędki patrzył bosman przez palce, ba, sam w nich brał udział, uznając snadź, że jakieś ustępstwo trzeba zrobić dla niedzieli.

Tematu do rozmowy nie brakło, tym więcej, że radiotelegrafista Kołodko wylał nowe depesze. Wynikało z nich, że powolne zapadanie się łądu Antarktydy trwa w dalszym ciągu, choć nierównomiernie w różnych jej częściach, że wulkan Erebus wznowił czynność z niebywałą gwałtownością, że nastąpiło nowe trzęsienie ziemi i potężna fala zatopiła kilka statków rybackich koło Wysp Falklandzkich.

— Nie rozumiem ani trochę, w jaki sposób może się taki szmat ziemi zapaść w morze — burknął Pawelek, latając niezgrabnie dziurę, jaką sobie wydarł w spodniach w tym miejscu, które najczęściej styka się z ławką i podobnymi meblami służącymi do siadania na nich.

Jerzy, choć zapas jego wiedzy z dziedziny geologii był bardzo skąpy, próbował to zjawisko wytłumaczyć mniej wykształconym kolegom:

— Prawdopodobnie cała Antarktyda lub znaczna jej część spoczywała na sklepieniu jakiejś

olbrzymiej jaskini głębinowej. Niezmiernie mało wiemy o wnętrzu naszej planety, ale można śmiało przypuszczać, że podobne wydrążenia czy pieczary istnieją w łonie ziemi — rzekł, wążąc każde słowo na szali namysłu.

— Nie zdaje mi się, żeby tak było — wtrącił bosman — bo jeśli takie sklepienie wytrzymało tyle wieków, to czemu teraz nagle pęka?

— Być może dlatego, że wzrósł nacisk, czyli ciężar tego ładu.

— Ano pewnie — Pawełek musiał dodać swoje trzy grosze. — Trzydziestu ludzi, sto psów i tyle skrzyń zapasów, to coś waży.

— O czym ty pleciesz? — spytał zdumiony bosman.

— On ma na myśli zapewne wyprawę Allana Brandthona — wyjaśnił Jerzy z uśmiechem, a Pawełek skinął głową potwierdzająco.

— Ty się zawsze musisz wyrwać ni w pięć, ni w dziesięć — zgromił go bosman. — Choćby tam nawet nie trzydziestu, ale trzydzieści tysięcy ludzi tam było, to dla takiego ładu mniej znaczy, niż dla mnie podnieść pestkę z wiśni.

— No więc przez co mógł wzrosnąć ciężar tego ładu?

Znowu Jerzy głos zabrał:

— Przez opady atmosferyczne, Pawle. Przez opady śnieżne, których warstwa w ciągu tylu stuleci musiała zgrubić do rozmiarów wręcz fantastycznych. Nie zapominaj, że na Antarktydzie lato jest chłodne i bardzo krótkie, więc ledwie mała kęsa śniegu, który spadnie w ciągu długiej zimy, topnieje wtedy. A reszta zostaje i tworzy zlodowaciałe pokłady śnieżne, rosnące z roku na rok od wieków. Jeśli wziąć pod uwagę rozmiary powierzchni Antarktydy, to nietrudno sobie wyobrazić, ile milionów ton przybywa z każdym rokiem.

— To ona taka duża, ta Antarktyda?

— Większa niż nasza Europa, Pawełku.

Pawłowi aż igła wypadła ze zdziwienia, które jednak szybko ustąpiło miejsca nieufności.

— Żartujesz sobie z nas, mędrku — rzekł ostro.

Jerzy Rawski wzruszył ramionami.

— Powierzchnia Europy liczy dziesięć milionów kilometrów kwadratowych, zaś powierzchnia Antarktydy przeszło czternaście milionów — powiedział z naciskiem, i dodał zaraz: — Są to wymiary podane oczywiście w zaokrągleniu.

— A zatem ta, jak jej to... aha, Antarktyda jest o połowę większa od Europy — wykombinował majtek Skowronek i zaczął ziewać, snadź znowu go ogarniała przysłowiowa śpiączka.

— Prawie o połowę — poprawił go Jerzy. — Ale odbieглиśmy od głównego tematu rozmowy... Na czym to stanęliśmy?

— Na tym — przypomniał cieśla Kobryń — iż zlodowaciałych śniegów tyle się nabierało koło bieguna południowego, że aż w końcu sufit podziemnej jaskini nie wytrzymał ciężaru i gruchnął aż miło... To może i racja. Będąc na Grenlandii...

— Gdzieby tam Kobryń nie był — wtrącił Pawełek.

— Będąc na Grenlandii widziałem również takie wieczyste śniegi i lody, rosnące na grubość rok rocznie... A na owej Antarktydzie są także góry?

— Ba, jeszcze i jakie! Już sam ład antarktyczny jest wyżyną sięgającą do trzech tysięcy metrów wysokości, a niektóre szczyty gór wystrzelają ku obłokom na cztery tysiące pięćset metrów.

— No więc nie dziwota, że pułap jaskini musiał trzasnąć aż miło — orzekł Kobryń, już

zupełnie przekonany, bowiem patrzył na tę katastrofę oczyma zawodowego cieśli.

— Ciekawym, jakie skutki wynikną z tej historii — zainteresowało bosmana.

— Już wyniknęły — odparł Jerzy. — Słyszał pan chyba o nowych erupcjach wulkanu Erebus. Przemówią z pewnością także inne wulkany, nawet wygasłe jak Gaussberg, powstaną nowe szczeliny w pękającej skorupie ziemi, a wszystko to przyspieszy jeszcze zagładę Antarktydy. Drugim skutkiem będą fale olbrzymiej wielkości które dadzą się we znaki najbliższemu sąsiedztwu południowego bieguna, jak Nowej Zelandii, Tasmanii, Australii, Wyspom Falklandzkim i najdalej na południe wysuniętym cyplom Ameryki i Afyki... Wybuch wulkanu Krakatau w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim spiętrzył fale do wysokości czterdziestu metrów, a czterdzieści tysięcy ludzi straciło wówczas życie.

— No tym razem nie będzie chyba takiej rzezi. Ileż tam ludności liczy cała Antarktyda?

— Dwa tysiące i dwieście głów, o ile dobrze pamiętam... Ale poza erupcjami wulkanów i powstaniem olbrzymich fal zwałowych, obawiam się gorszych następstw.

— Czego na przykład?

— Oziębienia się temperatury na niemal całym globie. Bo nie ulega wątpliwości, że z chwilą całkowitego zanurzenia się Antarktydy pod wodę, oderwą się od skalistego podłoża te przeogromne masy lodów i, niesione prądami, popłyną ku równikowi, oziębiając gwałtownie wody oceanów Atlantyckiego, Indyjskiego i Spokojnego.

— Już je tam podzwrotnikowe słońce rychło stopi.

— Lękam się, że nierychło, że to potrwa kilka lat, a może nawet kilkanaście.

— A to świetnie! Nie będziemy się smażyć, jak dotychczas. W gardle mi wysycha aż miło, ilekroć zbliżamy się do równika, zaś te nieboraki palacze ledwie zipią wtedy.

— Ale zapomina pan o tym, panie Kobryń, że przez to oziębi się również temperatura na północnej półkuli, której wiele krajów zawdzięcza wszystko ciepłym prądom morskim, idącym od równika.

— Jak na przykład Gofłstrom.

— Właśnie. A bez *Prądu Zatokowego* cała zachodnio-północna Europa stanie się tym, czym są części Kanady leżące pod tą samą szerokością geograficzną północną, czyli stanie się pustkowiem.

— Przecież Gofłstrom nie przestanie płynąć, nie zniknie.

— Słusznie, panie bosmanie. Ale nie będzie już ogrzewał wybrzeży, skoro okolice równika zalegną całe pola pływających gór lodowych.

— Niewesoło będzie żegluga wyglądała w tamtych stronach — westchnął Kobryń, i na oczekaniu opowiedział zamyślonemu słuchaczom historii kilku swoich spotkań z pływającymi górami lodowymi na północnym Atlantyku. — Ileż to pięknych statków zatonoło przez te olbrzymie kry — zakończył, po czym zabrał głos bosman i odmalował im w prostych słowach katastrofę *Titanica*...

Jerzy spojrział na zegarek i powstał; zbliżała się pora wydawania podwieczorku, należało więc nastawić wodę na herbatę i przygotować, co trzeba. Idąc wzdłuż prawej burty okrętu, liczył wzrokiem małe pióropusze dymu. Szesnaście ich było.

— Gdzie jesteście obecnie? — zapytał Bulicza, który, objąwszy właśnie służbę, stał na mostku i przyjaźnie zagadał coś do chłopca.

— Na trawersie wyspa Wight — brzmiała odpowiedź.

— Nic tedy dziwnego, że widzę aż szesnaście statków na tak stosunkowo niewielkiej przestrzeni — mruknął Jerzy. — Jesteśmy na wysokości Southamptonu... Chciałbym kiedy

zwiadzić ten potężny i ruchliwy port Anglii.

— Widziałeś ferry?

Zadarłszy głowę w górę, spojrzął ze zdziwieniem na Bulicza.

— Nawet nie wiem, co to jest, panie poruczniku — odparł.

— Ferry to po prostu statek mający na pokładzie kawałek toru kolejowego. Pociąg idący z Paryża wjeżdża w Calais na okręt, który go przewozi do Dover, skąd pociąg dalej mknie do Londynu. Dzięki temu urządzeniu pasażerowie nie muszą się dwukrotnie przesiadać...

— I przebywają morze w wagonach?

— No, nie tyle morze, ile Kanał La Manche.

— Nadzwyczajne... Żałuję bardzo, że nie widziałem tego statku.

— A Dover widziałeś?

— Owszem, panie poruczniku, o ile na to dystans pozwalał. Płynęliśmy wówczas w odległości jakich czterech kilometrów od wybrzeży angielskich.

— Przesada, młody człowieku. Płynęliśmy dokładnie w odległości półtorej mili morskiej od brzegu.

— Być może. W każdym razie niewiele dało się zobaczyć; port duży, ale prawie pusty, mielizny, moc pływaków, brzegi wysokie, jasne, kredowe, i na szczycie sporego pagórka ruiny jakiegoś zamku, oto wszystko, com zdołał zauważyć. A brzeg francuski ledwie mającżył po bakburcie... Aha, widziałem jeszcze dużą latarnię morską, pomalowaną w pasy białe i czarne.

— W dobrą godzinę za Dover, co? To latarnia w Dungeness. Zasięg jej światła wynosi siedemnaście mil.

— Ach, jest nasz młody steward! — zabrzmiał nagle głos panny Szczotkówny. — Dzwonię i dzwonię, a młodzieniec sobie najspokojniej gawędzi na pokładzie.

Nolens volens¹ pomaszzerował Jerzy do kabiny szóstej, starając się przybrać minę możliwie najbardziej uprzejmą.

— Proszę mi to gdzieś wyrzucić — poleciła malarka. Zaimkiem *to* oznaczyła dla odmiany arkusz papieru rysunkowego, wydarty z bloku, zmięty i rzucony na podłogę.

Jerzy zacisnął zęby i wyrzucił papier z kabiny tą samą drogą, jaką wczoraj wylał brudną wodę z miseczki.

— Czy to już wszystko, proszę pani?

— O, nie — odparła z uśmiechem — poproszę teraz o garść informacji o panach mechanikach *Chrobrego*. Jakżeby bez tego wyglądał mój dzienniczek podróży — dodała, potrząsając jakimś grubym zeszytem.

— Pierwszym mechanikiem jest inżynier Mieczysław Gąsiorowski.

— Taki przystojny brunet?

— Ten właśnie, proszę pani.

— Wiem, wiem. Zauważyłam go, bo zawsze wieczorem grywa na gitarze i śpiewa, ślicznie śpiewa... Tylko czemu po angielsku?

— Zapewne dlatego, że jego żona jest Amerykanką.

Ożywienie panny Szczotkówny przygasło od razu.

— Ach, więc i on już żonaty — wyszeptala cichuteńko, lecz Jerzy miał słuch wyśmienity. Uśmiechając się lekko, pocieszył zabawną pasażerkę, że za to pozostali dwaj mechanicy są jeszcze kawalerami.

— Drugi nazywa się Zbigniew Zieliński, a trzeci Jan Dumania.

— Zieliński, Zieliński... — malarka zmarszczyła brwi. — Swego czasu wracałam z Anglii polskim statkiem pasażerskim. Bodajże jego kapitan nazywał się także Zieliński.

— To właśnie ojciec naszego oficera... No, ale pozwoli pani, że już opuszczę jej kabinę. Muszę przygotować podwieczorek.

Jerzy wkroczył z herbatą do jadalni w trakcie ożywionej rozmowy pasażerów. Dzięki radiotelegraficznie otrzymano nowe wiadomości ze świata, a, jak można było wyczuć z przejętych depesz, zapadanie się Antarktydy zelektryzowało dosłownie cały glob ziemski. Wobec niebezpieczeństwa, jakie zagrażało wyprawie dzielnego Allana Brandthona, umilkły wszelkie niesnaski narodowe i rasowe antagonizmy i wszyscy bez wyjątku obmyślali gorączkowo środki ratunku dla podróżników polarnych. Lotnicy japońscy przerwali swój lot dokoła południowej półkuli i całą eskadrą odlecieli z Capetown, czyli z Kapsztadu, w stronę południowego bieguna. Z Melbourne pędziły w tym samym kierunku trzy najszybsze okręty angielskie. Niemiecki Zeppelin, który z Limy dotarł właśnie do Rio de Janeiro, zamiast na północ, ku Europie, zawrócił ku ziemi Grahama. Wreszcie *Błyskawica*, pierwszy pasażerski samolot rakietowy wystartował z lotniska pod New Yorkiem, by wziąć udział w tym wyścigu szlachetnym. Solidarność mieszkańców wszystkich części globu tryumfowała znowu, jak ongiś, gdy szło o ratowanie rozbitków z balonu generała Nobilego².

— Moim zdaniem, Japończycy powinni pierwsi stanąć u celu — twierdził dyrektor Wójcicki.

— To zależy, w której części Antarktydy przebywa obecnie Allan Brandthton — mruknął Aron Tintenfass, wzdając palcem po mapie, którą jego syn znalazł wśród swoich książek.

— Wiemy tylko tyle, że wysiadł z okrętu w Ziemi Wilhelma II.

— Którą odkrył nasz ziemczony rodak, Eryk Drygalski, profesor uniwersytetu monachijskiego i kierownik niemieckiej wyprawy antarktycznej na statku *Gauss* w latach od 1901 do 1903 — dorzucił dziennikarz Stanisławski. — Od jego statku nazwano znajdujący się w tamtych stronach wygasły wulkan Gaussberg.

— Z pana to naprawdę chodząca encyklopedia — wtrąciła panna Szczotkówna z najśladszym uśmiechem. — Wszystko pan wie. Wszystko!

Poważny pan Aron kręcił głową na znak, że coś mu się tu nie podoba.

— Czemuż to ten Brandthton nie wyruszył do bieguna wygodniejszą drogą, tą, którą przed nim szedł Scott, Amundsen, Byrd i tylu innych?

— Czyli przez Morze Rossa? — Tintenfass młodszy uzupełnił zapytanie swego ojca i wydał zabawnie policzki, dumny snadź, że zabiera głos wśród starszych i mówi całkiem do rzeczy.

— Właśnie dlatego, tak sędzę przynajmniej — odparł Stanisławski — że chciał zbadać nowe, całkiem nieznanne jeszcze okolice Antarktydy, ciągnące się od Ziemi Wilhelma ku biegunowi. Dopiero potem zamierzał skrócić w stronę Morza Rossa i wracać tamtędy.

— Co to znaczy, że nasz kapitan nie przyszedł dzisiaj na podwieczorek — niepokoila się malarka.

— Pan kapitan jest obecnie w kabinie radiotelegrafii — wyjaśnił Jerzy. Kiedy w dziesięć minut później przyszedł do jadalni z tacą, by pozierać naczynia, zastał tu już Starbałę. Stojąc na środku kajuty, kapitan odczytywał właśnie nową depeszę, wyslaną przez stację nadawczą ekspedycji Allana Brandthona, a wszyscy pasażerowie słuchali z natężoną uwagą. Jerzy zatrzymał się przy drzwiach, aby nie przeszkadzać i żałował w duchu, że nie przyszedł o parę minut wcześniej. Ale i to, co sam teraz usłyszał, pozwoliło mu zdać sobie sprawę z grozy położenia, w jakim znajdowali się nieszczęśni podróżnicy.

Kapitan Starbała czytał w dalszym ciągu:

— ...Ryk spadających lawin ogłusza nas. Prerażone psy biegają z wyciem dokola naszych lepianek, które lada chwila padną pod ciosami wzrastającej wichury. Podobnie gwałtownego orkanu nikt z nas nigdy nie widział dotychczas... Nawiązałem przez radio kontakt z japońską eskadrą i ostrzegłem ją przed zapuszczaniem się w strefę straszliwej burzy śnieżnej, jaka się tutaj rozpełtała. Trzeba ją przeczekać, jeśli Bóg pozwoli to przetrwać. My jesteśmy przygotowani na najgorsze od wczoraj, to jest od chwili, gdy stwierdziliśmy, że olbrzymie glazy zawałyły wąwóz, przez który wkroczyliśmy do tej kotliny. O ucieczce obecnie nie ma mowy. Tylko drogą powietrzną moglibyśmy się stąd wydostać, lecz temu znów orkan przeszkodzi... Wieża naszej radiostacji przechyliła się o piętnaście stopni. Sejsmograf notuje raz po raz nowe wstrząśnienia ziemi; dwa z nich odczuliśmy sami. Może to ostatnia depesza. Jeśli tak, to pozdróćcie nasze rodziny i pamiętajcie o sierotach.

Wymowne i długie milczenie zapanowało w kajucie, gdy Starbała opuścił rękę, trzymającą polski przekład depeszy, przejętej przez niezmordowanego Kołodkę.

Najprędzej przyszła do siebie panna Szczotkówna, której obrotny język nie znoślił długiej beczynośći.

— To przykra wiadomość — powiedziała, ot, byle coś rzec, byle kres położyć uciążliwej ciszy.

Ten i ów westchnął współczująco, ale i z ulgą, że nareszcie padły pierwsze słowa, obojętnie jakie. Lecz kapitan Starbała zmierzył malarkę karcącym wzrokiem i huknął ostro:

— Tylko przykra? Dla człowieka, który zdaje sobie sprawę z sytuacji Allana Brandthona, dla człowieka, który ma serce... dla takiego, proszę pani, to straszna wiadomość! **Straszna!**

¹ Nolens volens (łac.) – Chcąc nie chcąc.

² Umberto Nobile (1885-1978) – włoski konstruktor sterowców. W 1926 wspólnie z Roaldem Amundsenem dokonał przelotu nad biegunem północnym na sterowcu własnej konstrukcji. Po zakończeniu ekspedycji nieskromnie przypisał sobie zasługi za udaną wyprawę. W trakcie lotu popełnił wiele błędów, które wynikały ze słabego przygotowania i zbytnej pewności siebie. Dwa lata później, 25 maja 1928, błędy zemściły się. W czasie podobnej wyprawy jego sterowiec *Italia* uległ wypadkowi, w którym zginęło dziewięciu członków osiemnastoosobowej załogi. Umberto Nobile zbagatelizował ostrzeżenia meteorologiczne i skierował *Italię* w burzę śnieżną. Obłodzony sterowiec rozbił się o pole lodowe, a następnie spłonął. W zakrojonej na szeroką skalę międzynarodowej akcji ratunkowej zginął Amundsen, a Nobile i jego wyprawa zostali uratowani przez załogę radzieckiego lodolamacza *Krasin*.

Rozdział VII PASAŻEROWIE NA GAPE

Szóstego dnia podróży, wczesnym rankiem wypłynął *Chrobry* z Kanału Angielskiego na otwarty Atlantyk. Zgodnie z przepowiedniami angielskich stacji meteorologicznych pogoda nie pozostawiała nic do życzenia. Niebo było bez chmurki, słońce grzało *aż miło*, jakby powiedział Kobryń, a wiatr tak zesłabł, że bandera na rufie statku obwisała raz po raz wzdłuż swojego drążka, który Skowronek szumnie masztem nazywał. Lecz pomimo to wszystko, fale liczyły ze cztery metry wysokości i okręt kołysał się nieustannie.

— Jak się to dzieje? — Jerzy zachodził w głowę.

— Ano, martwa fala — wyjaśnił mu zapytany o to bosman, ale to krótkie wyjaśnienie tylko zaciemniło sprawę.

— A cóż to jest martwa fala? Co ją wywołało, skoro nie ma najłżejszego wiatru.

— Nie ma go teraz, to prawda, ale musiał być parę dni temu, obojętnie czy w tych stronach, czy koło Azorów, czy przy brzegach Irlandii. Musiał być dobry, uczciwy wiatr, rozhuśtał ocean, który się prędzej nie uspokoi, aż wszystkie te potężne bałwany nie dotrą do jakichś brzegów i tam nie skonają... I właśnie takie morze, rozhuśtane, choć wiatru już nie ma, nazywamy martwą falą... Byłeś kiedy nad niewielkim, cichym stawem?

— Owszem, niejeden raz.

— I rzucałeś kamienie na środek stawu, prawda? No widzisz. Kamień dawno już opadł na dno, a cały stawek pokrywały koliste kręgi, rozszerzające się coraz bardziej i trwało dobrą chwilę zanim się powierzchnia wody całkiem wygładziła... Ta sama historia zachodzi tutaj, tylko tu burzycielem spokoju nie jest jakiś tam kamień, lecz wiatr. Uczciwy, mocny wiatr, powiadam... No, a teraz, żegnam mosterdziejka. Rekin zjadł nam log, muszę o tym zameldować kapitanowi.

Tym razem Jerzy nie prosił o wyjaśnienia. Dzięki pilnej lekturze książki, pożyczonej mu przez Bulicza, wiedział już, że log jest to przyrząd do mierzenia szybkości biegu okrętu. Dawniej była nim deseczka w kształcie wycinka koła, obciążona metalem na obwodzie i wyrzucana za burtę na lince. Dzisiejszy log składa się z dwóch części, z których jedna umocowana na poręczy burty przy rufie statku, posiada mechanizm całkiem podobny do zwyczajnego tachometru w samochodach; przyrząd ten liczy obroty linki i ustala ilość przebytych mil. Linka mierzy sobie około siedemdziesiąt metrów długości, aby działanie śruby okrętowej nie wpływało na obroty właściwego logu, uwiązanego na drugim końcu owej linki, zanurzonego w wodzie i kręcącego się dokoła swej osi podłużnej. Jak wygląda sam log, tego Jerzy nie wiedział, bo go nigdy nie widział dotychczas. Pawełek twierdził, że log ma kształt wrzecionowaty i wygląda jak bomba lotnicza małego kalibru... I właśnie taką bombkę tyknął sobie na śniadanie jakiś żarłoczny rekin, biorąc ją zapewne za tłustą i zwąwą rybę.

— Smacznego — pomyślał Jerzy z humorem — i pozazdrościć żołądka, który taki kąsek strawi bez rycynusu!

Ale marynarze nie podzielali jego wesołości, zwłaszcza oficerowie pokładowi, którym do zwykłych licznych zajęć przybywało nowe. Zapasowego logu okręt nie posiadał, więc szybkość biegu *Chrobrego*, notowaną stale w dzienniku okrętowym, można było obecnie oznaczyć tylko

drogą pośrednią, mianowicie przez pomiary sekstansem w różnych porach dnia. Po ustaleniu położenia statku w tych momentach i odczytaniu przebytych mil z mapy morskiej, należało przebyta przestrzeń podzielić przez czas, jaki upłynął pomiędzy dwoma pomiarami, a ten iloraz dopiero wskazywał ilość mil na godzinę, czyli przeciętną chyżość biegu *Chrobrego*.

Pasażerowie nie rozmawiali o niczym innym jak tylko o zapadaniu się Antarktydy i o tragicznej sytuacji Brandthona, który od wielu godzin nie dał znaku życia. Lecz prości marynarze, niewiele wiedzący o owej Antarktydzie, dalekiej i tajemniczej, interesowali się najwięcej zaginionym logiem i rekinem. Jerzy przekonał się o tym, kiedy po obiedzie zaszedł do kubryku, by, jak zawsze, odwiedzić Gajdę, rzekomego admirała. Przez cienką, drewnianą ściankę słychać było niemal każde słowo, pochwyił więc w pewnej chwili strzęp rozmowy śpiocha Skowronka z Pawłem, pogromcą tłustej kielbasy.

— Ja bym tam się nie pocił przy mapach, obliczeniach — mówił właśnie Skowronek, po czym zabrzmiał głos Pawła:

— No, a jak szybkość obliczyć?

— Od czego log hiszpański! — huknął śpioch, a słuchacze zarechotali rubasznym śmiechem.

— Log hiszpański? Jak to wygląda?

— Pokażemy ci za chwilę.

Jerzy był również zaciekawiony, a, nie mogąc z braku czasu uczestniczyć w owym pokazie, poprosił bosmana o opisanie mu tego przyrządu.

— Przyrząd wygląda tak — zaczął poważnie bosman Miazek i splunął soczyście za burtę. — Już!

— Jak to, już?

— To jest właśnie log hiszpański. Tylko jeden marynarz, ten co pluje, musi stanąć na dziobie statku, a drugi na rufie, obaj z zegarkami. Ilość sekund, w ciągu których cały okręt przepłynie obok płynącej śliny, trzeba podzielić przez długość statku i szybkość oznaczona, che, che, che, che.

Jerzy z rozczarowaną miną spoglądał na śmiejącego się bosmana.

— Więc to był żart, — mruknął.

— Żart — przyznał Miazek — lecz ongiś naprawdę w ten sposób obliczano chyżość statku w biegu. Tylko że zamiast śliny używano małych skrawków drzewa albo i skórek z owoców.

W powrotnej drodze do środkowego kasztelu Jerzy ujrzał kucharza, który z zapalem obrabiał na małym kowadłe kawałek żelaza, rozgrzanego do czerwoności. Po każdym ciosie młota złote iskry tryskały dokoła, kuchenny fartuch miał już ze trzy dziurki wypalone, lecz mistrz Kliglich nie zważał na nic. Zagadnięty przez Jerzego, co robi, odparł krótko:

— Wędkę na rekina... Proszę mi nie przeszkadzać.

Jerzy zastosował się do tego życzenia natychmiast. Miał jeszcze do posprzątania kabiny Tintenfassów, którzy nabawili się morskiej choroby z rana i dopiero po południu wyszli na pokład. Jak zawsze, rozpoczął sprzątanie od otworzenia iluminatorów, a wraz ze strugą rześkiego powietrza wpadły do kabiny odgłosy rozmowy prowadzonej jakby tuż za tymi okienkami.

— Był to zwyczajny lapsus linguae¹, a pan kapitan tak na mnie strasznie spojrział, że omal nie zemdlalam z przerażenia — trajkotał szybko głos niewieści.

Jerzy uśmiechnął się kącikami ust. — Panna Szczotkówna — mruknął.

Kapitan Starbała, często gęsto chrząkając, tłumaczył się i usprawiedliwiał, rozmyślając nad tym, pod jakim by tu pozorem uciec co prędzej.

— Och, strasznie się bałam. Okrrrrropnie — zapewniała malarka.

— No, to już przesada.

— Ależ naprawdę, drogi kapitanie. Pan miał taką groźną minę, że byłam przygotowana na najgorsze... Że mnie pan zbije!

— Tego to mi już za wiele — zachnął się Starbała. — Za kogo mnie pani bierze?! Bić kobietę?! Takiego gburą pani nie znajdzie w naszej marynarce!... A wy dokąd, łaziki leniwe, co? — huknął na całe gardło.

Jerzy tak jakoś mimowolnie wyjrzał przez iluminator na zewnątrz. Na dolnym pokładzie stał Kliglich i Pawelek, i z wyraźną treścią spoglądali na pokład pasażerów w stronę nasrożonego komendanta okrętu.

— Do kaka... kabelgatu po linkę - wyjął Kliglich.

— Do czego znów linka potrzebna? — grzmiał dalej Starbała.

— Do mojej wędki na rekina. Pan porucznik Dulski pozwolił.

— To jazda, jeśli pozwolił.

Kopnęli się zławo w dalszą drogę, odemknęli ciężkie wrota rupieciami i po chwili dobiegły stamtąd echa straszliwej wrzawy, która Jerzego ponownie do iluminatora przywabiała.

— Panie kapitanie, panie kapitanie — wrzeszczał kucharz — mamy pasażera na gapę!

— Co takiego? Dawać mi go tutaj.

Szerokie plecy Starbały zastoniły Jerzemu widok na przedni pokład, dojrzał tylko, że Kliglich z Pawelkiem wloką pod pachy kogoś trzeciego.

— Ależ to Marian Ślaski! — zdumiał się, kiedy cała trójka, wgramoliwszy się na wyższy pokład, stanęła przed obliczem kapitana.

— Wsiadł na statek w Gdyni, ukrył się w komorze kotwicznej, aż teraz morska choroba zmusiła go do szukania innej kryjówki — brzmiało sprawozdanie kucharza, który snadź po drodze wyegzaminował z grubsza niefortunnego podróżnika. — Leżał pod drzwiami kabelgatu, ale chciał zmykać, jak nas zobaczył... To pewnie on ukradł kiedyś śniadanie pana kapitana.

— Prawda. — przypomniał sobie Starbała. — Tyś wziął? — zwrócił się do Ślaskiego.

Urwipoleć, błądy, zmizerowany i umorusany jak kominiarzyk, skinął głową potwierdzająco. Jerzego jeszcze nie dostrzegł w okrągłym okienku, bowiem stał doń zwrócony bokiem, za to nie spuszczał z oka kapitana, kucharza i Pawelka, a od czasu do czasu rzucał badawcze spojrzenia w stronę malarki, która o parę kroków dalej wypoczywała na leżaku.

— Więc ty! — krzyknął Starbała. — Nie dość, żeś się zakradł na statek bez biletu, jeszcze po nocach urządzasz łupieskie wyprawy... I myślisz, że ci to ujdzie na sucho, co? Dobrzeee, zaraz zobaczysz!

Szybko pochwycił Ślaskiego za rękę, przełożył go sobie przez kolano i trzepnął go uczciwie szeroką dłonią poniżej pleców.

— Dwadzieścia pięć takich dostaniesz. Kliglich, liczyć mi — rozkazał.

— Rozkaz, panie kapitanie... Jeden... dwa...

I na tym się skończyło, na tych dwóch siarczystych klapsach. Bowiem zanim po raz trzeci karząca dłoń opadła na zagrożony punkt cielesnej powłoki, Ślaski wyślizgnął się zwinnie z rąk silnego przeciwnika i w trzech skokach dopadł do leżaka panny Szczotkówny.

— Niech mnie pani broni — zawołał błagalnie. — Ja także jestem kobietą!

— Hę?! Co takiego?!

Kapitan Starbała, który właśnie wyruszał w pościg za małym zbiegiem, stanął jak wryty. Nie mniej zdumieni byli pozostali świadkowie tej sceny, a już chyba najwięcej Jerzy Rawski.

— Nazywam się Maria Śląska — dodał rzekomy Marianek, trzymając malarzkę kurczowo za rękę; przebrałam się za chłopca, bo tak mi łatwiej było uciec... Wszystko powiem, tylko mnie nie bijcie. — I tu Marysia Śląska wybuchnęła rzewnym płaczem.

Panna Szczotkówna powstała z łóżka, objęła dziewczynę w pół i, zwracając się do kapitana, zauważyła uszczypliwie:

— Podobno nie można w całej marynarce znaleźć takiego... hm, pan już wie... który by uderzył kobietę... Pójdź, Marysiu. Zamieszkaż w mojej kabynie, dopóki pan kapitan nie rozstrzygnie, co z tobą począć.

Powiedziawszy to, odwróciła się na pięcie i odeszła, uprowadzając z sobą zapłakaną dziewczynkę. Kapitan stał dalej jak marmurowa statua, przeżuwając gorzką pigułkę, którą niechcący połknął przed chwilą. Aż nagle wzrok jego padł na Kliglicha i Pawelka.

— Precz mi z oczu! — wrzasnął. — Polowania na rekiny się zachciewa, próżniaki.

Po chwili dodał jeszcze półgłosem:

— Ani mi przez myśl nie przeszło, że to może być dziewczyna.

— Mnie również — mruknął Jerzy w roztagnieniu. Zaskoczony tą niespodzianką, zamyślony i niezadowolony, sprzątał w kabynie Tintenfassów byle jako, a jego myśli krążyły nieustannie koło młodzietkiej pasażerki. Dopiero głośnie dudnienie, od którego podłoga aż drżała, wyrwało go z zadumy. — Co to tak buczy nieznośnie? — zapytał bosmana, ujrawszy go właśnie na pokładzie.

— Ano, nasz Kołodko telegrafuje — brzmiała odpowiedź.

— Rozumiem, przetwornica — pojął teraz.

— Wyspa Ouessant jest na trawersie, więc depezujemy do Gdyni — dorzucił jeszcze bosman.

— W jakim celu?

— Ano, w dyrekcji *Żegluga Polskiej* chcą wiedzieć, gdzie się który statek znajduje. Skoro miniemy przylądek Finisterre, kapitan kropnie drugą depesę, koło Madery trzecią i tak dalej.

Przy kolacji Jerzy ujrzał Marysię Śląską. Wyglądała ślicznie, choć nazbyt obszerna suknia malarki wisiała na niej jak worek. Jerzego poznała od razu i posyłała mu raz po raz przyjazne, porozumiewawcze spojrzenia, lecz młodzieniec unikał spotkania z jej wzrokiem tak uparcie, że w pewnej chwili... właśnie ustawiał dodatkowe nakrycie przed nową pasażerką... upuścił talerz na podłogę. Kiedy przyniósł inny talerz w miejsce stłuczonego, w kajucie jadalnej już wrzała rozmowa.

— Aha; zatem ukryła się w komorze kotwicznej - wyjaśniał pasażerom kapitan.

— Tam kotwicy wcale nie było, proszę pana, tylko sam łańcuch; nigdy jeszcze nie widziałam tak grubego łańcucha — mówiła Marysia.

— To są właśnie komory kotwiczne. Jest ich dwie, prawa i lewa... No, natrę ja dzisiaj uszu bosmanowi, że tam nie zajął w Gdyni. O, dobrze mu natrę! — odgrażał się Starbała, poszukujący snadź nadal kozła ofiarnego.

— Niech pan pozwoli jej skończyć opowiadanie — wtrąciła panna Szczotkówna.

Chmurka niezadowolona czy lęku przebiegła po czole Marysi, co Jerzy w lot zauważył, mimo iż starał się nie patrzeć w stronę dziewczyny.

— W drugim dniu podróży omal sobie nogi nie złamałam — ciągnęła dalej — gdyż stopa uwięzła mi nagle w ogniwie tego wielkiego łańcucha. Krzyknęłam z bólu i...

— Mam!

Wszyscy spojrzeli w stronę Jerzego, któremu wyrwał się ten głośny okrzyk. Na żądanie kapitana musiał natychmiast wyjaśnić, co to znaczy.

— Paweł i ja słyszeliśmy ten jęk bólu, panie kapitanie, i zachodziliśmy w głowę, co to takiego — odparł. — Teraz już wiem.

— Wciąż jej przeszkadzacie — ozwała się znowu malarka.

— Ja już wszystko opowiedziałam — rzekła Marysia.

Kapitan Starbała zaproponował energicznie:

— Jak to, wszystko? Szósty dzień już trwa nasza podróż.

— Tak, ale więcej nie powiem.

Pasażerowie spoglądali ze zdziwieniem na młodą dziewczynę, tak niezwykle w jej ustach zabrzmiały te słowa, wypowiedziane podniesionym głosem i tonem jak najbardziej stanowczym.

— Nie dręczcie mnie. Przysięgam, że nie powiem i już — dodała, kiedy zaczęli nalegać, zaciekawieni jej uporem. Lecz Starbała, siedzący niemal naprzeciw, przymrużył w niepokojący sposób swoje przenikliwe oczy i spytał z naciskiem, rąbiąc twardo sylabę za sylabą:

— A komu to panią składała taką przysięgę?

Marysia Ślaska zmieszała się podpadając, ale nic nie odrzekła; jej małe usteczka zacisnęły się kurczowo, jakby w obawie, że jakieś niebaczne słowo wyłamie wrota tajemniczej przysięgi.

Wśród przykrej ciszy zabrzmiało po chwili drugie pytanie domyślnego marynarza:

— Czy panią w owej komorze kotwicznej ukrywała się sama?

I znowu nie było odpowiedzi.

— Dobrzeee — rzekł Starbała. — Milczenie jest często najwymowniejszą odpowiedzią...

Steward — zwrócił się do Jerzego — proszę mi tu natychmiast przywołać bosmana.

Bosman Miazek stawił się w przeciagu pół minuty.

— Weźmiecie kilku ludzi i z latami przeszukacie jak najdokładniej obie komory i wszystkie kąty kabela — brzmiał rozkaz Starbały. — Ptaszka, którego tam znajdziecie, proszę...

— Nie! — Przeraziły okrzyk Marysi zagłuszył dalsze słowa kapitana. — On mnie zabije z zemsty, tak powiedział... Zostawcie go w spokoju, błagam pana — wołała, zalamując ręce, a w oczach jej malował się obłądny przestrah. Obie kobiety, to jest panna Szczotkówna i żona inżyniera Polańskiego, natrudziły się nie mało, zanim zdołały przerażoną Marysię uspokoić jako tako.

A tymczasem pogłoska o obecności drugiego pasażera na gapę obiegła cały statek. Wszyscy majtkowie i palacze, nie będący na służbie, przyłączyli się do ekspedycji bosmana. Starszyzna zgromadziła się na środkowym pomoście, również i pasażerowie. Przyszedł także Jerzy, stokroć więcej niż inni zaciekawiony, kim jest tajemniczy towarzysz podróży małej Ślaskiej, przywłókł się nawet steward Gajda, zabawnie sepleniący po stracie kilku zębów.

Upłynęło kilka minut w oczekiwaniu. Wreszcie... W otwartych na oścież wrotach kabela ukazał się bosman, a za nim jego gromadka, otaczająca zwartym pierścieniem bardzo wysokiego i barczystego mężczyzny.

— Ależ to prawdziwy wielkolud — zawołała malarka, kiedy grupa bosmana Miazka przybliżyła się do czekających.

Niezajomy przerażał wzrostem nawet księdza Bzowieckiego, najwyższego pasażera *Chrobrego*. Chyba tylko z trzecim mechanikiem mógłby się mierzyć, lecz młody Jan Dumania, *Nawiewnikiem* przewany, wyglądał jak cienka tyka przy tym atletycznie zbudowanym olbrzymie.

— Gdzie jest ten szczeniak, który mnie wydał?! — ryknął wielkolud, potrząsając dłońmi wielkimi jak łopaty. Szybkie spojrzenia jego małych, szeroko rozstawionych oczu przeskakiwały z

jednej twarzy na drugą, aż zatrzymały się na pobladłej twarzyczce Marysi i znieruchomiały.

— To nie ja pana wydałam. Nie ja, przysięgam! — wyszeptła Ślaska, tuląc się do panny Szczotkówny.

— Dziewczyna! — wrzasnął olbrzym, ochłonawszy z bezgranicznego zdumienia. Nagle palnął się dłońmi w czoło i zarechotał głośnym, zardzewiałym śmiechem. — I mnie na myśl nie przyszło, że to przebrana dziewczyna?! — mruknął, chwiejąc szybko głową, osadzoną na niskim, byczym karku. — No, ale policzymy się jeszcze — warknął złowrogo.

— Milcz, łotrze! — huknął Starbała, który dotychczas rozmawiał na uboczu z bosmanem. — Łapy wyjąć! Przed kapitanem okrętu stoisz.

Olbrzym uśmiechnął się wzgardliwie, zmierzył krępego kapitana lekceważącym spojrzeniem, skrzyżował z nim wzrok i nagle spokomiał; szybko wyjął ręce, które przed chwilą ulokował w kieszeniach, zsunął stopy szeroko rozstawione i przybrał pozycję pełną szacunku.

— Trafiła kosa na kamień — mruknął cichuteńko Kobryń do bosmana — już to nasz *Felcer* umie żgać oczami aż miło.

A właściciel tego przezwiska rozpoczynał właśnie przesłuchanie:

— Imię i nazwisko?

— Hans Riedetz, panie kapitanie.

— Niemiec?

— Ojciec był Niemcem, matka Rosjanką, ale mieszkaliśmy najdłużej w Polsce i stąd znam dobrze wasz język.

— Gdzieś wsiadł na mój statek?

— W Gdańsku.

— A to ciekawe! Bo myśmy wcale w Gdańsku nie byli.

— Chciałem powiedzieć, w... w Gdyni.

— To nieprawda — wyszeptła Marysia, ukryta za plecami malarki.

— Chciałeś powiedzieć — mruknął Starbała, mający świetny słuch — a mnie się zdaje, żeś ty wszedł na okręt w Kanale Kilońskim. — Kapitan strzepnął nagle palcami, snadź jakaś nowa myśl przyszła mu do głowy, i zwrócił się do Jerzego: — W moim biurku, w trzeciej szufladzie z prawej strony znajdziesz wyrwany strzęp materii. Przynies mi go tu, a duchem!

Jerzy popędził natychmiast do kabiny Starbały i dzięki temu nie był świadkiem dalszego przesłuchania. Gdy wrócił na pokład, kapitan przystąpił do olbrzyma i pochwycił go za przegub lewej ręki.

— Co pan chce? — zaniepokoił się tamten, szarpnął ręką i syknął z bólu; stalowy musiał być uścisk palców Starbały.

— Zgadza się — rzekł głośno kapitan, przymierzając przyniesioną przez Jerzego łatkę do sporej dziury w lewym rękawie wielkoluda. — To on tak poczęstował naszego Gajdę.

— A pan już chciał zwalić winę na moich palaczy — syknął inżynier Gąsiorowski do ucha Dulskiemu. Ów nie pozostał dłużny odpowiedzi:

— Odczep się pan raz od moich majtków, to zostawię w spokoju pańskich kominiarzy, którzy, nawiasem mówiąc, byli zdolni do tego wybruku.

— Znowu pan zaczyna? A kto szmuglował tytoń jak nie te...

— Proszę o spokój! — huknął gromko Starbała, przerywając w ten sposób w samych początkach nowy spór między pokładem a maszynami.

Znowu posypały się zapytania, na które prawdziwy czy rzekomy Hans Riedetz odpowiadał

albo gładko, albo po dłuższej pauzie, snadź zmyślał, nie chcąc całej prawdy powiedzieć. Przeciągające się przesłuchiwanie znużyło też rychło pasażerów i zaczęli się grupkami rozchodzić. Jerzy, uważając za swą powinność być pod ręką kapitanowi, zerknął z zazdrością w kierunku pary *wesołych pasażerów* wstępujących po schodni na wyższy pokład. Domyślił się, że idą do kabiny radiotelegrafisty, że znowu się tam zasiedzą do późnej nocy i przez to pozbawią go przyjemności dobrej audycji. — Ciekawym, dlaczego Allan Brandthon nie daje znaku życia — rozmyślał, nie przeczuwając, że na to pytanie otrzyma odpowiedź już za minutę.

Właśnie Hans Riedetz kończył swoje zeznania o powodach ucieczki z Niemiec i zamiarach wstąpienia do Legii Cudzoziemskiej w Afryce, gdy ze spardeku zabrzmiało głośnie — Hallo, kapitanie — i nad głowami zebranych zabłysła, niczym księżyc, wspaniała lysina pana Wójcickiego.

— Co tam znowu? — spytał Starbała, zadzierając głowę do góry.

— Allan Brandthon się odezwał. Nie mógł wcześniej, telegrafuje, gdyż naprawiali swoją radiostację, uszkodzoną przez orkan... Niech pan przyjdzie, kapitanie. Są ciekawe nowiny.

— Już idę — odparł Starbała, po czym zwrócił się do pierwszego oficera: — Tego pasażera na gapę powierzam panu, panie Dulski — rzekł i popędził na górę do kabiny radiotelegrafisty.

— Panie Bulicz, proszę się zająć tym drabem — polecił Dulski drugiemu oficerowi, po czym udał się w ślady kapitana.

Witold Bulicz pospieszył za Dulskim w minutę później, wydawszy uprzednio dosłownie to samo zlecenie bosmanowi, który z kolei włożył tę misję na barki cieśli Kobrynia, a sam poszedł na spardek *wykurzyć fajkę*, jak twierdził.

— Ja także chcę się dowiedzieć, co słyhać z tymi z bieguna, — zaprotestował Kobryń, szukając wzrokiem jakiegoś rozważniejszego marynarza, któremu by można było powierzyć Hansa Riedetza.

— My też chcemy. A cóżeśmy to od macochy? — wołali jeden przez drugiego. — Najlepiej zostaniemy tu wszyscy. I ten niemiecki słoń niech zostanie. Przecież nie ucieknie ze statku.

— No to chyba zostaniemy — zgodził się Kobryń i cała gromada, wliczając w to i Jerzego, pozostała na dawnym miejscu, spozierając niecierpliwie w stronę drzwi kabiny radiotelegrafisty. Wyczekali się przeszło godzinę, aż wreszcie drzwi się otworzyły. Wysypali się z nich oficerowie, kilku pasażerów, wszyscy dziwnie poważni, milczący, skupieni.

— Co to za zgromadzenie? — spytał kapitan, zoczywszy czekających.

Ponieważ nikt się nie odezwał, Jerzy uznał za stosowne przemówić w imieniu kolegów.

— Ach, więc o Brandthona chodzi — rzekł Starbała w zamyśleniu, wysłuchawszy krótkich wyjaśnień Jerzego. — Panie Bulicz, niech im pan odczyta tekst ostatniej depeszy tych dzielnych podróżników... Nie, nie całą depeszę — dodał, widząc, że oficer skierował wzrok na pierwsze wiersze dużego arkusza papieru, zapisanego drobnym pismem Kołodki. — Naukowych terminów nie rozumiem... Wystarczą ostatnie zdania.

— Dajcie tu bliżej latamię — polecił Bulicz — i uciszcie się.

To ostatnie wezwanie było zbędne, gdyż nikt pary nie puścił z ust. Przeczcucie wielkiego nieszczęścia odebrało chęć do rozmowy nawet największym gadułom i serca tych prostych ludzi ścisnęło kleszczami trwogi o los trzydziestu podróżników uwięzionych w lodowej pustyni Antarktydy. Siaki taki Kobryń, Skowronek czy inny majtek nie posiadał lotnej wyobraźni Jerzego, nie potrafił sobie odtworzyć w myśli grozę budzącego krajobrazu okolic podbiegunowych, lecz każdy umiał się wczuć w tragiczne położenie towarzyszy Allana Brandthona i rozumiał bezgraniczną rozpacz tych ludzi skazanych na rychłą śmierć z dala od swoich żon, dzieci, rodziców.

Zbrodniarzowi przed egzekucją nie odmawia się religijnej pociechy ani widzenia się z rodziną, ani pożegnania, lecz ci bohaterowie nie mogli żadnej z tych łask otrzymać.

— Zaczynam — rzekł Bulicz i odchrząknął, po czym wyraźnie, powoli, a głośno czytał tekst ostatnich zdań ostatniej depeszy Allana Brandthona: — *Musiła się utworzyć nowa szczelina, bo poziom wody podnosi się gwałtownie. Prócz naszej małej wyspki powódź zalala już całą kotlinę. Sterczące skrzydło samolotu bohaterskiego Japończyka, który śmiercią przypłacił zamiar lądowania w tym terenie, zniknęło przed chwilą pod wodą, która nam tutaj już po kolana sięga. Cztery pozostałe aeroplany japońskie krążą nieustannie w okolicy. Szukają miejsca do lądowania... na próżno. Gdyby nie wczorajszy orkan wielu z nas można było ocalić. Dziś za późno! Najdalej za pół godziny woda zakryje dachy naszych lepierek i nastąpi koniec. Lada chwila nasze radio zamilknie, część przewodów jest już zalana...* Tu nastąpiła dwuminutowa przerwa — wyjaśnił Bulicz, podnosząc wysoko arkusz papieru, z którego odczytywał ostatnią depeszę Brandthona. — A potem... potem nasza stacja przejęła jeszcze jedno krótkie zdanie, które brzmi: *Niech żyje Wielka Brytania.*

— Tak — dodał grobowym głosem Starbała i spojrzął na zegarek. — Od tego momentu upłynęło szesnaście minut. Jeśli powódź wzrastała z tą samą szybkością, to lodowato zimna woda muska już okapy dachów lepierek podróżników, zalewa im nogi zmarznięte. — Tu kapitan wyciągnął dłoń w stronę dziobu statku, płynącego w kierunku dokładnie południowym i zawołał podniesionym głosem: — Nie możemy im pomóc, ale myśli nasze muszą być przy nich aż do końca! Cześć pionierom nauki! Cześć ginącym, którzy w ostatniej godzinie życia wnieśli okrzyk na chwałę swej ojczyzny. Cześć bohaterom!

— Cześć! — powtórzyli słuchacze.

Wyprężeni jak struny, z dłońmi przy daszku czapki spoglądali w ciemną dal. Małeńki był zasięg ich wzroku, lecz myśl przebiła mroki nocy, pokonała olbrzymią przestrzeń w ułamku sekundy i z najserdeczniejszym współczuciem przekazała pożegnalny uścisk tym zgrabiałym, drętwiejącym dłoniom towarzyszy Allana Brandthona.

A podobna scena jak na pokładzie *Chrobrego* rozgrywała się równocześnie na tysięcznych okrętach przecinających wszystkie morza i oceany naszej planety. Wszędzie słyszano ostatni sygnał ginących podróżników polarnych, wszędzie stali na pokładach oficerowie, marynarze, palacze i żołnierskim ukłonem ślali bohaterom pożegnanie od siebie, od wszystkich narodów, zawsze zbratanych i solidarnych w przełomowych chwilach dziejów ludzkości.

¹ lapsus linguae (łac.) – przejęzyczenie się; pomyłka w mówieniu.

Rozdział VIII

SYGNAŁ TONĄCYCH OKRĘTÓW

Nazajutrz Gajda przejął na powrót „urzędowanie” w kabinie stewarda pasażerów *Chrobrego*, a Jerzy Rawski z wielką radością powrócił do zajęć zwykłego majtki pokładowego.

— Jaką robotę dostanę? — zapytał ochoczo Kobrynia.

— Jaką? — Cieśla okrętowy podrapał się w ciemię i po namyśle przydzielił Jerzego do tej grupki majtków, której polecono zeszkrobiwać rdzę z blaszanych arkuszy jakimi były wyłożone najniższe pokłady statku. Robota jako taka była lekka, za to kark bolał uczciwie od ciągłego pochylania się i kolana od godzinnego klęczenia. Toteż bardziej wygodni czy też leniwi spoglądali z zazdrością na tych kolegów, którzy pod komendą trzeciego mechanika wspinali się po żelaznych drabinkach na komin i manipulowali tam coś pracowicie.

— Co oni tam właściwie robią w obłokach — intrygowało Pawelka. — Uczą się wspinać do nieba, czy jak?

— Odkręcają syrenę, bo podobno dostała kataru i zachrypla biedaczka — odparł żartobliwie bosman.

— Nie ma im czego zazdrościć — dorzucił Kobryń — to brudna robota. Usmołą się, aż miło.

— Ale im nogi nie ścierpną tak jak nam — mruknął Skowronek.

— A ty byś się wolał zdrzemnąć, prawda?

Przekomarzali się jak zwykle, gdy wtem wszystkich poderwał na nogi donośny okrzyk kucharza: — Rekin! Na pomoc!

Pomknęli na wyścigi w stronę rufy okrętu, skąd dobiegały straszliwe wrzaski. Sprawcą ich był Kliglich, który, mimo wczorajszej reprimendy kapitana, nie zrezygnował z polowania na rekiny. Wytrzasnąwszy skądś spory kawał sznura, przywiązał jego koniec do żelaznego palika, czyli do pachołka, na drugim końcu przymocował solidny hak żelazny, doszczętnie ukryty pod warstwą zepsutego mięsa i tę zdradliwą przynętę wyrzucił za burtę jeszcze o świcie. Nie wiadomo, czy rekin był wielkim śpiochem, czy też wolał się gruntownie zastanowić nad tym, co to za lichy smakowicie pachnące mknie wciąż za okrętem, dość, że dopiero koło południa połknął mięso, a z nim ciężko strawny haczyk.

— Złapałem go — krzyknął kucharz, zoczywszy nadbiegających, i wyprostował się dumnie. — Możecie go sobie wyciągnąć na pokład — dorzucił. — Ja swoje zrobiłem, reszta do was należy.

— Sęk w tym, że ta reszta jest najcięższą robotą — mruknął Kobryń, badając ręką siłę oporu schwyconego ludojada. Kobryń był chłopem na schwał, lecz chociaż oburącz za sznur pochwycił, nie zdołał go skrócić ani o parę cali. Przysadzili się więc w kilku do tej roboty, skrócili linę o jakie dwa metry, ale jedno potężne szarpnięcie zniweczyło od razu dotychczasowe wysiłki. — Na nic tak — zawyrokawał cieśla. — Musimy smoka przyholować równymi podciągnięciami. Chwyćcie linę wszyscy. Taaaak... A teraz, uwaga: Heeeej siup. Heeeej siup. Heeeej siup — komenderował w jednakowych odstępach czasu i za każdym razem wyprężony sznur ulegał skróceniu o metrowy odcinek, który Kliglich okręcał natychmiast dokoła pachołka, aby rekin znowu nie odzyskał utraconej przestrzeni.

Jerzy ciągnął wraz z innymi. Że zaś znajdował się na czele gromadki, a zatem najbliżej burty,

więc i widok miał najlepszy. Ześlizgnął się wzrokiem po wyprężonej lince na kilwater, czyli na ową jasną brudzę wody zmaconej ciosami śruby płynącego okrętu i patrzył tam z natężeniem, oczekując pojawienia się straszego korsarza oceanów. Lecz rekin nie wynurzał się jakoś. — Przeraził go widok naszego kucharza — pomyślał Jerzy z humorem. Bo istotnie groźny był wygląd mistrza rondla ubranego, jak zwykle, w długi biały kitel, a uzbrojonego w pogrzebacz i w sfabrykowaną na poczekaniu dzidę.

— Heeej siup. Heeej siup — powtarzał dalej Kobryń.

Wieść o łowach na rekina musiała już dotrzeć do środkowego kasztelu, gdyż pasażerowie biegli stamtąd hurmą. Zawsze żądni wrażeń i znudzeni jednostajnością podróży pędzili co tchu, a przybywszy na miejsce, obsypali wymówkami bosmana, że ich nie powiadomiono wcześniej o tak ciekawym widowisku.

— Ależ ona śliczna! — zabrzmiało Jerzemu nad uchem ciche westchnienie. Bezwiednie odwrócił głowę i ujrzał puciołowatą twarz Pawełka. Pospieszył wzrokiem za kierunkiem spojrzeń młodego majtki i zobaczył Marysię Śląską. Miała dzisiaj na sobie zgrabną sportową sukienkę, dar inżynierowej Polańskiej; panna Szczotkówna była tęga i wysoka, pani Polańska miała smukłą sylwetkę, wzrost zaledwie średni, więc jej suknia leżała na Marysi, jak ulał. Lecz na ogromną poprawę wyglądu Śląskiej wpłynęła przede wszystkim zamiana ciemnej, niewygodnej kryjówki w podskakującym dziobie statku na przytulną kabinę z miękkim łóżkiem, z dobrym wiktem i możliwością werandowania na słońcem zalanych pokładach. Krótko mówiąc dziewczyna wyglądała naprawdę ślicznie, jak to Pawełek określił, i, niczym magnes, ciągnęła ku sobie przyjazne spojrzenia wszystkich towarzyszków podróży. Ujrzawszy Jerzego, uśmiechnęła się doń, postąpiła krok naprzód, jakby się chciała przywitać, lecz zimne spojrzenie chłopca osadziło ją w miejscu. — Nie gap się, jak sroka w kość, tylko ciągnij równo z nami — rzekł Jerzy do Pawła, nie pojmując sam, skąd mu się wzięła ta szorstkość, tak obca jego naturze.

— Heeej siup. Hej siup. Hej siup. — Kobryń przyspieszył tempo holowania rekina w miarę, jak słabł jego opór.

— Jest! Tam! Tam!

W odległości może dwudziestu metrów za rułą *Chrobrego* zakotłowała się woda i na jasnym tle kilwateru zarysowały się wyraźnie kontury rekina. Potwór miotał się rozpaczliwie, tak że Jerzy mimo najszczerszych chęci nie mógł mu się dobrze przyjrzeć; ciemny grzbiet i jasne podbrzusze ukazywały się na przemian, zatrzepotały kilkakrotnie płetwy, raz nawet zamajaczyła podkowa złowrogiej paszczy, lecz te krótkotrwałe, przelotne spostrzeżenia nie dawały jeszcze właściwego obrazu tego najbardziej krwiożerczego mieszkańca mórz. Inaczej i stokroć groźniej musiał wyglądać na wolności niż teraz, gdy wleczony na lince, wił się w błyskawicznych zwrotach, skurczach, podskokach.

— Hej siup. Hej siup... Pomóżcie nam, Kliglich, bo znów ciężiej idzie. — Kucharz odrzucił swój oręż, podbiegł do Kobrynia, który dotychczas był ostatni w szeregu ciągnących, ustawił się za jego plecami, pochwylił linę i zawołał z wielkim animuszem: — Jazda chłopcy! Teraz pójdzie jak po maśle! Rrrrówno! Hej, raz... Hej dwa... Hej trzy...

W tym momencie linka pękła tuż przed Jerzym, który runął na wznak na Pawełka, ów na Tkaczyka, Tkaczyk na Skowronka, ten znów na Kobrynia, a na samym spodzie znalazł się organizator polowania, kucharz Kliglich. Zaś rekin, tak niespodziewanie zwolniony z uwięzi, wychynął na powierzchnię wody i po raz pierwszy ukazał się widzom w całej swej okazałości, a zdezorientowany nagłym szarpnięciem, popłynął w pierwszej chwili aż pod rułę statku.

— Ależ to olbrzym — zawołała Marysia Ślaska i przechyliła się mocno przez poręcz, by lepiej widzieć.

— O rety, ona spadnie — krzyknął Paweł, poderwał się, lecz Jerzy go wyprzedził. Szybko przyskoczył do lekkomyślnej dziewczyny i pochwycił ją za rękę. Chciał ją skarcić wymówką, wylając, ale już całą jego uwagę pochłonął rekin, który połapał się wreszcie, że płynie w złym kierunku, zakręcił, dał wspaniałego szczupaka i pomknął żwawo na północ, wlokąc za sobą urwaną linę. Stali więc ramie przy ramieniu, śledząc ucieczkę potwora, aż przerwał im te obserwacje głośny okrzyk kucharza:

— No, wstawać! Co, u licha, łóżko sobie ze mnie robicie?!

— Ano, poszło jak po maśle — parsknął Kobryń, spychając na bok ociężałego Skowronka.

— Tyś już, zdaje się, zasnął — dodał, częstując śpiocha porcją szturchańców.

A tymczasem Kliglich, pojękując i żaląc się, iż musiał wszystkim służyć za materac, zaczął się powoli gramolić. Nie bez trudu zdołał zmienić leżącą pozycję na siedzącą, ale na tym się skończyło; powstać ani rusz nie mógł.

— Złamałem sobie kręgosłup! — wrzasnął i z przerażenia jego twarz stała się bielsza, niż niepokalanie czysty czepiec kucharski. — Ratujcie! Nie mogę wstać — jęczał przeraźliwie. — Umieram!

Przyskoczyli doń Kobryń z Tkaczykiem i, ciągnąc za ręce, podnieśli go w końcu. Wówczas wyjaśniło się nareszcie, dlaczego to Kliglich, zresztą stłuczony, obolały i zdrętwiały na myśl, że może złamał sobie kręgosłup, nie mógł się podnieść na nogi o własnych siłach. Oto, padając na wznak, trafił siedzeniem w małą kałużę rozlanej smoly, przylepił się do pokładu i obecnie na jego białym kitlu czerniła się duża plama w nader kompromitującym miejscu. Tak więc łowy na rekina zakończyły się najniefortunniej dla ich głównego organizatora, któremu, na dobitkę, kapitan polecił zapłacić za straconą linę.

Po południu telegrafista Kołodko przejął znów moc depesz, donoszących o nieszczęściach towarzyszących dalszemu zapadaniu się Antarktydy. Olbrzymie fale zatopiły dotychczas przeszło trzydzieści statków, przeważnie rybackich, a większy parowiec półpasażerski, kursujący pomiędzy Melbourne w Australii a Kapsztadem, stolicą Kraju Przylądkowego, rzuciły na rafy niezamieszkałej wyspy Kerguelena. Lękano się również o losy sterowca *Zeppelin*, który od dwudziestu czterech godzin nie dawał znaku życia.

Pod wieczór lista złych nowin wzrosła zastraszająco. Ilość statków zatopionych lub wzywających pomocy przekroczyła setkę. Dokoła Antarktydy wszelka żegluga zamarła, a niebezpieczna strefa, sięgająca już do pięćdziesiątego piątego stopnia szerokości geograficznej południowej, rozszerzała się szybko. W najgroźniejszym położeniu znajdowały się obecnie okręty opływające Przylądek Horn oraz angielska eskadra torpedowców odbywających manewry w pobliżu Wysp Falklandzkich. Wśród tej litanii hiobowych wieści jedyną pomyślniejszą wiadomością była depesza, donosząca, że *Zeppelin* i samoloty japońskie, które tak ofiarnie pospieszyły z pomocą nieszczęsnej ekspedycji Allana Brandthona, szybują w stronę Nowej Zelandii, walcząc zwycięsko z szaloną burzą śnieżną.

O losach samej Antarktydy nie można było powiedzieć nic pewnego. Według pobieżnych obliczeń poziom tego olbrzymiego ładu obniżył się o z górą czterysta metrów, zwłaszcza w części wschodniej, w okolicy Ziemi Wilhelma II. Proces zapadania się w morze trwał w dalszym ciągu, a przyspieszały go erupcje wulkanów nadbrzeżnych sfotografowane z gondoli *Zeppelin*. Najsprzeczniejsze wiadomości podawano z okrętów o wielkości fal. Ich wysokość obliczano na

dwadzieścia do trzydziestu pięciu metrów, lecz radiostacja amerykańskiego wielorybnika *Miss Anita* puściła w świat sensacyjną depeşe, że spotkano bałwany spiętrzone do siedemdziesięciu metrów.

— Amerykańska reklama — zachnął się bosman Miazek, kiedy steward Gajda przybiegł do kubryku z najświeższymi nowinami. — Błaga i już.

— Jednakże — wtrącił Jerzy — pamiętny wybuch wulkanu Krakatoa spiętrzył fale czterdziesto-metrowe.

— Kto je tam mierzył — powątpiewał bosman.

— Pewnie ci, którzy wówczas żeglowali w pobliżu Jawy i Sumatry.

— Otóż to właśnie, że wysokość fal szacują zawsze ci, którzy wtedy pływają po morzu. Szacują je z pokładu statku, który przy takiej chwiejbie tańczy jak zwariowany, i stale przeceniają, doliczają do wysokości wodnego pagórka głębokość bruzdy. Ja tam pływam po morzach od dwudziestu lat, niejeden uczciwy orkan już przeszedłem, a nie spotkałem jeszcze wyższych fal nad piętnaście metrów.

— I pomyśleć — wtrącił Kobryń — że tam, na południowej półkuli szaleją takie burze, a u nas tu woda spokojna jak zupa w wazie.

— No, zupy w wazie mi dziś morze nie przypomina — zauważył Jerzy z uśmiechem — raczej balię z wodą zabarwioną farbą do prania.

To porównanie było rzeczywiście trafniejsze, jeżeli chodziło o kolor wody. Bowiem morze, będące zawsze zwierciadłem nieba, miało dziś barwę szafirową.

Jerzy nie kwapił się do łóżka. W ciągu tych kilku dni, gdy zastępował Gajdę, odwykł od wczesnego udawania się na spoczynek. O dziewiątej zgaszono światło w kubryku, ten i ów z majtków zaczął chrapać w najlepsze, tylko Jerzy nie czuł się śpiący ani trochę. Leżał w ubraniu na swojej koi niezdecydowany, czy wyjść na pokład, czy rozebrać się i spróbować zasnąć, bo na czytanie nie mógł sobie pozwolić jak wówczas, kiedy sypiał w kabinie stewarda. Tam był sam, mógł zgasić lampę kiedy zechciał, tu musiał się zastosować do przyzwyczajęń kolegów, którym światło podobno przeszkadzało w spaniu; nie zapomniał jeszcze, że wylajano go, gdy w pierwszą noc, jaką spędził na statku, zapalił lampę, pragnąc rozpakować swój kufer.

— Noc ładna — mruknął. Zwrócony twarzą w stronę otwartego iluminatora, wdychał z rozkoszą rześkie powietrze, chłodzące i odświeżające duszną atmosferę tej niskiej i ciasnej sypialni ośmiu ludzi. A wraz z lekkimi tchnieniami wiatru wlewała się do kajuty mleczna poświata księżyca.

— Wyrzuję na pokład — postanowił w końcu — wyśpię się dostatecznie, jeśli tu wrócę o jedenastej. Siedem godzin snu to w sam raz w moim wieku — sądził.

Zsunął się z pryczy, na palcach przeszedł przez całą długość kajuty, lecz szukając dłonią klamki, stracił na podłodze jakieś blaszane pudełko.

— Co tam? — mruknął sennie Tkaczyk. — Kto tam hałasuje?

— Któżby, jak nie nasz panicz! — odparł z przekąsem Pawelek, który najwidoczniej nie spał jeszcze, skoro tak szybko poznał sprawcę loskotu. — Nie narobił się tak, jak my, więc idzie na spacer.

Dalszych słów Jerzy nie słyszał, gdyż wymknął się co prędzej z kubryku, ale i to wystarczyło by mu zepsuć humor. Przewisko *panicz* i powiedzenie *nie narobił się* dźwięczały mu w uszach uparcie i sprawiały mu przykrość taką, jaką niezasłużony zarzut sprawia lub posądzenie niesłuszne. Bo przecież pracował na równi z innymi i z pewnością sumiennie swe obowiązki wypełniał niż taki Skowronek, Tkaczyk czy palacz Nowocień. I w paniczyka nigdy się nie bawił, wręcz przeciwnie, bratał się z tymi prostymi ludźmi, chętnie w ich towarzystwie przebywał, chociaż z racji swojego

wykształcenia mógł być wolny czas spędzać w kabinach oficerskich; nie tylko Bulicz, którego znał od dawna, ale i pozostali oficerowie zapraszali go niekiedy do siebie. Lecz najbardziej zabolalo go to, że tę złośliwą uwagę wypowiedział właśnie Pawelek, z którym się zaprzyjaźnił i który był jego rówieśnikiem. Długo rozmyślał nad tym, co mogło spowodować tak przykrą zmianę w ich wzajemnym stosunku, aż w końcu machnął ręką. — Po prostu zapytam go jutro o to i od razu wyjaśnimy głupie nieporozumienie — postanowił sobie i jakoś raźniej mu się zrobiło na sercu, bo, jak za czasów szkolnych tak i teraz, wołał z dwojga złego małą bijatykę i szybkie pogodzenie się niż długotrwałe dąsy, kwasy, urazy. — To dobre dla kobiet — mawiał wzgardliwie.

Dotarwszy do środkowego kasztelu statku, przystanął. Z otwartych iluminatorów wielkiego salonu, który zarazem służył za jadalnię, dobiegały śmiechy i gwar rozmowy.

— Trzy pik — zabrzmiał głos Wójcickiego.

— Aha; mówią w karciecie — uśmiechnął się Jerzy. — Założyłbym się, że gra Wójcicki, Stanisławski, stary Tintenfass i nasz kapitan! — Podszedł do najbliższego iluminatora, zajrzał do wnętrza i zdziwił się, stwierdziwszy naocznie, że czwartym partnerem nie jest kapitan, ale panna Szczotkówna. — Dobrze, że się nie miał z kim założyć — pomyślał z humorem, przeskakując wzrokiem z jednej grupy pasażerów na drugą. Wszyscy tu byli, brakowało tylko Marysi Śląskiej. — Położyli ją spać pewnie. I słusznie, całkiem słusznie; po dziewiątej taka smarkuła powinna być w łóżku — osądził i powtórzył sobie w duchu tę opinię z naciskiem, pragnąc stłumić uczucie zawodu i skrytego żalu, że „smarkuła” w salonie nie było. A odchodząc w stronę dziobu statku obejrzał się rzekomo niechcący w stronę iluminatorów kabiny malarki. Nie świeciło się tam, zatem Marysia spała już niewątpliwie.

Zszedł na przedni pokład. Nie chcąc, aby go dostrzeżono z mostku, pomaszerował tą stroną, na którą kładły się wydłużone cienie fokmasztu, wind i machin, aż doszedł do zamkniętych wrót kabelgatu. Z tych samych powodów nie wyszedł na trójkątny pokładzik, stanowiący nos okrętu, lecz pozostał na dole i oparłszy łokcie na poręczy burty, spojrzął przed siebie.

Widnokrąg wydał mu się mniejszy niż za dnia, lecz ta nocna szata nieba, granatowa w zachodniej stronie, jaśniejsza bliżej księżycą, a cała wyszyta gwiazdami, była jakby bogatsza i bardziej majestatyczna od zwykłej, dziennej szaty, monotonnie błękitnej lub niekiedy zbrukanej plamami chmur. I morze prezentowało się bardziej efektywnie niż we dnie; czarne jak atrament tam, gdzie padał olbrzymi cień płynącego okrętu, błyszczało wspaniale po drugiej stronie i wyglądało jak olbrzymi, lekko rozkołysany kocioł rtęci. Najpiękniej jednak lśniło w na pozór tym samym, a przecież ruchomym punkcie, w którym dziób *Chrobrego* przecinał na ukos księżycową smugę. W oczach patrzącego ta smuga była nieprzerwaną falangą srebrnych rybek, mknących na wyścigi w stronę statku, by tu zginać. Nie ginęły przecież; poza drugą burtą srebrzysty wąż wynurzał się znowu i mknął dalej roziskrzony, olbrzymi.

— Dobry wieczór.

Jerzy drgnął, odwrócił się na pięcie i tuż przed sobą zobaczył Marysię Śląską; uśmiechała się przyjaźnie, lecz stała w miejscu niepewna, jakiego tu dozna przyjęcia.

— Może przeskadzam?

— Ninnie — odburknął krótko i znów zwrócił twarz w stronę morza. Pomimo tak chłodnego powitania dziewczyna podeszła do burty i stanęła tak blisko, że ramionami dotykały się niemal.

— Cudny widok, prawda? — próbowała zagać rozmowę.

— Owszem.

— Ocean lśni jak brokatowa suknia. To zasługa miesiąca. On to nadał morzu tę piękną

barwę, kąpiąc w nim swój srebrny warkocz. — Umilkła nagle, gdyż Jerzy parsknął krótkim, ale jakże drwiącym śmiechem.

— Oto mi porównanie — rzekł ironicznie — brokatowa suknia i warkocz. Naturalnie! Cóż innego może przyjść do głowy dziewczynie! — Ostatnie słowo wypowiedział z tak wyraźną wzdrgadką, że Marysia spojrzała nań prawie z przestachem.

— Czy źle się wyraziłam?

— Idiotycz... bardzo źle — poprawił się szybko. — Jakże można smugę księżycowego światła nazywać warkoczem.

Umilkł. Zaczął nad słuchiwać. Wydało mu się, że słyszy ostrożne stapania skradającego się człowieka. — Na pewno Starbała — mruknął. — On zawsze tak krąży po statku zanim spać pójdzie. — Zacerwienił się po uszy na myśl, co by sobie kapitan pomyślał, gdyby go tu zastał z tą małą pasażerką na gapę. — Trzeba się jej czym prędzej pozbyć — wykombinował i, zniżywszy głos, zaczął z wielkim zapalem dowodzić Marysi, że o tej porze powinna się znajdować w kabinie i spać.

— Eech — odparła niechętnie — to samo mi powiedziała ta zabawna pani malarka, a sama zasiadła do kart.

— Miała słuszość — wtrącił popędliwie. — Wałęsać się po statku w nocy to... — już chciał powiedzieć *nie wypada*, lecz ugryzł się w język, a nie mając lepszego pomysłu, dokończył: — to niebezpiecznie! Tak, bardzo niebezpiecznie — komponował na poczekaniu, zirytowany pytającym spojrzeniem tych niebieskich oczu, które skutkiem wielkiego zdziwienia ich właścicielki stały się jeszcze większe, jeszcze piękniejsze. — Można zlecieć za burtę, można się potknąć o coś w ciemnościach i złamać nogę, można... echem, hm... ach, prawda... można spotkać tego Niemca, który się przecież całkiem wyraźnie odgrażał i... — Z kolei on umilkł w pół zdania, bo Marysia przytuliła się nagle do niego i obie dłonie wczepiła mu w ramię.

— Och, Boże — wyszeptwała. Przeraziła się nie na żarty, czuł doskonale jej drzenie i widział pobladłą twarzyczkę. Żał mu się jej zrobiło, lecz jednocześnie pienił się w bezsilnej złości na myśl, że lada chwila w cienia wynurzy się krępa sylwetka kapitana, że Starbała może źle zrozumieć to sam na sam tych dwojga młodych podróżników. Odsunął się więc szybko i wycedził oschle przez zaciśnięte zęby:

— To dziwne, że się go nie bałaś wówczas, gdyście razem siedzieli w komorze kotwicznej.

— Och, i jak się bałam! Nie masz pojęcia, jak dygotałam z przerażenia, kiedy w ową noc, gdyśmy stali w Kanale Kilońskim zabłysła nagle zapalka i w jej chwiejnym blasku ujrzałam tego draba, oglądającego sobie skrwawioną rękę. Dziwię się, że nie zemdlałam wtedy. — Po dłuższej chwili dodała jeszcze jedno zdanie, nie mające ścisłego związku z poprzednimi, ale będące widocznie odzwierciedleniem jej myśli: — Ale wtedy Hans nie wiedział, że jestem dziewczyną.

— Ja również nie wiedziałem — westchnął Jerzy.

Żywy błysk zamigotał w oczach Marysi.

— Ach, więc dlatego byłeś dla mnie taki inny w Gdyni... taki dobry, uprzejmy, taki przyjacielski.

— Nie przypominam sobie — bąknął, odwracając głowę.

— A teraz jesteś niegrzeczny i...

— Wypraszam sobie — żachnął się — jestem zawsze dla wszystkich jednakowo grzeczny.

— I szorstki — ciągnęła dalej nieubłagane — unikasz mnie, ręki mi nie podajesz. No zaprzecz. Spójrz mi prosto w oczy i zaprzecz.

- Może zmienimy nareszcie ten nieciekawy temat rozmowy.
- Nie możesz mi darować tego, że okazałam się dziewczyną.
- Och, ona się dzisiaj zawzięła zwracać mi głowę głupstwami.
- Dlaczego jesteś taki obłudny?

Tego Jerzemu było już nadto. Odwrócił się gwałtownie, pochwycił Marysię za ramiona i potrzęsając nią z szweską pasją, otworzył na oścież wrota swojego serca:

— A więc tak! — wybuchnął. — Uważałem cię za chłopca, za odważnego, dzielnego chłopaka, marzyłem, by cię znów spotkać i razem przeżywać niezwykle przygody. Mogłem być twoim najlepszym przyjacielem i...

— Czy teraz być nim nie możesz? — przerwała mu.

Puścił jej ramiona i machnął ręką gestem ostatecznej rezygnacji.

— Teraz... teraz wszystko przypadło — odparł cichuteńko.

— Dlatego, że jestem dziewczyną?

— **Dlatego!** — powtórzył z naciskiem. — I proszę cię bardzo, nie mówmy o tym więcej. Nie wypominaj mi najbardziej gorzkiego zawodu, jaki z twej winy przeżyłem.

— Z mej? Czyż ja temu winna jestem, że urodziłam się dziewczyną?

Miała rację. Nie mógł zaprzeczyć, że miała, więc najpierw chrząknął pojednawczo, a potem łaskawie spytał, czy wolałaby być chłopcem. I nowy zawód go spotkał, gdy posłyszał przeczącą odpowiedź.

— Bo widzisz — tłumaczyła mu — byłabym tylko małym, słabym chłopcem, którego stu mocniejszych zwycięży. A że jestem tym, czym jestem, to najdzielniejszy młodzieniec skoczy dla mnie w ogień.

Rozbawiła go taka, jak ją określił, zarozumiałość. Już miał na języku jakąś przekorną odpowiedź, gdy wtem zaskrzybiało coś, stuknęło, i po przednim pokładzie przemknął cień schylonego człowieka, który najwidoczniej stał przedtem ukryty za masztem, a teraz biegł w stronę środkowego kasztele, zapewne sposzony szelestem, jaki sam niechący wywołał.

— W każdym razie to nie był Starbałła — odetchnął Jerzy z ulgą — ale ktoś to mógł nas tu śledzić? I dlaczego? — Zaintrygowany tym niemało, a poniekąd i zaniepokojony, w stanowczych słowach nakłonił Marysię, by powróciła do kabiny, sam odczekał jeszcze kilka minut i także udał się na spoczynek.

Nieprędko zasnął i była to jedna z najgorszych nocy, jakie spędził na statku. Podobnie jak podczas pierwszego noclegu w tym kubryku trafiły go koszmarnie widziadła senne, zmory, upiory, aż w końcu przyśnił mu się straszliwy pożar okrętu. Jakby na jawie widział szkarłatne jęzory płomieni, ogamiające *Chrobrego* od dziobu aż po drugi komin, i słyszał przeraźliwe krzyki pasażerów uwięzionych w kabinach. Wraz z garstką majtków rzucił się w ogień, by ratować tamtych, zaś pozostali marynarze przygotowywali gorączkowo dwie szalupy ratunkowe do spuszczenia na morze. Dotarł do pierwszej z brzegu kabiny, wypchnął z niej na pół przytomnych Wójcickiego i Stanisławskiego, znów znalazł się w korytarzu. Bosman i kilku innych wypróżniło właśnie pozostałe kabiny. W otwartych drzwiach ostatniej z nich mignęła Jerzemu sylwetka malarki Szczołkówny.

— Są wszyscy. Teraz jazda na pokład — komenderował bosman, podtrzymując Arona Tintenfassa.

Wybiegli, tylko Jerzy pozostał. Posłyszawszy cichy jęk, wtargnął do kabiny numer 6 i ujrzał Marysię Śląską kłęczącą w kąciu i gwałtownie kaszlącą. Pochwycił ją na ręce, jak piórko, kopnął

drzwi i omal nie runął, natrafiwszy na nieoczekiwany opór. Jakaś spadająca belka musiała drzwi podeprzeć z zewnątrz, odwrót mieli odcięty.

— Jeszcze nie! — zgrzytnął zębami. — Pozostało okno.

Pryskoczył do iluminatora, wyrzwał, zoczył Kobrynia, przywołał go, wysunął na zewnątrz dłonie omdlewającej dziewczyny, które Kobryń zwało pochwycił i wspólnymi siłami wywindowali Marysię na pokład.

— A teraz ja wyjdę tą samą drogą — mruknął. Cieśla odszedł już, unosząc małą Śląską, inni marynarze dawno zniknęli, nie mógł więc liczyć na niczyją pomoc. W normalnych warunkach byłby sobie poradził „śpiewająco”, był przecież doskonałym gimnastykiem. Lecz obecnie, nalykawszy się gryzącego dymu, zataczał się jak pijany i z największym wysiłkiem włókł za sobą taboret, ot zwyczajne lekkie krzesło bez oparcia. Stał na nim, stracił równowagę, spadł na podłogę i w tej samej chwili zawałił się sufit kabiny, przygniatając go całego...

Nic dziwnego, że po takim śnie Jerzy obudził się w siódmych potach. W kajucie było jeszcze ciemno, chrapanie dwóch majtków tworzyło zabawny duet, śruba okrętowa, pracująca przecież tak blisko kabryku, dudniła równo, monotonnie, słowem wszystko dowodziło, że pożar *Chrobrego* był tylko przykrym snem. A jednak jakiś ciężar gniótł chłopcu w dalszym ciągu piersi, nogi, nawet brodę uciskał. Bardziej zaciekawiony niż niespokojny Jerzy wysłał ręce na zwiady i stwierdził ze zdumieniem, że leży na nim ławka.

— Ciekawym bardzo, komu się zachciewa takich żartów — mruknął półgłosem i, uchwyciwszy ciężką ławę oburącz, postawił ją na podłodze. Jął nadśłuchiwać, bowiem wydało mu się, że słyszy stłumiony chichot, tak jak gdyby ktoś, śmiejąc się serdecznie, przyciskał usta do poduszki. Po chwili uczył, że go coś mocno ugniata w plecy. Wsunął dłoń pod prześcieradło i wyciągnął stamtąd dwie deszczulki ułożone w poprzek pryczy. — Zawział się na mnie jakiś figlar — pomyślał ze złością i postanowił czuwać, przypuszczając, że tamtemu znowu przyjdzie chętka do robienia nowych psot. Ale wkrótce sen go zmorzył, a kiedy się ocknął nad ranem i podniósł dłonie ku twarzy, chcąc sobie przetrzeć zaspane oczy, spostrzegł z oburzeniem, że aż po łokcie ma ręce powalane sadzą. Tknięty przecuciem, sięgnął po lusterko i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaklął; twarz również miał pomalowaną na czarno, nie wyłączając warg uszu i czoła.

Ósmy dzień podróży nie obfitował w ciekawe wypadki, jeśli nie liczyć odkrycia trzeciego pasażera na gapę. Był nim tym razem mały ptaszek, z ruchliwości podobny do wróbla, z upierzenia do kanarka. Niewątpliwie zabłąkał się nad wodną pustynią i kto wie, czy nie byłby utonął, gdyby nie przypadkowe spotkanie z *Chrobrym*.

Uszczęśliwiony, że znalazł taką pływającą wyspę, świergotał wesoło, fuwał od burty do burty i bawił swym widokiem pasażerów, którzy na łądzie z pewnością nie zwróciliby na niego uwagi.

— Cóż to za ptaszek? — dopytywała Marysia, sypiąc na pokład okruchy z chleba. — Kanarek?

— My go nazywamy latającą myszką afrykańską, — odparł bosman i dodał, że *Chrobry* nie pierwszy raz w tych okolicach gości skrzydlatych pasażerów. — Pełno ich tu w sąsiedztwie Cap Finisterre.

— Więc zbliżamy się do przylądka Finisterre?

— Minęliśmy go jeszcze w nocy.

— Czyli od dzisiaj będziemy łałowali wino — dorzucił Tkaczyk, zacierając ręce.

— Dlaczegoż to? — spytał Jerzy.

Wyjaśniono mu tedy, że ponieważ na wysokości Hiszpanii zaczynają się większe upały i

słodką wodą napompowana do tanków jeszcze w Kanale Kilońskim, nie nadaje się już do picia, więc, poczynając od Cap Finisterre, wydaje się załodze i pasażerom lekkie czerwone wino, w ilości pół litra na głowę dziennie.

Dzień był ogromnie upalny. Już koło dziesiątej termometr wskazywał w najgłębszym cieniu 26 stopni Celsjusza, a w południe słupek rtęci wydłużył się do trzydziestki. Panie wystąpiły w powiewnych sukienkach bez rękawów, pasażerowie przeważnie w pizamach, oficerowie pokładowi w białych, płóciennych mundurach, zaś dość sobie korpulentny pan Wójcicki zadebiutował w słomkowym kapeluszu i w... kostiumie kąpielowym.

Lecz najgorzej działo się palaczom. Raz po raz wybiegał któryś z nich na pokład i z pasją nastawiał wyloty nawiewników pod wiatr, którego wcale nie było. Chyba ze dwadzieścia razy przekręcano w różnych kierunkach te długie rury blaszane służące do wentylacji wnętrza statku, ale na próżno. Cisza panowała w powietrzu, najłżejszy podmuch nie odświeżył dusznej atmosfery, ciężkiej, przegrzanej i naładowanej elektrycznością zarówno w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa. Bowiem ustawicznie wybuchały zatargi, spory, awantury pomiędzy różnymi członkami załogi usposobionymi dziś niezwykle wojowniczo i skorymi do kłótni z najbardziej błahych przyczyn.

— Po południu urządzimy kąpiel — rzekł kapitan, kiedy mu doniesiono o małej bijatyce w kotłowni — to ich znakomicie ochłodzi.

Z pasażerów wziął udział w owej kąpeli tylko inżynier Roman Polański; pozostali ustawili sobie leżaki na spardecku, skąd mogli najlepiej obserwować kąpiących się lub raczej biorących prysznic. *Chrobry*, będąc statkiem handlowym, nie posiadał oczywiście basenu do pływania, jaki można znaleźć na niemal wszystkich wielkich pasażerskich okrętach. Kąpiel polegała więc tylko na tym, że przelączano pompę na przedni pokład, umocowano gumowego węża, z którego tryskała w górę na jakieś osiem metrów gruba struga wody, a spadając, tworzyła wspaniały prysznic. Jerzy, podobnie jak i inni marynarze ubrany w kostium kąpielowy, podsuwał się z zapalem pod tusz tej kaskady, lecz w pewnej chwili kapitan obniżył wylot sikawki o kąąt prosty i skierował strumień wody prosto w ludzi. Rozległy się kwiki, piski, a zbita gromadka rozbiegła się w mgnieniu oka. Jerzy, który ociągał się przez chwilę z ucieczką, poznał na swojej skórze, jaką siłę posiada prąd tego wodotrysku; miał wrażenie, że to nie woda w niego bije, lecz dziesiątki ciężkich buraków pastewnych, a urażone miejsca ciała zaczerwieńły się i piekły nieznośnie do późnego wieczora. Że piekły było również zasługą tutejszej wody, znacznie silniej nasyconej solą, niż na przykład w naszym Bałtyku, który, jak wszystkie zimne morza, otrzymuje pokaźne ilości wody słodkiej ze śnieżnych roztopów i przez topnienie lodów.

Pod wieczór oziębiło się nagle, czego normalnym następstwem była mgła. I jaka mgła! Z mostku nie było widać ani dziobu statku, ani rufy, a światła sygnałowe ledwie migotały pod białymi kloszami oparów.

— Jak wówczas, jak w Kanale Kilońskim — rzekł Jerzy.

— Z tą różnicą, że tutaj, na pełnym morzu, nie musimy się zatrzymywać — dorzucił Kobryń. — Pojedziemy aż miło z muzyką.

Na „muzykę” nie czekali długo. Już koło ósmej zaryczała syrena *Chrobrego* i od tej chwili powtarzała przepisowy sygnał w minutowych odstępach przez długie, długie godziny.

Po kolacji Jerzy wyszedł na pokład, zamierzając odwiedzić Bulicza. Nie zastał go w jego kabinie, za to koło mesy oficerskiej natknął się na telegrafistę, który zazwyczaj nieco później wieczerał.

— Ależ owszem, bardzo lubię radio — odparł Jerzy zapytany, czemu nie przychodzi na wieczorne audycje — tylko u pana zawsze pełno.

— Dzisiaj pewnie nikt nie przyjdzie — przypuszczał Kołodko, posuwając się bardzo ostrożnie naprzód, by we mgle i ciemnościach nie zawadzić o jaką przeszkodę i, broń Boże, nie powalać sadzami śnieżnobiałej bluzy.

— W takim razie chętnie skorzystam z zaproszenia.

— Na pewno nikt nie przyjdzie — ciągnął dalej Kołodko. — Pasażerom już spowszedniały wiadomości o skutkach zapadania się Antarktydy. Ale też mgła, no!... Żeby tylko z niej jaki sos nie wynikł.

— Jak to, sos?

— Es, o, es, czyli *save our souls*, co po angielsku znaczy...

— *Ratujcie nasze dusze* — wtrącił Jerzy — to wiem. Nie wiedziałem tylko, że miał pan na myśli sygnał tonących okrętów, owo złowrogie SOS... Zdarzyło się panu już kiedy słyszeć ten sygnał?

— Ba, chciałbym mieć tyle włosów na głowie, ile razy go słyszałem — westchnął Kołodko, którego głowa nie mogła się wprawdzie równać z rekordową łysiną Wójcickiego, ale była na najlepszej drodze do tego rekordu. Poprzez rzadką siatkę misternie rozczesanych włosów przeświecała goła skóra i biedny telegrafista *Chrobrego* rujnował swój budżet na rozmaite pomady czy olejki mające przyspieszyć „zalesienie” swej „łysej góry”.

— I spieszyliście z pomocą? — zainteresował się Jerzy.

— Za moich czasów *Chrobry* nigdy nie brał udziału w akcji ratowniczej. Tak się jakoś zawsze złożyło, że inne statki były znacznie bliżej okrętu, wzywającego pomocy. Ale słyszeć słyszałem bardzo często to SOS... Och, aż ciarki człowieka przechodzą, kiedy nagle je aparat wyśpiewa...

— Jeden raz tylko?

— Ale gdzież tam; powtarza w kółko trzy kropki i trzy kreski, dopóki się ktoś nie zgłosi. Potem zagrożony okręt podaje swą nazwę i położenie, a statki przepływające najbliżej miejsca katastrofy pędzą tam całą parą.

Tak rozmawiając, przebrnęli przez środkowy dolny pokład pokryty strzępami mgły prutej bezlitośnie przez zwycięski dziób statku, odszukali schodnię, wspięli się o piętro wyżej, dotarli do kabiny radiotelegrafii i w minutę później siedzieli już ze słuchawkami na uszach, racząc się na przemian poważną i lekką muzyką z Barcelony, z Paryża i z Londynu. Dla odmiany słuchali komunikatów nadawanych przez stację warszawską „Złapali” New York, gdzie właśnie odbywał się mecz bokserski o mistrzostwo świata i ani się spozbrzegli, kiedy upłynęły dwie godziny.

Jerzy zdjął słuchawki, wskazał na zegar.

— Jedenasta; pójde trochę pomieszczać, rzekł żartobliwie. Kołodko poruszył głową poziomo.

— Chwileczkę. Jeszcze na zakończenie koncertu złapiemy jakąś bardziej odległą stację — odpowiedział, kręcąc zawzięcie ebonitowymi kontaktami.

Jerzy nałożył słuchawki powtórnie i zaczął przeglądać jakiś stary tygodnik z ilustracjami. Były ciekawe, z miejsca pochłonęły jego uwagę, więc prawie nie słyszał wszystkich tych gwizdów, jakie rozbrzmiewają w słuchawkach w trakcie „łapania” nowej fali. Tylko w pewnej chwili wydało mu się, że radio „śpiewa” ten sam króciuteńki motyw znaków Morse’a i bezwiednie zaczął sobie takt wystukiwać nogą.

Wtem drgnął. Kołodko chwycił go silnie za rękę.

— SOS! — rzekł i dodał jakimś zmienionym głosem: — Wywołałiśmy wilka z lasu.

Jerzy odrzucił tygodnik.

— Więc to jest SOS?! — spytał zdumiony i przejęty do głębi.

Telegrafista nie odpowiedział. Szybko przysunął sobie bloczek papieru i zaczął na nim coś pisać, chwycając głową w sposób nie wróżący nic dobrego. A radio śpiewało nieustannie żalną pieśń o nowej katastrofie, tym razem spowodowanej przez mgłę.

Kołodko odrzucił ołówek, oddał kartkę z bloczka i na migi polecił Jerzemu zdjąć słuchawki, choć sam swoich nie zdjął.

— Panu kapitanowi natychmiast! — rzekł krótko i już znowu notował coś na bloczku.

Jerzy wypadł z kabiny jak wichur, korciło go, by przeczytać treść alarmującej depeszy, ale łatwo zwyciężył tę pokusę, rozumując słusznie, że w takich sytuacjach życie wielu ludzi może zależeć od kilku sekund. Popędził więc do kabiny Starbałły i wpadł tam z wielkim rozpędem, zapomniawszy do drzwi zapukać, jak wypadało. Dzięki temu zastał kapitana w pozycji, w jakiej niewielu śmiertelników miało szczęście go widzieć; bowiem Starbałła, uprawiający zawsze rano i wieczór gimnastykę szwedzką, wykonywał właśnie jakieś nader skomplikowane ćwiczenie, a był w adamowym kostiumie.

— Co to znaczy? — ryknął oburzony, zerwał błyskawicznie obrus ze stołu, owinał się nim i stanął w pozycji Demostenesa¹, wygłaszającego filipikę. Wyglądał groteskowo w tej todze, lecz Jerzemu nie do śmiechu było w tym momencie.

— Bardzo przepraszam — zaczął szybko — ale sygnał SOS.

Kapitan Starbałła przebiegł wzrokiem przyniesioną kartkę, spojrzął na zegarek i zamyślił się, ale to zamyślenie nie trwało chyba dłużej jak ćwierć minuty. — Spróbuję. Może zdążymy — mruknął półgłosem, a potem huknął po swojemu na całe gardło: — Pierwszy oficer niech mi przyjdzie do kabiny Kołodki, ale duchem! Inżynier także.

Jerzy pomknął jak strzała, by wykonać zlecenie. Duma go rozpieiała, że właśnie jemu przypadła misja łącznika pomiędzy oficerami, a poczucie odpowiedzialności zaciążyło mu po raz pierwszy w życiu. — Gdybym się potknął w tych ciemnościach i zemdłał, kapitan musiałby długo czekać na Dulskiego i Gąsiorowskiego — myślał i dobrze wytrzeszczał oczy, aby nie wpaść na jaką przeszkodę niewidoczną w oparach mgły i w mrokach ciemnej nocy.

Ledwie przyprowadził dwóch oficerów, wysłano go po bosmana, który już od kilku godzin spał snem kamiennym. Bosman i Kobryń, będący jakby podoficerami, posiadali osobne kabiny, ale również na rufie statku, obok kubryku. Wyszedłszy na pokład, bosman ziewnął serdecznie i spytał, co zaszło.

— Przejęliśmy sygnał SOS — odparł Jerzy.

— Aha. I spieszymy z pomocą... Ho, ho, kurs już inny.

— Skąd pan bosman to wie? — zdziwił się, gdyż kilwater był absolutnie niewidoczny za rufą, a po nim można by było najłatwiej poznać, czy *Chrobry* zmienił kierunek, czy płynie prosto dalej.

— Łańcuch sterowy mi to powiedział, chłopcze — odrzekł Miazek, przyspieszając kroku — mam słuch dobry, chwalić Pana Boga.

Z zazdrością spoglądał Jerzy na bosmana, który wkroczył do kabiny telegrafisty, gdzie znajdowali się prócz Kołodki tylko trzech oficerowie, Starbałła, Dulski i Gąsiorowski. Ale Miazek nie zabawił tam długo. Wyszedł po chwili, zrzędząc pod nosem, że łodzie ratunkowe są w najlepszym porządku i można go było tak wcześnie nie budzić, skoro dopiero za jakieś pięć godzin staną na

miejscu.

— To znaczy, gdzie? Gdzie, proszę pana? — gorączkował się Jerzy.

— Gdzie, gdzie — przedrzeźniał go zaspany Miazek. — Pewnie, że nie w Honolulu, tylko tam, gdzie się te dwa parowce zderzyły... Idź spać, smyku, nie zwracaj mi głowy. Bądź rad, że tobie jeszcze spać wolno.

Równie dobrze mógł być poradzić Jerzemu, żeby poszedł łowić ryby. Spać? Spać wtedy, gdy *Chrobry*, zwiększając wciąż obroty śruby, spieszył na ratunek dwóch tonących okrętów? — Także pomysł — mruknął chłopiec, zwracając po raz trzeci czy czwarty w stronę kabiny szczęśliwca Kołodki. Tak, szczęśliwca, bo on wiedział już wszystko, a Jerzy musiał się zadowolić okruciami nowin, które mu łaskawie rzucano po drodze.

— Już spuszcżają szalupy — posłyszał głos kapitana w chwili, gdy drzwi się otworzyły przelotnie. Wyszedł z nich inżynier Gąsiorowski. Zagadnięty przez Jerzego, odparł krótko:

— Siedemdziesiąt mil mam do zrobienia.

Dulski, który w chwilę później opuścił kabinę radiotelegrafii, dał mu również lapidarną odpowiedź:

— Włoski tramp wpadł na Anglika, pasażera. Oba toną.

Z tych krótkich zdań trudno było sobie odtworzyć przebieg katastrofy i jej rozmiary. Jerzy wiedział na razie tyle, że włoski tramp, czyli statek handlowy nie odbywający stałych rejsów, lecz zajeżdżający do różnych portów, stosownie do tego gdzie się jakiś ładunek do zafrachtowania przytrafił... że ów tramp najechał we mgle na angielski okręt pasażerski i obydwaj parowce poniosły tak ciężkie uszkodzenia, iż tonęły. Wiedział jeszcze i to, że fatalne zderzenie nastąpiło w odległości około siedemdziesięciu mil morskich na południowy zachód od *Chrobrego*, który ze względu na mgłę płynął dotychczas z umiarkowaną szybkością, jak tego wymagają międzynarodowe przepisy nawigacji.

— Nasz *Chrobry* może w najlepszym razie wyciągnąć dwanaście węzłów — rozmyślał, wsłuchując się w ponure dudnienie przetwornicy — zatem potrzebujemy blisko sześciu godzin, by przybyć na miejsce wypadku. Czyż jest możliwe, aby tamte dwa statki potrafiły się utrzymać na powierzchni tak długo?

Przetwornica ucichła wreszcie, widać Kołodko ukończył nadawanie depezy, że polski okręt *Chrobry* spieszy z pomocą tonącym. Za to tamten głos z oddali, głos błagający o ratunek dla wielu setek ludzi rozbrzmiewał dalej. Jerzy, zerkający przez iluminator do wnętrza kabiny radiotelegrafii, widział, że Kołodko notuje w dalszym ciągu na bloczku i chwieje głową wymownie, widział kapitana ślęczącego nad mapą i rzucającego wzrokiem raz po raz na bloczek, którego kartki zapełniało szybko duże pismo telegrafisty. Aż w pewnym momencie obydwaj drgnęli, spojrzeli po sobie i Starbała zdjął słuchawki. Powstał, spojrzął na zegarek, zanotował coś, po czym skierował się ku drzwiom.

Jerzy wysunął się nieśmiało z cienia w sferę światła, którego prostokąt upadł na pokład po otworzeniu drzwi.

— I co, panie kapitanie? — spytał.

— Ich radio umilkło w pół słowa.

— To znaczy?

— To znaczy — powtórzył zamyślony Starbała — że stało się!

Odszedł do burty, skrzyżował ręce na piersiach i znieruchomiał na kilka minut. Nad czym dumał? Zapewne nad dolą marynarza, który tak często musi podzielić losy swojego statku, jakże

kruchego i słabiotkiego wobec potęgi żywiołów, jakże bezbronnego w szponach losu. Bo czyż nie było to złośliwym zrzędzeniem losu, że tamte dwa okręty nie znalazły dla siebie dość miejsca na olbrzymiej pustyni oceanu? Że wpadły na siebie w punkcie, gdzie krzyżowały się ich drogi długie być może na tysiące mil? Że właśnie w owym śmiertelnym miejscu musiały się znaleźć równocześnie?

— Przeznaczenie — mruknął Starbałła. — A co mnie ono zgotuje? — Wzruszył ramionami, machnął ręką. — Będzie, co ma być. Raz kozie śmierć — rzekł niefrasobliwie i energicznym krokiem pomaszzerował ku schodni wiodącej na mostek.

¹ Demostenes (384-322 p.n.e.) – słynny mówca grecki, zawzięty przeciwnik Filipa Macedońskiego i dominacji macedońskiej w świecie cywilizacji greckiej.

Rozdział IX
WALKA Z REKINEM

Godziny wlokły się ospale w trwoźnym oczekiwaniu. Niby strzępy waty rzucone na czarny aksamit leżały na morzu małe łachmany mgły. Jej zwiewną szatę wiatr podarł doszczętnie, a teraz chmury pędził po niebie. Długi szal obłoków także się pruł niekiedy i wówczas ze srebrnej lampy niebios spadały kaskady zimnego światła, tworząc na hebanowym tle oceanu jasne plamy lśniące. Lecz na ogół rzadko wyzierało oko księżycza spoza chusty chmur, falującej pod tchnieniem wiatru, i noc była ciemna.

— Nasi kominiarze nie żałują węgla — mruknął Kobryń, wskazując kominy, z których dym walił gęstymi kłębami — smarujemy trzynaście węzłów, aż miło.

Jerzy spojrział na zegarek. — Dochodzi czwarta — stwierdził i zaczął obliczać: Prawie pięć godzin upłynęło od chwili, gdy zmienili kurs, aby odszukać i wziąć na pokład rozbitków. — Zrobiliśmy sześćdziesiąt trzy mile, przypuszczam, albo mniej, bo nie od razu przecież *Chrobry* mógł wyciągać po trzynaście węzłów.

Znał już niektóre szczegóły katastrofy, bowiem wpadł do kabiny telegrafisty, skoro tylko kapitan odszedł na mostek. Parowiec pasażerski nazywał się *King John*, miał pojemności jedenaście i pół tysiąca ton i odbywał swój zwyczajny rejs pomiędzy Anglią a Belem, stolicą brazylijskiego stanu Pará. A najechał go i niemal przepołowił włoski statek handlowy *Cerignola* pojemności czterech tysięcy ton, jadący z ładunkiem z New Yorku do Neapolu. *King John* zatonął w kilka minut po północy, tramp trzymał się na wodzie jeszcze godzinę, w każdym razie punktualnie o pierwszej jego radio umilkło na zawsze. *King John* wiozł ponad czterystu podróżnych, nie licząc załogi i służby, co zwiększało liczbę ofiar o dalsze dwieście osób...

— Tam! — krzyknął głośno Pawełek. Wszyscy, ilu ich było na dziobie spojrzeli za kierunkiem wyciągniętej ręki chłopca.

— Tam? — zdziwił się bosman. — Cóż tam dostrzegł? Ja bo mam dobre ślepie, a nie widzę nic.

Wszyscy przyznali słusność bosmanowi; tam gdzie Pawełek miał rzekomo zauważyć jakieś światełko, było równie ciemno jak wszędzie dokoła.

— Skądże by tam właśnie — dorzucił Kobryń. — Oni są gdzieś prościuteńko na naszej drodze. Już tam kapitan wycelował, aż miło.

— Ależ na pewno widziałem — upierał się młody majtek. — Wyglądała tak jak spadająca gwiazda.

— Jak gwiazda? — powtórzył Skowronek i ziewnął od ucha do ucha. — To w takim razie z niewyspania. Mnie też takie światełka w oczach migają.

— W każdym razie patrzmy i tam — zdecydował bosman. Upłynęło z dziesięć minut i nic. W końcu sam Paweł na pół uwierzył, że mu się tylko przywidziało. Po chwili odwołano bosmana do Dulskiego, Kobryń także się gdzieś zawieruszył, wobec czego Skowronek wyciągnął się natychmiast na pokładzie.

— Na co sobie mam oczy nadwyrywać — mamrotał sennie — od tego są ci na mostku. Lepiej się zdrzemnąć troszeczkę... A połóżcie się w kupie, będzie nam ciepłej — zachęcał. Usłuchano tej

rady tym chętniej, że wiatr dął coraz silniej i był przenikliwie zimny jak na te okolice.

— A wczoraj był taki upał — pomyślał Jerzy. On jeden dotrzymywał towarzystwa przy burcie Pawłowi, któremu ambicja nie pozwalała zrezygnować z dalszych obserwacji. — Ty byś pewnie wolał z kim innym stać tutaj, prawda? — zagadnął Jerzego, patrząc nań niechętnie.

— Z kim innym? — zdziwił się zaszepiony. — Na przykład z kim?

— Na przykład z pewną młodą pasażerką! — odparł tamten zjadliwie i odsunął się od Jerzego, który po takim dictum¹ na chwilę zaniemówił. — Znowu! Tam! Tam! Patrzcie, gapy — wrzeszczał Pawelek. — A co, nie mówiłem?

Tym razem widział to światelko także i Jerzy oraz ci, którzy się natychmiast zerwali; Skowronek oczywiście nie należał do ich liczby.

— To raca — zabrzmiał gdzieś koło fokmaszu głos Kobrynia.

Natychmiast zameldowano kapitanowi. Ci z mostku nie widzieli sygnału, gdyż całą uwagę skierowali wyłącznie w tę stronę, w którą mierzył dziób *Chrobrego*, lecz zgodne zeznania Pawła, Jerzego i kilku innych przekonały Starbałłę. Nie zmieniając na razie kursu statku ani biegu nie zwalniając, polecił dać trzy świetlne sygnały. Trzy rakiety wystrzeliły z okrętu, pękły z hukiem hen, ponad szczytami masztów, i w pół minuty później na skraju horyzontu i dokładnie w tej stronie, którą Paweł wskazywał, zamigotały dwie ruchome gwiazdki.

— Ładna historia — zachnął się Starbałła — prawie cztery rumbly! — Jerzy wiedział już, że rumbem nazywają marynarze jedną trzydziestą drugą część koła. — Cztery rumbly to odpowiada połowie kąta prostego, czyli musimy teraz zmienić kurs o kąt czterdziestu pięciu stopni — wnioskował słusznie.

Świtało. Tylny strażny nocy pierzchały z odwiecznego placu boju mroków ze światłem. Lecz zwycięski rydwan jutrzeńki ugrzązł tym razem w gęstej dżungli chmur, a z miękkiego łoża oceanu wstawał dzień słotny, brzydki, jakby niewyspany po nocy tak niespokojnej i jakże różny od wczorajszego.

Północno-wschodni wiatr dął coraz mocniej; zdawał się popędzać w biegu statek, który po dostrzeżeniu raketowych sygnałów zmienił kierunek i pełną parą gnał w stronę maleńkich punkcików już gołym okiem widzialnych. Liczyli je, próbując z ilości szalup odgadnąć liczbę ocalonych rozbitków, i zachodzili w głowę, gdzie Starbałła paruset nadprogramowych pasażerów na statku pomieści.

— Wiatr jest już *cztery* — mruknął bosman w pewnej chwili.

— A morze rozigrane — dodał Jerzy, mając w pamięci skalę Beauforta. Zrobił też uwagę, że jeśli chwiejba daje się tak we znaki *Chrobremu*, to co dopiero tym maleńkim lupinom.

— Połowa rozbitków na pewno karmi ryby — odparł Kobryń. Kamieniem ryb nazywano w tym wesołym gronie morską chorobę. — Ładnie będą nasze pokłady wyglądały, skoro to bractwo zacznie tu chorować.

Upłynęło jeszcze pół godziny, na mostku zadźwięczał telegraf maszynowy i *Chrobry* zaczął zwalniać biegu; szedł już tylko nabytym rozpędem, bo po komendzie *STOP* mający służbę mechanik zatrzymał śrubę. Kapitan rzucił przez tubę rozkaz, by szalupy z *King Johna* podjeżdżały do prawej burt *Chrobrego* a jednocześnie sternik obrócił koło sterowe w lewo. Dzięki temu manewrowi okręt ustawił się poprzecznie do kierunku wiatru i wysoką swoją ścianą osłonił łodzie przed jego podmuchami; spienione fale biły obecnie w lewą burtę *Chrobrego*, wywołując dość silne kołysanie boczne, lecz szalupom łatwiej było dobijać do statku z jego prawej strony.

Niebawem po stopniach opuszczonego trapu zaczęli się wspinać pierwsi z uratowanych

rozbitków, przeważnie kobiety. Niektóre sły jakby w śnie lunatycznym, milczące, obojętne na wszystko, zapatrzone w jakiś nieruchomy punkt. Inne, te które w czasie paniki na *King Johnie* oddzielono od mężów, szlochały bezustannie, rozpaczały, a jedna nawet rzuciła się w morze, przenosząc śmierć nad dozgonną rozłąkę z najbardziej ukochanym człowiekiem; oczywiście wyciągnięto ją z wody i przemocą wyniesiono na statek, ale odgrażała się głośno, że znowu targnie się na swoje życie. — James! Mój James — powtarzała ustawicznie, wyrwijając sobie włosy z rozpacz.

Większość rozbitków była lada jako ubrana, snadź katastrofą zaskoczyła ich w czasie snu, wielu miało odzież w strzępach i liczne zdrapania na rękach czy na twarzy; nietrudno się było domyślić, co przeszli ci ludzie, kiedy na pokładach tonącego *King Johna* zawrzała walka o miejsca w szalupach ratunkowych. A co najmniej połowa ocalonych padła ofiarą chwiejby, która w łodziach szczególnie silnie dała się we znaki i obecnie, jak statek długi i szeroki, rozbrzmiewały przykre odgłosy chorujących.

Nie brakło jednak i radosnych scen, mianowicie gdy członkowie tej samej rodziny, rozłączeni podczas paniki, przebywający dotychczas w różnych szalupach i wzajemnie uważający się za straconych, spotykali się nagle na pokładzie *Chrobrego*; padali sobie w objęcia, szaleli z radości, lecz tym większa była rozpacz tych świadków spotkania, którym podobne szczęście nie przypadło w udziale. A ponad krzyki dzieci, płacz kobiet, jęki chorujących i narzekania mężczyzn wybijał się raz po raz przeraźliwy, rozdzierający szloch: — James! Gdzie mój James!

Koło godziny dziewiątej rano *Chrobry* ruszył w dalszą drogę.

— Dokąd my ich odwieziemy, ciekawym — Jerzy zaczął bosmana wracającego właśnie od kapitana.

— Do Lizbony — odparł zagadnięty. — Dobrze, że cię widzę. Będziesz miał dzisiaj swoją ulubioną robotę — dodał z podejrzanym uśmiechem.

Skrzywił się Jerzy, kiedy wkroczyli do kuchni okrętowej, lecz ani nie pisnął; rozumiał doskonale, że obecność tylu rozbitków na statku handlowym wytworzyła nadzwyczajną sytuację, że już nazajutrz powróci do prawdziwych zajęć marynarza.

Tymczasem bosman konferował z Kliglichem, który kiwał głową z rezygnacją.

— Dobrze, przygotuję śniadanie dla tych nieboraków — rzekł wreszcie. — A ilu ich jest właściwie?

— Z górą czterystu — odparł bosman.

Kucharzowi omal biały czepiec z głowy nie zleciał, widać wszystkie włosy dęba mu stanęły.

— Czterystu?! — wrzasnął. — To muszę chyba w wannach gotować wodę na herbatę, bo takich garnków jeszcze nie mam.

— Gotuj w wannie — parsknął Miazek — byleś ugotował dla wszystkich. Do pomocy przydzielam ci Pawła i jego — tu wskazał na Jerzego. — Mamy tu również czterech stewardów i dwie stewardessy z *King Johna*. Zaraz ich zaprzęgnę do roboty... O obiedzie też pomyśl zawczasu.

— Obiad na czterystu ludzi? — krzyknął znów kucharz. — Ależ to pochłonie połowę naszych zapasów żywności.

— Nie szkodzi. Uzupełnimy je w Lizbonie.

Największa bieda była z naczyniami. Zaledwie po trzydzieści filiżanek i szklanek posiadał Kliglich na swoim gospodarstwie, i taką samą ilość talerzy. Przypomniawszy sobie jednak w porę, że steward Gajda ma w swojej kuchence zastawę na dwadzieścia cztery osoby, polecił więc swoim pomocnikom, aby co najmniej połowę tego dobytku tutaj przenieśli; uważał, że dla kapitana i

starych pasażerów *Chrobrego* jeden tuzin nakryć wystarczy.

Jerzy z Pawłem wymknęli się skwapliwie z kuchni; radzi byli dowiedzieć się bliższych szczegółów o katastrofie *King Johna* z ust ocalonych rozbitków. Tak niezwykle wyglądały dziś pokłady *Chrobrego*. Toteż ze szczerym zadowoleniem skorzystali z krótkiego „urloupu”.

— Takiemu to dobrze — mruknął Paweł zazdrośnie na widok Kobrynia otoczonego gromadą rozbitków. Obiecyświat Kobryń wadał jako tako angielskim językiem i tej okoliczności zawdzięczał przede wszystkim, że pasażerowie z *King Johna* garnęli się do niego tak chętnie. Opowiadał im coś właśnie, posiłkując się żywą gestykulacją, kiedy zoczył Pawelka.

— To jest ten — rzekł głośno, wskazując na niego.

W gnieniu oka otoczyła obydwóch chłopców chmara rozbitków i Paweł stał się przedmiotem serdecznych owacji; kobiety ścisnęły mu dłoń, mężczyźni klepali go przyjaźnie po barkach, aż nagle pochwycili go na ręce i wśród głośnych okrzyków: — Hip! Hip! Hurra! — podrzucili go w górę trzykrotnie.

— Czego oni chcą ode mnie? — spytał zaniepokojony, skoro po owych wzlotach „wylądował” szczęśliwie na pokładzie.

— Powiedziałem im — wyjaśnił mu Kobryń po polsku — że byliby jeszcze długo w szalupach czekali i *Chrobry* byłby popłynął w kierunku fałszywie podanym przez ich telegrafistę, gdybyś ty nie był dostrzegł owej rakiety... Więc oni dziękują ci teraz.

Jeden z pasażerów, starszy, bardzo korpulentny mężczyzna wyjął z kieszeni książeczkę czekową i wieczne pióro, nakreślił słów kilka, wydarł jedną kartkę, wręczył ją Pawelkowi i dłoń mu uściśnął kordialnie.

— Co on mi tu dał, ten grubas? — spytał obdarowany.

Jerzy spojrzął mu przez ramię.

— Czek — powiedział. — Dostałeś czek na pięćdziesiąt funtów szterlingów, czyli około dwóch tysięcy złotych.

— Dwa tysiące! — krzyknął Kobryń, patrząc z podziwem na hojnego ofiarodawcę. — To ci jakiś milioner, a wygląda jak kłown z cyrku.

Spostrzeżenie cieśli było poniekąd słuszne, ów grubasek rzeczywiście wyglądał groteskowo w szlafmocy, w pasiatej piżamie i w jednym trzewiku; drugiego najwidoczniej nie zdążył wciągnąć, za to nie zapomniał o swojej książeczce czekowej.

— Przecież to nie jest pieniądz — mruknął obdarowany podejrzliwie. Musiał mu więc Jerzy wyjaśnić w krótkich słowach, czym są чеки tak ogromnie rozpowszechnione w Anglii i Ameryce, gdzie чеки reguluje się nawet najdrobniejsze rachunki, jak na przykład u rzeźnika czy piekarza.

— W każdym banku w Lizbonie wymienią ci to na banknoty — dodał.

Poszli dalej, w stronę głównego kasztelu okrętu, wszędzie witani oklaskami i okrzykami, gdyż wieść o zasłudze Pawła biegła z ust do ust i wyprzedzała ich w mozolnym pochodzie; bowiem wszędzie kwatrowali rozbitkowie, siedząc na lukach, „karmiąc ryby” przy burcie lub leżąc pokotem na pokładach, należało więc posuwać się ostrożnie, by kogo nie nadepnąć, nie potrącić. Ujrzeni też niedoszlą samobójczyńnię, ową młodą, przystojną kobietę, której mąż musiał wraz z innymi pozostać na pokładzie tonącego *King Johna*, bo dla wszystkich zabrakło miejsc w szalupach ratunkowych. Skamieniała z bólu, stała przy burcie pilnowana przez dwie inne niewiasty i, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po rozfalowanej toni oceanu, powtarzała swoją żalną skargę: — James! Gdzie mój James!

Wtajemniczywszy młodych pomocników w nietrudny kunszt gotowania wody i zaparzania

herbaty, którą stewardzi z *King Johna* roznosili po pokładach, mistrz Kliglich zabrał się do pieczenia chleba w ilościach, jakich mała piekarnia *Chrobrego* nie pamiętała jeszcze. Niebawem zgłosiło się do kuchni na ochotnika sześć Angielek i wśród wesołych nieporozumień na tle wzajemnej nieznamomości języków, zawrzała praca około przygotowania obiadu na czterysta pięćdziesiąt osób, wliczając w to załogę i starych pasażerów *Chrobrego*.

Wybiła właśnie jedenasta, gdy do kuchni wpadł marynarz Tkaczyk.

— Wiecie już? — spytał, zezując łakomie w stronę kielbas.

— Niby o czym? — Kliglich znał tego żarłoka jak zły szeląg, więc, nasrożywszy się, zasłonił sobą kielbasiane pokusy.

— Przyjmujemy na pokład nowych rozbitków.

— Rozstap się ziemi! — jęknął kucharz. — Ilu znów?

— Czterech na razie, ale może więcej takich spotkamy jeszcze.

— Czterech? No, to można wytrzymać — uspokoił się Kliglich, i jął zachęcać przybyłego, by opowiedział najnowsze nowiny.

— Jak się da, to się zrobi. — Wobec takiego ultimatum kucharz zdecydował się dać Tkaczykowi kawałek suchej kielbasy. Dowiedzieli się teraz, że już godzinę temu dostrzeżono z mostka jakiś punkt na morzu, że dzięki lunecie Starbałły rozpoznano z daleka kilku ludzi, trzymających się jakiejś belki, że statek dawno kurs zmienił, że najwyżej trzysta metrów dzieli go od czwórki rozbitków, że porucznik Bulicz już spuszcza na wodę szalupę, że przeprawa będzie trudna, bo morze bardzo niespokojne itd.

— Muszę to zobaczyć — szepnął Pawełek do Jerzego, który także stał, jak na rozżarzonych węglach — nie wytrzymam tutaj.

— Ale co rzec Kliglichowi? — zafrasował się Jerzy.

— Zostaw to mnie. — Paweł podszedł do kucharza i oświadczył mu, że u Gajdy jest jeszcze sporo talerzy, noży, widelców, które tu się przydadzą bardzo przy wydawaniu obiadu na tylu ludzi.

— A czemuście od razu ich nie przynieśli?

— Była mowa tylko o filiżankach i szklankach — wykręcił się młody urwis, mrugając porozumiewawczo na Jerzego.

— No to idźcie, a długo mi tam nie siedzieć.

Wypadli z kuchni jak dwie kule wystrzelone z obu luf dubeltówki. Nie potrzebowali ani pytać, ani szukać wzrokiem owych czterech rozbitków. Co żyło, tłoczyło się przy prawej burcie, spoglądając na morze, gestykulując i okrzykami dodając otuchy owej czwórce. Ci zaś, którzy w katastrofie *King Johna* stracili kogoś z najbliższych, odchodzili od zmysłów; niemożność rozpoznania gołym okiem kim są ci czterej wybrańcy losu, owa straszliwa niepewność wytrąciła z równowagi ducha spokojnych i znanych z zimnej krwi Anglików. — Lometkę! — krzyczeli jedni przez drugich. — Na miłość boską, dajcie nam szkła! Czy nie ma na statku ani jednej lornety?

— Proszę o spokój! — zahuczał przez tubę władczy głos Starbałły. — Hałas utrudnia nam akcję ratunkową.

— Oni mają na sobie kamizelki ratunkowe — mruknął Jerzy. Nie mogąc się docisnąć do burty, wszedł pod żelaznej drabince na ocembrowanie luków świetlnych oddziału maszynowego. Dzięki tej okoliczności widział znacznie więcej niż tamci z dołu. Dojrzał też hen w oddali małeńki, ciemny przedmiot, prujący wodę niby nóż, pionowo do powierzchni morza ciągnięty przez niewidzialną rękę.

— Tak musi wyglądać peryskop łodzi podwodnej — wyobrażał sobie w swej naiwności.

Tymczasem Witold Bulicz klął na czym świat stoi. Pasażerowie z *King Johna* utrudniali mu robotę mimowolnie, część majtków zawieruszyła się gdzieś, korzystając z ogólnego zamieszania spowodowanego tak liczną inwazją osób obcych, i spuszczenie szalupy na morze nie szło tak gładko, jak iść powinno. Już dawno poroznoszono po pokładzie klubociągi, przeprowadzono je przez kanińsbloki, odwrócono szlupbelkę, to jest jeden z dwóch słupków żelaznych, które stoją po obydwóch końcach szalupy na okręcie i służą do windowania łodzi. Jedną odwrócono, lecz druga szlupbelka zacięła się fatalnie, choć przymocowany do jej głowy łańcuch zwany baksztagiem przeżył się jak naciągnięta struna.

— Prędej tam! — ryknęła tuba kapitana z mostka.

— Pomóżcie nam — krzyknął Bulicz po angielsku.

Kilkunastu marynarzy z *King Johna* wspięło się szybko na wyższy pokład, a wraz z nimi Jerzy. Przyskoczyli do łodzi i po kilku wysiłkach jej uparta rufa także wyjechała poza burty *Chrobrego*; szalupa ratunkowa zawisła więc nareszcie ponad wodą i reszta roboty poszła *aż miło*. Kobryń stanął w pośrodku łodzi. Kiedy zaczęto ją w dół opuszczać, pochylił się mocno ku burcie okrętu, odpychając się od niej rękami z całej siły, aby złagodzić tarcie; łódź posiadała wprawdzie zewnętrzny brzus ochronny, ale burcie *Chrobrego* groziło oszpecenie przez zdrapanie farby. Prócz Kobrynia wskoczyli do szalupy Skowronek, jeden angielski marynarz i bynajmniej tam nie zaproszony Pawelek. W tym komplecie zjechali powoli na wodę.

— Jeszcze ośmiu — rzekł Bulicz.

Rzucili się na wyścigi ku szkientłom; szkientle są to liny ze śródwężłami przymocowane do szlupbelki i luźno zwisające ku szalupie. Dwie tylko były, więc jedni przynaglali drugich, a najwięcej gardłowali tamci trzej towarzysze Kobrynia, lękając się, by fła nie rozbiła łodzi o bok statku.

— Cisz! — krzyknął Witold Bulicz, grożąc pięścią. — Gęby na kłódkę! Nie zacie regulaminu?

Jerzy przeliczył jednym rzutem oka majtków, schodzących po szkientlach. Siedmiu ich było, wliczając w to dwóch angielskich marynarzy.

— A ósmym jest Bulicz. Ja zostanę — myślał z żalem. I omal nie magnął kozła z radości, kiedy go Bulicz popchnął w stronę szlupbelki, mówiąc: — Żwawo, chłopcze. Ośmiu ludzi, powiedziałem.

Bez pomocy nóg zjechał po linie do szalupy, a tuż za nim Bulicz.

— Wy, smyki na drugą ławkę — polecił Kobryń. Sam wraz ze Skowronkiem, obaj uzbrojeni w bosaki, zajęli przednią ławkę, najbliższą dziobu szalupy. Bulicz usiadł przy sterze, pozostali marynarze usadowili się parami na innych ławkach, najsilniejsi na środkowych, bo tam są wiosła najdłuższe, więc i praca najcięższa.

Jerzy, tyłem zwrócony do dziobu łodzi, miał z wyjątkiem Kobrynia i Skowronka wszystkich towarzyszy przed sobą, mógł więc naśladować ich pozycje i ruchy; na razie siedzieli z nogami złożonymi razem, z rękami na kolanach. Ale już padła komenda: — Wiosła gotuj! — a po chwili: — Odbij!

Bosakowi odepchnęli łódź od burty statku i dziób łodzi, odlepiwszy się od ściany *Chrobrego*, zatoczył łuk, zwrócił się w stronę czterech rozbitków przyczepionych kurczowo do zbawczej belki.

— Naprzód!

Naśladując innych, wiosłował Jerzy powoli, a mocno, w regulamnych odstępach, w miarę, jak

z ust padały słowa komendy: — Raz... dwa... Raz... dwa... Raz... dwa... — Na raz tułów wiosłarza pochylał się wprzód, a wyciągnięte ręce odpychały jak najdalej rączkę wiosła osadzonego na widelkach, dzięki czemu łopatką wiosła wybiegała ku dziobowi łodzi. Na przeciągłe *dwa...* wiosłarze opuszczali łopatki pionowo na wodę, odrzucali korpus wstecz, a przechyliwszy się, także i ręce, dotychczas sztywno wyprostowane, zginali w łokciach.

Przecinając dwumetrowe fale, oddalali się od okrętu dokładnie pod kątem prostym. Dzięki temu Jerzy widział świetnie cały profil *Chrobrego* i pierwszy z załogi szalupy zauważył oznaki wielkiego wzburzenia wśród pasażerów z *King Johna*; załamywali ręce, potrząsali nimi nad głową i najwidoczniej byli czymś wstrząśnięci do głębi. Wtem potężny, zbiorowy okrzyk targnął powietrzem i zmroził krew w żyłach wiosłarzy, a cóż dopiero mówić o czwórce nieszczęsnych rozbitków:

— REKIN!!!

Bulicz zerwał się z ławki. Nie wypuszczając z dłoni steru, pozostał już do końca w stojącej pozycji.

— Na Boga! — krzyknął. — Prędeż, chłopcy! Raz... dwa... Raz... dwa... Raz... dwa! Raz... dwa! Raz... dwa! Raz, dwa! Raz, dwa! — przyspieszał tempo, podnosząc głos i wybijając takt uderzeniami wolnej ręki o poręcz.

Pracowali zaciekle, aż dulki jęczały, aż trzony wiosel się gięły. Pot ściekał z czoła, serca waliły jak młoty, ramiona omdlewały wyczerpane szaloną szybkością zrywów, lecz cóż to wszystko znaczyło wobec przeświadczenia, że tamtym nieszczęśnikom zagraża potworne niebezpieczeństwo. Owi zaś albo dosłyszeli okrzyki z parowca, albo sami już dostrzegli strasliwego nieprzyjaciela, bo nagle zabrzmiały rozdzierające wołania o pomoc:

— Help! Help! Ratujcie!

Fale szły od tyłu, dopędzały szalupę, podnosząc najpierw jej ruń. I kiedy większy grzywacz dźwignął łódź na swoim grzbiecie, Jerzy obejrzał się szybko. Zdrętwiał. Charakterystyczna płetwa rekina, którą na statku przyrównywał do peryskopu łodzi podwodnej, była niemal równie blisko czterech skaźców jak ich szalupa.

— Prędeż! Na Roga prędeż! — krzyczeli ci ze statku.

— Raz, dwa! Raz, dwa! Raz, dwa! — Bulicz wpatrzony w złowrogą płetwę, ani na chwilę nie zwolnił komendy.

— Help! Heelp!

Jakże straszne chwile musieli przeżywać ci ludzie. Cudem ocalili, gdy tonął *King John*, a przepelnione szalupy ratunkowe odplynęły, cudem uniknęli wielu niebezpieczeństw, jakie kryje ocean, cudem zostali spostrzeżeni z pokładu *Chrobrego*, a teraz, gdy mogli się już uważać za ocalonych, zjawiał się rekin!

Siedzący obok Jerzego Paweł, którego myśli płynęły snadź równoległym korytem, wyszeptał ze zgrozą:

— Czemu ich nie pożarł, zanim ujrzeli nasz statek; lżejszą mieliby śmierć, niżli teraz.

— Raz, dwa! Raz, dwa! Raz, dwa! — Mordercze tempo trwało w dalszym ciągu, wyczerpując doszczętnie siły wiosłarzy.

— Heeeeelp!

Taktyka Bulicza zaniepokoiła widzów na statku.

— Dlaczego on skręca. Czemu nie zwalnia — zapytywali jedni drugich w zdenerwowaniu. Kilka kobiet zemdlało, wiele zakryło oczy, nie chcąc patrzeć na to, co teraz nastąpi. Gdyż płetwa

rekina ukazała się w odległości może pięciu metrów od belki, podtrzymującej czterech oszalałych z przerażenia rozbitków. Ukazała się warknął, znieruchomiała na chwilę i powoli zaczęła się zanurzać.

— Teraz zaatakuj! — warknął Starbała, śledzący tę scenę przez lometkę. — Ach, o minutę za późno! O minutę, psiakuś!

— Uwaga! — ostrzegł Bulicz swoich. Pchnął rękojeść steru aż do poręczy, rozpędzona łódź przechyliła się na skutek siły odśrodkowej i wpadła w brudę międzyfalową oddzielającą rekina od jego ofiar. Groźny korsarz móż zglupiał na widok łodzi, odskoczył wstecz na kilkanaście metrów, lecz równocześnie fala odsunęła belkę od szalupy. Wyciągnąć z wody rozbitków było zadaniem wcale trudnym już ze względu na stan morza, a tu w dodatku komplikowała sytuację obecność rekina, który wprawdzie coñął się trochę, ale bynajmniej z łowów nie zrezygnował.

— Wy z dziobu obserwujcie go — krzyknął Bulicz, w stronę pierwszych dwóch ławek. — Ja się zajmę tymi nieborakami.

Od tej chwili całą uwagę skupił na rozbitkach, pozostawiając rekina „łaskawej pamięci” Kobrynia, który natychmiast ujął za bosak i, rozkraczywszy się, stanął w bojowej pozycji.

— Wstrzymuj! — padła komenda.

Wiosła znieruchomiały.

— W tył! Raz, dwa! Raz, dwa!

Wiosłowali teraz w odwrotną stronę, gdyż rozpędzona szalupa Wybiegła zbyt daleko i na chwilę odsłoniła przyklepionych do belki rozbitków. Rekin stracił najlepszą sposobność do wykonania ataku, lecz sytuacja pozostała nadal niewyjaśniona. Szalupa nie mogła swobodnie manewrować, a równocześnie kryć przed czyhającym ludojadem jego niedoszłe ofiary, zaś silne fale raz przybliżały, to znowu odsuwały ową belkę od łodzi. Kiedy obie dzieliło około pięć metrów, Bulicz zdecydował się rozpocząć właściwą akcję:

— Płyńcie do nas — krzyknął po angielsku. — Po jednym.

Musiał ze trzy razy powtórzyć te słowa, zanim najśmielszy z rozbitków odważył się puścić belkę i ruszyć wplaw ku szalupie.

— Podać mu wiosło, Tkaczyk.

Tkaczyk siedział na środkowej ławce i wiosło miał najdłuższe. Wyciągnął je szybko w stronę płynącego i w pół minuty później pierwszy z owej czwórki znalazł się szczęśliwie w łodzi.

To zachęciło pozostałych. Niestety zamiast po jednym, porzucili belkę wszyscy trzej równocześnie i razem zaczęli płynąć w kierunku swoich zbawców. Pierwszy sunął czałem, drugi na boku, trzeci wymachiwał rękoma jak młody psiak przez złych chłopców wrzucony do stawu. Musiał być prawdziwym „szczurem lądowym”, albo też osłabł ogromnie po niemal dwunastogodzinnym pobycie w morskich nurtach, bo przebywszy najwyżej dwa metry, rozłożył ręce bezradnie; gdyby nie podtrzymująca go kamizelka ratunkowa, byłby utonął bez wątpienia.

— Rekin! — krzyknął Kobryń ostrzegawczo.

Łłowroga płetwa zanurzała się właśnie. Jerzy widział to i wiedział, że korsarz oceanów przypuści teraz atak. Mając paszczę osadzoną nisko i głęboko u spodu trójkątnej łba, rekin w chwili ataku odwraca się czasem grzbietem w dół, aby móc pewniej pochwyć swoją ofiarę.

Z szalonym pośpiechem wciągano do łodzi tamtych dwóch rozbitków, będących dobrymi pływakami. Lecz ten ostatni był w strasliwym niebezpieczeństwie. Już raz łopatka wiosła wysunęła mu się z palców zgrabiących, więc przytomny Tkaczyk odrzucił wiosło, a wyciągnął bosak.

— Prędeż! — ryknął Bulicz.

W tym samym momencie Jerzy, siedzący przy prawej burcie, więc po tej stronie, gdzie

przedtem było widać sterczącą pletwę, dostrzegł w wodzie białą masę znikającą pod dnem szalupy.

— Pilnuj! — wrzasnął, wskazując miejsce, w którym dojrzał jasne podbrzusze rekina. — Rekin! Tu!

Tkaczyk szarpnął bosak. Rozbitek podjechał do burty łodzi, uderzył w nią głową, stracił czucie, rozwarł palce, wczepione w mokre drzewo. Dwaj marynarze angielscy w samą porę pochwycili go pod pachy. Pawełek zerwał się na równe nogi.

— Trzymać go! — zacharczał Bulicz. Dostrzegł właśnie wynurzający się spod szalupy trójkątny łeb. Przemknęła mu przez głowę myśl, że nic nie ocali nóg nieszczęsnego rozbitka przed okrutną amputacją. — Byle go nie wypuścili, byle nie umarł z upływu krwi — myślał, pocieszając się w duchu, że może rekin chwyci zdobycz bardzo nisko i tylko stopy Anglikowi odetnie. — Lepsze takie kalectwo niż śmierć. — Przeprowadziwszy całe to rozumowanie w ułamku sekundy, powtórzył swój okrzyk: — Trzymać mocno!

Wypadki i okrzyki następowały po sobie w tempie błyskawicznym.

— Pomóż! — syknął jeden z tych, którzy wyciągali z wody omdlałego.

Tkaczyk, nie mogąc się dopchać, pochwycił go za włosy.

— Masz, bestio! — pisał Pawełek i z takim zamachem wbił wiosło pionowo w wodę, że omal nie wyleciał za burtę; na szczęście Jerzy czuwał nad młodym sąsiadem i w samą porę uchwycił go za pasek.

Otwarta paszcza rekina muskała już nogi zemdlonego uciekające szybko w górę, gdy wtem coś twardego wjechało w nią bardzo głęboko, aż do gardzieli nieomal. Wiosło w dłoni przytomnego Pawełka zadygotało podejrzenie, chrupnęło i wyskoczyło nad wodę, ucięte w połowie długości trzonu. Druga połowa została w paszczy ludojada zamiast nóg rozbitka, który w ten sposób jakby cudem uniknął potwornego okaleczenia.

Burza oklasków zerwała się na pokładach *Chrobrego*, gdy dostrzeżono tam, że cała czwórka rozbitków znajduje się w szalupie. Lecz ludzi Bulicza czekała jeszcze ciężka przeprawa w powrotnej drodze do statku, kiedy musieli płynąć pod wiatr, pod fale, które przedtem ich z tyłu popychały. Szalone tempo wiosłowania podczas wyścigu z rekinem i denerwujące epizody ratowniczej akcji wyczerpały wioślarzy, zwłaszcza młodszych. Paweł ledwie już ruszał rezerwowym wiosłem, Jerzemu ramiona omdlewały ze zmęczenia, a szalupa stała się cięższa o ładne paręset kilo. Bowiem w trakcie wyciągania rozbitków stała bokiem zwrócona do fali i w tym czasie sporo wody wlało się do jej wnętrza.

— O, Boże! Zatonimy! — krzyknął Paweł, gdy przy spotkaniu z potężnym grzywaczem nowa kaskada wody przelała się przez dziób łodzi, urządzając hojny prysznic wioślarzom z pierwszych ławek.

— Nie ma strachu — rzekł Kobryń, otrząsając się jak pudel po kąpieli. — Nie zatonimy, choćby woda sięgała nam wyżej pasa. Od czego mamy komory powietrzne.

Kobryń miał słuszność. Każda szalupa ratunkowa posiada w rufie, w dziobie oraz wzdłuż burt cały szereg jak gdyby skrzynek, wypełnionych powietrzem i dobrze uszczelnionych. Dzięki nim łódź nie utonie, chociażby ją woda zalała aż po poręcz burt.

W pewnej chwili o dno szalupy otarło się coś z nieprzyjemnym szmerem i tuż za burtą wychynął z wody groźny łeb rekina.

— A to zuchwała sztuka — zawołał z podziwem Bulicz. — Musi być dobrze wygłodzony.

— I musimy się pilnować przy podnoszeniu szalupy — dorzucił Kobryń. — Liny mogą nie wytrzymać takiego ciężaru.

Pilnowali się więc, pamiętając o bliskiej obecności ludojada, który wciąż krążył w pobliżu, nie mogąc się snadź pogodzić z myślą, że zdobycz mu się wymyka. Z burty *Chrobrego* spuszczone szotmtrapy. Mimo zmęczenia marynarze i ocaleni rozbitkowie pieli się zgrabnie po tej spadzistej i ruchliwej drodze, z wyjątkiem mężczyzny, któremu Paweł życie ocalił. Ocucono go jeszcze w łodzi, lecz był tak osłabiony, że nie mógł ustać na nogach. Obwiązano go więc liną i wywindowano na statek jakby jaki pakunek.

Na koniec pozostało w szalupie tylko dwóch ludzi, Kobryń i Skowronek. Tych podniesiono wraz z szalupą, ale, na polecenie Bulicza, musieli się trzymać szkientli; zachodziła bowiem obawa, by liny nie pękły pod ciężarem łodzi na pół wodą zalanej, a z drugiej strony, przy takiej fali niebezpiecznie było przedłużać postój szalupy przy burcie statku i tam płynny balast wyrzucać.

Na szczęście obyło się bez przykrych niespodzianek, wyciągnięta szalupa stanęła na swoich legarach, gdzie, po wylaniu wody, miano ją nakryć brezentem. Jerzy zamierzał właśnie pobiec do kubryku i zrzucić przemoczone ubranie, gdy posłyszał głośne okrzyki i odgłosy płaczu. Zaciekawiony, przecisnął się zżęcznie przez tłum pasażerów z *King Johna*. Na leżakach odpoczywali czterej ocaleni, przyjmując szczerze gratulacje od wczorajszych towarzyszy podróży. Jeden z nich spotkał tu swoją matkę, drugi dwoje dzieci, więc nie było końca objawom radości. A na ostatnim leżaku siedział rozbitek, który cudem uniknął śmierci w paszczy rekina; teraz trzymał w objęciach ową niedoszlą samobójczynię, szlochającą obecnie ze szczęścia i powtarzającą w kółko głosem bardzo wzruszonym: — O, James! Mam cię znowu, mój James najdroższy.

Ocaleni przez szalupę Bulicza zeznali wobec Starbałły, że zanim *King John* pograżył się w nurtach oceanu, około czterdziestu pasażerów niezabranych przez szalupy wskoczyło do wody, uzbroiwszy się w pasy ratunkowe...

— Jeszcze o świcie widziałem trzy grupy towarzyszków niedoli. Wiatr czy też prąd wody znosił ich w kierunku południowo-wschodnim i po jakimś czasie zniknęli nam z oczu — opowiadał ów James.

— Proszę tę wiadomość natychmiast zakomunikować wszystkim statkom płynącym wzdłuż brzegów Portugalii — polecił kapitan Buliczowi; ten pospieszył do Kołodki, mającego dziś pracowity dzień. — A swoją drogą my także musimy się rozglądać po morzu. Hm. — Starbałła strzelił palcami i dodał jeszcze: — Potrzebuję majtka, na którym można by polegać w zupełności.

— Może bym tak ja, panie kapitanie — ofiarował się Skowronek, sądząc, że chodzi o jakąś wygodną misję.

— Ach, właśnie — parsknął wesoło kapitan — żebyś mi zasnął na marsie i zleciał na leb.

— Paweł spał się dziś najlepiej — wtrącił Dulski — jest prawdziwym bohaterem dnia. Niech pan spojrzy, jak go ci Anglicy honorują.

— Niechże wiec bohater odpoczywa na laurach parę godzin. A tymczasem... — tu wzrok mówiącego spłynął na niższy pokład i zatrzymał się na sylwetce Jerzego. — Rawski, do mnie!

Wezwany popędził na mostek, co tchu. Tak rzadko tu bywał, tak pragnął, by mu pozwolono wyręczyć śpiocha Skowronka.

— Obiad jadłeś? — Gdy dał potwierdzającą odpowiedź, kapitan rzekł: — Zatem włącz na mars fokmasztu, stój tam, póki cię nie odwołam i rozglądaj się dobrze po morzu. Skoro dostrzeżesz jakiego rozbitka, daj znać natychmiast... Czekaj! Weźmiesz moją lometę.

Bocianie gniazdo nie jest *przyjemnym lokalem*, jak żartobliwie nadmienił Starbałła, gdy wręczał chłopcu swą doskonałą lometę zeissowską. Pomimo to Jerzy był w siódmym niebie; z wyżyn nowego posterunku ogamiał wzrokiem cały statek od dziobu do rufy, nawet mostek miał pod

sobą i szczyty kominów, i lby najdłuższych nawiewników. Stosownie do otrzymanych przestróg przywiązał się do górnej części masztu zwanej stengą, jeśli maszt jest drewniany i złożony z kilku części. Przywiązawszy się w pasie, miał obie ręce wolne i nie musiał się lękać skutków nieuwagi, fałszywego kroku itp. Lometę zawieszoną na szyi podnosił często ku oczom, badając skrupulatnie horyzont, jednak stale z tym samymi skutkiem; widnokrag był pusty.

Po dwóch godzinach takiego czuwania sprzyrzyło się chłopcu monotonne zajęcie. Odwrócił się więc, spojrział w stronę rufy *Chrobrego*, a potem przesunął wzrok wzdłuż jego kadłuba; przelotnym spojrzeniem omiótł pokłady statku tak dzisiaj zaludnione i gwarne, zerknął na mostek, aż zatrzymał się na dłużej przy spardecku. Tam na leżakach wygrzewali się właściwi pasażerowie *Chrobrego*, łysy Wójcicki, mały Stanisławski, brodaty Tintenfass, Polańscy, panna Szczotkówna i inni. Prócz Marysi Śląskiej. Po dłuższej chwili dostrzegł i ją. Stała na uboczu oparta o poręcz burty, zapatrzona w dal, zadumana.

— Ta zawsze musi się trzymać z daleka od ludzi — mruknął Jerzy, jakby niechętnie, lecz owa niechęć nie zmniejszyła się bynajmniej, gdy młodszy Tintenfass podszedł do Marysi z piłką i razem zaczęli się bawić. Śmieszna uroza, iż sympatyczny *urwipolec* okazał się przebraną dziewczyną, zdołał sobie Jerzy nareszcie wybić z głowy, lecz pozostało uprzedzenie.

U szczytu schodków wiodących na spardek ukazał się Kobryń, a za nim garść majtków. Wszyscy nieśli rulony grubego płótna, zaś na samym końcu tego orszaku postępował Pawelek.

— Aha, będą rozpinać tenty — domyślił się Jerzy. Jakoż ludzie Kobrynia rozwinęli pierwszy rulon, pomedytowali nad nim przez chwilę lub może znaków szukali i niebawem odkryte pokłady zaczęły znikać pod płóciennym daszkiem, chroniącym ludzi i deski przed palącymi promieniami afykańskiego słońca. — To czuć, że zbliżyliśmy się do Afyki — sapnął Jerzy; mimo silnego przewiewu, upał dawał mu się dobrze we znaki na tym wysokim, niczym nie osłoniętym posterunku.

Znowu spojrział w stronę Marysi i zmarszczył brwi bezwiednie. Stała obecnie z Pawłem. Młody Tintenfass kręcił się po przednim pokładzie, pochylał się, ręce rozkładał, niewątpliwie szukał zaginionej piłki. A tamci dwoje gawędzili w najlepsze, uśmiechali się do siebie... tak, uśmiechali się, Jerzy patrzył na nich teraz przez lometkę! I widział doskonale!

— Ten próżniak zapomniał o swojej robocie — sarknął bardzo niezadowolony. Patrzył dalej. Pawelek obejrzał się w stronę Kobrynia, potem wyciągnął dłoń do Marysi. — Także mi gentleman, co pierwszy rękę wyciąga, rozmawiając z kobietą — zachnął się obserwator z bocianiego gniazda fokmasztu. Irytująco długo trwał uścisk rąk, jakim żegnali się ci dwoje na spardecku. Strasznie długo! — Bohater dnia! — warknął Jerzy i coś ukłuło go w serce boleśnie.

Wzdrygnął się, wzruszył ramionami.

— Jestem zazdrosny — zdał sobie sprawę. — To przecież śmieszne. Przecież potrafiłbym się zdobyć na to, czego on dziś dokazał, byleby się okazja nadarzyła.

Znowu podniósł lometę ku oczom, znów spojrział w tę samą stronę. Pawelek jeszcze trzymał dłoń Marysi, nagle pochylił się nisko, pocałował ją w rękę i popędził do Kobrynia.

Jerzy aż się zasapał z oburzenia.

— Jak on śmiał?! — wyrwało mu się z zaciśniętych ust.

Z kabiny nawigacyjnej wyszedł Starbałła. Przejechał wzrokiem po horyzoncie, potem ujął w dłoń tubę krzyknął w stronę bocianiego gniazda na fokmaszcie: — I co tam? Nic nie widać? — Dobrze, że na taką odległość nie mógł dojrzeć rumieńców wstydu, jakie zabarwiły policzki chłopca, gdyż byłby od razu poznał, że Jerzy zapomniał o swoich obowiązkach i o ciężkiej nań

odpowiedzialności za życie nieszczęsnych rozbitków zabłąkanych na wodnej pustyni.

Od tego momentu Jerzy ani razu już nie spojrział na spardek. Z łomętą przy oczach badał sumiennie ruchliwą toń morza, szukał cierpliwie rozbitków i pragnął ich dostrzec. Pragnął tego gorąco zarówno dla ich dobra jak i we własnym interesie. Marzyły mu się nowe przygody, wyprawy szalupą, walki z rekinami i bohaterskie wyczyny, które pozwoliłyby jemu odznaczyć się tak, jak się dzisiaj Pawełek odznaczył, albo i lepiej.

Koło godziny siedemnastej zaalarmował mostek. Dokładnie przed dziobem *Chrobrego*, lecz bardzo daleko, niemal tam, gdzie olbrzymi kłosz stropu niebieskiego wspierał się na obwodzie rozległej misy oceanu, dostrzegł jakiś punkt ciemny. Wiadomość o tym odkryciu zelektryzowała cały statek, niestety okazało się niebawem, że był to tylko pas ratunkowy. Pusty pas.

W jakiś czas potem Pawełek zluźował Jerzego.

— Nie wiedzieć po co mam tutaj sterczeć — rzekł, skoro stanął na marsie. — Przecież wiadomo już, że tamtych wyłowił niemiecki statek. Po kiego licha więc mam tu jeszcze oczy wytrzeszczać — narzekał, odbierając kapitańską łomętą — są chyba przyjemniejsze zajęcia.

— Oczywiście — odparł Jerzy z przekąsem — na przykład rozmowa z panną Ślaską i obcałowywanie jej rąk z wdziękiem niedźwiedzia! — Powiedziawszy to, zsunął się zręcznie na pokład po linie, pozostawiając Pawła osłupiałego i niezadowolonego, że ktoś trzeci był świadkiem jego rozmowy z małą pasażerką na gapę...

¹ dictum (łac.) – powiedzenie; wypowiedź; uwaga.

Rozdział X ATLANTYDA

Dopiero w nocy przybył *Chrobry* do Lizbony i zatrzymał się w awanporcie. Jerzy sądził, że zwiedzi choćby z grubsza stolicę Portugalii, a zarazem jej największe miasto łagodnymi tarasami opadające ku zatoce, przystrojone licznymi pióropuszcami palm i wyglądające tak malowniczo o wschodzie słońca. Niestety zabrakło czasu na to. Zaledwie wylądowano rozbitków z *King Johna*, zaczęła się nowa robota, mianowicie szorowanie pokładów i uzupełnianie zapasów żywności mocno nadwyrażonych przez wczorajszych czterystu nadprogramowych pasażerów. Witold Bulicz, *szeft prowiantury*, wyruszył do miasta po zakupy, dobrawszy sobie na doradcę kucharza Kliglicha i do pomocy dwóch majtków, Tkaczyka i Pawła. Ponieważ zaś *Chrobry* nie przybił do właściwego mola, lecz pozostał w przedporciu, więc wszystkie te zapasy trzeba było dowozić do statku szalupą, a do załogi tej szalupy zaliczono właśnie i Jerzego. Tak więc nawiosłował się, aż mu bąble wyskoczyły na dłoniach, nażęglował się do znużenia po szerokiej delcie rzeki Tag, czyli Tejo, a właściwie po zatoce lizbońskiej połączonej z oceanem bardzo szerokim kanałem (Entrada de Tejo), ale miasta zupełnie nie zwiedził.

Zmierch już zapadał, gdy Bulicz powrócił na statek wraz z kucharzem.

— A gdzie tamci dwaj się zawieruszyli? — spytał Starbałła, marszcząc brwi groźnie i spojrzal na zegarek. — Za pół godziny przybędzie pilot.

— Naszych pasażerów także jeszcze nie ma — wtrącił Dulski.

— Jak to? Nie ma ich? Sam widziałem, jak wchodzili po trapie.

— Ale nie wszyscy. Panów Wójcickiego i Stanisławskiego nie ma tu na pewno. Możemy sprawdzić.

— Pozwólcie panowie — wmieszał się Bulicz — zaraz wszystko wyjaśnię. Nasi dwaj pasażerowie siedzą w kawiarni, widziałem ich, rozmawiałem i przyrzekli mi, że za dwadzieścia minut przyplyną tu *lanszq*.

— Nieźle ich przewoźnik oskubie — mruknął Dulski. — Znam ja Portugalczyków.

— A nasi dwaj marynarze? — spytał niecierpliwie kapitan.

— Pilnują trzystu butelek wina i...

— Co takiego?! — wrzasnął Starbałła. — Pan zakupił osiemset litrów tutejszego wina? I w dodatku we flaszkach? Panie Bulicz!

— Ależ bynajmniej nie kupilem. Niech mi pan kapitan pozwoli skończyć.

— Słucham.

— To wszystko sprawa naszych wczorajszych pasażerów.

— Oni już więcej sprawek mają na sumieniu — przerwał znów Starbałła, uśmiechnął się i napuszył. — W południe przysłali nam tu na kark zgrają reporterów, fotografów, robiono ze mną wywiad, zdejmowano mnie i statek na wszystkie boki, hm, tego, owszem. Mają to opisać w gazetach i zamieścić nasze podobizny. Ha, trudno, nie mogłem się opędzić — wzdychał obłudnie, bo w gruncie rzeczy był bardzo zadowolony, że jego nazwisko stanie się znane i popularne. — Czemu pan umilkł? — huknął znieca na Bulicza. — Czekam. Cóż dalej z tym winem?

Witold Bulicz wznosił oczy ku gorącemu niebu; brał je na świadka, iż cierpi niewinnie.

— Powiem krótko — rzekł. — Ocaleni przez nas pasażerowie z *King Johna* zrobili składkę i chcieli mi wręczyć tę kwotę. Naturalnie odmówiłem; powiedziałem, że nie dla pieniędzy ratowaliśmy rozbitków. Wówczas te uparte Angliki zakupiły za całą sumę trzysta butelek najlepszego wina, bezlik łakoci, owoców, drobnych upominków, znieśli to wszystko do przystani i już umawiali się z przewoźnikami o przewiezienie tego kramu na statek, kiedy nadszedłem. Poleciałem im zaczekać, aż pan kapitan sam zadecyduje...

— Hm, hm. No, a jakby pan postąpił na moim miejscu? — spytał chytry Starbała, zwracając się do Dulskiego; wiedział, że Dulski lubi dobre wino, toteż nie miał żadnych wątpliwości, jaką posłyszysz odpowiedź.

— Skoro te prezenty już kupione, zapłacone, prawie przywiezione i... i... dla nas przeznaczone, to grzechem byłoby to w morze wyrzucać; tak uważam. Trzeba by naturalnie wziąć wino pod klucz i wydawać załodze w małych dawkach, żeby się ktoś nie upił...

— Właśnie, właśnie — potakiwał Starbała, zezując żartobliwie w stronę Dulskiego — żeby się ktoś nie upił. A zatem — wrócił się do czekającego Bulicza — proszę wykonać ściśle rozkaz pana Dulskiego, który oczywiście przyjmuje za niego pełną odpowiedzialność! No, do widzenia.

— Ja? Odpowiedzialność? — Pierwszy oficer zaczął protestować, lecz szczywany Starbała już wkroczył do kabiny nawigacyjnej i drzwi za sobą zatrzasnął.

Tak więc szalupa raz jeszcze odplynęła do brzegu i w niespełna pół godziny później zawróciła, objuczona darami wdzięcznych rozbitków. Jerzy, znalazłszy się naprzeciw Pawła, którego przez cały dzień nie widział, zagadnął go, czy zrealizował w banku ów czek na pięćdziesiąt funtów szterlingów.

— Owszem.

— I zdążyłeś już wydać część pieniędzy, jak widzę — ciągnął dalej Rawski, wskazując podłużny pakunek leżący w poprzek kolan młodego majtka. Paweł zaczerwienił się aż po uszy, szybko ukrył pakunek za plecami i, rzuciwszy Jerzemu nieprzyjazne spojrzenie, odparł szorstko:

— Co cię to obchodzi; wolno mi robić ze swoimi pieniędzmi to, co mi się żywnie podoba. — Na tym urwała się ich rozmowa.

Nazajutrz życie na statku potoczyło się dawnym trybem. Ani na morzu, ani na okręcie nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Lizbona, którą opuścili ubiegłego dnia koło dziewiątej wieczorem, dawno zniknęła za rufą; płynęli teraz ku Maderze, przecinając drogę licznym statkom, zdążających w stronę Cieśniny Gibraltarskiej lub stamtąd idącym.

Za to moc sensacji zawierały czasopisma, zakupione w Lizbonie przez pasażerów *Chrobrego*. Niestety Jerzy, jako zwyczajny majtek nie mógł korzystać z tej lektury w dzień powszedni. Dopiero na niedzielę miał przyręczoną porcję dzienników i tygodników ilustrowanych, a niedziela wypadała już pojutrze.

— Ba, ale wtedy będziemy właśnie w Funchal — przypomniał sobie i od razu stracił nadzieję, by w najbliższą niedzielę miał czas i ochotę do czytania gazet; wiedział, że zwiedzenie głównego miasta malowniczej Madery będzie bądź co bądź większą pokusą niż najciekawsza lektura.

W południe wciągnął go Bulicz do oficerskiej mesy. Michał Ciuńdziewicki, trzeci oficer pokładowy i trzeci mechanik Jan Dumania, popularnie *Nawiewnikiem* przezywany, kończyli pospiesznie jeść obiad, gdyż za kilka minut rozpoczynała się ich wachta. Wyszli też niebawem, luzując Dulskiego i Zielińskiego, którzy snadź wygłodzeni, nie dali na siebie długo czekać.

— Oho — krzyknął pierwszy oficer, wkraczając do mesy. — Kominiarze już wysączyli świeżą butelkę.

— A co, mam sobie żałować? — odparł Gąsiorowski. — Mam czekać aż wy, szlifbruki wytrąbicie wszystko?

Dulski polecił stewardowi przynieść nową flaszkę z zapasu podarowanego załodze *Chrobrego* przez pasażerów z *King Johna* i kieliszek dla Jerzego. Rawski wymawiał się, że nie pije, lecz niewiele to pomogło.

— Jaksz wlał między wrony, musisz krakać jak i ony — orzekł Gąsiorowski, trącając swoją szklaneczką kieliszek gościa. — Najpierw skosztuj, potem zobaczymy, czy się będziesz wykręcał. To jest, uważasz, *madera*! Nie jakiś tam cienkusz algierski, ale stara *madera*! Porządni ludzie z tych Anglików — rozczulił się. — Takich rozbitków to bym z przyjemnością trzy razy na dobę z wody wyciągał.

— Obawiam się, że pana trzeba będzie do wody wciągać dzisiaj; na przykład pod dobry prysznic! — mruknął Dulski, przysuwając do siebie nowo rozpoczętą butelkę.

Bulicz skierował rozmowę na nowiny, o których coś niecoś słyszał od Stanisławskiego.

— Ech, jakie tam nowiny — Gąsiorowski machnął ręką lekceważąco. — Wciąż piszą o tej Antarktydzie, aż do znudzenia. Albo niech sobie stoi spokojnie, jak stała tyle wieków, albo niech ją morze pochłonie, ale takie zapadanie się na raty, to... w ogóle... nie podoba mi się.

Gestykulująca dłoń pierwszego mechanika po licznych ewolucjach powietrznych znalazła się w bezpośrednim sąsiedztwie nowej butelki i wyciągnęła się ku niej, lecz Dulski czuł.

— Kolega wypił swoją porcję — oświadczył stanowczo — więcej nie pozwolę! Ja jestem odpowiedzialny, tak kapitan wczoraj powiedział.

Bulicz znowu zawrócił do nowin:

— Nie słyszeliście zapewne jeszcze o sensacyjnej depeшы statku *Monte Carlo* — zaczął.

— *Monte Carlo*, ruletka, znam, znam — mruczał sennie Gąsiorowski.

— To jest statek niemieckiej ekspedycji oceanograficznej, prawda? — rzekł Dulski, zwracając się do Bulicza.

— Tak jest, choć, ściśle biorąc, na czele ekspedycji stoi książę Monaco, który tę imprezę finansuje. Nie wiem, dlaczego więc piszą w gazetach stale o niemieckiej ekspedycji. Przecież to, że wśród zaproszonych uczonych przeważają Niemcy, nie daje jeszcze podstawy do...

— Gadaj waść o depeшы, nie o podstawie — wtrącił znów pierwszy mechanik, któremu stara *madera* dobrze dała się we znaki.

Bulicz uśmiechnął się wyrozumiale i tak ciągnął dalej:

— Otóż statek *Monte Carlo* po dwutygodniowym postoju przy Azorach odplłynął przed trzema dniami w stronę brzegów Brazylii. Nie wiem, czy to było w programie, czy uczonym nudziła się beczynność, dosyć, że onegdaj robili pomiary głębokości. Głębokość Atlantyku w miejscu ich pomiarów wynosiła dotychczas zawsze trzy tysiące metrów; tak piszą w gazecie, zresztą możemy to sprawdzić na naszych mapach żeglarskich... Tymczasem, słuchajcie, koledzy... tymczasem obecnie głębokość wynosi tam zaledwie pięćset metrów!

— Hm, czy to możliwe? — powątpiewał Dulski.

— Czemu nie. Wypadki podnoszenia się i opadania dna morskiego nie należą do rzadkości — twierdził Bulicz. — Nie znam się na geologii, ale na mój rozum sądząc, to zauważone przez statek *Monte Carlo* zjawisko stoi na pewno w ścisłym związku z katastrofą Antarktydy. Wyobrażam to sobie tak, że skorupa ziemska skłębła przy biegunie południowym, a w zamian za to wydeła się, czyli wytworzyła wydatną wypukłość, w środku Oceanu Atlantyckiego.

— Jeżeli pańskie rozumowanie jest słuszne z punktu widzenia geologii — odparł Dulski,

nakładając sobie na talerz solidną porcję wędzonki z grochem — to można by stąd wysnuć daleko idące wnioski. Bo wiemy, że zapadanie się Antarktydy nie wkroczyło jeszcze w stadium końcowe, prawda?

— Prawda.

— Zatem, jeśli ten ład pograży się jeszcze bardziej, to i owa wypukłość dna morskiego w Atlantyku może się wyżej podnieść.

— Może, bez wątplenia.

— Może się podnieść ponad powierzchnię wody, czyli utworzyć...

— ...wyspę! — dokończył Bulicz szybko. — Naturalnie! Małoż to razy czytaliśmy o nagłym wynurzeniu się wysepki wulkanicznego pochodzenia?

— Tak, ale na Oceanie Spokojnym.

— A cóż to, nasz Atlantyk gorszy od Pacyfiku? — oburzył się Gąsiorowski, który mimo lekkiego zamroczenia słuchał uważnie.

Dulski po ruszył głową ruchem poziomym.

Trudno by mi było się z tym pogodzić. Zbyt dobrze znam te strony, nazbyt silnie przywykłem do naszych starych, nieomylnych map żeglarskich, bym mógł uwierzyć, że z Atlantyku wyskoczy nagle jakaś nowa wyspa. Atlantyk, uważacie kolego — dodał żartobliwie — jest konserwatystą, a ja także.

— Smacznego panom — zabrzmiał czyjś głos ode drzwi. W ganku pomiędzy nadbudówką oddziału maszynowego a kabinami oficerów, poza bardzo wysokim progiem, stał bosman Miazek.

— A, Miazek — zawołał Gąsiorowski — co słyhać nowego?

— Ano, będzie zła pogoda, panie inżynierze — odparł zagadnięty, zaczynając nieodmiennie od ulubionego *ano*.

— Myślicie? — zainteresował się Dulski. — Przed godziną zaglądałem na barometr; czyżby się tak szybko zmieniło?

— Ja tam, panie poruczniku miarkuję według swojego barometru, co go mam w kościach — odparł z uśmiechem bosman i poklepał się po kolanach. — A zresztą, czy taki upał może być bezkarny?

Przepowiednię chorującego na reumatyzm bosmana potwierdził z wieczora prawdziwy barometr, a nazajutrz koło południa otrzymał telegrafista Kołodko *ostrzeżenie przed burzą* stacji meteorologicznej z francuskiego Maroka. Kapitan wydał natychmiast rozkaz, by pozwijać tenty, umocnić szalupy i wszelkie przedmioty, pozostające pod gołym niebem, a do pokładów nieprzyśrubowane. Wykonaniem pierwszej roboty zajął się Kobryń z trzema majtkami, wliczając w to Jerzego, zaś szalupami miał się zaopiekować bosman.

Kiedy pierwsza grupa wkroczyła na górny pokład i zabrała się do ściągania płóciennych daszków, pasażerowie zaczęli protestować.

— Na taki upał pozbawiać nas zasłony? Kazać nam się smażyć w afrykańskim słońcu? — oburzał się Wójcicki wycierając chusteczką spoconą i lśniąca łysinę.

— Zaledwie onegdaj to porozpinali, a dziś już zwijają — dorzucił starszy Tintenfass, zaś wojownicza malarka oświadczyła, że pójdzie do kapitana z zażaleniem. Musieli jej więc wyjawić, że właśnie kapitan wydał ten rozkaz.

— Ale w jakim celu? Dlaczego?

— Dlatego, że będzie burza, aż miło — odparł Kobryń; teraz zrzędlą mina nie tylko pannie Szczotkównie, ale i pozostałym pasażerom. — I leżaki proszę pozabierać do kabin, aby ich fale nie

zmyły za burzę. — dodał.

— Jak to?! — krzyknęła malarka, a twarz jej stała się blada jak kreda. — Fale będą się wdzierały aż tutaj? Na góry pokład?

— Nawet na mostek. A czasem, jak uczciwa fala chlupnie, to w kotłowni taki prysznic zrobi, że no — ciągnął dalej Kobryń, mrugając porozumiewawczo na marynarzy ze swej grupy. Pojęli w lot, o co mu chodzi, i na oczekaniu zaczęli zmyślać straszliwe historie.

— W kotłowni? — powątpiewał Stanisławski. — Jakże by się tam woda dostała?

— Przez kominy — odparł bez zająknięcia Skowronek.

— I przez nawiewniki — dodał Tkaczyk, wskazując umyślnie najwyższe cztery nawiewniki, te, które doprowadzają powietrze do kotłowni i do oddziału maszynowego. — Ho, ho, przy porządnej burzy to statek przemienia się w łódź podwodną. Tylko czubki masztów sterczą, a reszta zanurzona. Zobaczycie państwo sami.

Starszy Tintenfass odsunął z niechęcią wiązkę bananów zakupionych w Lizbonie, inni pasażerowie również stracili apetyt i ochotę do dalszej rozmowy. Tylko Stanisławski rzucał jeszcze pytania marynarzom, interesując się w szczególności tą kwestią, czy woda nie wedrze się do ich kabin, skoro stateczny *Bolesław Chrobry* stanie się z konieczności jak gdyby łodzią podwodną.

— Może nie.

— Skoro iluminatory i drzwi będą pozamykane, to nie — dorzucił z litości Kobryń, widząc, że malarka jest bliska zemdlenia po owym *może nie* wypowiedzianym przez Skowronka. — Dlatego właśnie, jak państwo zapewne zauważyliście, drzwi wszystkich kabin na statku mają bardzo wysokie progi. No, proszę się nie lękać; burza niestraszna dla takiego olbrzyma jak nasz *Bolesław Chrobry*. Ja tam więcej się obawiam gęstej mgły niż pięciu uczciwych cyklonów — pocieszył ich Kobryń na koniec i zapędził swoich chłopców do roboty. Kończyli właśnie zwijanie ostatnich tentów, gdy na spardecku pojawiła się Marysia Ślaska z parasolką pod pachą i z torebką brzoskwiń w dłoni.

— Lubisz owoce? — spytała, podchodząc do Jerzego.

Pozwolił się poczęstować i, aby coś rzec, spytał, czy kupiła te doskonałe brzoskwinie w Lizbonie i czy tam owoce są drogie.

— Nie wiem, nie mam pieniędzy, nie mogę więc robić żadnych zakupów — brzmiała odpowiedź. — Te brzoskwinie otrzymałam w prezencie od Pawła.

Jerzy drgnął; smakowity kęs soczystej brzoskwini ugrzązł mu nagle w gardle, uniemożliwiając wydanie złośliwego okrzyku zdziwienia.

— I to także od niego dostałam — pochwaliła się dziewczyna, otwierając śliczną, kolorową parasolkę chińską.

— Jeżeli to nie jest *Batory* — zahuczał im nad głowami tubalny głos Starbałły stojącego na mostku z lometą przy oczach — jeśli to nie *Batory*, to ja, kapitan dalekiej żeglugi, zgodzę się pływać po jeziorze!

Nie zanosilo się na to, by dzielny Starbałła miał kierować spacerowym stateczkiem na jakimś jeziorze, gdyż okręt, który zbliżał się ku nim od strony majaczących w oddali konturów Madery, był to rzeczywiście *MS Stefan Batory*, transoceaniczny statek pasażerski *Żegluga Polskiej*, pojemności czteremastu tysięcy ton, a zbudowany w stoczni gdyńskiej.

Z odniesieniem zwiniętych tentów skończyła się dzisiejsza robota majtków *Chrobrego*, mogli więc stać przy bakburcie i czekać na radosny moment, kiedy obydwie okręty przepłyną tuż koło siebie, kiedy będzie można gołym okiem poznać kolegów i pozdrowić ich głośnym okrzykiem.

— Kto jest kapitanem *Batorego*? — spytał Jerzy.

Odpowiedziano mu, że Zdenko Knoetgen, z pochodzenia Dalmatyńczyk, niegdyś komendant austriackiej łodzi podwodnej, od roku 1922 obywatel polski i jeden z najstarszych kapitanów w Polskiej Marynarce Handlowej.

— Bosmanem u niego jest stary Lewiński, ojciec naszego Pietrka — mówił Kobryń. — Zdenko był kapitanem pierwszej *Wisły*, która usiadła na mieliźnie przy brzegach Holandii. Potem dostał drugą *Wisłę*. Na niej pływałem z nim, będąc wówczas starszym marynarzem. Nasz Starbała był wtedy drugim oficerem na *Wisłę*, Dulski trzecim, a Gąsior drugim mechanikiem. He, to były wesołe czasy, pamiętacie, Miazek?

— To i pan bosman pływał na *Wisłę*? — zdziwił się Jerzy.

— Ano, było się tam, było.

— Węglarzem — wtrącił Skowronek i ugryzł się w język za późno.

— A czy to się zapieram? Czy to wstyd jaki, że zaczął żeglarski żywot od węglarza? Za to dziś jestem bosmanem, a tyś niedaleko zajechał od młodszego marynarza, zaspany skowroneczku.

Jerzy skierował rozmowę znów na *Stefana Batorego*; zapytał, jakie rejsy odbywa ten okręt kursujący dawniej pomiędzy Gdynią a głównymi portami Ameryki Południowej.

— Czytałem kiedyś, że tam już naszych emigrantów nie wypuszczają — dodał — ani do Kanady, ani do Meksyku, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych.

— Teraz wszystko emigruje od nas do Angoli, ale i tam zaczyna być ciasno — odparł bosman. — A co będzie później? —

To samo pytanie Jerzy zadawał sobie już niejednokrotnie i nie umiał znaleźć odpowiedzi. Nic dziwnego zresztą, starsi i mądrzejsi też nie umieli; a ludność Polski wzrastała rokrocznie o blisko milion głów i widmo przeludnienia, widmo straszliwej nędzy krążyło coraz niżej nad młodym państwem tak pomyślnie rozwijającym się do niedawna.

— Ech, przydałaby się nam jakaś większa kolonia — westchnął bosman — ale cóż, wszystko już zajęte, każdy skrawek ziemi ma właściciela.

Tymczasem powracający z Angoli *Stefan Batory* przybliżył się na tyle, że załogi obydwóch statków zaczęły się porozumiewać na migi i czapki w górę podrzucać. Podobnie, choć trochę dystyngowanej, zachowywali się oficerowie.

— Zdenko na pewno skubie się w brodzie — rzekł rozweselony Miazek, wyjaśniając Jerzemu, że kapitan Knoetgen w rzadkich chwilach wzruszeń pociera sobie chudą szyję i tarmosi brodę, jakby ją wyrwać pragnął „z korzeniami”. Potem pan bosman złożył dłonie w trąbkę i huknął tak potężnie, że, zdaniem Kobrynia, kominy podskoczyły ze strachu:

— Hej, wy z *Batorego*! Pozdrówcie moją babę w Gdyni.

— I moją dziewczuchę — dorzucił Skowronek.

A z pokładu *Batorego* przyniosło im tchnienie gorącego wiatru słowa jakiegoś żartownisia:

— Zawróćcie, nieboraki. Uciekajcie! W Angoli wszystkim osłom ucinają uszy.

— A w Kanale ogony gorylom! Zmykaj, bratku — odgryzł się Miazek, lecz wątpliwe było, czy tamten to dosłyszał, bo w tym momencie już tylko rufy obydwóch okrętów znajdowały się w jednej linii i ich bandery opuszczające się do połowy masztu w powinnyym pozdrowieniu żeglarskim.

Nazajutrz w Funchal spotkała załogę *Chrobrego* nowa przemiała niespodzianka. Oto zastali w porcie trzy polskie kontrtorpedowce, *Huragan*, *Tajfun* i *Grzmot*, które zatrzymały się tutaj w powrotnej drodze z Rio de Janeiro, gdzie rewizytowały Brazylijczyków; bowiem w ubiegłym roku bawiła w Gdyni eskadra krążowników brazylijskich, należało się więc zrewanżować egzotycznym

przybyszom i tę miłą misję powierzyła polska Admiralicja wymienionym trzem kontrtorpedowcom dopiero w tym roku spuszczonej na wodę.

Zaczęły się znowu wiwaty, pozdrowienia i zakwitł „handel wymienny” żartobliwymi przezwiskami, których obie strony nie żałowały sobie wcale. Szczególnie były w użyciu takie określenia, jak *śledziarze*, *tramwajarze* i *słodka woda*. Ostatni epitet odnosił się do marynarzy z kontrtorpedowców, a jego geneza sięgała tych dawnych czasów, kiedy to polska Marynarka Wojenna posiadała tylko kanonierki i stare, po Niemcach, torpedowce, które pono najczęściej żeglowały pomiędzy Gdynią a Helem, więc po „słodkiej wodzie” wiślanej. *Tramwajarzami* przezywano marynarzy, którzy kiedykolwiek w życiu pływali na małych, spacerowych statkach żeglugi przybrzeżnej, zaś *śledziarzami* załogi statków handlowych, ponieważ te okręty frachtowały niekiedy beczki ze śledziami i potem odpowiednio pachniały.

Od rana ładowano bunker, lecz po południu z racji niedzieli miało być wolne i Jerzy obiecywał sobie wiele po tym urlopie; sądził, że zdąży zwiedzić zarówno Funchal jak i jeden ze stalowoszarzych kontrtorpedowców. I znowu spotkał go zawód, który im wszystkim zgotowała burza oczekiwana już ubiegłej nocy. Z ołowianego nieba lunęła taka ulewa, jaka u nas rzadko się przytrafia, chyba w letnich miesiącach, w czasie tak zwanego oberwania się chmury.

Marynarze z kontrtorpedowców, bawiący właśnie na pokładach *Chrobrego* chronili się, gdzie popadło, do kabin, na najwyższe piętro oddziału maszynowego, do kubryku, lecz największa gromada wpakowała się do mesy oficerskiej i tu zaczęła się natrzasać z gospodarzy, że na taki deszcz *tramwajarze* portu opuszczać nie powinni, choćby im przyszło tydzień czekać.

— Panowie zechcą natychmiast zejść z mego statku — zabrzmiał nagle głos Starbałły za plecami gości. — Z naszej załogi są wszyscy?

— Tak jest. Dopiero zaczęli się ubierać odświętnie, żeby wyjść na ląd — odparł zdumiony Dulski, do którego pytanie było skierowane.

— Niech się więc zaraz rozbiorą z szat odświętnych. Za piętnaście minut wyjdziemy w morze — rzekł sucho Starbałła, przyłożył dłoń do daszka czapki i odszedł, postawiwszy sobie kołnierz skórzanej kurtki.

Parę minut upłynęło, zanim ten i ów zdołał ochłonąć po tym rozkazie.

— Słyszał, oście gadali i obraził się — przypuszczał Gąsiorowski. — To ambitna sztuka, znam go nie od dzisiaj.

— Nie, on chce, żeby nas deszcz dobrze zmoczył w powrotnej drodze na nasze statki — rzekł któryś z przybyłych i grad wyzwisk posypał się na głowę Starbałły. — Żeby całe życie po jeziorze pływał — brzmiało najgorsze z przekleństw, miotanych pod adresem kapitana *Chrobrego*. Potem odświętnie ubrani goście opuścili pokład niegościnnego okrętu i wpadli w szpony straszliwej wichury i pod wściekły tusz ulewy tropikalnej. Tylko Dulski ujął się za zwierzchnikiem. — On wie, że ta burza potrwa dłużej i woli zawczasu odsunąć się od wybrzeży. Jaki jest, taki jest, ale głowę na karku ma, trudno przeczyć — przekonywał kolegów rozżalonych, że eskapada na ląd przepadła tym razem.

Tak tedy *Chrobry* już o godzinie trzeciej po południu opuścił port w Funchal i od razu wziął się za bary z szalejącą burzą.

— Kurs Cap Blanco, pod 20° 47' szerokości północnej i 16° 58' długości zachodniej — posłyszał Jerzy przypadkowo, a pamiętał z geografii, że przylądek Blanco leży niemal na granicy posiadłości hiszpańskiej Rio de Oro (co po hiszpańsku znaczy *złota rzeka*) i Francuskiej Afryki Zachodniej. Zdumiał się więc niemało, gdy w dwie godziny później *Chrobry* zmienił kurs o dobre

tryz rumbury na zachód od obranego poprzecznie kierunku.

— Cyklon! — rzekł Dulski, wkraczając do messy oficerskiej. — Ku Wyspom Kanaryjskim pędzi szalony cyklon. Bylibyśmy się dostali w samo jego centrum, uff! — odsapnął i zaczął pod niebo wysławiać radiotelegrafię, dzięki której *Chrobry* w samą porę otrzymał tak pożądane ostrzeżenie.

— Więc nawet statek z silnymi maszynami jak nasz *Chrobry* musi uciekać przed cyklonem? — spytał Jerzy, jakby rozczarowany.

— Na upartego nie musi. Ale po co kusić лихо? Zresztą lewa strona ogona cyklonu porządnie nas połaskocze, zobaczysz, mój zuchu. Tylko inna sprawa z ogonem, a inna dostać się w jądro cyklonu. Raz to przeszedłem i nie kwapię się zbyt do powtórek.

Wieczorem Jerzy miał sposobność przekonać się o słuszności wywodów pierwszego oficera. Prawdziwe piekło rozpętało się na morzu i majtek Tkaczyk niewiele przesadził, gdy, chcąc nastraszyć pasażerów, porównywał statek płynący w czasie wielkiej burzy do łodzi podwodnej. Olbrzymie bałwany raz po raz przeskakiwały wysoki dziób *Chrobrego*, zalewały doszczętnie przednie pokłady, uderzały z wściekłością o główny kasztel, piętrzyły się w wysokości trąby wodne, których szczyty padały aż na mostek i poprzec niego na środkowy pokład. Raz po raz się zdarzało, że cały okręt był zalany wodą tak, iż tylko maszty, kominy i szczyty nadbudówek z niej wystawały.

Chrobry przechodził silne kołysanie się podłużne, czyli kilowe. Więc raz „stawał dęba”, zadzierając dziób nieprawdopodobnie wysoko, potem zapadał w nurty, pogrążał się od przodu, za to ruła wyjeżdżała w górę na jakie dwa piętra. Kiedy nadchodził ten moment, oficer wachtowy z mostku posyłał telegrafem maszynowym sygnał dyżumemu mechanikowi, by zmniejszył obroty śruby; zawsze bowiem w podobnych okolicznościach zachodzi niebezpieczeństwo, że pęknie wał korbowy, skoro śruba, rozpędzona i mająca w wodzie poważny opór do pokonania, wynurzy się nagle.

— A jeśli wał korbowy pęknie — kończył swój wykład bosman Miazek — to wówczas siadaj bracie, pisz szybko testament, wpakuj go w butelkę i nie zapomnij jej dobrze zakorkować.

Jerzy dziwił się szczerze, że chwiebja już nie wywołuje u niego nudności, że może kolację pałaszować z takim apetytem. Trochę gorzej było z noclegiem, lecz zasnął przecież. Ale nie na długo. Przed północą obudził go Kobryń. — Musisz zastąpić Skowronka, który zwichnął nogę na schodach. Odprowadzę cię na mostek, żeby cię w morze nie zmyło — rzekł.

Zmyć go nie zmyło, ale za to przemoczony był do nitki, gdy po dziesięćminutowych zapasach z falami hulającymi po pokładach, dotarł wreszcie na nowy swój posterunek. Na wymarzony posterunek! Przecież pragnął gorąco pełnić służbę właśnie tu, gdzie od trzech ludzi zależą losy okrętu i całej jego załogi. Pierwszym z owej trójki jest dyżumy oficer, który często musi zaglądać do kabiny nawigacyjnej, drugim sternik, trzecim wachtowy. On był dzisiaj tym trzecim, on miał być okiem statku, miał wyteżać wzrok i wypatrywać przeszkody, mogące zagrażać statkowi, więc przede wszystkim światelka innych płynących okrętów wylawiać z czamej otchłani mroków.

— Nie jesteśmy obecnie na szlaku tak często nawiedzanym przez okrępy jak La Manche czy okolica Gibraltaru, ale ze dwa, trzy statki pewnie spotkamy do rana — przypuszczał Dulski, który właśnie ukończył swoją wachtę i zdawał służbę młodemu Ciuńdziewickiemu.

— Tylko na okręty mam uważać? — dopytywał Jerzy, trochę rozczarowany tak wąskimi ramami swoich obowiązków. — A rafa? Lub mielizny?

— Nic z tego nie spotkamy ani tej nocy, ani następnej — odparł pierwszy oficer, krzycząc te słowa chłopcu tuż nad uchem, gdyż odgłosy burzy głużyły głos ludzki tak doszczętnie, jak ryk lwa

świegot ptasi zagłusza.

— Na pewno?

Dulski uśmiechnął się wyrozumiale i wciągnął Rawskiego do kabiny nawigacyjnej znajdującej się poza sterówką i połączonej z nią zasuwany okienkiem; echa orkanu wdzieraly się i tutaj, lecz rozmawiać można było całkiem swobodnie, nawet bez podnoszenia głosu.

— Rafy, mielizny, szczątki statków zatopionych, zerwane kotwice i wszelkie takie stałe, nieruchome przeszkody w żegludze wymienia najdokładniej mapa żeglarska, zwana również mapą Merkatora — rzekł Dulski tonem wykładu i wskazał ręką stół zajmujący niemal trzecią część przestrzeni w tej niewielkiej kajucie; na owym stole leżało kilka map zwiniętych w rulony, a jedna z nich była rozłożona i przyszpilona pluskiewkami na rogach i nad nią śleczął właśnie Ciuńdziewicki uzbrojony w cykiel, który raz po raz przykładał do podziałki.

Dulski wyjaśnił Jerzemu jeszcze, że mapy żeglarskie są wraz z kompasem najlepszym i nieomylnym przewodnikiem marynarza, że podają mu głębokość morza, zboczenia kompasu, prądy morskie, że każda latamia morska jest na nich zaznaczona, każdy znak żeglarski, każda boja nawet.

— Niechże cię więc głowa nie boli o rafy czy mielizny, bo ani ich nie ma w tych stronach, ani byś ich nie dojrzał w taką noc jak dzisiejsza — zakończył swoje wywody. — Za to pilnie uważaj na statki. — Rzekłszy to, sięgnął po dziennik okrętowy, a Jerzy przyłożył dłoń do daszka czapki osłoniętej kapturem, wyszedł z kabiny nawigacyjnej i nareszcie faktycznie objął swój odpowiedzialny posterunek na mostku.

Burza szalała w dalszym ciągu. Gęste krople deszczu nie padały na statek pionowo z góry, lecz bardzo ukośnie, chwilami prawie poziomo i kłuły twarz jak szpileczki, a ceratowe płaszczysko Jerzego bombardowały z grzechotem podobnym do odgłosów towarzyszących przesypaniu grochu.

Powietrze przestało być lotną, miękką mieszaniną gazów, którą dłoń ludzka, ba, nawet słaba muszka przecina z łatwością; pod wpływem szalonej wichury stało się gęstą masą, niemal wyczuwalną dotykiem i stawiającą opór równie potężny jak woda w rwącym potoku górskim. Płócienne zasłony na froncie mostka powyginał wiatr w brzuchy tak twarde, że nacisk silnej pięści Jerzego nie zdołał zgnieść żadnej z tych wypukłości.

— Ani piłka nożna przed meczem ligowym nie jest twardsza — mruknął z humorem i zniżył brodę, aby ukryć twarz poza gómą krawędzią wydętych w balony zasłon. Tylko oczy, zażawione od słonego prysznicy i deszczem wciąż zalewane, oczy, które miały być teraz wzrokiem okrętu, wyglądały spoza płóciennej ścianki i nieustraszenie spoglądały w dal, drwiąc sobie z wichru, którego wściekły pęd utrudniał oddech i nozdrza rozdymał, i płuca.

Częste wyładowania elektryczności nagromadzonej w chmurach oświetlały sporadycznie ocean jakże różny od tego, który w dni słoneczne i w pogodne noce księżycowe budził zachwyty podróżników. Zniknęła bez śladu gładka, aksamitna równina, jej miejsce zajęły tysiące wzniesień i zagłębień wiecznie ruchomych, wirujące leje, zdradliwe jary, wąwozy, spadziste pagórki, brzozy podłużne, czarne przepaści o łagodnym zboczu, lecz olbrzymie, tańczące gejzery i znowu bruzdy, wykroty, kraterzy, znów ściany wody pionowe, a dzięki białej pianie podobne skalistym tumiom.

A poprzez ten chaos straszliwy, przez tę ponurą, czarną pustynię wód czołgał się uparcie, śmiało, wytrwale, maleńki robaczek... okręt! Maleńki jak pył w zestawieniu z olbrzymim oceanem, lekki jak piórko w porównaniu z każdą z tych wodnych gór, jakie go napadały, szedł naprzód, niezmordowany, nieustraszony, zwycięski. Jego serce biło wciąż regularnym rytmem; Jerzy czuł doskonale to delikatne, a nieprzerwane drżenie statku wywołane ciągłą pracą śruby i ono właśnie

krzepiło odwagę chłopca zachwianą (trudno zaprzeczyć) pod wpływem niesamowitych odgłosów orkanu.

— Dopóki śruba nie umilknie, możemy sobie kpić z burzy — powtarzał w kółko, ilekroć ryczące grzywacze wpadały na niższe pokłady.

Lecz w pewnej chwili dojrzał na morzu coś, co mu zmroziło krew w żyłach. Była to góra wody wyższa co najmniej trzy razy od największej z tych, jakie dotychczas spotkali. Była na pozór ogromnie spadzista i z daleka wyglądała niemal tak jak prostopadła ściana. Zniknęła w ciemnościach na kilka sekund, a kiedy nowa błyskawica rzuciła z nieba oślepiający snop światła, straszliwy mur wody wyrósł nagle tuż przed dziobem okrętu.

— Jezus! Maria! — wyszeptał Jerzy zbielełymi wargami. Szeroko rozstawił nogi, dłońmi objął kurczowo żelazną poręcz i napiął mięśnie do największego wysiłku, choć zwątpił w ducha, by *Chrobry* wyszedł obronną ręką z tego spotkania. — Już! — krzyknął, przymykając oczy bezwiednie.

Okręt zadygotał nagle. Zadrzał, zatrzeszczał pod ciężarem setek ton wody spadającej z wysoka na jego przednie pokłady, a w chwilę później stanął dęba i zaczął się podnosić coraz wyżej i wyżej, dźwignięty siłą żywiołu.

— Toniemy! — wrzasnął Jerzy, czując, iż woda sięga mu po szyję. Nogi straciły od razu punkt oparcia, oderwały się od desek pokładu, uciekły wstecz, ciągnąc za sobą korpus, związany rękami ze zbawczą poręczą; właśnie ten instynktowny, konwulsyjny uchwyt zgrabiących palców uchronił chłopca od zmycia za burtę, od niechybnej śmierci w szalejących odmetach oceanu. Trwało to pewnie nie dłużej jak kilka sekund, potem woda spłynęła z mostka na niższe pokłady, a stamtąd przez odpływowe otwory do morza, lecz w takich momentach sekunda zda się być wiecznością.

Znowu Jerzy stał mocno na nogach, znowu wykwitł na niebie złoty es-flores błyskawicy, a statek wciąż jeszcze wznosił się w górę, dążąc ku szczytowi potwornej fali, największej, jaką widziała nasza planeta od czasów potopu.

— Drrrdńńń!

Telegraf maszynowy jęknął dokładnie w tym momencie, gdy dziób *Chrobrego* z lekka się zapadł i pochylił.

Jerzy zwrócił głowę w prawo. Poza zamazanymi szybami bocznej ścianki sterówki dojrzał w świetle nowej błyskawicy trzech ludzi. Przy szturwale stał sternik Bobowicz, wpatrzony w kompas jak w tęczę, obok niego Ciuńdziewicki, a przy bębnie telegrafu maszynowego, z dłonią na metalowej ręczce, sam kapitan Starbała.

Okręt, wybitnie wprzód pochyłony, zsuwał się obecnie po tylnym zboczach olbrzymiej góry wodnej. Zsuwał się coraz szybciej i długo... długo... och, niepokojąco długo.

Dla dodania sobie odwagi powtórzył Rawski swój ulubiony zwrot:

— Dopóki śruba nie umilknie... — Tu urwał. Wstrzymał oddech. W słuch się zamienił cały. Śruba milczała! Ustało to uspokajające drzenie pokładów, które dowodzi, że serce statku bije jak należy. — Prawda — przypomniał sobie Jerzy — kapitan posłał maszynom sygnał *STOP*, by wał korbowy nie pękł przy nagłym wynurzeniu się rozpedzonej śruby. No dobrze, ale czemu śruba dalej milczy???

Znów spojrział w kierunku sterówki. Kilka sekund musiał zaczekać na błyskawicę, aż wreszcie dojrzał tamtych trzech. I ku swemu przerażeniu dostrzegł, że flegmatyczny Ciuńdziewicki podszedł do kapitana, że obydwaj chwieją głowami i gestykują, że nawet sternik, zazwyczaj światła bożego nie widzący poza swoją *różą wiatrów*, patrzy na Starbałę rozszerzonymi oczyma.

Błyskawica zgłasza, nieprzebite mroki ponownie spowiły statek i Jerzy pozostał samotny,

odcięty od ludzi, z dręczącą niepewnością w sercu.

— Nie, nie. To nie było przywidzenie — monologował, denerwując się coraz bardziej. — Oni są także zatrwożeni, wszyscy trzej. Nic dziwnego; jeśli maszyny się zepsuły, albo wał pękł, to jesteśmy zgubieni bez ratunku! — Wymawiał te słowa dobitnie, głośno, uznawał je za produkt słusznego rozumowania, a jednak równocześnie nadsłuchiwał tęsknie, czy śruba się nie odezwie przypadkowo.

Lecz śruba *Chrobrego* milczała nadal i nadal statek zsuwał się po pochyłości, nieskończonej zda się, a może do dna oceanu sięgającej.

Wreszcie...

— Drrrińńńń!

Ostry dźwięk telegrafu maszynowego przedarł się przez poświsty wichury i dotarł do czujnego ucha chłopca.

Okręt odzyskał poziome położenie i zaczął leciuteńko miarowo dygotać od ciosów uruchomionej znów śruby.

— Bogu dzięki — westchnął Jerzy Rawski. — Więc jednak nie zepsuło się nic w maszynach, tylko kapitan umyślnie zwlekał z sygnałem, czekając, aż ruła się zupełnie zanurzy — pojął to obecnie sam i jego zaufanie do statku wzrosło do najwyższych granic. — Taka fala to dla nas marny szczeniak — rzekł zawiadacko, zapominając bardzo prędko o tym, że ten „szczeniak” napędził mu tyle strachu.

Nareszcie nastąpiło w przyrodzie upragnione odprężenie. Fala, o której Jerzy wyraził się tak pogardliwie, a która jeszcze tej nocy miała wyrządzić olbrzymie szkody na najbliższych wybrzeżach Afyki i Europy, była istotnie kulminacyjnym punktem orkanu. Nie znaczy to oczywiście, aby wichur ucihł natychmiast i rozkołtysany ocean się wygładził; to nie. Burza srożyła się w dalszym ciągu, lecz jej najwyższa furia należała już do przeszłości. Musiało to być niezbitym pewnikiem, skoro taki służbista jak Starbała zdecydował się powierzyć statek dyżumemu oficerowi, w tym wypadku Ciuńdziewickiemu.

Ujrzeni się nawzajem w świetle błyskawicy. Starbała po krótkim mocowaniu się z wichrem, zdołał wreszcie zatrzasnąć drzwi sterówki i dostrzegł na mostku wachtowego.

— Ach, to ty jesteś, podporo marynarki handlowej — powitał Jerzego. — To ci była fala, co? — ryczał mu w ucho, by przekrzyknąć burzę. Zaciągnął chłopca w róg mostku osłonięty z trzech stron oszklonymi ściankami i daszkiem pokryty. — To się nazywa uczciwa fala.

— Ogromna była, panie kapitanie — odparł Jerzy rad, że może pogawędzić z tym wilkiem morskim. — Jeszcze takiej nie widziałem w życiu.

— Pocziesz się, że ja także, a troszkę dłużej pływam po morzach od szanownego pana. — Starbała był w doskonałym humorze. — Miałeś dobrego pietra, co? No, przyznaj się, przyznaj — namawiał go i klepał przyjaźnie po barkach. — Myślałeś pewnie, że zjeżdżamy na dno oceanu i zaryjemy się tam w piasek, he? Nie ma się czego wstydzić młodzieńcze. Toć taki Bobowicz, choć stary wyga, a, powiadam ci, aż sapał ze wzruszenia, kiedy ta jazda w dół zaczęła się przedłużać w nieskończoność... No, ale teraz już po krzyku; wiatr jeszcze jest, hm, żeby nie zelgać... jest z *dziewięć*, lecz do rana musi spaść na *pięć*. Musi, powiadam — krzyknął energicznie.

Jerzy skinął głową poważnie. Był święcie przekonany, że wiatr zastosuje się ściśle do wymagań dzielnego Starbały i na rano będzie sobie dał tylko *pięć* według skali Beauforta.

— Idę spać — kończył kapitan; — a ty, skoro cię tu postawili, dobrze oczy wytrzeszczaj, żebyśmy się nie pocałowali z jakim statkiem, tfu, na psa urok. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie — odparł Rawski, notując sobie w myśli nowe spostrzeżenia, mianowicie, że wszyscy marynarze są zabobonni. — Porucznik Dulski zanim zszedł z mostka pouczył mnie dokładnie, co należy tutaj do moich obowiązków.

— No, myślę że o tym nie zapomnial — odburknął Starbałła. Podniósł dłoń do ceratowego kaptura, odpowiadając na ukłon Jerzego, potem ziewnął serdecznie od ucha do ucha, zrobił wstecz zwrot i pomaszerował w stronę schodków, zataczając się mocno z powodu chwiejby okrętu.

Jerzy wyjął zegarek i, patrząc nań, czekał aż się łyśnie.

— Pięć minut po pierwszej? — krzyknął zdziwiony, kiedy ulewa seledynowego światła trysnęła z nieba. — Jak to, więc dopiero godzina upłynęła? Jedna godzina? Byłem pewny, że już jest po trzeciej; no proszę.

Mimo licznych urozmaiceń, jakimi bądź co bądź były epizody burzy, minuty wlokły się nieznacznie; nietrudno więc było sobie wyobrazić, jak bardzo monotonna musi być ta służba w ciche, pogodne noce i jak straszliwie wtedy dłuży się czas wachtowemu.

— Myślałem, że to jest ciekawsze zajęcie — zrzędził Jerzy, wypatrując wciąż na próżno jakiegoś światełka na czarnym horyzoncie. Przypomnial sobie, że usilnie pragnął wyręczyć kiedykolwiek śpiocha Skowronka, którego zawsze o północy ściągano z wyrka i wypędzono na mostek, aby tu sterzał do czwartej godziny nad ranem, to jest do chwili, gdy go następna wachta zluzuje. — Nie było mu czego zazdrościć, widzę teraz; przecież tu nie ma absolutnie nic do roboty — narzekał zniechęcony tym, że nie dostrzega żadnych statków. Raz po raz spoglądał na zegarek, ale przekonał się rychło, że im częściej to czyni, tym wolniej czas mu się wlecze.

O godzinie kwadrans na trzecią „złożył mu wizytę” Ciuńdziewicki.

— Nic? — spytał krótko.

— Nic — brzmiała równie lakoniczna odpowiedź chłopca, zmartwionego ujemnym wynikiem tak sumiennych i długotrwałych obserwacji.

— Przemokłeś do suchej nitki, co? Wejźd do sterówki, tylko mi Bobowicza nie zagaduj — rzekł jeszcze trzeci oficer i sam odszedł do kabiny nawigacyjnej.

Jerzy skwapliwie skorzystał z pozwolenia; istotnie zziął do gości, stojąc przez dwie godziny na wichrze w przemocznym ubraniu, a poza tym nęciła go perspektywa obejrzenia sobie z bliska busoli morskiej, gdyż nigdy jeszcze nie był w sterówce, niedostępnej zarówno dla pasażerów jak i dla większości załogi.

Sterówka, podobnie jak i mostek, tonęła w ciemnościach, a światło jedynej zapalanej żarówki, ukrytej w naktuzie tłumil kołpak zakrywający busolę. Tylko w jednym miejscu posiadał kołpak wycięcie i tamtędy padały na kompas bystre spojrzenia sternika czuwającego nad tym, by *Chrobry* nie zboczył z wytyczonej na mapie drogi.

Sam kompas składał się z trzech, a właściwie z czterech części. Pierwszą z nich stanowiła okrągła, przytwierdzona do podłogi skrzynka w kształcie pionowo stojącego walca, zwana świetliczką lub naktuzem. U szczytu naktuzu wisiał na gumowych taśmach kociołek zewnętrzny z ołowianym dnem, aby nawet w czasie silnego kołysania się statku mógł zachować jak największą stałość, a wypełniony olejem rycynowym, w którym pływał drugi kociołek, wewnętrzny. I w nim dopiero, podparta na pionowo przytwierdzonej szpilce z irydu, znajdowała się róża kompasowa z aluminiowym obwodem podtrzymującym okrągły skrawek papieru z wydrukowanymi na nim podziałkami na rumby i stopnie.

Jerzy obejrzał sobie busolę i z kolei zaczął się zastanawiać, na czym polega praca sternika.

— Skąd on wie, kiedy należy skrećić w tę lub w tamtą stronę — usiłował odgadnąć, widząc,

że wpatrzony w kompas Bobowicz przesuwając niekiedy koło sterowe o kilka szprych w lewo, rzadziej i mniej w prawo. — Widocznie fale spychają statek z kursu. No dobrze. Ale skąd on wie o tym?

Pochyliwszy się nad wycięciem w kółku dojrzał wreszcie to, czego przedtem nie zauważył, mianowicie pionową, czarną kresę, wymalowaną na frontowej ścianie kociołka i odrzynającą się ostro od białego tła oświetlonego ukrytą lampką elektryczną. Kresa ta, zwana kresą kursową, leży dokładnie w płaszczyźnie diametralnej, wskazuje kierunek, w którym zwrócony jest dziób okrętu, i styka się stale z którymsz z rumbów ruchomej róży kompasowej.

— Rozumiem — ucieszył się Jerzy — oficer ustala z mapy kurs statku, podaje go sternikowi, a ten musi pilnować, by wyznaczony rumb zawsze dotykał czarnej kresy; wtedy okręt płynie wytyczoną drogą. Jeśli zaś ten czarny trójkącik, ten rumb, jak oni to nazywają... odsuwa się od kresy, to widoczny znak, że okręt zbacza z kursu. No, rozumiem nareszcie.

— Nie zasłaniać.

Niedźwiedzi pomruk sternika przywołał Jerzego do porządku; przypomniał mu, że jest na służbie, że pozwolono mu wejść do sterówki tylko dlatego, by się trochę ogrzał w zamkniętej kabine zabezpieczonej przed deszczem i wichurą, że chwilowa obecność tutaj nie zwalnia go bynajmniej od obowiązków wachtowego. Podszedł więc do zamazanych od wilgoci szyb fontowej ścianki i od nowa rozpoczął poszukiwania światełek okrętów. Co najmniej z dziesięć razy omiótł wzrokiem łuk horyzontu przed dziobem *Chrobrego* i, jak przewidywał, bez skutku.

— A przecież Dulski twierdził, że ze trzy statki spotkamy do rana. — Pamiętał o tym i tym uśmiechał zniechęcenie spowodowane nużąca jednostajnością służby, tak prostej i łatwej faktycznie, a tak trudnej dla młodego chłopca, żywego, żądnego wrażeń, kipiącego młodzieńczą energią, której obecnie nie mógł wyładować w żadnej formie.

— Która godzina? — spytał Bobowicz, nie odrywając wzroku od kompasu.

— Pięć minut po trzeciej — odparł Jerzy, który przed chwileczką spojrział na zegarek. Ziewnął serdecznie i ze znużoną miną patrzył dalej w czarną otchłań nocy...

Wtem drgnął. Wydało mu się, że hen przed nosem statku zamajaczyła góra wody niezwykłego kształtu. Strzelając palcami, czekał niecierpliwie na nowy reflektor z nieba. Dotychczas piorun bił za piorunem, a teraz, jak na złość, trzeba było czekać kilkanaście sekund zanim nastąpiła ponowna iluminacja oceanu, oślepiająca, wspaniała, lecz krótka jak błysk światła przy wystrzale ammatnim. Ten moment wystarczył jednak, by Jerzy dostrzegł powtórnie swoją dziwną falę.

— To mi wygląda raczej na trąbę wodną, na jakiś gejzer — mruknął, a po kilku dalszych błyskawicach znowu skorygował swoje pierwotne wrażenie: — Fala, czy trąba wodna nie stałyby w miejscu, a to nie zmienia swego położenia ani trochę. Czyżby to była skała???

Po chwili zwrócił się do sternika z prośbą, aby ów wypowiedział swą opinię o dziwacznej fali, która tkwi w miejscu nieruchomo i wygląda na skałę. Ale siwobrody Bobowicz nie raczył podnieść głowy.

— Nie moja rzecz — odburknął i wrzucił ramionami. — Jeśliś coś dojrzał, to zamelduj oficerowi.

Dobra minuta upłynęła, zanim się Jerzy zdecydował posłuchać tej rady. Młody Ciuńdziewicki notował coś właśnie w dzienniku podróży, kiedy mu zameldowano tę niezwykłą nowinę.

— Co takiego? Skała? — Parsknął homeryckim śmiechem, potem zmierzył Jerzego karzącym wzrokiem. — Bez głupich żartów, młody człowieku. Jeśliś się zdrzemnął na służbie i skała ci się przyśniła, to to jeszcze nie powód, żeby mi głowę zwracać takimi bzdurami — krzychał.

Jerzy wysłuchiwał reprimendy, stojąc na baczność, ale języka w gębie nie zapomniał.

Oświadczył oficerowi stanowczo, że oka nie zmrúżył, że wie czym jest służba, że podtrzymuje swoje twierdzenie, iż na kursie *Chrobrego* widać jakąś skałę, że najlepiej byłoby, gdyby pan porucznik osobiście to sprawdził i wyszedł na mostek, zamiast go tu obsypywać krzywdzącymi zarzutami. — Ja za moje oczy ręczę — zakończył swoją replikę.

— A ja ręczę za nasze mapy żeglarskie — wrzasnął zirytowany oficer — a tutaj — z pasją uderzył pięścią w rozpostartą na stole mapę Merkatora — tutaj żadnych skał nie widzę na naszej drodze, rozumiesz?

— Rozumiem i odchodzę — odparł Jerzy zimno — a jeśli statek wpadnie na rafy, to pan porucznik poniesie odpowiedzialność. Ja meldowałem.

Wyszedł z kabiny nawigacyjnej, lecz nie sam; Ciuńdziewicki pospieszył tuż za nim, ciesząc się już w duchu, że zmyje głowę temu dzieciuchowi za fałszywy meldunek.

— No, i gdzie ta skała? — wrzasnął w ucho Jerzemu, skoro podeszli do płóciennych zasłon na froncie mostku.

— Teraz ciemno. Zaczekajmy chwilę.

— Ano, zaczekajmy.

Uplłynęło znowu z dziesięć sekund zanim ognisty miecz błyskawicy przeżegnał niebo i wodę.

— Widzi pan, poruczniku?

— Co to znaczy?!

Dwa okrzyki zabrzmiały jednocześnie. Potem Ciuńdziewicki runął jak burza w drzwi sterówki, spojrzął na kompas i stracił cały rozpęd furii; Bobowicz nic nie zawinił, ani na cal nie zboczył z kursu.

— W porządku, panie poruczniku — wymamrotał — na rumbie.

Ciuńdziewicki przyskoczył do frontowego okna sterówki. Jeszcze nie dowierzał sobie, jeszcze raz chciał w świetle błyskawicy ujrzeć tę groźną skałę nieznaną doskonałym, pono nieomylnym, mapom żeglarskim.

Lysnęło się.

— O rety! — wrzasnął Bobowicz, którego dziwne zachowanie się oficera skłoniło nareszcie do podniesienia głowy.

Ciuńdziewicki już stał przy bębnie telegrafu maszynowego.

— Drmińńńń!

Sygnal *STOP* nikogo zbytnio nie zdziwił w oddziale maszynowym, ale kiedy zaraz potem hebel bębna przeskoczył na napis: *CALA WSTECZ*, mechanik Dumania przetarł sobie oczy ze zdumienia. Wprawdzie bez wahania wykonał rozkaz, ale nie powstrzymał się od uwagi, rzuconej w stronę asystenta, trzymającego ręce na szprychach koła wentyla regulacyjnego: — Albo Ciuńdziewicki się urznął maderą tych miłych Anglików z *King Johna*, albo za chwilę pocałujemy dziobem jakiś statek. Na wszelki wypadek pisz, kolega, testament.

W chwilę później przybiegł na mostek sam Starbałła.

— A gdzie wyście zajechali, ciężkie tumany?! — ryknął, ujrawszy naocznie zagadkową skałę, od której dziób *Chrobrego* dzieliło obecnie najwyższej sto metrów; bowiem nabytym rozpędem okręt posuwał się wciąż jeszcze naprzód, chociaż śruba kręciła się w odwrotnym kierunku. Zwalniał biegu, niebawem włókł się jak objuczony berlinkami holownik, ale każda bezcenna sekunda przybliżała go do straszliwej przeszkody.

Kapitan przyskoczył do tuby, wyrwał z niej zatyczkę, przyłożył wargi do ustnika, dmuchnął, zaklął, znów dmuchnął, potem zaczął wołać:

— Zwiększyć obroty do maksimum! Wciąż cała wstecz.

— Rozkaz — odkrzyknął Dumania; dzieliło ich obydwóch dobre sześć pięter i przestrzeń pomiędzy przednim kaszetelem a maszynowym, przestrzeń wypełniona zgiełkiem burzy, lecz prymitywny „telefon” przenosił bez zarzutu głos ludzki z wysoko położonej strażnicy do głębin okrętu.

Starbała podbiegł z kolei do sternika, ale zanim koło sterowe wykonało pierwszy półobrót, Ciuńdziewicki zawołał z westchnieniem ulgi:

— Cośmy się.

— Ufff — odsapnął kapitan. — Reflektor. — rzucił przez ramię w stronę Ciuńdziewickiego, który miał minę winowajcy; gdyż nie mógł sobie darować, że z takim niedowierzaniem odniósł się do meldunku Jerzego i tyle czasu stracił na wychwalanie map żeglarskich wówczas, gdy statek pędził całą parą na skalną barierę.

Snop białego światła trysnął z reflektora na kamienną, niemal prostopadłą ścianę, zwężając się ku górze w ostrą iglicę.

— Tak, cośmy się, dzięki Bogu — mruknął Starbała, stwierdziwszy z radością, że przestrzeń pomiędzy nosem statku, a skałą wydłużyła się, powoli, lecz stale. Nagle zrobił żołnierski wstecz zwrot na pięcie i dobrał się do skóry Ciuńdziewickiemu: — Gdzieś pan zjechał, pytam powtórnie — zagrział i podszedł do busoli.

— Faktycznie nie rozumiem, panie kapitanie — bronił się trzeci oficer. — ani na włos nie zjechałszy z kursu.

— Tak, o ile te magnesy nie powariowały albo ktoś spirytusu nie wypił — warknął Starbała, patrząc podejrzliwie na Bobowicza, potem zwrócił się do trzeciego oficera. — Proszę zajrzeć na główny kompas.

Jerzy dowiedział się przy tej okazji, że prócz sterowego kompasu, którego róża wiatrów pływa w rozcieńczonym spirytusie, posiada statek kilka innych kompasów, między nimi ów główny, „suchy”.

Ciuńdziewicki wrócił po chwili i oświadczył, że obydwa kompasy są *w najlepszej zgodzie*.

— Hm, hm, hm. — Starbała pokręcił głową, posłał maszynom sygnał *STOP* i wraz z trzecim oficerem odszedł do kabiny nawigacyjnej. Siedzieli tam czas dłuższy, a kiedy wreszcie wyszli na mostek zastali tu i Bulicza, którego dyżur służbowy zaczynał się o czwartej, więc za dziesięć minut.

— Co to znaczy, panie kapitanie — zaczął Bulicz, widocznie podniecony — za rułą widać ziemię! Łysnęło się właśnie gdym wychodził i...

— Jak?! Co pan powiedział?! — Starbała miał taką minę, jak gdyby się zamierzał rzucić na drugiego oficera i wyboksować go na kwaśne jabłko. — Za rułą widać ziemię? Za rułą? Tam! — Tu wskazał w stronę dziobu statku, poza którym hen daleko u końca jęzora światła reflektora majaczyły kontury skały, dostrzeżonej przez Jerzego Rawskiego. — Tam jest jakaś przekłeta rała, której nie wymienia żadna mapa. Tam, ale nie za rułą!

— Za rułą także, panie kapitanie — upierał się Bulicz. — Proszę sprawdzić.

Ponad sterówką i, złączoną z nią wspólną ścianą, kabiną nawigacyjną znajdował się maleńki prostokątny pokładzik, najlepszy punkt obserwacyjny na statku, jeśli nie liczyć bocianich gniazd na fok- i grotmaszcie. Tam właśnie pospieszyli trzej oficerowie, a za nimi Jerzy, gnany ciekawością.

Łysnęło się tak, jak nigdy dotychczas tej nocy i w powodzi seledynowego światła ukazały się ciemne kontury skał daleko za rułą *Chrobrego*.

— O, proszę bardzo — tryumfował Bulicz.

— I tam także — dorzucił Ciuńdziewicki, wyciągając rękę poza lewą burłę.

Starballe zerwał z pasją ceratowy kaptur z głowy wraz z czapką i wszystkie palce wczepił sobie we włosy.

— Nie! Tego mi za wiele! Ja oszaleję! O-sza-le-je! Na mapie nie widać ani skrawka ziemi, a tu, do stu tysięcy par dziurawych kaloszy, rażą na rafie i rażą pogania — krzyczał, nie dbając, że ulewny deszcz robi tusz jego nieosłonionej głowie.

— Że przed dziobem rażą, no, to jeszcze rozumiem — wtrącił Bulicz — ale z tyłu? Jakżeś pan tamtędy przepłynął? — zwrócił się do trzeciego oficera. — Czy zmienialiście kurs? Lawirowaliście może?

Ciuńdziewicki zaprzeczył jak najbardziej stanowczo i na dłuższą chwilę wszyscy trzej oficerowie umilkli, głowiąc się na próżno nad rozwiązaniem tej przedziwnej zagadki, a okręt zatrzymany sygnałem *STOP* jeszcze przed kwadransem, kołysał się lekko, bezwładnie, raczej na boki, niż podłużnie.

— A może, proszę panów, te skały wynurzyły się z wody dopiero tej nocy — rzekł nieśmiało Jerzy.

— Bzdury — warknął Ciuńdziewicki.

— Więc jakże inaczej wytłumaczy pan to, że widać skały o niecały kilometr za rufą, choć kursu statek nie zmieniał?

Jerzy spojrział z wdzięcznością na kapitana za to, że nie tylko nie wyśmiał jego hipotezy, ale ją poparł łaskawie, zaś Ciuńdziewicki odparł z rozbijającą szczerością:

— Nie potrafię tego wytłumaczyć, panie kapitanie i w ogóle nic nie rozumiem z całej tej historii.

— Niemniej musimy coś przedsięwziąć. Nie możemy tu przecieżyć i czekać, aż jakaś nowa raża wylezie z wody pod naszym kilem, tłu, żeby licha nie skusić!

— Słusznie, panie kapitanie, ale jaki wziąć kurs, zapytuje.

— Ba, łatwo panu zapytywać, odpowiedzieć trudniej. No, cóż; skoro naprzód nie można ani w tył, ani w lewo, to chyba poześlujmy w prawo. Dość, że musimy się jak najprędzej wydostać z tego twardego rożka, z tego sierpa zapowietrzonych raf

— Rozkaz.

Bulicz podsunął swój zegarek pod nos Ciuńdziewickiemu i obydwoj zesłi do kabiny nawigacyjnej, gdzie drugi oficer miał przejąć służbę od trzeciego, uszczęśliwionego ponad wszelką miarę, że denerwująca warta się dla niego skończyła. Zmienili się również sternicy, przyszedł także nowy wachtowy, by złuzować Jerzego, lecz Rawskiego łóżko nie nęciło wcale; przeczuciwał, że to dopiero początek dzisiejszych niespodzianek, więc pozostał na mostku, bacząc tylko, by nie nasuwać się na oczy Starballe, który nie znośli, jeżeli ktoś spoza wachty plątał się tutaj.

Pożeglowali więc na prawo, czyli w kierunku zachodnim z minimalnym odchyleniem południowym. Płynęli z umiarkowaną szybkością, z zapalonym reflektorem i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Wicher osłabł, ale zawsze jeszcze dął z siłą *osiem*, choć kapitan prorokował na rano tylko *pięć*. Za to fale zmalały nieproporcjonalnie do takiego wiatru i ten podejrzany brak harmonii pomiędzy obydwojma żywiołami był nową zagadką tego dnia, historycznego dnia w dziejach naszej planety.

Punktualnie o piątej rano dostrzeżono z mostka przed dziobem statku... ziemię; tym razem nie była to samotna iglica, jaką dostrzegł Jerzy, ani też grupa raf, lecz długi, niski pas lądu.

Starbałła pienił się z wściekłości. Podjechał, jak najbliżej można było, do tej wyspy (ani chwili nie wątpił, że ma przed sobą jakąś niewielką wysepkę), potem zmienił kurs statku i popłynął równoległe do jej wybrzeży.

— Ma być przecież jakaś dziura, jakieś wyjście z tej przeklętej pułapki — perorował, wybuchając gniewem z najbliższych powodów.

Omylił się, nie znalazł żadnego wyjścia, żadnego kanału czy przesmyku; ów twardy różek, jak go nazwał, nie był bynajmniej sierpem, lecz nieprzerwanym pierścieniem ziemi, która tej nocy wynurzyła się z oceanu. A w pośrodku tego jeziora znalazł się *Chrobry*, zamknięty, uwięziony na zawsze.

Koło godziny ósmej rano przybyli na to samo miejsce, gdzie po raz pierwszy trzeba było zatrzymać statek.

— Ależ to moja iglica! — krzyknął Jerzy, poznając „swoją” skalę.

Ani Bulicz nie zaprzeczył, ani purpurowy z wściekłości Starbałła, bo owa iglica miała kształt tak charakterystyczny, że o pomyłce nie mogło być mowy; a jednak było coś, co, gdy statek bliżej przypłynął, sprawiło ich w nieopisane zdumienie. Oto *iglica Rawskiego* (tak ją już zaczęli nazywać) wznosiła się obecnie na dobre sto pięćdziesiąt metrów ponad poziom wody, gdy przedtem mierzyła najwyżej trzecią część tej wysokości.

Lecz *rafy Bulicza* urosły w tym samym stosunku i wszystkie punkty pierścienia okalającego jezioro, po którym nieszczęsny Starbałła miotał się ze swoim statkiem, szukając na próżno wyjścia z tej pułapki.

— To nic innego, tylko atol — dowodził Bulicz, a sądząc, że Jerzy nie zna tej nazwy, zacerpniętej z języka malajskiego, wykladał dalej: — Atol jest to wyspa kształtu pierścienia, który otacza zatokę zwaną laguną. Atol składa się z rafy całkowicie wynurzonej, która...

— Nie pleć pan głupstw — huknął Starbałła — atolem nazywamy wyspy koralowe, a te przeklęte głazy mają tyle wspólnego z korałem, co ja z filozofią.

— Więc cóż to jest zdaniem pańskim? — spytał Bulicz urażony.

— A bo ja wiem? Diabli wiedzą! — wrzasnął kapitan, nie panując już nad sobą.

Ulżyło mu widać po tym wybuchu, bo po chwili dodał łagodniej, tonem żalostnej skargi:

— To jest najordynarniejszy figiel, jakiego los kiedykolwiek spletał porządnemu marynarzowi.

Jerzy nie mógł dłużej wytrzymać; ta myśl uczepiła go się już wtedy, gdy dostrzegł „swoją” iglicę, a kielkowała w jego umyśle od chwili, w której dowiedział się o sensacyjnym odkryciu uczonych oceanografów ze statku *Monte Carlo*. Kiedy więc przebrzmiały słowa rozszalonego Starbałły, odezwał się nieśmiało, lecz dosyć głośno, by wszyscy na mostku słyszeli:

— A może to jest... **Atlantyda???**

I odgadł. Nie wiedząc nic o tym, że w tej chwili już blisko ćwierć miliona kilometrów kwadratowych łądu wynurzyło się ponad powierzchnię Oceanu Atlantyckiego, że laguna, po której krążyli beznadziejnie jest istotnie jednym z kilkunastu jezior starej Atlantydy, że dopiero wieczorem radio roznieśli po świecie wieść o zmartwychwstaniu jakoby legendarnego łądu pomiędzy Afyką a Ameryką... odgadł najtrafniej.

Wiatr wciąż jeszcze dął potężnie. Tu, na zamkniętym jeziorze, fale były znacznie mniejsze niż na otwartym morzu, lecz burza szalała w dalszym ciągu, ołowiane chmury przewalały się nisko po niebie i wśród huku gromów, wśród poświstów wichru i w oślepiającej aureoli błyskawic wynurzała się z głębin oceanu coraz wyżej i wyżej... stara, tajemnicza **Atlantyda**.

Rozdział XI PORWANIE

Uroczystość spuszczenia na morze pasażerskiego okrętu *Władysław Jagiello* w dniu 14 czerwca zaszczylił swoją obecnością Prezydent Rzeczypospolitej, przybył również rząd in corpore¹, z wyjątkiem ministra Spraw Zagranicznych, który właśnie bawił w Genewie, uczestnicząc w nadzwyczajnej sesji Ligi Narodów. Po nabożeństwie celebrowanym przez księdza biskupa Lorka w katedrze gdyńskiej, dostojni goście udali się samochodami do stoczni.

Punktualnie o dwunastej w południe podniesiono banderę na *Jagielle*. Kapela zagrała hymn państwowy, rodzice chrzestni nowego statku rozbili o jego dziób butelkę szampana, czyniąc zadość tradycji, i wśród ogłuszającego ryku syren okrętowych i fabrycznych, wśród radosnych okrzyków wielotysięcznego tłumu widzów, przecięto liny. Potężny kadłub parowca drgnął, ruszył z miejsca i po nasmarowanych tłuszczem szynach zaczął zjeżdżać do wody, ruń naprzód, a dziobem zwrócony do brzegu, do osieroconego rusztowania doku, które teraz wyglądało smutnie jak szkielet.

Upał był w tym dniu szalony, toteż odświętnie ubrani dygnitarze z wielką radością kroczyli w stronę szeregu wspaniałych limuzyn, które miały ich odwieźć do ratusza na bankiet, wydany przez miasto Gdynię.

— Ufff — sapał korpulentny Stefan Ciuńdziewicki, drugi dyrektor *Żegluga Polskiej* i rodzony ojciec młodego oficera ze statku SS *Bolesław Chrobry*. — Takiej spiekoty nie pamiętam od czasów, gdy pływałem na *Batorym* do Brazylii. Święty Piotr zapomniał dziś chyba zamknąć regulator niebiańskiego piecyka, — narzekał, wskazując pionowo stojące słońce.

— A co ja mam mówić? — dorzucił żartobliwie Minister Przemysłu i Handlu. — Ja, który trzymałem do chrztu dzieciaka tej wagi?

Przystanęli i raz jeszcze spojrzeli w tę stronę, gdzie na błyszczącej w słońcu toni morza stał majestatycznie najcięższy chrześniak pana ministra, największy z dotychczasowych statków polskich, *Jagiello*.

— Ba, trzydzieści pięć tysięcy ton, to już jest coś — rzekł z dumą dyrektor Ciuńdziewicki, wypinając okazały brzusek.

— Chodźmy, panowie; chodźmy — przynaglał ksiądz biskup. — Dobrze to wam gawędzić po sutym śniadaniu w Oksywiu, ale ja jeszcze nic dzisiaj w ustach nie miałem.

— Hora canonica², rozumiem, rozumiem — wzdychał współczująco Ciuńdziewicki. — Odrobimy to na bankiecie. Już tam ręczę za to, że ojcowie miasta doskonały obiadek przygotowali dla takich gości.

Sympatyczny tłuścioszek nie omylił się w swych przewidywaniach, ale nie przewidział jednego, mianowicie, że po bankiecie, zamiast miłej poobiedniej drzemki, czeka go wielce łątygująca podróż powietrzna.

Właśnie prezydent miasta Gdyni wznosił toast na cześć sędziwego Włodarza Rzeczypospolitej, gdy Ciuńdziewickiemu doręczono depeszę.

— Od Starbałły — rzekł cicho, spojrzawszy przede wszystkim na podpis, przebiegł wzrokiem liczne rządki pisma, przetrzął zdumione oczy, jeszcze raz przeczytał treść telegramu i podał go przez stół pierwszemu dyrektorowi *Żegluga*. Bez słowa! Ani sylaby nie zdołał wykrztusić z krtani, w

której nagle „zaschło” i którą co prędzej jął zwilżać winem.

Bankiet przerwano. W przyległej sali odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Rady Ministrów. Energicznie szefrządu zwrócił się przede wszystkim do Ministra Spraw Wojskowych z zapytaniem o eskadrę torpedowców, która rewizytowała Brazyljczyków.

— Dzisiaj o dziewiątej wieczór opuszcza Funchal, kurs Gdynia — odrzekł krótko zapytany.

— Kurs zmienimy, sądzę — mruknął kierownik nawy państwowej, po czym dodał podniesionym głosem: — Panowie, otwieram posiedzenie.

W dwie godziny później wystartował z Oksywia wielki trzyśrubowy hydroplan, unosząc w swej kabinie admirała Filanowicza i trzech innych oficerów, oraz jednego cywila, dyrektora Ciuńdziewickiego.

Tegoż dnia o godzinie osiemnastej polski Minister Spraw Zagranicznych złożył w Sekretariacie Ligi Narodów w Genewie oświadczenie, że statek handlowy *Bolesław Chrobry* odkrył na Atlantyku nieznaną dotychczas wyspę, do której Rzeczpospolita Polska zgłasza swoje prawa.

Niemal równocześnie opuszczały Funchal trzy polskie torpedowce *Huragan*, *Grzmot* i *Tajfun*, udając się dokąds na południe, stosowanie do rozkazu, przysłanego szyfrowaną depeszą.

Tego samego wieczora biedny dyrektor Ciuńdziewicki, nienawykły do podniebnych podróży, schorował się okropnie.

— Tak mi dzień zepsuć? I to kolega? Przyjacieli? — narzekał na Bogu ducha winnego Starbałę, wystawiając raz po raz głowę przez okienko gondoli hydroplanu. I z mknącego pod osłoną nocy na wysokości czterech tysięcy metrów samolotu sypały się na uśpioną Bawarię przysmaki z fatalnego bankietu.

Dnia 15 czerwca w czasie śniadania rozpoczęły się ożywione dysputy pasażerów *Chrobrego*. Nieodrodne „szczury lądowe” na widok tego, co się działo tu wczoraj, obleciał błąd strach.

— Iglica wznosi się dzisiaj nad poziom wody na dobre trzysta metrów — zaczął grobowym głosem Wójcicki — jezioro szybko wysycha.

— Jeśli tak dalej pójdzie — wtrącił starszy Tintenfass — to może jutro nic nie zostanie z naszego jeziora. A kto z państwa wie, jak tam dno wygląda? Że gładkie jak asfalt nie jest, to pewne. Więc co? Statek się przewróci, rozleci w kawałki, a my... oj, wołę o tym nie myśleć.

— No, tak prędko to nie nastąpi — odezwał się inżynier Polański, który był na ogół mrukiem i bardzo rzadko głos zabierał.

— Skąd pan wie?

— Byłem obecny przy tym, jak bosman zapuszczał sondę. I okazało się, że w ogóle tyle sznurka nie posiadamy, by do dna dosięgnąć.

— A linka sondy ma dwieście metrów długości!

— Aha, teraz rozumiem, dlaczego nie zarzucili kotwicy.

Tintenfass-senior niepokoił się w dalszym ciągu:

— Ja też się wcale nie upieram, że to musi nastąpić jutro. Ale pojutrze? Albo za trzy dni? Za cztery? Wciąż żyć z tym mieczem Dam... Dem... no, jak on się nazywał? — spytał syna.

— Demostenes — wypalił młody Tintenfass, pochłonięty rozmową z Marysią Śląską.

— Damokles — poprawił Stanisławski.

— Zgadza się — przyznał kupiec, posyłając zaczerwienionemu po uszy synowi „obietujące” spojrzenie. — Więc, powtarzam, wciąż mamy żyć z tym mieczem Damoklesa nad głową?³

— Ja osobiście śledziłbym z przyjemnością dalszy rozwój wypadków — rzekł znów Polański — ale chodzi mi o bezpieczeństwo żony.

Panna Szczotkówna uznała za stosowne zresumować wyniki obrad:

— Krótko mówiąc, dzisiaj opuścimy to pudło. Ja przynajmniej ani chwili dłużej tu nie zostanę!

Ostatnie słowa wypowiedziała podniesionym głosem, zwracając się wyraźnie w stronę Starbałły, milczącego i ponurego jak historyczna noc wczorajsza.

Nie dał się sprowokować, nie odrzekł ani słowa, choć krew mu nabiegła do głowy, gdy jego piękny statek nazwano tu pudłem. Jego wspaniały okręt, który najbezpieczniejszą twierdzą był dla tych „szczurów”, kiedy szalał cyklon! — Niewdzięczne robaki — zmeł w zębach to wyzwisko, powstał, zimno skinął głową swoim pasażerom i ruszył ku drzewom. Ale zanim dotarł do nich, zabrzmiał natarczywy chór głosów:

— Panie kapitanie. Panie kapitanie.

— Niech pan jeszcze nie odchodzi, prosimy.

— Mamy tyle spraw do omówienia.

— Przyzna pan sam, że wobec uwiecznienia statku wśród tych skał, musimy podróż uważać za skończoną.

— Czego państwo chcecie? — spytał. — Proszę dokładnie określić swoje życzenia.

— Chcemy opuścić pański okręt.

— No i co dalej? — Ironiczny uśmiezek przewinął mu się po zaciśniętych ustach.

— Co dalej? Hm... Spróbujemy przedostać się na zewnętrzne wybrzeża tego atolu i pierwszym lepszym statkiem podążyć do Angoli.

— Ja tam muszę być nieodwołalnie 20 czerwca — oświadczył radca Urzędu Emigracyjnego.

— Aha. Więc sądzicie państwo, że skoro tylko ukażecie się na zewnętrznym wybrzeżu tego atolu, to od razu trafi się statek płynący akurat do Angoli.

— Wszystko jedno, dokąd będzie płynął. Byle nas zabrał z tej niepewnej wyspy, byle nas dowieźł do jakiegoś portu; potem będziemy się głowili nad dalszą podróżą do Angoli.

— Powtórnie proszę o dokładne sprecyzowanie swych żądań.

— Dobrze, kapitanie. Prosimy zatem, aby nas pan polecił wysadzić na brzeg. Dalej, aby nam pan dał do dyspozycji potrzebną ilość majtków, która poniesie nasze bagaże...

— O, to, to właśnie — potakiwały panie.

— Dalej: by nam pan dał pewien zapas żywności — dorzucił Wójcicki — bo nie wiadomo, jak długo przyjdzie nam czekać na statek, który, nawiasem mówiąc, powinien pan wezwać przez radio.

Litania prośb, życzeń, a nawet kategorycznych żądań zaczęła się szybko wydłużać. Nic tedy dziwnego, że przyciśnięty do muru Starbałła powitał z radością Bulicza, który wkroczył w pewnym momencie do jadalni.

— Depesza — rzekł krótko.

— Pewnie znów wiadomość o rozbiciu się jakiegoś statku na rafach naszej niespokojnej Atlantydy — przypuszczał Wójcicki, bowiem w dniu wczorajszym, a zwłaszcza w nocy sygnał SOS wielokrotnie alarmował Kołodkę, który, jak mawiano z humorem, nawet sypiał ze słuchawkami na uszach.

— Nie, to coś innego tym razem — odparł Starbałła, a twarz mu się rozjaśniła nareszcie — to telegram od mego zwierzchnika, dyrektora Ciuńdziewickiego, który na skutek mego raportu wyleciał wczoraj samolotem z Gdyni i prawdopodobnie już jutro tu stanie. — W myśli dodał jeszcze: — I zdejmie mi z karku przekłete jarzmo odpowiedzialności za statek; bo nie od dzisiaj mam dyplom

kapitana wielkiej żeglugi, nie od dzisiaj pływam po wszystkich morzach, ale fuwać okrętem nad skałami, nie, do licha ciężkiego! Tegośmy jeszcze w szkole nie brali!

Pasażerowie nie taili swojego rozczarowania.

— Cóż nam jakiś dyrektor pomoże — mruknął Wójcicki przy ogólnym aprobującym potakiwaniu.

— Tego nie wiem. Wszelako sądzę, że byłoby rozsądniej, gdyby państwo odłożyli swój wymarsz do jego przyjazdu — odrzekł Starbała.

Mówił to właśnie, gdy do kajuty wbiegł steward Gajda.

— Panie kapitanie — zameldował zdyszonym głosem — bosman złapał dno sondą.

— No nareszcie. Jaka głębokość?

— Nie wiem, panie kapitanie.

— Więc z czymś przybiegł, fujaro? Pójdźmy zobaczyć — dodał, zwracając się do Bulicza.

Po wyjściu obydwóch oficerów i Gajdy, który już drugi przydomek „załasował” w tej podróży, zawrzało wśród pasażerów.

— Słyszeliście, państwo? — perorował Wójcicki. — Już dotknęli dna sondą, to znaczy, dno się znowu podniosło!... I ten wilczur morski każe nam czekać od jutra na swojego dyrektora. Niech czeka, ja nie myślę. Może wy...

— Kto mówi, że ja myślę zostać? — zdziwił się pan Tintenfass i wszyscy pasażerowie pospieszili do swoich kabin, aby spakować manatki.

Dokładnie o pierwszej po południu spuszczo szalupę na wodę. Nie obeszło się przedtem bez ostrego starcia z powodu bagażu pasażerów. Bowiem kapitan oświadczył stanowczo, że nie może pozbawiać statku załogi i wszystkich majątków degradować na kulisów, jak się wyraził w rozdrażnieniu. Niech pasażerowie zabiorą z sobą tylko tyle pakunków, ile sam każdy uniesie, a czterej marynarze, bo tylko czterech może odkomenderować, ci poniosą potrzebną żywność.

— Spodziewam się jednak, że państwo na rano tu wrócą — zawołał na pożegnanie, gdy szalupa odbiła od burty *Chrobrego*. Paśl oczy widokiem ich oburzenia, jakie te słowa wywołały, a potem, zwracając się do Dulskiego, dał głośny wyraz swej niechęci do *pasażerskiego rodu*: — Wykadzić, panie Dulski — wołał. — Wykadź mi pan po tych tchórzliwych szczurach lądowych!

Po blisko godzinnej żegludze w kierunku południowo-zachodnim szalupa przybiła do brzegu niemal u stóp najwyższej skały. Tę skałę nazywali już stale *Iglicą Rawskiego*, z czego młody odkrywca był niezmiernie dumny. I obecnie spoglądał na „swoją” iglicę władcym wzrokiem, badając równocześnie, czy nie zajęłaby zbyt dużo czasu wspinaczka na jej szczyt i zatknięcie tam polskiej flagi. Niestety zbocza tej góry były nazbyt strome i skaliste, aby dało się urzeczywistnić te plany bez lin, haków i tym podobnych przyborów, dobrze znanych każdemu tatemikowi.

Jerzy należał do owej czwórki marynarzy, która miała odprowadzić pasażerów *Chrobrego* na brzeg oceanu. Drugim był Skowronek, trzecim Tkaczyk, zaś czwartym... Hans Riedetz, ów pasażer na gapę, który zakradł się na okręt podczas mgły w Kanale Kilońskim. Przydzielony do kotłowni, sprawował się przez cały tydzień tak nienagannie, że nie wysadzono go na ląd ani w Lizbonie, ani na Maderze. Dopiero dzisiaj poprosił, by go zwolnić z dotychczasowych obowiązków pomocnika palacza i przyłączył się do grupy pasażerów, zamierzając podzielić ich dalsze losy. Tak więc tylko we trójkę mieli powrócić na okręt, to jest Rawski, Skowronek i Tkaczyk.

Zaledwie jednak szalupa dobiła do brzegu, Hans Riedetz pokazał swoje prawdziwe oblicze. Oświadczył Buliczowi arogancko, że służbę uważa za ukończoną i żadnych ciężarów prócz swego plecaka nie myśli dźwigać.

— My ci damy dobry napiwek — rzekł Wójcicki, próbując w ten sposób ugłaskać nieuczynnego olbrzyma.

— Napiwek proszę sobie schować, a to ci także, zrozumiano? — huknął ostro i takim wzrokiem spojrzął na tysego pasażera, że ten co prędzej uskokczył za księdza Bzowieckiego.

Wobec takiego stanu rzeczy Bulicz zdecydował się na własną rękę przydzielić jeszcze jednego majtka pasażerom.

— Nowocięń — krzyknął — wy pójdziecie.

— A może bym ja, panie poruczniku — dopraszał się Pawelek.

— Nie. Tyś za słaby do tego — twierdził Bulicz.

— W każdym razie mocniejszym od tego panicza — odciął się tamten, i lekceważącym ruchem wskazał na Jerzego.

Nowocięń, rekordowy leń i *zakala statku*, jak mawiał kapitan, bynajmniej się nie kwapił do tej przechadzki; przypomniał sobie na poczekaniu, że ma nadwyrężone ścięgno, że buty go cisną i dziesięć innych znalazł wykrętów.

— Niech Paweł idzie, skoro sam chce — powtarzał w kółko, aż zniecierpliwiony oficer przystał w końcu na to.

— Odbij — padła komenda.

Bosakowi odepchnęli łódź od brzegu.

— A skoro nocą wrócić — zawołał Bulicz w stronę Jerzego — zapalcie racę.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Szczęśliwej drogi wszystkim życzę — huknął jeszcze oficer; stojąc w szalupie, trzymał prawą dłoń przydaszku czapki, a lewą na rękojeści steru.

— Bardzo grzeczny człowiek, — zachwyciała się panna Szczotkówna — napiszę do niego kartkę z Angoli.

— Ba, a jak pani zaadresuje? — spytał na wesoło mały Stanisławski. — Radzę tak: *Atlantyda, Jezioro Starbally*.

— Niech mi pan nie wspomina tego buldoga — zachnęła się. — Nie daruję sobie nigdy, żem go zaczęła portretować.

— Ooo, to nowina! Portretować? Proszę, proszę...

Przekomarzając się, żartując, szli w zbitej gromadce, ale ta piękna harmonia nie trwała ani godziny, gdyż spacer pod zabójczym tuszem podzwrotnikowego słońca nie należy do przyjemności. Niebawem zbita gromadka rozciągnęła się w węża, który z każdą minutą się wydłużał. Jego głową był Hans Riedetz, trzymający się z dala od reszty osób. Ze sto kroków za nim maszerowali dzielnie Jerzy i Tkaczyk, nieco dalej ksiądz Bzowiecki i redaktor Stanisławski, tak różni wzrostem, a tak zgodni w marszu. Potem następowała dłuższa przerwa. Pan Wójcicki kroczył na czele „głównego korpusu” złożonego z dziewięciu osób, a na samym końcu włókł się jak ślimak marynarz Skowronek.

Zgoda również niedługo gościła w szeregach „ekspedycji”. Raz po raz dobiegały Jerzego nawoływania: — Hop, hop! zawrócić! Żle idziemy — po czym następowały głośnie sprzeczki na temat wyboru właściwej drogi. Jedni chcieli skrócić w lewo, drudzy w prawo, lecz w końcu maszerowali nadal prosto i godzili się milcząco na przewodnictwo Hansa oddalającego się coraz bardziej i bardziej.

Okolica, jak dotychczas, nie wyglądała zachęcająco ani ciekawie. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się niskie pagórki i między nimi płytkie stawki, w których morska woda szybko parowała przy

takim upale. Dzięki temu też zapewne zbocza pagórków były już zupełnie suche, nawet w tych miejscach, gdzie pośród skał widać było jaśniejsze plamy piaszczystych lawic. Pewne urozmaicenie krajobrazu stanowiły dawne dzungle oceanu, ale te potężne lasy wodorostów, wydzwignięte tak nagle z głębin morza na powierzchnię były nieodwołalnie skazane na zagładę. Pozbawione swojego żywiołu, prążone żarem słońca, które bezlitośnie ssało z nich resztki wilgoci, marmiały w oczach. Patrząc na te kępy bujnych podmorskich zarośli stłamszone, jak zboże zbite gradem, kępy dymiące parą wodną i woń przykrą roztaczające dokoła, zastanawiał się Jerzy, czy nie staną się one doskonałym nawozem, czy nie użyźnią tej wyjałowionej, piaszczystej gleby.

— Przyroda wie, co robi. Te zielska zgniją, a za jakieś dziesięć lat pokryją te nieużytki, być może, najpiękniejsze winnice — rzekł jakby w proroczym natchnieniu.

Już z nastaniem zmierzchu, który w podzwrotnikowych krainach zapada zawsze o godzinie osiemnastej, rozbito obóz. Na próżno kilku rozsądniejszych namawiało pozostałych towarzyszy, by nie przerywać pochodu i, jak najdłużej można, maszerować dalej, korzystając z nocy, bardziej sprzyjającej wędrowce z balastem walizek i pakunków niż upalny dzień; większość ani słyszeć nie chciała o dalszym marszu. Wójcicki oświadczył, że czuje już świeży powiew od morza, że do oceanu pozostała najwyższej godzina drogi, że zatem można sobie śmiało ten spacer odłożyć do jutra. I na tym stanęło.

Przed północą nikt oka nie zmrzył, prócz Skowronka, który prawdopodobnie potrafiłby zasnąć nawet w stojącej pozycji. Po miękkich łózkach w kabinach *Chrobrego* i niezbyt wygodnych kojach w kubryku, zbity, tylko z wierzchu obeschnięty piasek wydawał się nieznośnie twardym legowiskiem. Na dobitkę ciszę nocną zakłócały częste łoskoty, podobne do detonacji wystrzałów. Przez długi czas nikt nie potrafił wyjaśnić przyczyny tych huków i trwoga ogarnęła znużonych wędrowców; przypuszczali już nawet, że wyspa zapada się w morze, zrywali się z krzykiem i chcieli biec na powrót w stronę *Jeziora Starbally*, by schronić się na statek, który teraz ponownie wydał się im najbezpieczniejszym azylem. Aż wreszcie inżynier Roman Polański rozwiązał tę zagadkę:

— Prawdopodobnie są to łoskoty towarzyszące pękaniu skał rozpalonych za dnia podzwrotnikowym słońcem, a teraz stygnących szybko — rzekł.

Nazajutrz wyruszyli w dalszą drogę już o siódmej rano, lecz po tak fatalnym noclegu odpomość na niewygodę tej podróży zmalała do minimum. Po godzinie marszu panna Szczotkówna położyła na jakimś glazie ciężkie pudełko z farbami, w chwilę później Wójcicki odrzucił swoją walizeczkę, potem Stanisławski cisnął z pasją na ziemię ciężki rewolwer, dowodząc, że ten grat jest tutaj zupełnie bezużyteczny i niepotrzebnie mu kieszenie obrywa. Tym trybem szło aż do południa, a nie tylko różne przedmioty zabrane z kabin statku jako najpotrzebniejsze, lecz i części garderoby, jak zarzutki, kamizelki i trzewiki poznały drogę przebytą przez szesnastu wędrowców.

W pewnej chwili dostrzegli kilkanaście mew. Te żarłoczne ptaki wbiły się w powietrze spoza stromej pagórka, za którym zniknął przed chwilą Hans Riedetz, idący obecnie już w odległości pół kilometra przed Jerzym i Tkaczykiem, stanowiącymi czoło głównej grupy podróżników.

— Gdzie są mewy, tam i morze; za tym wzgórkim jest ocean — zawołał ucieszony Wójcicki, któremu się spora porcja docinków oberwała rano, kiedy już wczorajsze przepowiednie się nie spełniły.

Widok kołujących mew skrzepił siły idących; nawet wlokący się sennie Skowronek przyspieszył kroku, dopędził grupę kobiet, a wraz z nią „przednią straż” ekspedycji w osobach Rawskiego i Tkaczyka. Tak więc wszyscy równocześnie dotarli do północnych podnóży pagórka i

razem zaczęli się wspinać po jego spadzistym zboczu.

— Dalej, śmiało, naprzód — zachęcał zdyszany Wójcicki — za mały kwadransik ochłodzimy się w kąpeli. Proponuję, byśmy powitali ocean trzykrotnym okrzykiem radości.

Jerzy wyprzedził innych mimo obciążenia, jakie stanowił plecak wypchany prowiantem. Pierwszy stanął na szczycie pagórka i okrzyk zawodu wyrwał mu się z piersi; morza ani śladu, za to, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się taka sama jak dotychczas pustynia, na pół kamienna, na pół piaszczysta, tylko oazy parujących wodorostów były po tej stronie liczniejsze. Hans Riedetz maszerował dalej samotnie i oddalał się szybko od pagórka.

— Niech pana geś kopnie — zabrzmiał Jerzemu nad uchem głos Stanisławskiego. Mały redaktor był oburzony na Wójcickiego, nazwał go mizernym prorokiem i zaznaczył, że tylko przez wzgląd na obecność pań wstrzymuje się od bardziej dosadnych określeń.

— Co pan chce? Co się stało? — sapał łysy emeryt, gramoląc się niezgrabnie na szczyt wzniesienia, na którym już większość jego towarzyszy się znalazła i głowy smętnie zwiesiła zgnębiona nowym zawodem.

— Nic — odburknął dziennikarz. — Czekamy tylko na pana, by wznieść ten proponowany okrzyk radości.

— A co, nie mówiłem? Gdzie są mewy, tam i morze... Uff! podajcie mi koniec laski, moi drodzy.

Nietrudno sobie wyobrazić rozczarowaną minę Wójcickiego w chwili, gdy osiągnął cel mozolnej wspinaczki i zamiast upragnionego morza ujrzał to beznadziejne pustkowie oznaczające dalsze trudy wędrówki, kto wie jak długiej. Nikt zresztą nie patrzył na niego, bowiem uwagę wszystkich pochłonęły mewy. Roilo się od nich w pobliskim zagłębieniu terenu, były ich tam całe setki, jeśli nie tysiące.

— Nigdy ich jeszcze tyle w kupie nie widział — rzekł Tkaczyk, który wprawdzie nie był takim obieżyświatem jak cieśla Kobryń, ale także się немало napodróżował i widział w życiu немало.

Na ogólne życzenie inżynier Polański wystrzelił raz w powietrze. Potężne stado mew zerwało się z krzykiem przestachu, rozbiło się i teraz dopiero ukazało zdumionym oczom wędrówcom swoją zdobycz. Była nią ośmiomica potwornych rozmiarów. Każde z jej ośmiu ramion, rozłożonych w kształt gwiazdy mierzyło około piętnastu metrów długości, a w nasadzie było grubsze niż noga rosłego słonia.

— Sen? — mruknął majtek Skowronek, trąc kulkami wieczne zaspane oczy. — Takiego smoka jeszcze nie widziałem.

— Więc to jest smok? — spytała naiwnie Marysia Ślaska.

Redaktor Stanisławski, jak przystało na „chodzącą encyklopedię” rozpoczął zaraz populamy wykład o głowonogach, a przez ten czas Wójcicki zabrał się do fotografowania olbrzymiego polipa.

— I taki kolos pozwala, żeby go ptaństwo żywcem zerało? — dziwił się Pawełek.

Jerzy parsknął śmiechem.

— Żywcem? — powtórzył. — Sądziś, że on jeszcze żyje?

— No, teraz już pewnie zdechł. Z braku wody — przypuszczał Paweł, trochę urażony tonem pytania kolegi, do którego od jakiegoś czasu czuł dziwną niechęć.

— A ja myślę, że zdechł jeszcze w wodzie, na długo przedtem, jak się ta wyspa wynurzyła z oceanu. Przystosowany do olbrzymiego ciśnienia w głębinach morza nie wytrzymał gwałtownej zmiany tego nacisku i...

— ...pękł — wtrącił Skowronek. — Nie widzisz to, że wygląda jak pęknięty balon? Otwórz szerzej oczy, za to twarz przymknij, to zobaczysz — przymówił Pawiowi, który miał zwyczaj słuchać z otwartymi ustami.

Paweł stał się nagle przedmiotem ogólnej wesołości, ale nic go nie zraniło tak boleśnie jak srebrzysty śmiech Marysi i łaskawy, wyrozumiały uśmiezek „panicza”. Przynął się też natychmiast do Jerzego i przez zaciśnięte zęby oświadczył mu tonem pogroźki:

— My z sobą jeszcze pogadamy!

Jakoż zaledwie wyruszyli w dalszą drogę, posiliwszy się trochę na pamiętnym wzgórk (który na poczekaniu otrzymał nazwę: *Pagórek Polipa*), Paweł dopędził Rawskiego kroczącego, jak zawsze, w przedniej straży.

— Tak mi się coś widzi, że świata dla nas dwóch nie starczy, — zaczął bardzo wojowniczo — że albo ty, albo ja!

Na takie dictum Jerzy osłupiał w pierwszej chwili ze zdumienia, a potem parsknął tamtemu w twarz serdecznym śmiechem.

— Czy to jest wyzwanie na pojedynkę? — spytał rozweselony.

— Śmiać się nie radzę!

— Doskonale, już jestem poważny jak woźnica z zakładu pogrzebowego — żartował Jerzy w dalszym ciągu — a ponieważ, jako wyzwany, mam prawo wyboru broni, proponuję armaty. Natomiast wybór kalibru dział i kłopot z dostarczeniem ich tutaj pozostawiam panu — dodał, składając przeciwnikowi przesadnie niski ukłon.

— Słuchaj no ty; czy mam cię zamalować pięścią między oczy?!

— Możesz, ale... odradzam! — warknął Jerzy. Jego świetny humor zniknął momentalnie. Nie zmienił niedbałej pozycji, nieodpowiedniej nawet do odparcia ataku, lecz spojrzął tak ostro w wylupiaste oczy Pawła, że tamten natychmiast spuścił z tonu.

— Pojedynki to rzecz dobra dla „paniczów” — rzekł dosyć spokojnie. — Ja jestem syn chłopski i po chłopsku mam ochotę się bić z tobą na pięści.

Jerzy także ochłonął z gniewu:

— Ale dlaczego? — spytał. — Cóż takiego zrobiłem, że...

— To moja rzecz — przerwał i znowu głos podniósł — dość, że chcę cię sprać na kwaśne jabłko. I jeśli nie jesteś tchórzem, to dzisiaj wieczorem odejdziemy sobie gdzieś na bok i... no, już wiesz chyba.

— Zgoda — przystał Rawski — ale nie dzisiaj i nie wcześniej, aż odstawimy pasażerów na brzeg morza. Teraz jesteśmy obaj na służbie.

Musiał dość długo tłumaczyć upartemu wyrostkowi, że taka bijatyka w obecnych warunkach pociągnęłaby dla nich przykre konsekwencje, a także i dla Bogu ducha winnych pasażerów, bo zwyciężony a może i zwycięzca stałby się w dalszej drodze raczej balastem niż pomocą. W końcu Paweł ustąpił i przystanął w miejscu, by zaczekać, aż główna grupa nadejdzie, zaś Jerzy, zamierzając dopędzić Tkaczyka, przyspieszył kroku.

Aż do zmroku nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Tylko wąż idących wydłużył się na przeszło kilometr, a najbardziej niewytrzymali podróżnicy poodrzucali znowu część swojego bagażu, między innymi przedmioty tak kosztowne jak aparaty fotograficzne, lornetki i pledy.

— Jutro zaczniemy się nareszcie pięć pod górę — rzekł Jerzy do Tkaczyka. Bo dotychczas, ku ogólnemu zdziwieniu, teren nieustannie się obniżał tak, jak gdyby powierzchnia *Jezióra Starbally* wznosiła się na kilkaset metrów ponad poziom morza.

— Tutaj — odezwał się Tkaczyk i, zadarłszy nos w górę, wciągał powietrze krótkimi haustami jak pies, kiedy wietrzy — tu już czuć morze!

— Mówicie? A może byśmy się tak puścili dalej we dwójkę?

— Żebyśmy nogę złamał w ciemnościach? Idź sam, skoro cię korci.

I skusiło Jerzego. Zaraz po kolacji wyruszył w dalszą drogę, sam, bo nikogo nie zdołał nakłonić do towarzyszenia mu w tej nadprogramowej przechadzce; zresztą, prawdę powiedziawszy, tylko z czterema mężczyznami o tym mówił, gdyż reszta rozproszyła się gdzieś w mrokach w poszukiwaniu wygodniejszego legowiska, niż były nim te gały porośnięte gnijącymi wodorostami.

Kroczył teraz żwawo wzmocniony posiłkiem, uwolniony od ciężaru plecaka, który pod strażą Tkaczyka pozostawił. Ale najlepszym sprzymierzeńcem w pochodzie był mu chłód nocny, jakże miły w zestawieniu z duszną atmosferą upalnego dnia.

Już po półgodzinnym marszu stanął u stóp wzniesienia, mniej spadzistego, niż *Pagórek Polipa*, lecz wyższego chyba z pięć razy. I tutaj, w trakcie tego wspinania się pod górę ogarnęło go nagle niesłychane znużenie. Dotychczas trzymał się może najlepiej ze wszystkich, aż teraz dopiero się załamał, czyli, jak mawiali jego dawni koledzy z boisk sportowych, „spuchł”. „Spuchł” najzupełniej. Ledwie powłóczył nogami, głowa ciążyła mu, jakby nie mózg, lecz ołów czerep czaszki wypełniał. I nic dziwnego; w ciągu dwutygodniowej podróży na statku odwykł od dłuższych spacerów, a tu miał „na sumieniu” dwa dni wyczerpującego marszu z ciężkim plecakiem i przy takim upale, dwa dni, przedzielone prawie bezsennością.

— Fi, nawet gorączki mam trochę — stwierdził. Potykał się ustawicznie, raz nawet zjechał na brzuchu po oślizgłym glazie i zdarł sobie naskórek na wewnętrznej stronie lewej dłoni. Już zamierzał zrezygnować z dalszych wysiłków, gdy wtem silniejsze tchnienie wiatru przyniosło mu dobrze znajomy odgłos. — Plusk fali, plusk fali — powtarzał z radością i z nowymi siłami wdierał się na szczyt wzniesienia, nie bacząc, że jeden fałszywy krok w tych ciemnościach grozi śmiercią lub kalectwem.

Ale, jak wiadomo, śmiałym szczęście sprzyja. Jerzy stanął niebawem na grzbiecie skalistego pagórka i upewnił się słuchowo, że u jego stóp szumi morze. Słuchowo tylko, bo nawet własnej dłoni nie mógł dojrzeć w mrokach.

— Za godzinę, za dwie będzie jaśniej — pocieszał się, wspomniawszy sobie poprzednią noc. — Tu, w tropikach, widać taka moda, że wieczór jest znacznie ciemniejszy niż noc sama — dodał z humorem, szukając dotykami jakiegoś wgłębienia, które by mogło go uchronić przed upadkiem w razie, gdyby się zdrzemnął niechcący.

— Spać nie zamierzam bynajmniej — zarzekł się, zresztą całkiem nieszczerze, bo czuł doskonale, że zaśnie natychmiast, skoro choćby usiądzie. Tak się też stało. Zasnął od razu, zaledwie się wyciągnął „na próbę” w podłużnym zagłębieniu skalnej opoki, które miało kształt szerokiej rynny lub raczej niszy, wpuszczonej w zewnętrzną ścianę pagórka, czyli od strony morza.

Lecz dobrze zasłużonego odpoczynku nie zaznał. Nie upłynęło ani pół godziny, gdy przyśniła mu się rozmowa dwóch mężczyzn. Gawędzili oni jakoby tuż u stóp jego kryjówki, rozmawiali swobodnie, bardzo głośno, i, co najdziwniejsze... po niemiecku! A jeden z tej dwójki jąkał się okropnie.

— Tata takie spotkanie, to praprawdziwy cuuuud — mówił właśnie.

— I znak, że powinienem przystać do twojej bandy, co? — odparł drugi i zarechotał zgrzytliwym śmiechem.

— Czemu mu nie? Ja dobrych majmajmajtków zawsze pooooo...

— ...potrzebujesz — dopomógł tamten. — A czymże ty właściwie handlujesz stary zboju? Tylko, Max... bez bujania. Chcę wiedzieć dokładnie, do jakiej roboty ręki przykładam...

— Mymyślałby kto, żeś w pace nigdy niece sieeedział.

— Owszem, siedziałem sześć razy, ostatnio dwa tygodnie temu, ale znowu zwałem. I właśnie dlatego chcę wiedzieć, gdzie pływasz swym pudłem.

— Jajak się da. Czasem dodo Staaanów...

— Szmuglujesz alkohol, co? Poza tym?

— Aaaargentyna.

— O, z czymże tam jeździsz?

— No chychyba, że nie z kakakaktusami — parsknął jąkała i obydwaj śmiali się na całe gardło przez dłuższą chwilę.

Jerzy Rawski, leżący dotychczas na wznak, odwrócił się na prawy bok, więc plecami do morza.

— Okropnie głupi sen — mruczał niezadowolony.

Lecz *okropnie głupi sen* trwał w dalszym ciągu, ponieważ snem nie był wcale. I w jakiś czas potem do świadomości zmęczonego chłopca dotarły dalsze urywki rozmowy prowadzonej nieopodal stąd przez dwóch godnych siebie kamratów:

— Myślę, myślę i w żaden sposób nie mogę zrozumieć, w jakim celu zakotwiczyłeś swój szkuner u brzegów tej zapowietrzonyj wyspy. Mnie osobiście jest to ogromnie na rękę, doprawdy nie mogłem lepiej trafić, ale zagadka pozostaje zagadką... Ejże, Max... Tyś tu chyba szukał dobrej kryjówki, co? Zgadłem?

— Tttto moooja rzecz! Tobie wawara! — Jąkała aż się zakrzusił z wielkiej alteracji; kaszłąc, męł w zębach przekleństwa i brzydkie epitety, a tymczasem ów drugi ciągnął dalej z niewzruszonym spokojem:

— Czyli, że zgadłem... Ale masz słusność; mnie nic do tego, gdzieś swój łup ukrył... Kiedy twoja *Schwalbe* ma podnieść kotwicę?

— O świecie. Kurs Bbbuenos Aires.

— To świetnie! Mam czasu aż nadto, a potrzebuję tylko dwóch, trzech godzin najwyżej... Aha, jeszcze jedno małeńkie pytanie: czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zabiorę na statek z sobą... pewną dziewczynę?

— Tutuzin możesz zabrać, nie jeeedną.

— No, to idę. Pozostaje nam tylko umówić miejsce spotkania. Ty już pewnie znasz niezgorzej to wybrzeże; gdzie będzie szalupie przybić najwygodniej?

— Wszędzie. Za to zleeeż gogogorzej.

— To prawda. Wściekle spadziście to zbrocze, można kark skrócić jak nic... Ale jeśli się nie myślę, widziałem w jednym miejscu wcale wygodne zejście. Mianowicie koło takiej charakterystycznej skały, która kształtem zupełnie przypomina maczugę.

— Maczuga to, ttto, to. Jużeś ją wywypatrzył, wiiiidzę.

— Ano, ślepy nie jestem... Zatem odchodzę i najpóźniej za trzy godziny będę na brzegu, u stóp tej tam *Maczugi*. Wolałbym jednak, żeby twoja szalupa już na mnie czekała, bo możliwe, że będę miał na karku... pościg.

— Popościg?

— Postaram się tak sprawę załatwić, aby korowodów nie było, ale trzeba być przygotowanym na wszystko... No, cóż; strach cię obleciał?

— Za kokogo mnie bierzesz — oburzył się jąkała i zapewnił towarzysza solennie, że osobiście po niego przybędzie szalupą, że zabierze z sobą kilku dobrze uzbrojonych ludzi i będzie z nimi czekał u stóp *Maczugi*.

Na tym skończył się rzekomy sen Jerzego, który w chwilę później naprawdę zasnął.

Kiedy się obudził, ujrzał nad sobą granatowy baldachim nieba bogato wyhaftowany gwiazdami, jakby większymi i skrzącymi się mocniej niż w Polsce.

— Ba, toć to afykańskie niebo — mruknął — a w krajach podzwrotnikowych gwiazdy jaśniej świecą.

Plusk wody przypomniał mu, że właściwie morza nie widział jeszcze, że nieprzebite mroki spowijały świat, kiedy tutaj dotarł po omacku; ale tak mu się okropnie nie chciało wstawać, tak wygodnym legowiskiem wydawała mu się ta kamienna niszka ręką natury wykuta w skale. Po namyśle postanowił sobie uprosić zadanie; nie będzie wstawał, prześpi się jeszcze i dopiero o świcie powróci do swoich towarzyszy, a na razie dźwignie się tylko na łokciach i sprawdzi naocznie, czy tam w dole szumi naprawdę ocean, czy tylko jakaś rzeczka... lub coś w tym guście — zabelkotał sennie.

Wykonał ten zamiar i, ziewając od ucha do ucha, ślizgał się wzrokiem po linii horyzontu. Potem jego spojrzenia przemknęły po gładkiej toni oceanu, spłynęły niżej i zatrzymały się na jakimś przedmiocie, który wyglądał tak jakby krótka, pionowo sterząca żerdka.

— Cóż to jest? — zdziwił się. Usiadł, wysunął głowę poza kamienną ściankę zewnętrzną swojego „łóżka” i okrzyk radości wyrwał mu się z ust:

— **Okręt!**

Zerwał się na równe nogi i z uwielbieniem spoglądał na średniej wielkości szkuner stojący nie dalej jak trzysta metrów od brzegu.

— Jest zakotwiczony, ale żagle ma rozpuszczone. — To ostatnie spostrzeżenie zelektrykowało chłopca; domyślił się, że ten piękny żaglowiec niedługo zamierza popasać przy brzegach tajemniczej wyspy, że może jeszcze przed świtem podniesie kotwicę i popłynie w dalszą swą drogę.

— Trzeba natychmiast zaalarmować tych żeglarzy, którzy przecież nie wiedzą, że na wyspie znajduje się grupa ludzi pragnących jak najprędzej stąd odjechać. Natychmiast! — gorączkował się. — Ba, ale jak to zrobić. Krzyczyć? Nie posłyszają, śpią zapewne, skoro wszystkie iluminatory są ciemne, zresztą wiatr dmie od morza...

Przypomniał sobie nagle, że ma kilka sygnałowych rakiet w plecaku, który (jak pech, to pech,) zostawił pod opieką Tkaczyka.

— A więc jazda na powrót do obozu — zdecydował. Raz jeszcze popieścił spojrzeniem płócienne trójkąty żagli lekko falujących pod tchnieniem słabego wiatru, raz jeszcze zmierzył wzrokiem odległość dzielącą zgrabny stateczek od wąskiej plaży rozpościerającej się u stóp skalistego wzniesienia, na którego szczycie stał właśnie. Odwrócił się, by odszukać swoją drożynę, i w momencie tego zwrotu dojrzał niezbyt daleko stąd potężny głaz, podłużny, stojący pionowo, znacznie węższy u podstawy niż u szczytu. — Wygląda to, jak maczuga — zauważył trafnie i nagle brwi zmarszczył. Ta nazwa nie była mu obca. Wydało mu się, że słyszał kiedyś o skale, którą z powodu jej wyglądu ochrzczono *Maczugą*... — Prawda, to było w tym moim głupim śnie — uświadomił sobie w końcu, machnął ręką lekceważąco i zaczął się szybko zsuwać po wewnętrznej stronie pagórka.

— Głupcze!

Okrzyk ten skierował Jerzy pod własnym adresem. Bowiem dopiero teraz mógł się przekonać,

jak trudną i niebezpieczną drogę wybrał sobie przedtem, w ciemnościach, podczas gdy sto kroków dalej widać było wygodne zupełnie zejście, wygodne i leżące bliżej *Maczugi*.

Maszerując zwawo, pogwizdywał sobie początkowo, a potem zaczął śpiewać na całe gardło jakąś studencką piosenkę, słowem objawiał, jak mógł, radość z powodu swojego odkrycia; oni tam nie wiedzieli nawet tego, że są tak blisko oceanu, a on już wypatrzył statek!

W tak radosnym nastroju przebył z kilometr i nagle umilkł. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że odkrycie statku oznacza przecież rychłą rozłąkę z... — z tymi sympatycznymi pasażerami — dokończył półgłosem. Nawet wobec siebie samego nie chciał przyznać, że mówiąc o sympatycznych pasażerach miał na myśli przede wszystkim oraz wyłącznie... Marysię Śląską! Unikał jej znowu, znowu świeżą urazę do niej żywił, że przyjęła od Pawła tę śliczną parasolkę kupioną w Lizbonie, lecz mimo to wszystkie jego myśli bezustannie krążyły koło małej *pasażerki na gapę* i wzrok szukał jej uporczywie, czy to przedtem, na *Chrobrym*, czy obecnie, podczas męczącego marszu przez wertepy zmartwychwstałej Atlantydy.

— Ona odjedzie, odjedzie, odjedzie — szczydziło echo jego szybkich kroków i ciężar nieznośny przywalił serce chłopca. — Tak, ale Paweł także tutaj zostanie — mruknął Jerzy w pewnej chwili i wydało mu się, że głaz żalu, gniołący mu piersi stał się nieco lżejszy.

Kotlinka usłana dużymi bryłami skał i kępami zamierających szybko wodorostów zaczęła się wydatnie zwięzać, aby niebawem przejść w wąwóz; mierzył on ze dwa kilometry długości, a u jego północnego wylotu znajdował się prymitywny obóz podróżników.

Jerzy przystanął, zamienił się w słuch.

— Ktoś biegnie tutaj — stwierdził, wsłuchując się w echo szybkich kroków. Zaciekawiony, cofnął się głębiej w strefę cienia i czekał. — Paweł? Ależ tak, to Paweł — upewniał się z każdą chwilą. — Dokąd on pędzi i czemu się tak zatacza, jakby był pijany? — rozmyślał, a jego ciekawość wzrosła do zenitu, skoro posłyszał urywane jęki wydzierające się raz po raz z ust chłopaka.

— Stój! — krzyknął, wysuwając się z swojej kryjówki.

Paweł stanął jak wryty.

— To ty?

— Jak widzisz. — Jerzy przysunął się bliżej i dostrzegł teraz ciemne plamy na twarzy młodego majtka. — Krew?! Co się stało?

Paweł machnął energicznie ręką.

— Nie pytaj, głupstwo; wybił mi kilka zębów — rzekł chrapliwym głosem i wypluł duży haust krwi.

— Ale kto? — spytał Jerzy, zarówno zdumiony, jak i oburzony.

— Hans Riedetz... To on porwał Marysię... Dalej, pędźmy za nim...

— Co?! — Ten okrzyk zgrozy wyrwał mu się z piersi bezwiednie, bo zresztą Jerzy był nazbyt rozsądny, by po tym, co już usłyszał, tracić cenny czas na dalsze pytania. Pobiegł natychmiast za Pawłem, spieszącym w stronę oceanu, więc tam, skąd Rawski właśnie powracał... dopędził go w kilku skokach, pochwylił za rękę, widząc, że biedny Pawełek potyka się i zatacza, po czym biegli razem krok w krok, ramię przy ramieniu.

— Ale żeś ty go nie spotkał?

— Widocznie usłyszał, że ktoś nadchodzi, ukrył się w cieniu ściany wąwozu, przeczekał, a potem ruszył w dalszą drogę — odparł Jerzy, karcąc się w myśli, iż przedtem maszerował ze śpiewem, dzięki czemu Hans Riedetz mógł się koło niego przesunąć niespostrzeżenie. — Lecz nie

rozumie, czemu Marysia zachowywała się cicho i nie wołała o pomoc.

— Bo jej głowę omotał derka — rzekł Paweł. — Ja sam nie od razu poznałem, że to ją niesie ten szwab przekłety. Myślałem po prostu, że coś ukradł naszym pasażerom i z tym zmyka wąwozem, aż tu nagle dostrzegłem nogi, wychylające się spod derki. Krzyknąłem, przyskoczyłem do niego, ale poradź tu takiemu siłaczowi; raz tylko mnie zamalował pięścią i już leżałem jak długi. — Pawełek sepleniał niewyraźnie po stracie przednich zębów, ustawicznie spluwał krwią, lecz ani na moment nie zatrzymał się w biegu.

A Jerzemu z obawy o porwaną dziewczynę serce aż do gardła podeszło. Pojął nareszcie, że to, co uważał za sen, za „głupi sen”, było smutną rzeczywistością, która komplikowała sytuację i zmniejszała do minimum szanse zwycięstwa nad ogromnie silnym Niemcem. Bowiem tam, na plaży, u stóp owej *Maczugi* miała na Hansa czekać szalupa z kilkoma uzbrojonymi drabami... Zrozumiał, że popełnili fatalny błąd, że powinni się byli rozłączyć, by jeden śledził trop Hansa, a drugi zaalarmował smacznie śpiących podróżników. Jakże inaczej przedstawiałoby się położenie Marysi, gdyby z odsieczą pospieszyło jej kilkunastu dorosłych mężczyzn, zamiast dwóch chłopców, z których jeden w dodatku był już ranny. — Inżynier Polański ma rewolwer. Tak, ma na pewno; nie odrzucił go, jak to zrobił Wójcicki — przypomniał sobie i obejrzał się wstecz. — A może by tak jeszcze zawrócić po nich? — rzekł.

Krzyknął z bólu i runął na twarz, pociągając za sobą Pawła, którego dotychczas trzymał za rękę, pomagając mu w biegu. Podnieśli się natychmiast, lecz Jerzy tylko z największym trudem zdołał zrobić krok naprzód.

— Nadwyreżyłem sobie ścięgno — jęknął, skacząc na prawej nodze, bo lewa zaboląła go przejmująco, kiedy spróbował się nią odbić.

— A po co się oglądasz w biegu — skarcił go tamten; teraz on włókł za sobą podskakującego towarzysza. Chciał iść dalej prosto, ale Jerzy pociągnął go wprawo.

— Tędy bliżej do *Maczugi* — syknął — przetniemy mu drogę.

— No, niewiele pomożemy niebodze — rzekł Paweł ponuro. — Takich dwóch inwalidów naprzeciw zdrowego chłopca, silnego jak niedźwiedź.

— Będziemy walczyć do ostatka! — oświadczył Jerzy z dziką energią i, nie bacząc na dokuczliwy ból, zaczął sobie pomagać lewą nogą.

— To pewne.

— Zginiemy, ale nie damy mu porwać dziewczyny.

— Zresztą on stąd nie ucieknie — przypuszczał Paweł i wydał okrzyk wściekłości, kiedy mu Jerzy w kilku słowach opowiedział o spotkaniu Hansa z właścicielem zakotwiczzonego szkunera, z owym jakałą-przemynikiem. Nieoczekiwana wiadomość nie zbiła go z nóg, lecz przeciwnie sił mu dodała; Jerzy był mu teraz prawdziwym balastem w pochodzie, opóźniał pościg. — Ja sam pobiegnę i zatrzymam go, a ty kuśtykaj o własnej mocy — rzekł, puszcżając dłoń Rawskiego... — Jest lot! Widzisz go? — Wyszeptał z przejęciem.

Znajdowali się właśnie u stóp nadbrzeżnego wzniesienia wyspy, a na jego szczycie widać było roslą sylwetkę mężczyzny, objuczonego jakimś dużym ciężarem, który sobie przez ramię przerzucił i z którego spływała aż do ziemi na pół odwinęta derka.

— Zdąży do *Maczugi*, ale się wcale nie spieszy, widać nie zauważył nas jeszcze — rzekł Jerzy zniżonym głosem. — To dobrze. Im później dowie się o pościgu, tym lepiej dla nas. Teraz tędy, Pawełku... tędy w prawo, i jak najciszej. Krzyki nam sprzymierzeńców nie przysporzą, tylko jemu; nasi zbyt daleko, nie usłyszą, a tamci, podwładni jakały, gotowi mu przybiec z pomocą...

Nie wiadomo, czy Paweł choćby połowę tej instrukcji usłyszał, gdyż pozostawiając „kulawego” kolegę, wspinał się już po zboczach pagórka ze zrećznością kozicy. Namacawszy po drodze nieduży kamyk, wsunął go sobie do kieszeni spodni i z wzrokiem utkwionym w Niemca wdzierał się ku szczytowi, idąc jak najciszej; całkiem zbytecznie zresztą, bo wiatr dął właśnie od morza.

Hans Riedetz nie spieszył się. Szalupa dopiero co odbiła od burty żaglowca, widział ją, byłby ją dojrzał na gładkim tle morza nawet, gdyby Max był nie zabrał z sobą latarni, której żółtawe światło migotało w miarę posuwania się szalupy ku brzegowi.

Wtem... kiedy najwyżej sto kroków dzieliło go od skały, mającej kształt maczugi, zagroził mu drogę mały, w porównaniu z nim, człowieczek i, potrząsając wojowniczo pięścią, warknął groźnie:

— Puść ją, zbójcu, albo ci łeb roztrząskam!

Hans zerwał szybko z ramienia swoje ciężkie brzemię, zasłonił się Marysią jak tarczą i, trzymając ją przed sobą, ruszył śmiało naprzód.

— Ani kroku dalej — ostrzegł Pawełek. Miał niekłamana ochotę cisnąć w Niemca ten kamień, lecz obawiał się, że może zranić dziewczynę. Odczekał więc chwilę, wreszcie upatrzył stosowny moment, wycelował jak najdokładniej w stopy nadchodzącego przeciwnika i rzucił swój pocisk.

Hans zawył z bólu i wściekłości.

— Ach to ty, szczeniaku — syknął, poznawszy, kogo ma przed sobą. — Ja ci gnaty połamię! — Z całej mocy fknął nogą, zamierzając chłopaka strącić w przepaść tym kopniakiem, lecz jego stopa trafiła w próżnię, gdyż Paweł uskoczył w tył przeczemnie. A potem, zanim Hans zdążył się osłonić swoją żywą tarczą, twarda pięść ugodziła go w brzuch.

Niemiec zrozumiał teraz, że w tych warunkach walczyć nie można, że trzeba przede wszystkim pozbyć się balastu krępującego swobodę ruchów. Położył więc niedającą znaków życia Marysię na głazach i z zaciśniętymi pięściami ruszył do ataku.

— Teraz to zmykasz, tchórzliwy polski piese — rzekł z pogardą.

Pawełek rzeczywiście się cofnął w stronę *Maczugi*, żałując w duchu, że tylko w jeden kamień się uzbroił, gdyż rozumiał doskonale, że nawet muskularny bosman Miazek nie poradziłby temu olbrzymowi w ręcznym spotkaniu, a co dopiero on, młody chłopak. Ale kiedy postąpił taką obelgę, stracił panowanie nad sobą; nie zastanawiał się już, czy potrafi stawiać opór choćby przez kilka sekund, czy od pierwszego ciosu runie w przepaść.

— Masz za tchórze! — wrzasnął. Skokiem pantery dopadł do silnego przeciwnika, podbił mu wyciągniętą naprzód rękę i palnął go kułakiem w twarz. — I za psa — dodał, chcąc poprawić „poczęstunek”.

Lecz tym razem nie powiodło mu się. Hans pochwycił jego dłoń w przegubie, ścisnął ją jakby żelaznymi kleszczami, a prawą ręką złapał chłopca za pasek podtrzymujący spodnie.

— Zrzuci mnie w przepaść — przemknęło przez myśl Pawełkowi, kiedy stopy oderwały mu się od ziemi, a straszliwa siła dźwignęła go jak piórko. — Dobrze, zginę, ale i ty ze mną — to była następna myśl i już wolną ręką otoczył szyję olbrzyma, przygiął jego łeb ku sobie jakby w najserdeczniejszym uścisku powitalnym.

Hans, nie chcąc ryzykować własnej skóry, zrezygnował z zamiaru rzucenia chłopca ze skały; zniósł go z niebezpiecznej ścieżki, zsunął się na niewielką platformę, leżącą po wewnętrznej stronie wzniesienia, tu przykleknął i, podbiwszy Pawłowi nogi, przywalił go na wznak całym ciężarem

swego ciała. Teraz prawa dłoń Niemca wypuściła z objęć pasek i oszołomiony wyrostek ujrzał tuż nad swoją twarzą spadającą pięść, ciężką jak młot, morderczą. W rozpaczliwym wysiłku odrzucił głowę. Pomimo to nie uniknął ciosu, tylko twarz ocalał przez maskrą.

— No, masz dosyć — rzekł Hans głośno. Podniósł się bez pośpiechu, kopnął w bok Pawła rozciągniętego na wznak, odwrócił się w stronę swojej branki i stwierdził, że zmieniła pozycję. Nie leżała już, jak przedtem, gdy ją składał na głazach, lecz siedziała i rozszerzonymi od grozy oczyma patrzyła na swojego prześladowcę, na jego zwycięską walkę z Pawłem.

— Maryś uciekaj!... Uciekaj! Ja go zatrzymam tymczasem — zabrzmiał czyjś okrzyk.

Hans drgnął, odwrócił się szybko. Tuż obok powalonego właśnie przeciwnika stał drugi, Jerzy Rawski.

— Iu was tu jest? — bąknął Niemiec. W jego pytaniu zabrzmiał wyraźny lęk, który rozproszyło natychmiast badawcze spojrzenie, jakim omiółł całe wewnętrzne zbocze pagórka; nie dojrzał nikogo, więc najwidoczniej tylko ci dwaj chłopcy go ścigali, domyślił się łatwo.

— Uciekaj, Maryś... do obozu — powtórzył Jerzy.

— Stój, smarkata, albo cię znowu ścisnę pod gardziółko! — zagroził Hans równocześnie.

Jerzemu krew uderzyła do głowy; więc on ją dusił, ten brutal?!

— Lotrze! — zabelkotał, dygocąc z oburzenia i dysząc żądzą odwetu. Wskoczył Niemcowi na stopy, aby go przygwoździć w chwili ciosu, który nastąpił w ćwierć sekundy później. Przeciętny śmiertelnik byłby się przewrócił na wznak po tak nagłym ataku, lecz Hans był wyjątkowym siłaczem. Nawet się nie zatoczył, za to nadeptnięcie skałeczonej kamieniem stopy sprawiło mu nowy ból i nowa fala wściekłości zalała mu serce.

Jerzy nie czekał. Rozumiał doskonale, że skoro raz wpadnie w szpony tego Herkulesa, to spotka go los Pawła. Pilnował się więc dobrze i odskakiwał natychmiast po każdym swoim ataku, udanym czy chybnym.

Hans pojął również, że z tym przeciwnikiem będzie sprawa nieco trudniejsza. Był mniej zapalczywy niż tamten wyrostek, lżejszy, może słabszy fizycznie, za to jakże zręczny i przewidujący. — I zna się na boksie — pomyślał Niemiec z pewnym uznaniem, kiedy Jerzy uniknął straszliwego ciosu pięści w ten sposób, że w stosownym momencie wykonał tylko mały półobrót i, wykorzystując chwilowe pochylenie się olbrzyma, palnął błyskawicznie kulakiem w jego nieosłoniętą lewą pierś.

Jerzy Rawski rzeczywiście umiał się boksować, w gimnazjum w swojej klasie uchodził za najlepszego pięściarza i byłby teraz niewątpliwie ulokował kilkanaście mistrzowskich ciosów na cielesnej powłoce Hansa, gdyby nie dojmujący ból w lewej nodze. — Ach, żeby nie to — wzdychał, zagryzając wargi do krwi, bo cierpiał strasznie.

— Bylebym cię raz schwycił, a zrobię z ciebie marmoladę — wzdychał równocześnie Hans, rozczapierzając grube paluchy rąk, które wciąż jeszcze trafiały w próżnię.

W pewnej chwili Niemiec odwrócił głowę przelotnie i dostrzegł, że Marysia już powstała z ziemi. — Aha, chciała drapnąć — wymamrotał ze złością — w samą porę się obejrzałem.

Ten krótki moment nieuwagi przeciwnika Jerzy wyzyskał znakomicie; doskoczył do niego jednym suszem i sierpowym ciosem palnął go w szczękę z taką siłą, że mu aż chrząstka pękła w środkowym palcu. Syknął z bólu, ale nie zapomniał o natychmiastowym odwrócie i tylko dzięki tej przytomności umysłu straszliwe młoty rąk Niemca nic rozbiły mu czaszki. Bowiem Hans, który do tej pory lekceważył sobie „smarkacza” i flegmatycznie stał w miejscu, rozpoczął teraz gwałtowny kontratak; zniecierpliwiła go przedłużająca się walka ze zwinnym, nieuchwytnym nieprzyjacielem,

zaniepokoiło go zachowanie się Marysi, jakoby zdradzającej ochotę do ucieczki, a już prawdziwy paroksyzm gniewu wywołał ów cios w dolną szczękę, po którym jama usta wypełniła mu się krwią. Z rykiem wściekłości runął Hans na chłopca, cofającego się w górę, w stronę *Maczugi*, aby odciągnąć uwagę Niemca od dziewczyny i ułatwić jej ucieczkę do obozu.

— Ach, czemuż ona tak zwleka — myślał Jerzy z rozpaczą, rzucając raz po raz badawcze spojrzenia w stronę Śląskiej. — Uciekaj, Maryś! Uciekaj, błagam — krzyknął raz jeszcze; trzykrotnie już zasłonił głowę przed młócającymi cepami rąk Hansa i po tych trzech odparowanych ciosach ramiona odrętwiały mu zupełnie.

Znalazł się znowu na szczycie wzniesienia. Po lewej ręce miał wewnętrzne zbocze pagórka, po prawej czyhała ciemna czeluść przepaści, na dnie której migotało żółte światelko. — To ów jąkała — wyszeptał Jerzy — i jego uzbrojona banda; sprzymierzeńcy Hansa. — Ogarnęło go nagle przynębiające uczucie osamotnienia. On nie miał tu sprzymierzeńców, nie mógł liczyć na niczyją pomoc, a widok Pawełka, leżącego na wznak z rozrzuconymi rękami dobijał go i nasuwał najsmutniejsze przecucia co do własnego losu. — Tak będę leżał tam, na dnie przepaści, z rozbitą czaszką, z połamanymi członkami — przemknęło mu przez myśl.

— No, teraz z tobą skończę, smarkaczu — huknęła Niemiec, wgramoliwszy się na wąski pas płaskiego grzbietu wzniesienia.

Jerzy ocknął się z posępnej zadumy, która trwała sekundę, kilka sekund najwyżej. Dojrzał spadającą pięść. Podbił ją prawicą zgiętą w łokciu, szarpnął się wstecz, lecz było już za późno; potężny cios, osłabiony spotkaniem z jego ręką, dosięgnął go poprzez całkiem prawidłową gardę. Pchnięty straszliwie, leciał w tył kilka kroków aż runął plecami na niemal pionową ścianę owej skały, którą jąkała ochrzcił mianem *Maczugi*. Oparł się o nią, lecz po sekundzie nogi ugięły się pod nim i padł na kolana.

Hans stanął nad ogłuszonym przeciwnikiem.

— Tak, na kolana, to mi się podoba — tryumfował, nie spiesząc się już teraz z zadaniem ostatecznego ciosu. — Ucałuj karzącą dłoń, ty polski szczeniaku — szydził.

Jakby przez mur, jak gdyby poprzez hałaśliwą muzykę dzwonów dosłyszał chłopiec te słowa i jak przez mgłę dojrzał wielką, skrwawioną łapę, zbliżającą się do jego warg splekanych.

— Na, całuj, a będziesz miał śmierć lekką.

Jerzy drgnął. Nareszcie dotarło do jego świadomości znaczenie tych słów, brzęczących mu nieznośnie nad uchem, lecz niezrozumiałych początkowo dzięki oszołomieniu; och, jak mu przeraźliwie szumiało w głowie.

— Całuj, mówię! — Hans przestał kpić, teraz rozkazywał.

Jerzy szarpnął się w sobie. Chciał powstać z kłęczek, ale sił nie znalazł i pierwszy raz w życiu pojął bezsilną rozpacz pokonanych.

— Boże — wyszeptał — nie pozwól, by...

Urwał wpół zdania, gdy nagły ucisk włochatej dłoni stłumił słabe poruszenia warg. Zrozumiał. Hans, nie mogąc się doczekać wykonania swego rozkazu, przytknął mu do ust swoją łapę. Z obrzydzeniem cofnął Jerzy głowę i splunął soczyście na Hansową rękę.

— Tyś śmiał?! — zacharczał Niemiec, wznosząc pięść w górę.

— Precz! Precz od niego! — zabrzmiał równocześnie głos Marysi.

Hans obejrzał się z flegmą, spojrzał ze zdumieniem na dziewczynę i parsknął homeryckim śmiechem.

— Patrzcie no, ta malutka Poleczka także chce walczyć — zarechotał na widok ręki Marysi

podniesionej jak gdyby do uderzenia. Rozweselony tym widokiem zanosił się od śmiechu; aż się za brzuch złapał. — Uderz, ptaszynko, uderz — zachęcał ją kpinami — na pewno magnę kozła po takim ciosie. Tylko musisz podejść bliżej, stamtąd nie sięgniesz...

— Sięgnę! — pisnęła Marysia i cisnęła swój pocisk. Był nim ten sam kamień, który Pawełek przyniósł tutaj w kieszeni. Marysia podjęła go z ziemi jeszcze wtedy, gdy Jerzy rozpoczynał walkę z Hansem. Przez cały czas ścisnęła go w dłoniach, nie zdając sobie właściwie sprawy z tego, w jakim celu trzyma tę prymitywną broń zamiast uciekać, jak radził Jerzy. Uciekać? Wówczas, gdy ci dwaj dzielni chłopcy narażali życie w jej obronie, ona miałaby uciekać? Nigdy! To jej widocznie nie znali. Pozostała więc i z uwagą śledziła przebieg walki. Korciło ją parokrotnie, by cisnąć ten kamień w brutalnego Hansa, lecz za każdym razem powstrzymywała ją obawa, że może trafić Jerzego. Aż dopiero teraz wykonała swój zamiar...

— Herr Gott! — wrzasnął Hans, ugodzony w skroń kamieniem, którego dotychczas nie zauważył w dłoni dziewczyny. Słaba była to dłoń, ale rzut wykonany z odległości niespełna trzech metrów wystarczył najzupełniej, by ogłuszyć człowieka, trafionego na dobitkę w skroń. Więc zachwiał się olbrzym, postąpił wstecz krok, potem drugi i nagle jego stopa nie znalazła punktu oparcia, natrafiła na próżnię. — Gott! — krzyknął jeszcze głośniej, wiosłując rozpaczliwie rękami, by odzyskać straconą równowagę. Lecz na próżno... Za późno... I runął na wznak w przepaść...

Tak nieoczekiwany wynik walki podziwiał na Jerzego jak kubek zimnej wody. Zerwał się, choć nogi miał jak z galarety, i wsparty o *Maczugę* spoglądał w ciemny dół przepaści, skąd dobiegał nieprzerwanie zwierzęcy ryk spadającego człowieka. Aż nagle ryk ścisł, jakby nożem uciął, i złowroga cisza cmentarna zaległa wybrzeże zmartwychwstałej Atlantydy. Nawet fale ciszej szemrały przez chwilę i figlarny wietrzyk harców zaprzestał, korząc się przed majestatem śmierci.

Marysia stała dotychczas jak wryta, ją chyba najwięcej zaskoczył skutek tego rzutu kamieniem. Wreszcie ocknęła się z odrętwienia, załamała ręce i zawołała ze zgrozą:

— Co ja zrobiłam... o Boże, co ja zrobiłam...

Wykonała taki ruch, jak gdyby chciała pospieszyć za Hansem. Więc Jerzy przyskoczył do niej, objął ją wpół i przytrzymał.

— Uspokój się, kochanie — szeptał piśszczotliwie, dojrawszy błysk obłądnego przerażenia w jej dużych oczach, które lęk jeszcze bardziej powiększył. Uspokajał ją, choć sam dygotał ze wzruszenia i serce waliło mu młotem.

Spojrzał w dół. Ludzie jąkały słyszeli niewątpliwie przedśmiertny krzyk Hansa, jak można było wnosić z oznak wielkiego poruszenia. Już nie jedno światełko migotało na plaży, ale cztery i wszystkie zbliżyły się do spadzistego stoku skał, aż skupiły się wreszcie w jednym punkcie; tam zapewne leżał zniekształcony trup Hansa.

— Uciekajmy — rzekł Jerzy — oni będą chcieli go pomóc.

Omylił się tym razem. Jąkała osądził najwidoczniej, że niebezpiecznie zadzierać z ludźmi, którzy takiego osiłka jak Hans zrzucili w przepaść. Cztery światełka pospieszyły na powrót w stronę plaży, zgasy kolejno i po chwili szalupa odbiła od brzegu, dążąc szybko do zakotwiczonego żaglowca.

— Dzięki Bogu — odetchnął Jerzy. — Pospieszymy teraz do Pawła.

Zeszli razem na ową platformę, na której Paweł ukończył tak niefortunny swoją walkę z mocarnym Hansem, a Jerzy walkę rozpoczął.

Paweł miał oczy otwarte, słabo poruszał dłonią, lecz głowy nawet odwrócić nie mógł.

— Widziałem — wyszeptał z wysiłkiem, kierując wzrok w stronę odzynającej się od tła nieba

Maczugi. Dawał im do zrozumienia, że widział zarówno bohaterską walkę Jerzego jak i śmiały wyczyn Marysi. — Dzielny chłop z ciebie — ciągnął dalej powoli, patrząc z uznaniem na towarzysza klęczącego przy nim — a ja ci tyle przykrości robiłem... Ta ławka w nocy, pamiętasz? I sadze, com cię nimi wymalował?

Jerzy potakiwał głową beźmyślnie. Nic nie rozumiał, a słowa coraz trudniej docierały do jego słuchu. Bowiern zamroczyło go znowu, gdy przykląkł i pochylił się nad rozciągniętym na wznak kolegą. Znowu mu zahuczały w głowie potworne wodospady, znowu jęczały dzwony tysiąca kościołów i dziwna mgła zaczęła mu świat przysłaniać. — Zemdleję za chwilę — obawiał się.

— Wybaczasz mi? — szeptał w dalszym ciągu Pawelek, a nie mogąc się doczekać odpowiedzi, zagroził energicznie: — Wybacz albo zaraz umrę!

— Wyba... czam — zabelkotał Jerzy i zwałił się bez czucia na Pawła. Śniło mu się, że słyszy rozdzierający płacz Marysi, wydało mu się jeszcze, że jej łzy i pocałunki spadają mu na twarz miłym, ciepłym deszczem, a potem wszystko spowił gęsty, czarny mrok...

¹ in corpore (łac.) – w komplecie; wszyscy razem.

² hora canonica (łac.) – tu: właściwa pora. (Dosl. księga godzina – przepisana godzina odprawiania modlitw.)

³ miecz Damoklesa – przenośnie: zagrożenie nieubłaganie wiszące nad człowiekiem. Określenie wywodzi się od losu jaki spotkał Damoklesa, dworzanina tyrana Syrakuz, Dionizjosa Starszego. Dionizjos, chcąc unaocznić swój los schlebającemu mu Damoklesowi, który nazywał go najszcześniejszym ze śmiertelników, zaproponował pochlebcy, aby ten na jeden dzień wcielił się w jego rolę. Jednocześnie Dionizjos podczas wieczornej uczyty nakazał zawiesić nad Damoklesem ostry miecz na końskim włosie. Miało to unaocznic niebezpieczeństwa czyhające na Dionizjosa i kruchość jego potęgi. Gdy Damokles spojrział w górę i zobaczył wiszący nad sobą miecz, ubłagał Dionizjosa, by wolno było mu odejść.

Rozdział XII W DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

Ożywiony ruch zapanował nagle na olbrzymim, pięćdziesiąt pięć ton liczącym okręcie pasażerskim, na którego wyniosłym dziobie, po obydwóch stronach, koło kluz kotwicznych widniał napis *JAN SOBIESKI*.

Parowiec ten wiozł z Gdyni przeszło trzy tysiące pasażerów, przeważnie biedniejszych emigrantów, gnieźdzących się w klasie trzeciej i drugiej. Lecz w Southamptonie i w Cherbourgu przyjął na pokład tysiąc stu pięćdziesięciu turystów zagranicznych, wśród których, jak to zwykle bywa, przeważali licznie Amerykanie i Anglicy (ci zajęli wszystkie, do ostatniej, kabiny pierwszej klasy i klasy tak zwanej turystycznej) prócz grupy studentów japońskich, którzy dla oszczędności zamieszkali w trzeciej klasie. Tak więc razem z załogą i służbą znajdowało się na *Sobieskim* przeszło pięć tysięcy ludzi.

Nic tedy dziwnego, że niebывały ruch i gwar jarmarczny zapanował w tym pływającym miasteczku, kiedy w cztery godziny po opuszczeniu portu w Funchal zagroziły statkowi drogie potężne skały północnego wybrzeża nowego lądu. Tak, w cztery godziny! Bo *Sobieski*, zaledwie w ubiegłym roku spuszczonej na wodę w stoczni gdyńskiej, należał do najszybszych okrętów pasażerskich świata i rozwijał chyżość trzydziestu pięciu węzłów „śpiewająco”, jak mawiał z dumą jego komendant, Józef Starbąła.

Na najwyższym pokładzie spacerowym nie można się już było docisnąć do poręczy burty; stał tutaj podwójny, a miejscami potrójny mur pasażerów pierwszej klasy, zaciekawionych, uzbrojonych w lornetki i aparaty fotograficzne, a echa tysięcznych okrzyków podziwu i rozmów rozbrzmiewających od nosa statku aż po rufę zlewały się w jeden nieustanny, donośny pomruk.

Wtem z drzwi wspaniałego hallu statku wybiegł na pokład niski, pękaty człowieczek i, potrząsając energicznie tekturową tubą, zaczął wołać po angielsku:

— Turyści z grupy kaliŃomijskiej proszę się skupić. Bliżej, bliżej panowie, jeśli wolno prosić... Jeszcze bliżej.

Ci, którzy stali tuż przy poręczy, ani myśleli tracić swoje doskonale miejsca, lecz dalej stojący odrywali się gromadkami i niebawem zwarty pierścień ludzi otoczył wrzeszczącego przewodnika.

— Jeszcze nie widzę wszystkich... Gdzie jest wielebny Paddock? Panie pastarze do mnie, jeśli wolno prosić... Pani Cooper, na taką odległość ani słowa pani nie usłyszysz... Proszę bliżej, jeśli wolno prosić.

To *if you please*, tę grzecznościową formułkę powtórzył jeszcze ze dwadzieścia razy.

— No, zaczynaj pan już raz — przynaglano go zewsząd.

— Już zaczynam — odparł. Przecisnął się przez grubą obręcz otaczających go turystów, wgramolił się nie bez trudu na okrytą brezentem szalupę ratunkową, usiadł sobie wygodnie, przyłożył ustnik tuby do warg, nabral tchu uczciwą porcją i huknął na całe gardło:

— Panie i panowie! Mam zaszczyt oznajmić wam, że zbliżamy się właśnie do celu podróży. Skały, które widzicie to północny brzeg szóstego lądu naszej planety, to NOWA ATLANTYDA!!!

— To wiemy sami — mruknął ktoś i wzruszył ramionami.

— Nowa Atlantyda została odkryta przez polski statek handlowy nazywający się... nazywający się... aha! *Czrob!*

— *Chrobry* — poprawił głośno jakiś lysis starszysk i dodał po polsku, zwracając się do stojącego obok eleganckiego mężczyzny: — Mogliby się już nauczyć porządnie wymawiać te nazwy ci przewodnicy. Nie sądzi pan?

— Tak, oni zawsze wszystko przekręcą na swoją modłę — przyznał Tintenfass-junior, on to bowiem stał obok pana Wójcickiego.

— Została odkryta w nocy z dnia 13 na 14 czerwca roku...

— To znamy wszyscy — odezwało się naraz kilka głosów. — Powiedz nam pan coś ciekawszego.

Przewodnik otarł chustką spoconą twarz, a potem zaczął krzyeć przez tubę z taką szybkością, że każdy okrzyk malkontenta ginął bez echa, zmielony na proch w rozpędzonym młynie wymowy:

— Nowa Atlantyda po z górą rok trwających pertraktacjach została decyzją Ligi Narodów przyznana na własność Polsce, która pierwsza zgłosiła swoje prawa do tej wyspy. Wyspę tę nazwano szóstym ładem globu, a to z powodu jej rozmiarów. Albowiem obszar jej wynosi 3.825.000 kilometrów kwadratowych, czyli równa się dokładnie połowie Australii. Ludność jej liczy obecnie dwa miliony, ale wobec stałego przyrostu mieszkańców, napływających z Polski w ilości dwustu tysięcy osób rocznie, należy oczekiwać, że Nowa Atlantyda stanie się kiedyś krainą o bardzo gęstym zaludnieniu. Wszystko przemawia za tym; zarówno klimat jak i urodzajność gleby pokrytej stosunkowo niegrubą warstwą piasku morskiego, a przede wszystkim bogactwa mineralne. Mam tu na myśli oczywiście środkową i zachodnią część wyspy, nie zaś ten ku wschodowi wysunięty półwysp, może najbardziej malowniczy, lecz skalisty, górzysy, słowem nieuzytki... Skaly, które państwo widzicie obecnie przed sobą, to *Przylądek Dulskiego*, tak nazwany od jego odkrywcy...

— A tam dalej widzę jakąś bardzo wysoką i szpiczastą skałę; czy to ten sławny wulkan *Fajka*? — wtrącił jakiś jegomość.

— *Fajka* — poprawił znowu pan Wójcicki.

— Nie, mister Hopkins — odparł przewodnik — w tej części wyspy wulkanów nie ma wcale, a sławny *Fajka* wznosi się w północno-zachodniej stronie Nowej Atlantydy, na półwyspie... och, te polskie nazwy...

— Na *Półwyspie Filanowicza*¹ — podpowiedział z uśmiechem młodszy Tintenfass i dodał: — Tak się nazywa jeden z naszych admirałów, który przed dziesięciu laty na czele eskadry torpedowców dokonał, że tak powiem, zbrojnej okupacji Nowej Atlantydy.

— Tak — mruknął po polsku Wójcicki, bowiem znał język angielski nieświetnie — i dlatego właśnie mamy tu dziś kolonię. Dlatego, a nie przez żadną tam decyzją Ligi... *Beatus qui tenet*², powiedział pan Benet.

— Co się tyczy góry, o którą pan zapytywał, mister Hopkins, to jest to najwyższy szczyt na Nowej Atlantydzie — podjął przerwany wątek opowiadania przewodnik grupy kalifornijskiej. — Wznosi się na 1.458 metrów ponad poziom morza i nazywa się... pozwólcie państwo, ale te nazwy są niemożliwie trudne do wymówienia. — Tu spocony cicerone³ otworzył swój notes i nie bez trudu odczytał: — *Iglica Rawskiego*.

— Nasz Jurek przeszedł do geografii — zauważył smętnie Tintenfass. — Ma swoją górę, a ja nic.

— Pan ma za to najpiękniejszy hotel — pocieszył go Wójcicki.

— Spodziewam się, że najpiękniejszy. I największy! Pan wie? Pięćset pokoi, każdy z

lazienką... Szkoda, że nie przybędziemy w nocy, ujrzałby pan moją świetną reklamę. Ósmy cud świata!...

— No, ósmym było zmartwychwstanie Atlantydy, zatem pański *Atlantis Palace Hotel* jest dziewiątym cudem — żartował staruszek.

— Proszę o spokój — zahuczała tuba przewodnika. — Na szczyt *Iglicy Rawskiego* pojedziemy jutro zębata kolejką. Widok, jaki się stamtąd roztacza jest przepiękny, niezrównany, bajkowy — stopniował. — Tuż u stóp góry leży malownicze *Jezioro Starbałły*, piękne górskie jezioro, którego zwierciadło wznosi się na dziewięćset metrów ponad powierzchnię morza. Tam właśnie zobaczycie państwo ów historyczny okręt...

— *Bolesław Chrobry* — podpowiedział zawczasu Wójcicki...

— Właśnie... który pierwszy natknął się na wynurzającą się z odmętów wzburzonego oceanu Nową Atlantyde i został uwięziony w jeziorze. Kapitanem tego statku był ten sam dzielny marynarz, który jest obecnie naszym tu komendantem...

— Wiemy, wiemy, a jakże.

Rzeczywiście wszyscy o tym wiedzieli od pierwszego dnia podróży, lecz mimo to każde ukazanie się Starbałły było na statku niebywałą sensacją. A stary wilk morski zjawił się właśnie na mostku.

— Hej, komandorze... O panu mowa, panie Józefie — zawołał Wójcicki, powiewając sportową czapką. Cudzoziemcy, sądząc, że lysiuteńki starowinka wznosi jakiś okrzyk na cześć, komendanta statku, ryknęli chórem: — hip, hip, hurra — i zaczęli podrzucać kapelusze. Starbałła przyłożył dłoń do daszka czapki, bogato obszytej złotymi galonami, lekko skinął głową, lecz natychmiast zniknął z pola widzenia tłumu. — Okropnie się zrobił nieprzystępny — narzekał Wójcicki — dawniej pogadał po ludzku, pożartował, w karciecia zagrał, a teraz nie przystępuj bez kija. Przewróciło mu się w głowie, czy jak?

Było trochę słuszności w tych utyskiwaniach, ale myliłby się ten, który by sądził, że nowa godność tak odmieniła sympatycznego oficera. To nie, uchowaj Boże. Coś innego! Mianowicie odurzyło z lekka zacnego i skromnego dotychczas marynarza, kiedy stwierdził naocznie, że na wszystkich mapach Nowej Atlantydy, na błękitnym tle, jakim oznacza się wody, widnieje sporych rozmiarów napis: *Jezioro Starbałły*, kiedy odnalazł swoje nazwisko także w słownikach geograficznych, w encyklopedii i w najnowszych podręcznikach historii dla szkół średnich. Od tego czasu Józef Starbałła, chociaż pozostał nadal sprawiedliwym zwierzchnikiem i dobrym kolegą, nie poufał już ze zwykłymi śmiertelnikami, z ludźmi, którzy nie przeszli do historii i *nie byli wydrukowani* w książkach.

— W Gdyni krąży moc anegdotek o Starballe — dorzucił młodszy Tintenfass — i nie nazywają go inaczej, jak *kolega Krzysia*.

— Krzysia? — zdziwił się Wójcicki. — Jakiego Krzysia?

— Krzysztofa Kolumba!

Tymczasem okręt minął już *Przylądek Dulskiego*, stanowiący najdalej na północny-wschód wysunięty cypel Nowej Atlantydy, pozostawił po sterburcie *Rafy Bulicza* i w oddali zamajaczyły kontury białego miasteczka opadającego terasami ku delcie rzeki i ku przepięknej zatoce morskiej.

— Panie i panowie! — ryknął znowu megafon przewodnika. — Oto malownicza *Zatoka Unruga*⁴, którą z naciem niewątpliwie z ilustrowanych czasopism i z filmów... Teraz proszę dobrze uważać, panie i panowie. Prosto przed nami wystrzela ponad urwiste szczyty brzegu regularny, ale spłaszczony nieco stożek; widzicie go?

— Widzimy. Cóż to jest?

— To wierzchołek najwyższej z pięciu piramid starej Atlantydy będących, jak i egipskie piramidy, grobowcami. Poza nimi znajduje się cudna świątynia bogini księżycy, pałac arcykapłana oraz szereg innych gmachów świętego miasta dawnych mieszkańców Atlantydy. Nie widać ich stąd oczywiście, ale pojedziemy tam jutro.

— Przecież jutro mamy się udać nad *Jeziro Starbałty*.

— Owszem, owszem, ale po drodze zwiedzimy te ciekawe wykopaliska, poświęcając na ten cel całe trzy godziny.

— Tylko trzy godziny? Ja Pompeje przez dwa dni zwiedzałem.

Przewodnik uśmiechnął się wyrozumiale.

— W Pompejach, panie pastarze, archeolodzy rozpoczęli pierwsze swoje prace w roku 1748, więc przeszło dwa wieki temu, a Nowa Atlantyda wynurzyła się z oceanu, jak państwu wiadomo, przed dziesięcioma laty. Nie można zatem na razie porównywać tego tutaj z rozległymi wykopaliskami Pompejów. Ale za lat kilkadziesiąt zobaczymy. Zobaczymy, czy tutejsze *święte miasto* nie przycmi sławy Pompejów.

— Możliwe... Ja ośobiście nie mogę tylko jednej rzeczy pojąć; mianowicie, że te pałace i świątynie przetrwały po dzień dzisiejszy, że ich na proch nie zmiażdżył potworny ciężar wody, kiedy znajdowały się w głębinach oceanu, albo że nie rozsypały się w gruzy podczas katastrofy starej Atlantydy.

— To ostatnie, panie pastarze, mnie wcale nie dziwi, bowiem dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że stara Atlantyda pogrążyła się w morzu spokojnie, powoli, stopniowo, a proces ten mógł trwać długie lata... Co się zaś tyczy olbrzymiego ciśnienia wody, to proszę nie zapominać, że woda wdarła się do wnętrza tych budynków, że więc jej nacisk na ściany zewnętrzne i wewnętrzne był jednakowy; tak przynajmniej ja sobie to tłumaczę... Ale pozostawmy te roztrząsania uczonym, co nas to obchodzi, prawda?

Przewodnik spojrzal na zegarek, po czym, spiesząc się widocznie, jął wymieniać nazwy innych osoblności *Zatok Unruga*, posuwając się z północy na południe wzdłuż nadbrzeżnej linii kolejowej, zbudowanej trzy lata temu przez inżyniera Romana Polańskiego, dawnego pasażera z *Chrobrego*. Pokazał więc turystom *Polskie Hollywood*, maleńkie miasteczko jak z bajki; nietrwale, zbudowane z drewna i z masy papierowej, a za tło do filmów egzotycznych służące. Stały tu chińskie pagody obok mauretańskich zameczków, murzyńskie chaty w pobliżu muzułmańskich meczetów, cudne hinduskie świątynie przy indiańskich wigwamach, a ponad wszystko wystrzelał olbrzymi posąg bogini księżycy, wierna kopia mamurowego posągu, znalezione pod grubą warstwą piasku w *świętem mieście* Atlantydy.

Z kolei przedefiniował po prawej burcie okrętu wspaniałe gmach pięciopiętrowy, posiadający tyleż balkoników, co okien. Na jego zupełnie płaskim dachu znajdowała się restauracja i kawiarnia, a kolorowe parasole, osłaniające przed żarem słońca stoliki, tworzyły barwną mozaikę.

— *Atlantic Palace Hotel* — Tintenfass umyślnie bardzo głośno odczytał napis z elektrycznych żarówek, napis zajmujący niemal połowę frontowej ściany gmachu, i dodał z niewinną miną: — To najlepszy i najelegantszy hotel w Małym Gdańsku, mogę państwu zapewnić. Sam do niego stale jeżdżam...

— Dobry kupiec z ciebie — mruknął Wójcicki, klepiąc sprytnego Tintenfassa po ramieniu.

Jan Sobieski zatoczył łuk w prawo i zwolnił biegu, bowiem naprzeciw pędziła już motorówka portowa wioząca pilota. Dziób okrętu mierzył obecnie prosto w portowe wrota, poza którymi widać

było las masztów i kominów przycumowanych statków. A powyżej leżało miasto Mały Gdańsk.

Mały Gdańsk liczący już trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców nie był głównym portem Nowej Atlantydy, ale najstarszym i najbardziej ożywionym, jeżeli chodzi o ruch pasażerski. Tutaj zaczynała się linia kolejowa, przecinająca na długość całą wyspę i tu lądowały stale przeliczne wycieczki turystów, pragnących zwiedzić arcyciekawe wykopiska *świętego miasta* i odbyć nieodzowną przejażdżkę po słynnym Jeziorze Starbałty, na pokładzie *Chrobrego*, który naprawdę stał się historycznym okrętem i którego ze statku handlowego przerobiono siedem lat temu na luksusowy parowiec spacerowy. Jego kapitanem był Franciszek Miazek, bowiem żaden z oficerów polskiej marynarki handlowej nie chciał za skarby świata pływać po jeziorze i narażać się na kpiny kolegów.

— A jak się nazywa największy port Nowej Atlantydy? — spytała jakaś Kalifornijka, która, zgodnie ze swymi amerykańskimi upodobaniami, interesowała się przede wszystkim tym, co największe, najwyższe, najdroższe.

— Nowa Gdynia, proszę pani. Ale to port na wskroś handlowy, położony najbliżej zagłębia węglowego. Osem milionów ton węgla ładuje się tam rocznie, można więc sobie wyobrazić, jak tam czarno i brudno. Słowem, nic ciekawego dla turystów... Aha, byłbym zapomniał. Nowa Gdynia leży przy ujściu rzeki Uajsilka...

— Wiselka, panie laskawy, zwykła Wiselka — poprawił znów Wójcicki i oświadczył Tintenfassowi, że zwymyśla przewodnika od ostatnich, jeżeli ów jeszcze raz jakąś nazwę przekręci.

— A co to tam za komin widać na lewo? — zapytał jeden z tych turystów, którzy nie posiadali lometki.

— To przecież zwyczajna latarnia morska — wyjaśnił właściciel składanej lunetki. — Ale obok widzę oryginalną skałę. Wygląda... dziwne doprawdy... wygląda jak gdyby wielka maczuga. Czy to też jakie wykopiska?

— Nie. Lecz dobrze, że mi pan to przypomniał — odparł przewodnik z widocznym ożywieniem. — Ta skała rzeczywiście nazywa się *Maczuga*, a biorąc ściśle, *Maczuga Hansa*, i wiąże się z nią romantyczna historia.

— Och, niech pan nam opowie — prosiły Amerykanki.

— A więc słuchajcie państwo... Na statku, który zobaczycie jutro na Jeziorze Starbałty, służyło w czasie jego ostatniej morskiej podróży, w czasie owej podróży historycznej... dwóch młodych majtków, Paweł i Jerzy. Obydwaj zakochali się na zabój w córce bosmana Hansa, która wraz z ojcem odbywała tę podróż...

— Co on plecie? — oburzył się Wójcicki. — Hans bosmanem?! I nasza Marysia córką Hansa?!

— Gdy okręt ugrzązł w jeziorze — ciągnął dalej przewodnik — pasażerowie opuścili go i wyruszyli pieszo przez wertepy „tajemniczej wyspy”, jak wówczas nazywali Nową Atlantyde. Szli dwa dni, zważcie państwo, dwóch dni potrzebowali na przebycie mniej więcej tej samej przestrzeni, jaką my obecnie przebyliśmy w ciągu niespełna godziny... W liczbie marynarzy, eskortujących pasażerów znajdował się Hans z córką oraz wymienieni już Jerzy i Paweł. Młodzi rywale posprzeczały się z sobą i Jerzy wyzwał Pawła na pojedynek. Mieli się bić bez świadków, w nocy, przy świetle księżycy...

— Przy księżycu?! Och, jakie to romantyczne! — krzyknęła jedna z pań. Panowie notowali skrzętnie imiona bohaterów *romantycznej historii*.

— Proszę nie przerywać — upomniął wymowny cicerone... — Kiedy wszyscy zasnęli,

młodzi marynarze wykradli się z obozu i pobiegli na ten urwisty brzeg, który państwo widzicie tam, na lewo. Ale dziewczyna zauważyła ich ucieczkę i pospieszyła w ich ślady, a za nią Hans, zaintrygowany zachowaniem się córki... Młoda Polka przybyła niestety za późno na plac boju. Przybyła w momencie, gdy Jerzy zrzucił w przepaść ciało Pawła, przebite szpadą...

— Nie wytrzymam — syknął Wójcicki. — Słuchaj, Tintenfass. Zapomniałem, jak po angielsku jest *osioł*, stary osioł. *An old...* i co dalej?

— Donkey — odparł zapytany. — Do czego to panu potrzebne?

Nie dowiedział się na razie, gdyż Wójcicki przysunął się bliżej do przewodnika, który tak ciągnął dalej:

— Dziewczyna wydała okrzyk zgrozy, podbiegła do zwycięzcy i zepchnęła go ze skał. *Coś uczyniła, nieszczęsna?* zabrzmiał nagle czyjś głos. Obejrzała się i spostrzegła swojego ojca. Zawołała: *Pomściłam mego Pawła i idę za nim.* Rzekłszy to, skoczyła w przepaść i roztrzaskała się na miazgę.

— Straszne! Okropne! — wykrzykiwały wzruszone Amerykanki.

— A stary ojciec — kończył przewodnik zadowolony z wywołanego wrażenia — a stary ojciec skamieniał z bólu, zamienił się w skałę, którą na jego pamiątkę nazwano Maczugą Hansa... A co, piękna historia?

— Raczej bajka, legenda — wtrącił pastor — bo jakże może się człowiek zamienić w skałę?

— A żona Lota, panie pastorate? Czyż nie zmieniła się w słup soli, jak czytamy w Biblii? — bronił się uśmiechnięty cicerone.

— You are an old donkey!⁵ — wrzasnął Wójcicki, wskazując na blagiera. — Stary osioł jesteś, rozumiesz? Drodzy państwo, to wszystko nieprawda, co ten tutaj naopowiadał — zwrócił się do turystów. Pan pastor pierwszy z was wykrył najpospolitsze kłamstwo. A teraz wy sami powiedzcie, czy widzieliście kiedy w życiu, by majtek ze statku handlowego nosił szpadę?

— To mogły być noże — bąknął zmieszany przewodnik.

— Nie, nie — protestowały najmłodsze turystki - szpady, to brzmi lepiej. Pozostawmy szpady. Już zanotowałam zresztą: *Jerzy przebił Pawła szpadą i martwe ciało zrzucił w przepaść* — odczytała jedna z nich i podsunęła swój notes pod sam nos Wójcickiemu, który aż wypieków dostał.

— Tylko sęk w tym — odparł szydyczko — że ten „przebity szpadą” Paweł żyje dotychczas i jest latarnikiem tej właśnie latarni morskiej.

— Żyje?! Co pan mówi! A Jerzy? A ta dziewczyna?

— Ci dwoje biorą jutro ślub!

— Skąd pan to wie? — spytał przewodnik, bimbając nerwowo krótkimi nogami; był wściekły na tego lysonia i sądził, że go nawzajem przyłapał teraz na kłamstwie.

— Stąd — odparł Wójcicki — że właśnie na tę uroczystość jadę z Polski, zaproszony przez młodą parę. Bo trzeba wam wiedzieć, iż ja także brałem udział w historycznej podróży *Chrobrego* i należę do odkrywców Nowej Atlantydy! — Rzekłszy to, podniósł się na palcach, by sobie wzrostu przyczuścić, napuszył się i dumnym wzrokiem omiół twarze przyjemnie zdziwionych cudzoziemców. — Zaś ów Hans, który był, jak się okazało później, bandytą zbiegłym z jakiegoś niemieckiego więzienia i który zakradł się na nasz statek w Kanale Kilońskim, bynajmniej nie skamieniał — tu Wójcicki spojrzął z pogardą na przewodnika — lecz zginął na miejscu strącony w przepaść przez Marysię Śląską; tak się nazywa ta mężna dziewczyna, od jutra pani Rawska... Ufff, skończyłem — odsapnął staruszek. — I tak wygląda ta historia naprawdę.

— Możliwe — bąknął przewodnik, schodząc ze swej niezwyklej estrady — możliwe, że to, co pan powiedział jest bliższe prawdy, niemniej moja historia była bardziej romantyczna, wruszająca, bardziej w stylu legendarnej Atlantydy, i zawsze będę ją turystom opowiadał w tej formie... Panie i Panowie, radzę zejść do kabin po багаż ręczny... za chwilę wysiadamy.

Pokłady opustoszały na kilka minut, w których ciągu *Jan Sobieski* podał na ład cztery grube liny i bokiem zaczął się przysuwać do mola. Dwóch tylko pasażerów pozostało na górnym spacerowym pokładzie, gdyż przed godziną już przynieśli tutaj swoje plecaki i ręczne walizy. Byli to turyści niemieccy, wystarczyło na nich spojrzeć, by odgadnąć, do jakiej narodowości należą. Młodszy, ubrany w strój alpinisty, w tyrolskim kapeluszu na kwadratowej głowie raz jeszcze obrzucił łokowym wzrokiem białe miasto i rzekł półgłosem:

— Płakać się chce, gdy człek pomyśli, że to wszystko mogły być nasze, że mieliśmy po temu wszelkie prawa...

— No, wszelkie jak wszelkie, tak między nami mówiąc — dorzucił starszy, przecierając kraciastą chustką swoje okulary w złotej oprawie.

— Daruj, ojcze, ale wszelkie! Któż pierwszy zauważył podnoszenie się dna oceanu jak nie nasi uczeni ze statku *Monte Carlo*? A czyż nasz szkuner *Schwalbe* nie był pierwszym okrętem, który zatrzymał się przy brzegach Atlantydy, tutaj gdzieś właśnie, podobno w Zatoce Unruga?

— Mówisz rzeczy, o których wie każde dziecko. Ale cóż z tego?

— Słusznie. Cóż z tego — powtórzył syn z goryczą — skoro nie wykorzystano tych faktów, przesądających sprawę na naszą korzyść... Nasi „genialni” — to słowo wymówił z gryzącym szyderstwem — uczeni oświadczyli, że Atlantyda zapadnie się znowu w morze, że to nastąpi w ciągu kilku lat najpóźniej, że wobec tego nie warto inwestować ani feniga w tę niepewną wyspę, i na podstawie tej idiotycznej opinii rząd zrezygnował z wszelkich praw do Atlantydy. A Polacy nie lękali się niczego. Rozumieli, że taki kataklizm geologiczny zdarza się raz na kilkadziesiąt wieków lub rzadziej jeszcze, że zresztą równie dobrze może się zapaść w ocean Europa, Afryka, czy Australia... Ach, ojcze! Łatwiej byłoby mi przeboleć tę stratę, gdyby Nowa Atlantyda należała do Anglii czy do Portugalii; wymieniam te dwa państwa, bo one także zgłaszały swoje pretensje i także nierozumnie zrezygnowały. Niechby ją zagarnęli byli Chińczycy, Dajakowie, Eskimosi, wszystko mi jedno... Nie! Jakby nas los pragnął ciężej ukarać, panami są tutaj Polacy! Polacy, och, ojcze. Właśnie oni, właśnie nasi śmiertelni wrogowie! To straszne!

Stary oparł dłoń na ramieniu syna, potem objął go wpół serdecznie.

— *Na, mein lieber Sohn*⁶ — rzekł z uśmiechem - nie przyjechaliśmy tutaj po to, by się martwić, rozgoryczać i rozpaczać. Spójrz, jak piękne jest to miasto, jak malownicza okolica, pomyśl o projektowanych wycieczkach w góry, o wykopaliskach i rozchmurz się, chłopcze. Cieszymy się, że spędzimy tutaj mile swoje wakacje, cieszymy się, że tutaj jest tak pięknie...

— Ojcze! — krzyknął z wyrzutem niepoprawny szowinista i zacisnął pięści. — Mamy się cieszyć z tego, że ten bogaty i przepiękny i ogromny szmat ziemi jest własnością Polaków? Że dzięki temu mogą się rozwijać najpomyślniej, kiedy my się dusimy w ciasnej ojczyźnie? Że mogą się stać potęgą pierwszą w Europie, podobnie jak Rosja trzęsie dziś całą olbrzymią Azją po swym zwycięstwie nad Chinami i po zawarciu przymierza z Indiami wyzwoleonymi z jarzma angielskiego?

Stary Niemiec spoważniał, westchnął i odparł zniżonym głosem:

— Trudno, mój drogi. Trzeba zwolna oswajać się z myślą, że narody romańskie i germańskie już wypełniały swoją misję dziejową, że okres ich hegemonii nad światem przeminął bezpowrotnie, że przyszłość należy do Słowian. Nic na to nie poradzimy. Możemy się co najwyżej pocieszać, iż

przyjdzie kiedyś dzień, w którym z kolei Słowian za łeb wezmą Żółci. Już tam Chińczycy oddadzą Rosji pięknym za nadobne, a potem upojone zwycięstwem miliony żółtych wojowników runą na Europę i przypomną jej czasy Attyli¹... — Ba — zreflektował się stary — ale co nas, Niemców, wtedy czeka?

Okręt przycumowano wreszcie, połączono go z łądem mostkiem, po którym wkroczyła na pokład gromada celników.

— Rewizja bagażu — zawołał pękaty przewodnik — panie i panowie proszę pootwierać swoje walizki i trzymać w pogotowiu paszporty.

Wójcicki docisnął się do burty, prześlizgnął się wzrokiem po tłumie ludzi, czekających na molo i wrzasnął ucieszony:

— Maryśka!!! Jak się masz, dziewczyno... Ale też wyrosłaś, no. Żeby nie fotografia, za którą pięknie dziękuję, nie poznałbym cię nigdy.

Wysoka, urodziwa panna, stojąca na uboczu samotnie rozśmiała się i zaczęła powiewać chusteczką w stronę wesołego staruszka. Ów zaś wołał dalej:

— A gdzie to pan narzeczony, hę?

— Jeszcze nie przyjechał — krzyknęła — dopiero wieczorem jego statek tu przybędzie.

— No, no, żeby się tylko na własny ślub urwis nie spóźnił. W ogóle ci marynarze to bardzo niepewni ludzie; nie mogłaś to sobie, dziewczyno, wyszukać jakiegoś stateczniejszego chłopca? Znalazłby się taki, myślę... nie wskazując palcem. — Tu leciwy pan Wójcicki podkreślił wężą z fantazją i dodał z westchnieniem: — Jestem ci wprawdzie troszkę starszy od twego Jurka, no, ale chyba nie brzydszy...

— O nie, wujaszek jest bardzo przystojny — odparła rozbawiona — ale jakże bym mogła wyjść za mąż za rodzzonego wuja? Nie wolno!

Wójcicki nie był oczywiście żadnym jej krewnym, ale utarło się już tak przed laty, że jego i wszystkich dawnych pasażerów z *Chrobrego*, i bez wyjątku wszystkich członków załogi tego statku z jego pamiętnej podróży nazywała wujami.

— Wuj, wuj — mamrotał staruszek — więc dlatego, że wuj, to już muszę do śmierci żyć w starokawalerstwie?

— Broń Boże — zaprzeczyła panna Śląska. — Ja tu wujaszka raz dwa wyswatam... Mam już coś na oku. Raczej, kogoś.

— No — zainteresował się Wójcicki, przykładając dłoń do ucha, aby lepiej słyszeć w tym rozgwarze. — Któż to taki; wdowa? panna?

— Panna. Wcale przystojna.

— Młoda?

— Hm, w stosownym wieku dla wujaszka. Wuj zna ją nawet.

— Znam ją? Jak się nazywa?

— Panna Szczotkówna!

¹ Władysław Filanowicz (1887-1969) – komandor porucznik, kierownik Samodzielnego Wydziału Planów i Ewidencji w Kierownictwie Marynarki Wojennej.

² Beatus qui tenet (łac.) – Szczęśliwy, kto posiada.

³ cicerone (wł.) – przewodnik.

⁴ Józef Unrug (1884-1973) – polski wiceadmirał pochodzenia niemieckiego. Podczas I wojny światowej był dowódcą flotylli okrętów podwodnych w niemieckiej flocie. Następnie wstąpił do odrodzonej polskiej Marynarki Wojennej. Od 1925 do 1939 dowodził Flotą i Obszarem Nadmorskim, a w trakcie kampanii wrześniowej Obroną Wybrzeża. Po wyjściu z niewoli niemieckiej, pod koniec II wojny światowej, zajmował stanowisko I zastępcy szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej.

⁵ You are an old donkey! (ang.) – Jesteś starym osłem!

⁶ Na, mein lieber Sohn (niem.) – No, mój kochany synu.

⁷ Attyła (406-453) – wódz Hunów, stworzył imperium, które sięgało od Danii po Balkany i od Renu aż do Morza Kaspijskiego.

EPILOG

Nazajutrz wypadła niedziela. Dzięki temu niemal cały Mały Gdańsk wyległ na Bulwar Mariusza Zaruskiego¹, ciągnący się od portu prosto jak strzełił w górę do Placu Marynarki Handlowej, gdzie stała katedra, której budowę zaledwie pół roku temu ukończono. Policjanci w kaskach kolonialnych natrudzili się niemało, by utrzymać w karbach olbrzymie tłumy, nie mogące się pomieścić na szerokich chodnikach bulwaru, a ileż osób tłoczyło się na płaskich dachach domów i na balkonach, i w oknach. *Kurier Atlantycki*, którego wydawcą był znany nam dziennikarz Stanisławski, obliczał później ilość widzów na z górą czterdzieści tysięcy i bodaj, czy coś przesadził. Bo oprócz stałych mieszkańców Małego Gdańska czekały tu liczne zastępy zagranicznych turystów zwabionych wieścią o ślubie właściwego odkrywcy Nowej Atlantydy z uroczą bohaterką znanego powszechnie dramatu, jaki się rozegrał dziesięć lat temu u stóp *Maczugi*.

Punktualnie o godzinie piątej po południu zelektryzował czekające cierpliwie tłumy okrzyk: — Jada!... Jada!

Widzowie, zgromadzeni na dachu-tarasie Muzeum Oceanograficznego pierwsi dostrzegli orszak, a mieszkańcy Małego Gdańska pokazywali świeżym przybyszom ważniejsze osobistości i objaśniali:

— To Starbała, kapitan *Sobieskiego*. A tamten tęgi to brat panny młodej; siedem lat temu przybył tu z Angoli i dziś jest jednym z najbogatszych kupców. Piękny domek zbudował dla siostry tam, wicie, powyżej hotelu *Atlantis Palace*... To jest pan młody, Jerzy Rawski, drugi oficer na *Poniatowskim*, który tu w nocy zawinął. Jego do ołtarza poprowadzą inżynierowa Polańska i najstarsza córka kapitana Dulskiego... Ho, ho, i Miazek także przyjechał? To rzadki gość w mieście, tylko w największe święto opuszcza swoje jezioro... W ósmym samochodzie, pytacie? To Gąsiorowski, Zieliński, Dumania, sami mechanicy; zawsze się razem trzymają.

Tym trybem wymieniano nazwiska gości weselnych, których blisko setka przesunęła się bulwarem w dwudziestu i kilku samochodach, częściowo własnych, częściowo wypożyczonych przez miejscowego krezusa, Tintenfassa.

Marynarze statków handlowych i pasażerskich stojących w porcie utworzyli szpaler w katedrze, prócz tych, z których muzyczny Gąsiorowski stworzył na poczekaniu chór. Ślubu udzielił młodej parze ksiądz Alfred Bzowiecki, miejscowy proboszcz, niegdyś także pasażer *Chrobrego*. Tak zwani wujowie stawili się w komplecie, prócz... Pawelka. Ten pozostał wierny swojemu postanowieniu, że nigdy nie wyjdzie poza obręb muru okalającego jego domek i latanię morską. Ale na dwie godziny przed ślubem otrzymał Jerzy Rawski pięknie wykonany z drewna model *Chrobrego* i list tej treści:

Moi Kochani!

W dniu tak uroczystym zasylam Wam swoje najserdeczniejsze życzenia. Darujcie, że nie przyjdę i nie skorzystam z Waszego zaproszenia. Szczerze: Wam szczęścia, ale nie żądajcie, bym na nie patrzył z bliska.

Wybaczcie, że biednego latarnika nie stać na ładny prezent ślubny i przyjmijcie to, co Wam dać może, co własnymi rękami wystrugał.

Ścisła Wasze dłonie

Paweł

Marysia wrzuciła się do łóżka, kiedy jej Jerzy ten list pokazał i oświadczyła, że podarunek młodego latarnika jest najdroższy jej sercu spośród tylu kosztownych prezentów, jakie otrzymali, i że ten śliczny okręcik, będący wierną kopią *Chrobrego* będzie umieszczony w ich saloniku na honorowym miejscu.

Po ceremonii kościelnej orszak pojechał do *Atlantis Palace Hotel*, w którego wspaniałych salach brat panny młodej urządził wystawną ucztę weselną. Krajowych win jeszcze nie było, dopiero zakładano pierwsze winnice na Nowej Atlantydzie, za to szampań francuski lał się strugami. Nic dziwnego, że w tych warunkach kapitan Starbąła poszedł w ślady Noego i nadużył wina.

— Chodźmy stąd — powtarzał uporcezywie, tarmosząc za politykę Dułskiego. Dułski po śmierci swej żony spensjonował się, opuścił wraz dziećmi na zawsze Gdynię, przeniósł się do Małego Gdańska, wybudował tu sobie mały domek i pędził spokojny żywot emeryta. — Chodźmy stąd, obrzydliwy cywilu, powiadam... To nie dla nas towarzystwo...

— Jakże — obruszył się Dułski — przecież to nasi koledzy.

— Nie mówię o nich, ale o tych mieszcuchach, których brat Marysi tu ponaspraszał... Słuchaj, Dułski. MY, którzyśmy jak Krzysztof Kolumb przeszli do historii, MY, dziejowe postacie, nie możemy się zadawać z byle kim, rozumiesz?

— Rozumiem — przyznał Dułski — ale towarzystwo jednej buteleczki nam chyba nie ubliża, co?

Niewątpliwie przez omyłkę zabrali z sobą nie jedną buteleczkę, ale po jednej do każdej ręki, i wynieśli się chyłkiem do małego saloniku, do którego wyniesiono z sal pokojowe palmy, oleandry, kaktusy. Było tu bardzo przyjemnie i zacisznie, dźwięki orkiestry przygrywającej do tańca w głównym salonie dobiegały jakby z wielkiej odległości. Przez drzwi balkonowe otwarte na oścież widać było wspaniale iluminowany szczyt odległej Iglicy Rawskiego i krótkie błyski latami morskiej, bowiem okna tego pokoju wychodziły na zachód. Wszystko to, włącznie z doskonałym szampańem tak rozmarzyło sympatycznych marynarzy, że zasnęli niemal równocześnie na trzcinowej kanapie.

W jakiś czas potem zabląkała się do tego saloniku para nowożeńców.

— Nareszcie jesteśmy sami — rzekł Jerzy, obejmując swoją młodą małżonkę rozkochanym spojrzeniem — a tak niewiele czasu razem z sobą będziemy. Ty wiesz, za pięć dni *Poniatowski* wychodzi w morze. Przez miesiąc nie będę cię widział, najdroższa. Przez cały długi miesiąc!

— A może właśnie będzie inaczej — odparła z fluterym uśmiechem i przytuliła się do męża. — Zdradzę ci sekret. Brat pytał mnie kiedyś, jaki prezent ślubny chciałabym dostać od niego. I ja... tylko się nie gniewaj... i ja wybrałam bilet na obecną podróż *Poniatowskiego* tam i na powrót, czyli przez ten cały miesiąc będziemy razem. Skoro tylko ukończysz swoją wachtę, będziesz mógł przybiec do mnie... A co! dobrze zrobiłam?

— Świetnie! — krzyknął z zapalem. — Niechże cię uściskam.

Padli sobie w objęcia, lecz jeszcze szybciej odskoczyli od siebie, przerażeni straszliwym pomrukiem.

— Lew! — krzyknęła blada jak kreda Marysia.

— Skądże by lew — wyszeptał Jerzy, starając się przewiercić wzrokiem zielony gąszcz

„zarośli” tej oranżerii. Zasłonił sobą żonę i, żeby ją uspokoić, przypomniał, iż na Nowej Atlantydzie nie ma żadnych drapieżnych zwierząt... — Nawet węży tu nie ma, na szczęście — dodał.

— Tak, ale przed tygodniem przybył tutaj statkiem wędrowny cyrk i onegdaj właśnie czytałam w gazecie, że dwa lwy wyrwały się z klatki na wolność.

— Naprawdę?

— Tak, tak, tak... Uciekajmy, Jurku.

Cofnęły się ku drzwiom, lecz w tym momencie Starbała zachrapał tak „po ludzku”, że Jerzy parsknął śmiechem i śmiało pobiegł za potrójny mur palm, rododendronów, oleandrów.

— Chodź no — zawołał na żonę — nasze lwiska sen zmorzył.

Przybiegła zaciekawiona i rozśmiała się srebrzyście na widok obejmujących się czule za szyje marynarzy, zgodnie, jakby na komendę chrapiących.

— Nic dziwnego — rzekła, wskazując wypróżnione butelki...

— Co? Jak? Gdzie? — bełkotał niewyraźnie Starbała, przecierając zaspane oczy. Ze zgorzaniem spojrzął na Dulskiego i obudził go rzetelnym szturchaniem pod żebra. — Fe! — huknął. — Nie wstydzisz się spać na weselisku naszej Marysi?

— A wuj to niby nie spał?

Starbała zmierzzył młodziutką mężatkę karcącym spojrzeniem:

— Ja? Ja spałem? No, natarł ja bym ci uszu, gdybyś była chłopcem — odgrażał się.

— Proszę bardzo — odparła rozweselona, odgarniając jasne loki, osłaniające jej małe, zgrabne uszko. — Nie nowina dla mnie. Już raz dostałam porządnie w skórę od wujaszka. Pamiętasz? Tam, na *Chrobrym*,

— Nie przypominam sobie — Starbała wstał szybko i spuścił oczy; mieszał się najzabawniej w świecie, ilekroć ktoś napomknął o tym wydarzeniu. — Ja miałbym cię uderzyć? — oburzył się. — Chyba Dulski.

— Ooo, przepraszam — zaprotestował tamten, tłumiąc gwałtem chęć ziewania. — Tyś to zrobił, Józeczku. Ty, ty, ty — dźgał go palcem. Zanosilo się na małą sprzeczkę i Jerzy nagadał się sporo, zanim zdołał obydwóch „zawianych” starszych panów przekonać, że ludzie wynaleźli już dawno wygodniejsze meble do spania niż ciasna, twarda trzciniowa kanapka. W głównym salonie podszedł do nich Tintenfass i oświadczył podpierającym się wzajemnie kapitanom, że jego limuzyny są do dyspozycji gości.

— Dziękuję panu za dobre chęci — odparł Dulski — ale mam tutaj swój własny ekwipaż.

Ekwipażem była mała dwukołowa bryczka. Dwaj przyjaciele wdrapali się na nią nie bez pomocy służby hotelowej, po czym Dulski ujął w dłonie bat i lejce, i cmoknął na konia, stęsknionego za swoją stajenką.

— Cała naprzód! — zakomenderował Starbała, któremu się nagle przywidziało, że stoi na swoim okręcie i wychodzi z portu w morze.

Ruszyli z miejsca postoju wehikułów czekających na gości weselnych. Zrazu wszystko szło dobrze, a miarowy turkot okutych kół wózka sunącego po wyasfaltowanej ulicy działał usypiająco jak dudnienie śruby okrętowej. Lecz potem skręcił Dulski w boczną uliczkę, nieoświetloną i posiadającą dziury, wyboje, „kocie łby”, po których pędząca bryczuszka zaczęła straszliwie podskakiwać.

— Kołysanie boczne — mruzczał komendant *Sobieskiego*, biorąc te podskoki za chwiejbę okrętu. — Steruj pod fałę, Dulski. — Wtem zsunęła mu się czapka na oczy i zasłoniła „horyzont”. — Nic nie widzę, co to znaczy... Mgła! — krzyknął. — Rozumiem, mgła. Syrena, do pioruna!...

Hej, Dulski, słyszysz? Sygnały dźwiękowe, powiadam. Długie z przerwami...

— Tu tu tuuu — „trąbił” ustami Dulski na pół drzemiący tuż obok.

Czapka spadła Starballe na kolana.

— Zaczynam widzieć — ucieszył się — mgła się przeciera.

Wytrzeszczał teraz klejące się oczy, bo wydało mu się, że jeszcze nigdy nie żeglował przez tak zakazane morza. Po obydwóch stronach rzekomego statku stały uśpione domki, które znakomity marynarz w swoim zamroczeniu brał za groźne skały. A potem na skrzyżowaniu ulic ukazała się samotna latarnia gazowa.

— Latarnia morska po sterburcie. Hej stemik; dwa rumbly w lewo — wymamrotał. — Lewo na burłę! — wrzasnął, widząc, że zwiariowany „statek” pędzi wprost na tę przeszkodę i roztrzaska się o nią za chwilę. — Cała wstecz! Lewo na burłę!

Było już za późno. Koń przemknął tuż koło latarni, lecz prawie koło wózka palnęło w jej słup z taką siłą, że szkło posypało się z góry. Potężne uderzenie odrzuciło bryczkę na lewą stronę wąskiej uliczki, znów lewe koło zawadziło o jakiś kamień i śpiący twardo Dulski stoczył się do rowu. Koń szarpnięty wstecz tak nagle, stanął i czekał cierpliwie na dalszy rozwój wypadków. Inaczej Starbała. On nie mógł czekać! Widział przecież na własne oczy, że jego najlepszy przyjaciel runął w odmęty „wzburzonego oceanu”. Ba, słyszał jego cichy głos, dobiegający z ciemnej otchłani.

— Do licha — skarżył się Dulski — tu jest woda.

Woda! To jedno słowo dotarło do świadomości Starbały.

— A co ma być w oceanie; sok malinowy? — mruknął.

Dzielny marynarz zerwał się, wszedł na szerokie siedzenie unieruchomionej bryczki i, rozpinając szybko guziki munduru, rzucał w przestrzeń gromkim głosem rozkazy:

— Maszyny stop! Człowiek spadł za burłę! Koło ratunkowe rzuć! Bosman, mała szalupa na wodę! Prędeż, guzdrały!

— Józeczku, co ty mówisz? — spytał Dulski, który pod wpływem nadprogramowej kąpieli nieco przyszedł do siebie i w najwyższym zdumieniu przysłuchiwał się grzmiącemu monologowi dawnego zwierznika.

— Trzymasz się? — spytał troskliwie Starbała, wysuwając głowę śmiało poza „falszburłę”; omal przy tym nie stracił równowagi.

— Owszem — brzmiała odpowiedź kolegi. — Trzymam się doskonale, ale mój cylinder utonął.. I frak wygląda oplakanie.

Komendant *Sobieskiego* wzruszył ramionami niecierpliwie. Wydało mu się to śmieszne, że człowiek tonący kłopotczy się w takiej chwili o swoją garderobę.

— Zaraz ci pomogę — krzyknął. Zdjął mundur, cisnął go na „pokład”, przeżegnał się, wznosił ręce nad głowę, złączył dłonie, uspokoił chwiejący się korpus, słowem przybrał pozycję pływaka, stojącego na trampolinie i gotującego się do skoku na głowę. — Uwaga, spieszę ci z pomocą — zawołał. — Raz, dwa, trzy! — Na trzy odbił się stopami z całej siły i wykonał najprawdłowszy skok.

„Wylądował” szczęśliwie na plecach Dulskiego, który podnosił się właśnie. Wgniół go na powrót w rów, który po niedawnym, krótkim szkwale zamienił się w rwący strumyk. Sam także zażył kąpieli i nareszcie zrozumiał swą pomyłkę. A potem podniósł potłuczonego przyjaciela, wyciągnął go na drogę i obaj ryknęli serdecznym śmiechem. Nie wsiedli jednak na wózek; stracili ostatecznie wszelkie zaufanie do lądowych wehikułów. Uznali jednomyślnie, że nie masz nad dobry okręt, który jest najpewniejszym środkiem komunikacji na kuli ziemskiej i niewątpliwie także na

innych planetach. Zaczem ujęli lejce tuż przy pysku konia i, kołysząc się po marynarSKU, pomaszzerowali pieszo do domu Dulskiego.

KONIEC



¹ Mariusz Zaruski (1867-1941) – pionier polskiego żeglarstwa i wychowania morskiego, generał brygady Wojska Polskiego, tatemik. Postać wszechstronna – fotografik, malarz, poeta i prozaik, marynarz, żeglarz i podróżnik, konspirator, zesłaniec, legionista, ułan, wreszcie generał Wojska Polskiego i adiutant prezydenta RP. Tatemik, grotołaz, ratownik, instruktor i popularyzator narciarstwa i turystyki górskiej. Założyciel Tatrzańkiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Instruktor Związku Harcerstwa Polskiego.